

Kobieta szpieg

Burroughs Edgar Rice

Książka VI z Tarzan



calibre 0.9.43

EDGAR RICE BURROUGHS

KOBIETA SZPIEG

**PRZYGODY TARZANA CZŁOWIEKA LEŚNEGO CZĘŚĆ VI
TŁUMACZYŁA ZOFIA LUBODZIECKA**

ROZDZIAŁ I

MORD I RABUNEK

Kapitan Fritz Schneider ciężko włókł się poprzez gęstwinę ciemnego lasu. Pot spływał kroplami z jego okrągłej głowy i spadał na grube policzki i bawoli kark. Obok niego kroczył porucznik, pochód zamykał podporucznik von Goss, który z garścią askarysów szedł za zmordowanymi i wycieńczonymi tragarzami. Czarni żołnierze, za przykładem białego oficera, popędzali tragarzy ostrzami bagnetów i kolbami karabinów.

Kapitan Schneider nie miał pod ręką tragarzy, toteż swój zły pruski humor wywierał na najbliższych, askarysach, z większą jednakże oględnością, gdyż ci ludzie mieli nabite karabiny, a trzej biali czuli się osamotnieni w samym sercu Afryki.

Przed kapitanem maszerowało pół kompanii, za nim szła druga połowa - w ten sposób niemiecki dowódca był możliwie zabezpieczony przed groźnymi niespodziankami dżungli. Na czele kolumny wlokło się dwu nagich tubylców, zakutych w kajdany. Byli to przewodnicy - krajowcy w służbie Kultury, na ich nieszczęsnych ciałach Kultura wycisnęła swe piętno, w postaci licznych ran i siniaków. W ten sposób nawet w głębi Afryki promienie niemieckiej cywilizacji zaczynały świecić dla niegodnych krajowców właśnie w tym samym czasie, gdy pod koniec 1914 r. rozbłyskały nad ginącą Belgią.

Trzeba przyznać, że przewodnicy zabłądzili, jak zwykle przewodnicy afrykańscy. Cóż z tego, że stało się tak raczej wskutek ich nieznamośności terenu, niż złej woli: dla kapitana Schneidera wystarczyło, że zabłądził w dzikiej Afryce i że miał pod ręką istoty ludzkie, słabsze od niego, które mógł torturować. Że ich po prostu nie zabił, przypisać należy temu, że po części żywił słabą nadzieją, iż może potrafią wypłatać go z ciężkiego położenia, po części zaś temu, że póki żyli, można ich przecież było poddawać męczarniom.

Nieszczęsne istoty w nadziei, że może uda im się natrafić na właściwy szlak, upierały się, że znają drogę i wiodły oddział poprzez złowieszczy las, wzdłuż zawitych śladów, głęboko wydeptanych przez niezliczone pokolenia dzikich mieszkańców dżungli. Tędy słoń - Tantor kroczył ku wodzie, tu Buto - nosorożec błędził w swym samotnym majestacie, tu nocą wielkie koty cicho przekradały się pod gęstym sklepieniem drzew ku szerokiej równinie, poza która urządały swe najlepsze łowy.

Na skraju tej równiny, która nagle ukazała się oczom przewodników, serca ich zabiły nadzieją. Kapitan głęboko odetchnął z uczuciem ulgi, gdyż po dniach beznadziejnej wędrówki, wśród nieprzeniknionej dżungli, rozległy widok falujących traw, gajów przypominających parki - a w dali wijąca się linia zielonych zarośli, zdradzających obecność rzeki, wydały się Europejczykom prawdziwym rajem.

Prusak uśmiechnął się, wesoło przemówił do porucznika, po czym zbadał rozległy widok przez lunetę polową. Wzdłuż i wszerz przyglądał się falistej równinie, aż wzrok jego zatrzymał się na punkcie, leżącym w środku krajobrazu, tuż przy zielono obramowanych zarzysach rzeki.

- Szczęście nam sprzyja - rzekł Schneider do towarzyszy. - Czy widzicie?

Porucznik, patrzący przez swoją lunetę polową, zatrzymał ją również na tym samym miejscu, które zwróciło uwagę jego zwierzchnika.

- Tak - rzekł - angielska farma. Niewątpliwie Greystoke'a, gdyż nie ma żadnej innej w tej części angielskiej Afryki Wschodniej. Bóg nam sprzyja, panie kapitanie.

- Przybyliśmy do tego angielskiego świniopasa, zanim mógł się dowiedzieć, że jego ojczyzna wojuje z naszą - odpowiedział Schneider. - Niechaj on będzie pierwszym, który poczuje żelazną dłoń niemiecką.

- Miejmy nadzieję, że jest w domu - rzekł porucznik. - Będziemy mogli wziąć go ze sobą, gdy zameldujemy się u Krauta w Nairobi. Dobrze to zrobi kapitanowi Schneiderowi, gdy słynnego małpiego Tarzana przyprowadzi jako jeńca wojennego.

Schneider uśmiechnął się i wydał pierś.

- Masz słuszność, przyjacielu, przyda się to nam obu, daleko jednak musimy wędrować, by dogonić generała Krauta, zanim dojdzie on do Mombasy. Te angielskie wieprze, ze swą lichą armią, nieprędko dosięgną Oceanu Indyjskiego.

W lepszym już usposobieniu ruszył zbrojny oddział przez otwartą okolicę ku dobrze utrzymanym zabudowaniom Johna Claytona, lorda Greystoke'a, lecz tam czekało ich rozczarowanie, gdyż ani Tarzana, ani jego syna nie było w domu.

Lady Janina, nie wiedząc nic o wojnie między Anglią a Niemcami, gościnnie przyjęła oficerów i kazała przygotować ucztę dla czarnych żołnierzy wroga.

Daleko ze wschodu małpi Tarzan szybko podążał do farmy. W Nairobi dowiedział się o wojnie światowej, która właśnie wybuchła, i przewidując natychmiastową inwazję Niemców do angielskiej Afryki wschodniej, śpieszył do domu, aby żonę swą przenieść w bezpieczniejsze miejsce. Wraz z nim szła garść jego hebanowych wojowników, lecz dla człowieka-małpy zbyt powolnym był pochód tych zahartowanych i wyćwiczonych myśliwych.

Gdy zachodziła potrzeba, małpi Tarzan zrzucał cienki pokost cywilizacji i jego krępujące oznaki; w jednej chwili wykwinnty dżentelmen przemieniał się w nagiego człowieka-małpę.

Towarzyszce jego groziło niebezpieczeństwo - ta jedna myśl kierowała nim. Nie myślał o niej, jako o lady Janinie Greystoke, lecz jako o tej, którą zdobył potęgą swych stalowych mięśni i którą musi nadal ochraniać i bronić.

Nie członek Izby Lordów przelatywał szybko i gniewnie przez powikłany las lub niezmordowanie przebiegał otwarte równiny - była to wielka małpa, przeniknięta jedynym celem, wykluczającym wszelkie myśli o zmęczeniu lub niebezpieczeństwie.

Ujrzała go Manu, mała małpa skrzecząca na wierzchołku drzewa. Dawno już, dawno nie widziała wielkiego Tarzana, nagiego i samotnego, harującego poprzez dżunglę. Brodata i siwa była Manu, ale w jej zamglonych oczach zabłysł ogień wspomnienia owych dni, gdy małpi Tarzan, władca puszczy, panował nad miliardami istnień, które bądź pełzały w gąszczu między pniami wielkich drzew, bądź latały, bądź bujały się, bądź wspinały się wśród listowia ku samym szczytom najwynioślejszych olbrzymów. I Numa, pilnujący upolowanej nocą zdobyczy, błysnął zielonożółtymi ślepiami i zamachał płowym ogonem, gdy zwęszył swego dawnego wroga.

Tarzan nie był nieświadom obecności Numy ni Manu, ni innych, licznych mieszkańców dżungli, których mijał w swym biegu na zachód. Powierzchnowe otarcie się o cywilizację angielską nie stąpiło ani cząsteczki jego wysubtelnionych zmysłów. Węch jego odczuł obecność Numy-lwa, zanim jeszcze majestatyczny król zwierząt zdał sobie sprawę z jego przejścia. Usłyszał hałaśliwą Manu, jak również cichy szmer rozwierających się zarośli, przez które przekradał się Szita, zanim którekolwiek z tych czujnych zwierząt wyczuło jego obecność.

Mimo jednak wyostrzonych zmysłów, mimo szybkości z jaką przebiegał dziką przybraną ojczyznę, mimo potęgi mięśni, był jednak człowiek-małpa istotą śmiertelną. Czas i przestrzeń panowały nad nim nieubłagane, z czego Tarzan zdawał sobie sprawę jaśniej niż kiedykolwiek bądź. Wrzał gniewem i wściekłością, że nie może podróżować z szybkością myśli i że długich godzin mu potrzeba na przebycie niezmiernych obszarów, zanim zeskoczy z ostatniej gałęzi leśnej na otwartą równinę i dotrze do celu.

Dni całe to pochłaniało, mimo że kładł się nocą na kilka zaledwie godzin i przypadkowi pozostawił znalezienie pożywienia. Jeśli, gdy był głodny, napotykał Wamppi-antyloperę lub Hortędzika, zatrzymywał się na tak długo tylko, ile trzeba było, aby zabić zwierza i wykroić płat mięsa.

Nareszcie długa podróż zbliżała się ku końcowi; minął ostatnią część gęstego lasu, graniczącego na wschód z jego osiedlem, i stanął na skraju równiny, spoglądając poprzez płaszczyznę ku swemu domowi.

Zaledwie spojrzał, oczy jego zwęziły się, a mięśnie naprężyły. Z tej nawet odległości mógł dojrzeć, że stało się coś złego. Wąska smuga dymu pełzała po prawej stronie bungalowu, gdzie pobudował był stodoły, ale stodoł nie było; natomiast z komina bungalowu, skąd właśnie dym powinien był się snuć, dym się nie unosił.

I znowu małpi Tarzan pośpieszył naprzód, prędzej jeszcze niż dotychczas, gdyż popędził go nieznany strach, intuicyjny raczej, niż wyrozumowany.

Podobnie jak u zwierząt, małpi Tarzan posiadał jak gdyby szósty zmysł. Na długo, zanim dosięgnął bungalowu, odmalował w swej wyobraźni scenę, która wreszcie ukazała się jego oczom.

Cichy był i opustoszały winem obrośnięty domek. Dymiące się zgliszcza wskazywały miejsce, gdzie dawniej stały wielkie stodoły. Znikły strzechy kryte chaty dzielnych osadników, opustoszały pola, pastwiska i zagrody dla bydła. Sępy tylko krążyły nad trupami ludzi i zwierząt.

Z uczuciem przerażenia, jakiego nigdy jeszcze nie doświadczył, zmusił się człowiek-małpa do wkroczenia do domu. Pierwszy widok, na jaki wzrok jego padł, czerwoną mgłą nienawiści i żądzą krwi zasnuł jego oczy: oto na ścianie bawialnego pokoju wisiał ukrzyżowany olbrzym Wasimbu, syn wiernego Muvira, od roku przeszło pełniące funkcję nieodstępnej przybocznej straży lady Janiny.

Poprzewracane i połamane sprzęty, ciemne smugi zaschłej krwi na podłodze, odbicia okrwawionych rąk na ścianach świadczyły o okropnościach walki, stoczonej w ciasnocie mieszkania.

Na fortepianie leżał trup drugiego czarnego wojownika, przed drzwiami buduaru lady Janiny rozciągnięte były martwe ciała trzech wiernych sług Greystoke'a.

Drzwi tego pokoju były zamknięte. Z obwisłymi ramionami i zamglonymi oczami stał Tarzan, patrząc tępo na nieczułą zasłonę, kryjącą straszliwą tajemnicę, której nie miał odgadnąć.

Powoli, ociężale, jak gdyby ołów miał u nóg, ruszył ku drzwiom. Omackiem sięgnął klamki. Stał tak długą chwilę, wreszcie nagłym ruchem wyprostował swą olbrzymią postać, odrzucił w tył potężne ramiona, wysoko wznosił nieustraszoną głowę, rozwarł drzwi i przekroczył próg pokoju, który był dlań skarbcem najdroższych wspomnień. Żaden rys jego surowej twarzy nie drgnął, gdy

przeszedł przez pokój i zatrzymał się przy łożu, na którym twarzą na dół leżała drobna, nieruchoma postać: cichy, milczący przedmiot, tak niedawno drgający życiem, młodością i miłością.

Ani jedna łza nie zamroczyła oczu człowieka-małpy; tylko Bóg, stwórca jego, czytał myśli tego półdzikiego mózgu.

Długo stał, patrząc na martwe ciało, zwęglone do niepoznania, po czym nachylił się i ujął je w ramiona. Gdy odwrócił zmarłą twarzą do góry i ujrzał, jak straszliwą śmiercią zginęła, poczuł niezmierną otchłań rozpacz, przerażenia i nienawiści.

Zbyteczne było świadectwo połamanego karabinu niemieckiego, leżącego w przedpokoju, lub podartej, krwią splamionej czapki wojskowej na podłodze, aby zrozumieć, kto był sprawcą tej potwornej i bezcelowej zbrodni.

Przez chwilę łudził się, że zwęglony trup nie był trupem jego żony, lecz gdy oczy jego dostrzegły i rozpoznały pierścienie na palcach, zagasł ostatni, słaby promyk nadziei.

W milczeniu, z miłością i czcią, pogrzebał w ogródku różanym to, co było dumą i miłością Johna Clayтона, biedną, zwęgloną postać, a obok niej pochował czarnych wojowników, którzy tak ofiarnie oddali życie w obronie swej pani.

Poza domem znalazł Tarzan świeże mogiły, które poświadczyły identyczność sprawców tych okrucieństw, popełnionych podczas jego nieobecności. Odgrzebał trupy dwunastu niemieckich askarysów i na ich mundurach odszukał odznaki kompanii i pułku, do których należeli. To wystarczyło dla człowieka-małpy. Biali oficerowie dowodzili tymi ludźmi, nietrudno będzie odkryć, kim oni byli.

Wróciwszy do ogródka, stanął pomiędzy wandalsko podeptanymi kwiatami i krzewami nad grobem swej zmarłej - ze spuszczoną głową, milcząc zegnał ją na wieki.

Gdy słońce zaczęło zapadać poza wznoszącymi się na zachód lasami, z wolna wyruszył za wciąż jeszcze wyraźnym śladem kapitana Fritza Schneidera i jego krwią splamionej kompanii.

Cierpienie jego było nieme, lecz niemniej przygniatające. Z początku wielka rozpacz zaciemniła wszystkie jego zdolności myślenia - mózg jego był przytłoczony nieszczęściem do takiego stopnia, że reagował tylko na obiektywny podszept: ona nie żyje! ona nie żyje! ona nie żyje! Zdanie to niezmordowanie waliło go po głowie tępym, pulsującym bólem, lecz nogi jego machinalnie podążały za śladem mordercy, gdy tymczasem podświadomie zmysły jego czujnie baczyły na zawsze obecne niebezpieczeństwo dżungli.

Stopniowo wielka rozpacz wyłoniła inne uczucie, tak realne, tak uchwytnie, że wydawało się towarzyszem, stającym u jego boku. Była to Nienawiść, a przyniosła mu wielkie ukojenie i pociechę, gdyż była to nienawiść wzniosła, która go uszlachetniła, tak jak uszlachetniła nieprzeliczone tysiące ludzi - nienawiść do Niemiec i do Niemców. Oczywiście - ześrodkowała się na zabójcy jego żony, lecz ogarniała wszystko, co niemieckie - żywe czy martwe. Gdy myśl ta umocniła się w nim, zatrzymał się i, wznosząc oblicze ku Goro-księżycowi, przeklął z wyciągniętym ramieniem sprawców ohydnej zbrodni, spełnionej w cichym niegdyś bungalowie; przeklął ich ojców, ich dzieci i cały ich rodzaj, w milczeniu poprzysięgając walczyć z nimi niezmordowanie aż do ostatniego tchu.

Bezpośrednio potem przyszło uczucie zadowolenia, gdyż - jeśli dotychczas przyszłość jego w najlepszym razie wydawała się pustką - teraz zapełniła się możliwościami, których rozważanie przyniosło mu, jeśli nie radość, to przynajmniej ulgę w cierpieniu; miał przed sobą wielkie zadanie, które zapełni mu życie. Wyzwolony nie tylko ze wszystkich zewnętrznych symbolów cywilizacji,

Tarzan powrócił również umysłowo i moralnie do stanu dzikiego zwierzęcia. Cywilizacja była tylko pokostem, który przyjął ze względu na swą ukochaną, gdyż zdawało mu się, że ją tym uszczęśliwiał. W rzeczywistości zewnętrzne oznaki tak zwanej kultury miał zawsze w najgłębszej pogardzie. Cywilizacja w pojęciu Tarzana było to ukrócenie swobody we wszelkich jej przejawach - swobody czynu, swobody myśli, swobody miłości, swobody nienawiści. Odzieży nienawidził - niewygodne, obrzydliwe, krępujące szmaty, przypominające mu więzy, które zmuszały go do prowadzenia życia, jakie wiodły nieszczęsne istoty w Paryżu i Londynie. Odzież była emblematem hipokryzji, narzuconej przez cywilizację, przypuszczeniem, że noszący ją wstydzą się tego, co ta odzież kryje - kształtów ludzkich, na podobieństwo boże stworzonych. Tarzan wiedział, jak śmiesznie i smutno wyglądały w odzieży niższe twory, gdyż widywał nieszczęsne stworzenia tak przebrane na różnych wystawach europejskich; wiedział też, jak śmiesznie i smutno wygląda w odzieży człowiek, gdyż jedyni ludzie, jakich znał w ciągu pierwszych dwudziestu lat swego życia, byli, jak on, nady. Człowiek-małpa żywił szczery podziw dla dobrze zbudowanego ciała, czy to lwa, czy antylopy, czy człowieka, i nigdy nie mógł zrozumieć, jak można uważać ubranie za coś piękniejszego od mocnej, połyskliwej, zdrowej skóry, jak spodnie i marynarka mogą mieć więcej wdzięku od pięknych łuków zaokrąglonych mięśni, grających pod sprężystą skórą.

W cywilizacji znalazł Tarzan chciwość, samolubstwo, okrucieństwo w wyższym znacznie stopniu niż w swej ojczystej dżungli. I mimo, że cywilizacja dała mu towarzyszkę życia i licznych przyjaciół, których kochał i podziwiał, nie wchłonął jej tak jak my, którzy nic lub prawie nic poza nią nie znaleźliśmy; toteż z uczuciem ulgi odepchnął ją i wszystkie jej wytwory i powrócił do dżungli, do swej przepaski i swego uzbrojenia.

Myśliwski nóż umocował u lewego biodra, łuk i kołczan ze strzałami przewiesił przez plecy, wokoło piersi zaś poprzez jedno ramię okręcił długi sznur z trawy, bez którego czułby się tak obnażonym jak my w bieliźnie. Ciężka włócznia wojenna, na długim rzemieniu zwisająca z karku na plecy, dopełniała jego stroju i uzbrojenia. Brakowało tylko wysadzanego brylantami medalionu z portretami jego rodziców, który zawsze nosił, dopóki nie podarował go w dowód największego przywiązania Janinie przed ich ślubem. Odtąd ona nosiła go stale, lecz na trupie jej nie było tego klejnotu; toteż odnalezienie ukradzionego medalionu było jednym z celów Tarzana.

Około północy Tarzan odczuł zmęczenie fizyczne i zdał sobie sprawę z tego, że siły i takich, jak jego, mięśni mają granice. Jego pogoń za mordercami nie odznaczała się nadmiernym pośpiechem. Postanowił wziąć od Niemców więcej niż oko za oko, więcej niż ząb za ząb, lecz istotę czasu z lekka tylko brał w rachubę.

Tak zewnętrznie, jak wewnętrznie Tarzan stał się na powrót zwierzęciem; dla zwierząt czas, jako miara trwania, nie posiada żadnego znaczenia. Zwierzę interesuje się tylko tym, co jest teraz, a ponieważ zawsze jest teraz i zawsze będzie teraz, ma ono całą wieczność dla dokonania swych zamierzeń. Człowiek-małpa posiadał naturalnie trochę więcej zrozumienia granic czasu, lecz - podobnie jak zwierzęta - poruszał się z majestatyczną rozważą, o ile konieczność nie zmuszała go do szybkiego działania.

Odkąd życie swe poświęcił zemście, nienawiść a nie konieczność stała się jego przyrodzonym stanem. Toteż nie śpieszył się z pogonią. Dlatego tylko nie odpoczął wcześniej, że nie czuł zmęczenia, gdyż umysł jego zajęty był myślami o cierpieniu i zemście; teraz jednak poczuł znużenie i zaczął szukać olbrzymiego drzewa, takiego, jakie niejednej nocy udzielało mu schronienia.

Ciemne chmury, szybko mknące po niebie, coraz to zasłaniały jasne oblicze Goro-księżycy i

ostrzegaly człowieka-malpe przed nadciagajaca burza. W glebi dzungli cienie chmur stwarzaly geste mroki, dajace sie prawie dotknac, mroki, w ktorych przerazal szmer liści i trzask gałęzi, a większą jeszcze grozę budziły okresy ciszy, wśród której najslabsza wyobraźnia mogłaby wyczarować skradających się drapieżników, gotowych do skoku. Tarzan jednak szedł obojętnie, chociaż zawsze czujny. Oto skoczył lekko na dolne gałęzie drzew, gdy zmysły ostrzegły go nagle, że Numa, czyhający na łup, leży wprost na jego drodze; to znów uskoczył na stronę, gdy Buto-nosorożec wytoczył się na wprost niego na wąski, głęboko wydeptany szlak, gdyż człowiek-małpa gotów do walki za najbliższym powodem, unikał niepotrzebnych zwad.

Gdy wzniósł się nareszcie na poszukiwane drzewo, księżyc zasłaniała ciężka chmura, a wierzchołki drzew chwiały się gwałtownie w podmuchu rosnącej wichury, zagłuszającej słabsze głosy dzungli. W górę piał się Tarzan ku krzepkiemu rozwidleniu.

Zrobiło się bardzo ciemno, ciemniej jeszcze niż poprzednio, gdyż całe niebo przysłoniły czarne chmury. Naraz człowiek-zwierzę zatrzymał się i rozdał nozdrza, węsząc dokoła. Z chyżością i zręcznością kota przerzucił się na odległą, chwiejącą się gałąź, skoczył w górę, uchwycił drugą gałąź, wciągnął się na nią i znowu przeskoczył na inną, wyżej położoną.

Co się stało, że nagle, zamiast spokojnie wspinać się po olbrzymim pniu, szybko i przezornie zawrócił pomiędzy gałęzie?

My niczego byśmy tam nie ujrzeli, lecz usłyszelibyśmy złowróżbny pomruk, a w chwilę później, ponieważ księżyc na chwilę ukazał się spoza chmur, ujrzelibyśmy legowisko, a na nim rozciągniętą ciemną masę, w której, gdy już nasze oczy przywykłyby do ciemności, rozróżnilibyśmy kształty Szity-pantery.

Na pomruk koci odpowiedział człowiek-małpa cichym i równie okrutnym pomrukiem, pomrukiem ostrzeżenia, pouczającym panterę, że zajęła cudze legowisko. Ale Szita nie była w nastroju ustępliwym warcząc groźnie, patrzyła na ciemnoskórego Tarmangani, stojącego ponad nią. Bardzo powoli człowiek-małpa ruszył po zewnętrznej stronie gałęzi, aż stanął wprost nad panterą. Trzymał w ręce nóż myśliwski swego dawno zmarłego ojca - oręż, który niegdyś dał mu po raz pierwszy prawdziwą przewagę nad mieszkańcami puszczy. Spodziewał się jednak, że nie będzie zmuszony do użycia go, wiedząc, że więcej bitew dzungli kończyło się na groźnych pomrukach niż na rzeczywistych walkach, gdyż w dzungli, jak wszędzie indziej, hołdowano prawu grubiaństwa, tylko sprawy miłości i żeru rozstrzygając kłami i szponami. Tarzan oparł się o pień i nachylił się nad panterą.

- Złodzieju legowisk! - zawołał.

Pantera, z wysuniętymi pazurami, usiadła o parę tylko stóp od warczącej twarzy człowieka-małpy.

Tarzan groźnie zawarczał i zamierzał się nożem na kota.

- Jam jest małpi Tarzan! - ryknął. - To Tarzana legowisko, odejdz lub zabiję cię.

Chociaż przemawiał w języku wielkich małp, wątpliwe jest, czy Szita go zrozumiała, wiedziała jednak, że bezwłosa małpa chce ją wykurzyć z jej obranego schronienia, z którego można było tak dogodnie czatować na wędrujące po nocy jadalne stworzenia.

Kot zerwał się błyskawicznie i wymierzył swemu dręczycielowi zdrażliwy cios wielkimi szponami, które z łatwością mogły być rozerwać twarz człowieka-małpy, gdyby uderzenie trafiło w cel, lecz nie trafiło, bo Tarzan był jeszcze zwinniejszy niż Szita. Gdy pantera stanęła na czworakach, Tarzan zaczął posługiwać się swą ciężką włócznią, a Szita odparowywała ciosy i tak trwał ohydny

duet mrożących krew w żyłach ryków i skowytów.

Doprowadzony do wściekłości kot postanowił osiągnąć zakłócającego spokój człowieka, lecz - ilekroć próbował skoczyć na gałąź podtrzymującą Tarzana - ostra włócznia kłuła zwierzę po pysku, gdy zaś cofał się w tył, łechtala je w miękkie miejsca. Wreszcie szaleństwo odebrało panterze zdolność obliczeń, skoczyła na pień, ku gałęzi, na której stał Tarzan. Teraz patrzyli na siebie z równego poziomu, a Szita przewidywała rychłą zemstę i wieczerzę zarazem. Bezwłosa małpa o cienkich pazurach i drobnych kłach będzie wobec niej bezsilna.

Mocna gałąź ugięła się pod ciężarem dwojga zwierząt, gdy Szita ostrożnie na nią wstąpiła, a Tarzan cofał się mruczając. Wiatr wzrósł do rozmiarów takiej wichury, że nawet najwyższe olbrzymie drzewa dzungli jęcząc, chwiały się pod jego podmuchem, a gałąź, na której ci dwoje stali, unosiła się i opadała, jak pokład na burzę miotany okręcie. Góra była całkiem zasłonięta, lecz częste błyskawice oświetlały puszcę, ukazując ten dziki obraz pierwotnych namiętności na chwiejącej się gałęzi.

Tarzan cofał się, odciągając panterę coraz dalej od pnia ku końcowi gałęzi, gdzie podpora stawała się bardziej niepewna. Kot oszalały z bólu od ran, zadawanych włócznią, zapominał o ostrożności. Już dosięgał punktu, gdzie z trudnością mógł się utrzymać - na tę właśnie chwilę czekał Tarzan, by natrzeć. Z rykiem, zmieszany z hukami grzmotów, skoczył ku panterze, która mogła walczyć jedną tylko łapą, gdyż pozostałymi musiała trzymać się gałęzi; lecz człowiek-małpa nie zbliżył się na odległość tej niebezpiecznej łapy. Przeciwnie, wskoczył wyżej, zagrażając pazurom i szponom, i zrobiwszy szybki obrót w powietrzu, znalazł się na zadzie kota i błyskawicznie zatopił nóż w płowym boku. Wówczas Szita z bólu, wściekłości i nienawiści oszalała. Wyjąc i drapiąc pazurami, próbowała obrócić się do twarzy człowieka-małpy. Skoczyła na krawędź gałęzi, chwyciła ją w zapamiętaniu, chcąc się ratować, i runęła na dół w ciemności wraz z przywartym do niej Tarzanem. Spadli z łopotem potrzaskanych gałęzi. Ani na chwilę nie zwolnił człowiek-małpa swego śmiertelnego uścisku. Wkroczył był na szlak wojenny i zgodnie z niepisanym prawem puszczy - jedno z nich lub oboje musieli zginąć, nim walka dobiegnie do końca.

Szita, jako kot, spadła na cztery łapy, lecz ciężar człowieka-małpy przygniótł ją do ziemi, a długi nóż zatopił się w jej boku. Raz jeszcze pantera spróbowała dźwignąć się, lecz po to tylko, by znów paść na ziemię. Tarzan poczuł jak mięśnie olbrzyma słabną. Pantera nie żyła. Dźwignąwszy się z ziemi, człowiek-małpa postawił nogę na ciele zwyciężonego wroga, podniósł głowę ku niebu, rozbrzmiewającemu piorunami, a gdy zajaśniały błyskawice i lunęły potoki deszczu, wydał dziki, zwycięski okrzyk wielkich małp.

Dopiąwszy celu i wyrugowawszy nieprzyjaciela ze swego legowiska, Tarzan zebrał naręcze wielkich liści paproci i wdrapał się na mokre posłanie. Ułożywszy część liści na żerdziach, położył się, przykrył się pozostałymi i, nie zważając na jęk wichury i huk grzmotów, natychmiast zasnął.

ROZDZIAŁ II

JASKINIA LWA

Deszcz padał przez całe dwie doby, przeważnie lał strumieniami; toteż gdy ustał, ślad morderców był zupełnie zatarty. Zziębnięty i zły przedzierał się Tarzan przez labirynt nasycony wilgocią dżungli. Manu, małpa, drżąca i krzycząca na mokrym drzewie, nawymyślała mu i uciekła. Pantery i lwy mijały warczącego Tarzana, nie zaczepiając go.

Gdy nazajutrz zaświeciło słońce, a szeroka, otwarta równina pozwoliła Kudu obalić żarem zziębnięte, brązowe ciało, poprawił się humor Tarzana, wciąż jednak posępny i nachmurzony, wytrwale dążył na południe, gdzie spodziewał się odnaleźć trop Niemców. Był teraz w niemieckiej Afryce Zachodniej i zamierzał przedrzeć się przez zachodnią część gór Kilimandżaro, omijając ich chropowate szczyty i opuścić się następnie na wschód, wzdłuż południowej strony łańcucha ku torowi kolejowemu, wiodącemu do Tanga; doświadczenie nabyte wśród ludzi, mówiło mu, że - wedle wszelkiego prawdopodobieństwa - niemieckie wojska dążyły do linii kolejowej.

Po upływie kilku dni, gdy znajdował się na południowym zboczu Kilimandżaro, usłyszał huk dział od strony wschodniej.

Popołudnie było posępne i zachmurzone, a teraz wielkie, rzadkie krople zaczęły padać na jego nagie ramiona. Tarzan potrząsnął głową i wydał pomruk niezadowolenia, po czym zaczął rozglądać się za jakąś kryjówką, gdy dosyć już miał zimna i moknięcia. Pragnął pośpieszyć w kierunku skąd dochodziło huczenie armat, wiedział bowiem, że tam walczą Niemcy z Anglikami. Na krótką chwilę serce jego wstrząsnęła дума na myśl, że był Anglikiem, zaraz jednak potrząsnął krnąbrnie głową. „Nie - szepnął - małpi Tarzan nie jest Anglikiem, bo Anglicy są ludźmi, Tarzan zaś jest Tarmangani” - a jednak ani jego zgryzota, ani ponura nienawiść do ludzi w ogóle nie mogły przeszkodzić, by serce nie zabiło mu mocniej na myśl, że to Anglicy walczą z Niemcami. Żałował tylko, że Anglicy byli ludźmi a nie wielkimi małpami, do jakich siebie zaliczał.

„Jutro - pomyślał - pójdę tam i odnajdę Niemców”, po czym zabrał się niezwłocznie do poszukania schronienia przed deszczem. Spostrzegł niskie i ciasne wejście do czegoś, co wydawało się jaskinią u stóp urwiska z północnej strony wąwozu.

Z wyciągniętym nożem zbliżył się ostrożnie do tego miejsca, wiedział bowiem, że jeśli to była jaskinia, to niezawodnie była legowiskiem jakiegoś zwierzęcia. Przed wejściem leżały liczne odłamy skał różnej wielkości, także same złomy rozsypane były wzdłuż całej podstawy urwiska. Tarzanowi przyszło na myśl, że, jeśli jaskinia okaże się niezajęta, będzie mógł zabarykadować wejście i zapewnić sobie niezmacony nocleg. Niechaj na zewnątrz szaleje burza - Tarzan przeczekają wygodnie i spokojnie. Z otworu wytryskał cienki strumyczek zimnej wody.

Tarzan ukląkł i obwąchał ziemię. Wyrwał mu się cichy pomruk, a górna warga odsłoniła

wojownicze kły. „Numa” szepnęła, lecz nie zatrzymał się. Może Numa nie ma w domu - trzeba to zbadać. Wejście było tak niskie, że człowiek-małpa tylko na czworakach mógł wetknąć głowę w otwór, przedtem jednak popatrzył, posłuchał i powęszył we wszystkich kierunkach - nie chciał wpaść w zasadzkę.

Rzuciwszy okiem do środka jaskini, spostrzegł wąski tunel, rozjaśniony w najodleglejszym kącie światłem dziennym. Wnętrze nie było tak ciemne, aby człowiek-małpa nie mógł z łatwością przekonać się, że chwilowo nie było przez nikogo zajęte. Ostrożnie posuwając się naprzód, przypełzał do przeciwległego końca, zdając sobie dokładnie sprawę, co by się stało, gdyby Numa wszedł nagle do tunelu. Lecz Numa się nie zjawił i człowiek-małpa doczołgał się wreszcie do miejsca, w którym mógł stanąć.

Znalazł się w skalistej rozpadlinie, której gładkie ściany wznosiły się prostopadle ze wszystkich stron. Tunel przechodził od wąwozu poprzez skałę i tworzył korytarz, wiodący ze świata zewnętrznego do szerokiego zagłębienia, raczej kotliny doskonale odgradzonej stromymi ścianami. Prócz wąskiego korytarza od strony wąwozu, nie było żadnego innego wejścia do tej kotliny, która miała około stu stóp długości i około pięćdziesięciu szerokości; prawdopodobnie woda, przez wieki całe pracując, wyłobiła ją w skalnym urwisku. Ze szczytu wiecznym śniegiem pokrytych gór Kilimandżaro, po krawędzi skalistej ściany, wciąż sączył się cienki strumień wody i tworzył mały stawek u stóp urwiska, skąd wąską strugą wił się w dół do tunelu, przepływając przezeń do wąwozu. Wielkie, samotne drzewo stało na środku kotliny, a pęki sztywnej trawy wyrastały na żwirze pokrytej ziemi.

Leżały tam kości wielkich zwierząt, wśród nich dużo czaszek ludzkich. Tarzan zmarszczył brwi. „Pożeracz ludzi - mruknął - i zdaje się długo tu dzierżył władzę. Lecz dziś Tarzan zajmie jego legowisko, a Numa niechaj sobie ryczy na dworze”.

Człowiek-małpa dokładnie zbadał wnętrze kotliny i - zbliżywszy się do drzewa - stwierdził z zadowoleniem, że tunel da mu suchy i spokojny nocleg. Zawrócił ku wejściu, aby je zatarasować kamieniami przed powrotem Numa; wraz jednak z tą myślą do uszu jego doszło coś, co zamieniło go w nieruchomy posąg, z oczami utkwionymi w otwór. W chwilę później ujrzał łeb wielkiego lwa, ozdobiony wspaniałą, czarną grzywą. Okrągłe, żółtozielone ślepia wlepione były w intruza, z szerokiej piersi wydobywał się groźny pomruk, a odsłonięte wargi ukazywały potężne kły.

- Bracie hieny - Dango! - zawołał Tarzan, rozgniewany przedwczesnym przybyciem Numa, udaremniającym jego widoki na wygodny spoczynek. - Jam jest małpi Tarzan. Pan dżungli. Na dziś to moje legowisko - odejdz.

Lecz Numa nie posłuchał rozkazu. Przeciwnie, zaryczał groźnie i postąpił kilka kroków ku Tarzanowi. Człowiek podniósł kamień i cisnął w warczącą paszczę. Lwy są nieobliczalne. Mogło się zdarzyć, że ten właśnie ucieknie - nieraz miewał Tarzan takie zdarzenie. Lecz nie - pocisk trafił w wargę, wrażliwą część kociego ciała, i zamiast skłonić go do ucieczki, zamienił w rozjuszoną, gniewną bestię siejącą wokół siebie zniszczenie.

Numa wysoko zadarł ogon i, przeraźliwie rycząc, ruszył błyskawicznie ku Tarzanowi z szybkością pociągu. Tarzan zaledwie zdążył dopaść drzewa. Wspiał się na jego konary i stamtąd zaczął obrzucać obelgami króla zwierząt; Numa krążył wokoło drzewa, pomrukując i rycząc z wściekłością.

Lunał deszcz, powiększając niewygodę i rozczarowanie człowieka-małpy. Gniewny był bardzo, lecz ponieważ tylko nieunikniona konieczność skłaniała go zazwyczaj do podejmowania walki z

lwem, wiedział bowiem, że potężnym mięśniom, kłom i pazurom mógł przeciwstawić tylko swą zwinność i los szczęścia, przeto nie decydował się zejść i spróbować nierównego pojedynku dla tak błahego celu, jak zdobycie wygodnego leża. Siedział więc na drzewie, gdy tymczasem deszcz padał uporczywie, a lew krążył i krążył, rzucając ponure wejrzenia.

Tarzan rozważał, czy strome ściany nie dadzą mu ratunku. Widok ich zniechęciłby do takiej myśli zwykłego człowieka, ale człowiek-małpa, nawykły do wspinania się, dojrzał liczne miejsca, na których, z zachowaniem wielkiej ostrożności, mógłby wymacać oparcie dla nóg dostateczne, by znaleźć możliwość ucieczki. Byle tylko Numa zechciał oddalić się na krótką chwilę. Numa jednak, nie zważając na deszcz, nie zdradzał chęci opuszczenia swego stanowiska, aż wreszcie Tarzan poważnie zaczął się zastanawiać, czy nie lepiej by było spróbować walki, zamiast ziębnąć i moknąć w upokorzeniu.

Właśnie gdy nad tym rozmyślał, Numa nagle się odwrócił i majestatycznie, nie oglądając się poza siebie, ruszył ku tunelowi. Zaledwie znikł, Tarzan lekko zeskoczył na ziemię i z najwyższym pośpiechem pobiegł ku skale. Lew nie zdążył jeszcze dojść do tunelu; niezwłocznie zawrócił i pędząc jak strzała, pomknął za uciekającym człowiekiem-małpą. Ale Tarzan wyprzedził go znacznie; jeśli tylko zdoła zaczepić się palcem lub nogą na stromej ścianie, będzie ocalony. Gdyby jednakże ześlizgnął się z wilgotnych kamieni, los jego byłby przypieczętowany, gdyż wpadłby wprost w szpony Numy.

Ze zwinnością kota wspinał się Tarzan po skale i dopiero wzniosłszy się na jakieś trzydzieści stóp, gdy znalazł mocne oparcie, zatrzymał się i spojrzał w dół, na Numę, który podskakiwał, bezskutecznie usiłując wdrzeć się na skalistą ścianę. Udawało mu się wdrapać na jakieś piętnaście lub dwadzieścia stóp, po to tylko, by zesunąć się bezsilnie na dół. Tarzan popatrzył na niego przez chwilę, po czym powoli i ostrożnie zaczął posuwać się ku szczytowi. Nieraz trudno mu było utrzymać się, lecz nareszcie wciągnął się na krawędź, stanął, podjął bryłę skruszonej skały, cisnął ją w Numę i posuwicie ruszył w dalszą drogę.

Zejście do wąwozu było łatwe, zamierzał też wędrować nadal w kierunku wciąż huczących armat, gdy nagle nowa myśl kazała mu stanąć, a lekki uśmiech pojawił się na jego ustach. Zawróciwszy, pospieszył do wewnętrznego otworu tunelu. Znalazłszy się przy nim, chwilę nasłuchiwał, po czym szybko zaczął zbierać wielkie złomy kamienia i układać je przy wejściu. Już był prawie zamknął otwór, gdy lew ukazał się wewnątrz - dziki, okrutny lew, pazurami czepiający się skał i wydobywający grzmiące ryki, od których ziemia się trzęsła. Lecz dźwięki te nie przerażały małpiego Tarzana. W niemowlęctwie, przy kosmatej piersi Kali, podczas niezliczonych nocy dzikie chóry podobnych głosów kołysały go do snu. Rzadką była noc lub dzień w czasie jego życia w dżungli - by nie słyszał ryku głodnych, gniewnych lub miłości spragnionych lwów. Odgłosy te robiły na nim wrażenie, jak na nas dźwięki trąbki automobilowej: gdy jesteśmy na wprost automobilu, trąbka ostrzega nas, byśmy usunęli się z drogi, gdy zaś jesteśmy w bezpiecznym miejscu, nie zwracamy na nią uwagi. Tarzan nie znajdował się teraz na wprost automobilu - Numa nie mógł go dosięgnąć, o czym Tarzan wiedział. Spokojnie więc zamuroвывał wejście dopóty, dopóki nie upewnił się, że Numa nie zdoła wydobyć się z zamknięcia. Gdy skończył robotę, wykrzywił się do schowanego za przegrodą lwa i poszedł drogą na wschód. „Pożeracz ludzi nie będzie ich więcej pożerał”, mruknął.

Tę noc spędził Tarzan pod wystającym gzymsem skały. Rankiem ruszył w dalszą drogę, zatrzymując się tylko dla zapolowania i zaspokojenia głodu. Dzikie zwierzęta, po najedzeniu się,

mają zwyczaj spać, lecz Tarzan nie pozwalał, by żołądek przeszkadzał jego planom. W tym właśnie tkwiła jedna z największych różnic między człowiekiem-małpą, a innymi mieszkańcami puszczy. Z oddali strzały to grzmiały donośnie, to cichły. Zauważył, że najgłośniejsze były o świcie i o zmroku i że nocą milkły zupełnie.

Po południu następnego dnia napotkał wojska, dążące na front. Były to widocznie oddziały łupieżcze, gdyż prowadziły kozy i krowy, a krajowi tragarze obładowani byli ziarnem i inną żywnością. Widział, że krajowcy ci zakuci byli w kajdany, widział też, że wojsko składało się z czarnych żołnierzy w niemieckich mundurach. Oficerowie byli biali. Nikt nie spostrzegł Tarzana, chociaż kręcił się wśród nich dwie godziny. Obejrzał odznaki na ich mundurach i przekonał się, że były inne niż te, które nosili żołnierze zabici w bungalowie, po czym skrył się w gąszczu.

Natrafił na Niemców i nie zabił ich, a to dlatego, że zabijanie Niemców w ogóle nie było jeszcze głównym celem jego życia - obecnie chodziło o znalezienie zabójcy swej żony. Gdy się z nim porachuje, zabierze się do mordowania wszystkich Niemców, którzy staną na jego drodze, spodziewał się zaś, że wielu ich napotka, gdyż zamierzał polować na nich, jak zawodowy strzelec poluje na pożeraczy ludzi.

W miarę jak zbliżał się do linii frontu, wojska stawały się liczniejsze. Widział zapasowe koła motorowe i jarzma na woły, i różne przybory małej armii, i rannych idących lub niesionych na tyły. Minał niezbyt odległy tor kolejowy i wywnioskował, że tam właśnie wiodą rannych, aby ich wysłać do głównego szpitala, może aż do Tanga na wybrzeżu.

Szaro już było, gdy zbliżył się do obozu ukrytego u podnóży gór Parę. Szańce słabo były strzeżone, warta nie czuwała bacznie, z łatwością więc po zapadnięciu mroku wszedł do obozu i zaczął się włóczyć, nasłuchując u namiotów, szukając jakiejś nici przewodniej, która by go doprowadziła do zabójcy jego żony.

Gdy zatrzymał się obok namiotu, przed którym siedziała gromadka żołnierzy tubylców, usłyszał kilka słów, wypowiedzianych w narzeczu krajowym, które przykuły jego uwagę: „Wazirowie walczyli jak szatany, ale my jesteśmy lepszymi wojownikami i wszystkich pozabijaliśmy. Gdy już tego dokonaliśmy, wszedł kapitan i zabił kobietę. Stał cały czas na dworze i tylko krzyczał przeraźliwie, dopóki wszyscy mężczyźni nie zostali zabici. Podporucznik von Goss jest odważniejszy - wszedł do środka i stał przy drzwiach, także bardzo głośno krzycząc na nas, i kazał nam jednego Waziri, który był ranny, przygwoździć do ściany, a potem śmiał się głośno, bo ten człowiek bardzo się męczył. Wszyscy śmieliśmy się, to było bardzo zabawne”.

Jak drapieżne zwierzę, dzikie i straszliwe, Tarzan przykucnął w cieniu namiotu. Jakie myśli chodziły po tej dzikiej głowie? Któż to wie? Piękna jego twarz nie zdradzała żadnego wzruszenia, tylko zimne, szare oczy wyrażały natężoną uwagę. Żołnierz, który pierwszy zaczął mówić, wstał i pożegnawszy kompanów, oddalił się. Minał człowieka-małpę w odległości jakichś czterdziestu stóp i zmierzał ku szanom. Tarzan ruszył za nim i w cieniu gęstych krzaków pochwycił swa zdobycz. Ofiara nie wydała żadnego głosu, gdy Tarzan skoczył jej na plecy i przytłoczył do ziemi, gdyż jednocześnie stalowe palce zacisnęły się wokoło jej szyi. Tarzan przyciągnął swój łup w głąb krzaków.

- Milcz! - ostrzegł żołnierza w języku jego plemienia zwalniając uścisk.

Człowiek głęboko odetchnął, podnosząc przerażone oczy w górę, aby przekonać się, w czyjej był mocy. W mroku dojrzał tylko nagie, brązowe ciało, pochylone nad sobą, pamiętał jednak straszliwą siłę potężnych mięśni, które zatamowały mu oddech i zawlokły go w krzaki, jak gdyby był małym

dzieckiem. Jeśli jakakolwiek myśl o oporze zabłysła w jego głowie, widocznie odpędził ją, gdyż nie usiłował wcale uciekać.

- Jak się nazywa oficer, który zabił kobietę w bungalowie, gdzie walczyliście z Wazirami? - zapytał Tarzan.

- Kapitan Schneider - odrzekł czarny.

- Gdzie on jest? - zapytał człowiek-małpa.

- Jest tutaj. Prawdopodobnie w kwaterze głównej. Wielu oficerów chodzi tam wieczorem po rozkazy.

- Prowadź mnie tam! - rozkazał Tarzan, a jeśli mnie spostrzeżę, niezwłocznie cię zabiję. Ruszaj!

Czarny podniósł się i poprowadził okrężną drogą, poprzez obóz. Nieraz musieli kryć się, gdy przechodzili żołnierze; wreszcie doszli do wielkiego stogu siana i zza węgła czarny wskazał dwupiętrowy dom, stojący w niewielkiej odległości.

- Kwatera główna - rzekł. - Nie możesz iść dalej, tam kręci się dużo żołnierzy.

Tarzan zrozumiał, że w towarzystwie czarnego nie może posuwać się dalej. Odwrócił się i popatrzył na żołnierza, jak gdyby rozważając, co z nim zrobić.

- Pomogłeś ukrzyżować Wasimbu z plemienia Waziri - oskarżył cichym, przerażającym głosem.

Czarny zadrżał, kolana zgięły się pod nim.

- Kazał nam to zrobić - bronił się.

- Kto kazał? - zapytał Tarzan.

- Podporucznik von Goss - odrzekł żołnierz. - On jest tu także.

- Znajdę go - odpowiedział ponuro Tarzan. - Pomogłeś ukrzyżować Wasimbu i śmiałeś się z jego męczarni.

Żołnierz zachwiał się. W oskarżeniu wyczytał swój wyrok.

Bez słowa Tarzan pochwycił go znowu za kark. Jak przedtem, nie było żadnego okrzyku. Napreżyły się potężne mięśnie, ramiona szybko wzniosły się w górę i ciało czarnego żołnierza, który pomagał w ukrzyżowaniu Wasimbu z plemienia Waziri, zakreśliło w powietrzu łuk - jeden, dwa, trzy razy, po czym upadło na ziemię, a człowiek-małpa poszedł w kierunku głównej kwatery generała Krauta.

Jeden tylko wartownik strzegł budynku. Tarzan czołgał się na brzuchu, kryjąc się, jak tylko drapieżnik z dżungli potrafi. Gdy oczy żołnierza zwracały się w jego stronę, Tarzan przywierał do ziemi w kamiennym bezruchu, gdy zaś odwracał się - szybko podążał naprzód. Wreszcie zbliżył się na odległość skoku. Zaczekał, aż człowiek znowu się odwróci, podniósł się i bez szelestu skoczył ku niemu. I znowu żaden głos się nie rozległ, gdy poniósł ze sobą martwe ciało w stronę budynku.

Dolne piętro było oświetlone, na górnym było ciemno. Przez okno zobaczył Tarzan duży frontowy pokój i obok drugi, mniejszy. W pierwszym było wielu oficerów. Jedni chodzili rozmawiając, inni pisali przy stołach polowych. Okna były otwarte i Tarzan mógł słyszeć rozmowy, lecz nie zajmowały go. Mówiono przeważnie o niemieckich powodzeniach w Afryce i rozważano, kiedy niemiecka armia w Europie zdoła wkroczyć do Paryża. Niektórzy utrzymywali, że kajzer już tam jest niewątpliwie; bardzo też potępiano Belgię.

W mniejszym pokoju wysoki człowiek, z czerwoną twarzą, siedział za stołem. Kilku innych oficerów siedziało trochę w tyle, dwu zaś stało na baczność przed generałem, który zadawał im pytania. Mówiąc generał bawił się olejną lampką, która stała przed nim na stole. Dało się słyszeć pukanie do drzwi i wszedł adiutant. Skłonił się i zameldował: „Fräulein Kirchner przybyła, panie

generale”. „Niech wejdzie”, rozkazał generał i dał znak dwu stojącym przed nim oficerom, by odeszli.

Fräulein, wchodząc, minęła ich we drzwiach. Oficerowie w małym pokoju wstali i skłonili się, Fräulein odpowiedziała skinieniem i uśmiechem. Była to bardzo ładna dziewczyna. Nawet gruba, zbrukana odzież i kurzawa, zaskorupiałe na jej twarzy, nie zdołały tego ukryć. Młoda była - mogła mieć najwyżej dziewiętnaście lat.

Podeszła do stołu, za którym siedział generał i wyjąwszy z wewnętrznej kieszeni płaszcza arkusz papieru, wręczyła go zwierzchnikowi.

- Niech pani siada - rzekł i jeden z oficerów przyniósł jej krzesło. Wszyscy milczeli, gdy generał odczytywał treść arkusza.

Tarzan oglądał ludzi, zebranych w pokoju. Chciał wiedzieć, czy był tam kapitan Schneider, gdyż widział dwu kapitanów. Dziewczyna niewątpliwie należała do wydziału wywiadowczego - była szpiegiem. Piękność jej nie znalazła w nim żadnego oddźwięku, bez cienia wyrzutów sumienia mógłby skrzywić ten ładny, młody kark. Była Niemką, to wystarczało. Miał jednak inne, ważniejsze zadanie przed sobą: szukał kapitana Schneidera.

Wreszcie generał spojrzął sponad papierów.

- Dobrze - powiedział do dziewczyny, po czym zwrócił się do jednego z adiutantów: „Posłać po majora Schneidera”.

Major Schneider! Tarzan poczuł, jak włosy jeżą mu się na głowie. Łotr, który zamordował jego żonę, już zaawansował - niewątpliwie w nagrodę za tę właśnie zbrodnię!

Po wyjściu adiutanta zaczęła się ogólna rozmowa, z której Tarzan dowiedział się, że niemieckie wschodnio-afrykańskie siły znacznie przewyższały liczebnie siły angielskie i że te ostatnie mocno ucierpiały. Człowiek-małpa stał w gąszczu krzewów ukryty w ten sposób, że mógł badać wnętrze pokoju, nie będąc stamtąd widziany, a jednocześnie był zasłonięty przed kimkolwiek, kto by przypadkowo zaszedł na stanowisko zabitego wartownika. Oczekiwał co chwila nadejścia patrolu albo zmiany warty i wiedział, że wkrótce wyda się nieobecność żołnierza, po czym rozpoczną się bezzwłoczne i staranne poszukiwania.

Niecierpliwie oczekiwał nadejścia człowieka, którego tropił, i w końcu spotkała go nagroda: wrócił adiutant w towarzystwie oficera średniego wzrostu z zuchwałymi, do góry sterczącymi wąsami. Nowo przybyły wszedł posuwistym krokiem, zatrzymał się i oddał honory. Generał odsalutował i zwrócił się do dziewczyny.

- Panno Kirchner - rzekł - proszę pozwolić przedstawić sobie majora Schneidera.

Tarzan nie czekał dalej. Oparłszy dłoń o występ okna, wskoczył do pokoju w sam środek zdumionego towarzystwa.

Jednym susem znalazł się przy stole, cisnął lampę w tłusty brzuch generała, który chcąc uchronić się od spalenia, cofnął się wstecz i razem z krzesłem zwałił się na podłogę. Dwaj adiutanci skoczyli ku człowiekowi-małpie, który schwycił pierwszego i cisnął go w twarz drugiemu. Dziewczyna wygramoliła się spod krzesła i przytuliła się do ściany. Inni oficerowie głośno wołali pomocy. Lecz Tarzan miał na celu jednego tylko osobnika i nie tracił go z oczu. Oswobodzony na chwilę od napastników, pochwycił majora Schneidera, przerzucił go sobie przez ramię i tak szybko wymknął się oknem, że zdumione zgromadzenie nie umiało zdać sobie sprawy z tego, co zaszło.

Tarzan jednym rzutem oka dostrzegł, że stanowisko wartownika wciąż jest puste i w chwilę później znalazł się wraz ze swym ciężarem w cieniu stogu siana. Major Schneider nie wydał

dotychczas żadnego głosu z tej prostej przyczyny, że miał zatłkane gardło. Teraz Tarzan zwolnił uścisk o tyle, by człowiek mógł odetchnąć.

- Jeśli wydasz jakikolwiek dźwięk, znów cię przyduszę - rzekł.

Z niesłychaną ostrożnością minął Tarzan ostatnie straże. Zmuszając swego jeńca, by siedł przed nim, pospieszył na zachód i dopiero późną nocą, gdy przekroczył tor kolejowy, poczuł się zabezpieczony przed pogonią. Niemiec kłął, wymyślał, groził, zadawał pytania, lecz jedyną odpowiedzią były uderzenia ostrą włócznią. Człowiek-małpa poganiał go jak wieprza z tą różnicą, że dla wieprza miałby więcej szacunku, a więc i więcej względów.

Dotychczas Tarzan nie obmyślił szczegółów pomsty. Teraz rozważał, jaką postać ma przybrać kara. Jednego tylko był pewien - musiała to być śmierć.

Jak wszyscy odważni ludzie i zwierzęta, Tarzan nie miał upodobania w torturach, lecz tu był wypadek wyjątkowy. Wrodzone poczucie sprawiedliwości żądało oka za oko, zęba za ząb, a jego świeża przysięga więcej nawet. Tak, nikczemnik musi doznać takich samych cierpień, jakie zadał Janinie Clayton. Tarzan nie mógł oczekiwać, że zada łotrowi cierpienia takie, jakich sam doświadczył, gdyż ból fizyczny nie dorówna nigdy udrękom duchowym.

Przez całą długą noc człowiek-małpa pędził wycieńczonego i przerażonego Prusaka. Straszne milczenie prześladowcy rozstrajało nerwy Niemca. Gdyby chciał przemówić! Różnych sposobów używał Schneider, by choć słowo z niego wyciągnąć, ale wciąż z tym samym wynikiem: milczenie i bolesne uderzenia końcem włóczni. Schneider był pokrwawiony i obolały. Był tak wyczerpany, że chwiał się za każdym krokiem i często padał, ale nielitościwa włócznia stawiała go znów na nogi.

Rankiem dopiero powziął Tarzan postanowienie, jak gdyby natchnienie zstąpiło nań z góry. Lekki uśmiech zjawił się na jego ustach; natychmiast wyszukał miejsce, by położyć się i wypocząć - chciał, by więzień był przydatny do tego, co go czekało.

Opodal był strumień, który Tarzan minął poprzedniego dnia. Będzie to odpowiednie miejsce do ugaszenia pragnienia i do zapolowania. Gestem ostrzegając Niemca, by zachował się jak najciszej, zbliżył się z nim do strumienia. W dole, na tropie, ujrzał kilka jeleni, pijących wodę. Popchnął Schneidera w zarośla i przykucnął obok niego wyczekując. Niemiec spoglądał na milczącego olbrzyma zdumionymi, przerażonymi oczyma. W brzasku wschodzącego dnia po raz pierwszy mógł dobrze przyjrzeć się swemu dręczycielowi, a jeśli był już przedtem zdumiony i przerażony, niczym były te uczucia w porównaniu z tym, czego doznawał obecnie.

Kim lub czym mogła być ta naga, biała istota? Raz tylko usłyszał go mówiącego - gdy nakazał mu milczenie - było to powiedziane doskonałą niemczyzną i głosem człowieka kulturalnego. Patrzył na niego, jak zahipnotyzowana ropucha patrzy na węża, który ją za chwilę pożre. Widział członki pełne wdzięku i symetryczne ciało, nieruchome jak posąg marmurowy, gdy niepojęte stworzenie przyczało się w gąszczu liści: ani jeden mięsień, ani jeden nerw nie drgnął. Widział jelenie, nadchodzące z wiatrem i niczego nie podejrzewające. Widział, jak przeszedł kozioł, stary samiec, a potem drugi, młody i tłusty, wyszedł na wprost zaczajonego olbrzyma i oczy Schneidera szeroko się rozwarły, a z gardła jego wydarł się okrzyk przerażenia, gdy ujrzał, jak zwinne stworzenie skoczyło wprost na piersi młodego kozła i usłyszał jak ludzkie usta wydają ryk dzikiego zwierzęcia. Padł jeleń i Tarzan miał mięso dla siebie i dla jeńca. Człowiek-małpa zjadł je na surowo, Niemcowi jednak pozwolił rozpalic ogień i ugotować swoją porcję.

Leżeli obaj aż do późnego popołudnia, po czym na nowo puścili się w drogę, Schneider przerażony tym, że nie znał jej celu, od czasu do czasu rzucał się do nóg Tarzana, błagając o

wyjaśnienie i zmiłowanie. Lecz w milczeniu szedł dalej człowiek-małpa, poganiając słabnącego i chwiejącego się na nogach jeńca.

Zaledwie na trzeci dzień w południe dotarli do miejsca przeznaczenia. Pięli się stromo do góry, po czym zatrzymali się na skraju stromej skały. Schneider spojrzął w dół i zobaczył obok wąskiego strumienia ciasny parów, w którym samotne drzewo i skąpa trawa wyrastały z gruntu, pokrytego złomami skalnymi. Tarzan poprowadził go ku krawędzi, lecz Niemiec cofnął się w przerażeniu. Wówczas Tarzan schwycił go i szorstko popchnął. „Zejdź”, powiedział. W ciągu trzech dni po raz drugi dopiero przemówił i być może to właśnie milczenie złowrózbnie więcej budziło w Niemcu trwogi, niż ciągle nastawione ostrze włóczni.

Schneider ze strachem spoglądał poza krawędź skały; już miał właśnie spróbować zejść, gdy Tarzan zatrzymał go.

- Jam jest lord Greystoke - rzekł. - Tyś zamordował moją żonę w kraju Waziri. Teraz rozumiesz, dlaczego przyszedłem po ciebie. Schodź!

Niemiec padł na kolana. - Nie zamordowałem twojej żony. Nie wiem nic o...

- Schodź! - warknął Tarzan, wznosząc do góry włócznię. Wiedział, że ten człowiek kłamie i nie dziwił się temu. Kto morduje bez przyczyny, będzie i kłamał nawet bez przyczyny. Schneider wciąż wahał się i błagał. Człowiek-małpa trącił go włócznią i Schneider, zesunąwszy się ze szczytu, zaczął schodzić. Tarzan towarzyszył mu i pomagał w najniebezpieczniejszych miejscach, aż znaleźli się w pobliżu dna kotliny.

- Teraz zachowuj się cicho - ostrzegł człowiek-małpa. Wskazał wejście do jaskini w odległym końcu wąwozu. - Tam wewnątrz jest głodny lew. Jeśli zdołasz dosięgnąć drzewa, zanim cię spostrzeże, zachowasz życie o kilka dni dłużej, a potem - gdy już będziesz zbyt słaby, aby trzymać się gałęzi - Numa, pożeracz ludzi, nasyci swój głód po raz ostatni. Teraz biegnij.

Niemiec, trzęsąc się ze strachu, pośpieszył do drzewa. Już go prawie dosięgał, gdy rozległ się grzmiący ryk i jednocześnie z głębi wąwozu wypadł wychudły lew, oszalały z głodu. Schneider miał już tylko kilka metrów do przebycia; lew pędził, chcąc go wyprzedzić, a Tarzan z uśmiechem przyglądał się tym wyścigom.

Schneider pierwszy dobiegł do mety. Gdy Tarzan wspinał się na skałę, usłyszał ryk zawiedzionego kota i bardziej jeszcze zwierzęcy - skowyt ludzki.

Na skraju urwiska zatrzymał się i spojrzął w głąb kotliny. Na wierzchołku drzewa Niemiec trzymał się kurczowo gałęzi. Pod drzewem stał Numa - i czekał.

Człowiek-małpa wzniosł oblicze do Kudu-słońca i z potężnej jego piersi wydał się dziki zwycięski okrzyk wielkich małp.

ROZDZIAŁ III

NA LINIACH NIEMIECKICH

Pomsta Tarzana nie była zupełna. Żyły wszak jeszcze miliony Niemców. Wystarczyło to wprawdzie, by zapełnić mu życie; a jednak, gdyby nawet wszystkich ich wymordował, nie wynagrodziłoby to wielkiej straty, jaką poniósł, ani też śmierć wszystkich tych milionów Niemców nie mogła wskrzesić jego ukochanej.

W czasie pobytu w obozie niemieckim, w górach Parę, rozłożonym na linii, rozgraniczającej niemiecką i angielską Afrykę Wschodnią, Tarzan podsłuchiwał dość, by zdać sobie sprawę, że Anglicy ponoszą porażki w swych walkach afrykańskich. Z początku mało o tym myślał, gdyż od śmierci żony, która była jedynym silnym węzłem, łączącym go z cywilizacją, wyrzekł się ludzkości, uważając się nie za człowieka, jeno za małpę.

Policzywszy się ze Schneiderem w sposób taki, jaki był w jego mocy, okrążył Kilimandżaro i zapolował wśród północnych zboczy tych potężnych gór. Doznawał pewnej przyjemności, odmalowując sobie w myśli obraz Niemca, którego pozostawił na konarach samotnego drzewa u stóp wysokimi skałami otoczonego parowu, z czyhającym nań wygłodzonym lwem. Wyobrażał sobie duchowe męki człowieka, dręczonego głodem i pragnieniem i zdającego sobie dokładnie sprawę z tego, że prędzej czy też później, wycieńczony, spadnie na ziemię i stanie się łupem wychudłej bestii. Tarzan ciekaw był, czy Schneider zdobędzie się na tyle odwagi, by - w razie gdy Numa opuści parów i wejdzie do jaskini - zesunąć się do strumyka po wodę; wyobrażał sobie szalone wyścigi z powrotem do drzewa, gdy lew pędzi po swą zdobycz; tłusty i ciężki Niemiec nie zdoła bowiem zejść do strumyka bez lekkiego choćby szmeru, wystarczającego, by zwrócić uwagę Numy.

Powoli blakła i ta przyjemność i coraz częściej człowiek-małpa myślał o żołnierzach angielskich, zmagających się z przeważającymi siłami, o tym zwłaszcza, że to właśnie Niemcy ich nękali.

Na myśl tę opuszczał głowę i sarkał, gdyż czuł, jak trudno jest mu zapomnieć o tym, że był Anglikiem, gdy tymczasem chciał być małpą jedynie. Przyszła wreszcie chwila, kiedy nie mógł już dłużej znieść myśli o tym, że Niemcy mordują Anglików, gdy tymczasem on bezpiecznie poluje w niewielkiej od nich odległości.

Raz powziąwszy postanowienie, ruszył w kierunku obozu niemieckiego bez określonego planu. Przypuszczał, że niech jeno zbliży się do pola walki, znajdzie sposób nękania wrogiego dowództwa. Droga wiodła przez wąwóz tuż obok kotliny, w której pozostawił Schneidera; poddając się zrozumiałej ciekawości, wdrapał się na urwisko ku krawędzi parowu. Drzewo było puste, nie było też widać Numy. Podjąwszy kawał głazu, cisnął go na dół i trafił w samo wejście jaskini. Natychmiast ukazał się lew w otworze: lecz jakże różnił się od wielkiej, lśniącej bestii, którą przed dwoma tygodniami zamknął był w pułapce! Chudy był i wynędzniały i chwiały się idąc.

- Gdzie Niemiec? - zawołał Tarzan. - Czy smaczną miałaś ucztę, czy też tylko worek kości osunął się z drzewa?

Numa wydał głuchy pomruk.

- Wyglądasz, jak gdybyś był głodny, Numo - mówił dalej człowiek-małpa... - Bardzo musiałeś być głodny, skoro wyjadłeś całą trawę wokół i nawet korę obgryzłeś z drzewa, dokąd tylko mogłeś sięgnąć. Chciałbyś jeszcze jednego Niemca? - i odszedł z uśmiechem.

Niezadługo natknął się na Barę-jelenia, śpiącego pod drzewem, a ponieważ był głodny, szybko go zabił i przykucnąwszy obok swego łupu, jadł do syta. Kończył właśnie obgryzać kości, gdy usłyszał stąpanie skradających się stóp poza sobą, a obróciwszy się, ujrzał podpełzającą Dango-hienę. Z pomrukiem podniósł ułamaną gałąź i cisnął w czyhające zwierzę.

- Idź precz, pożeraczu padła! - zawołał.

Ale Dango była głodna, a ponieważ duża była i mocna, zaskowyczała tylko i powoli zatoczyła krąg, czekając tylko na dogodną chwilę do natarcia. Małpi Tarzan znał Dango lepiej nawet, niż Dango znała samą siebie. Wiedział, że rozzuchwalona głodem, gotowa była do zaczepki, że prawdopodobnie przywykła do widoku ludzi i dlatego nie bała się go, toteż odczepił ciężką włócznię i położył ją w pogotowiu obok siebie, uczując dalej i nie spuszczać z oka hieny.

Nie czuł trwogi. Oswojony z niebezpieczeństwami dzikiego świata, uważał je za część zwykłej egzystencji, jak my przyjmujemy codziennie, choć nie mniejsze niebezpieczeństwa podróży na ulicach wielkich miast lub wsi. Wychowany w puszczy, gotów był bronić swego łupu. Przy okolicznościach sprzyjających, stawiałby czoło nawet samemu Numie, a jeśli konieczność zmuszała go do ucieczki, bynajmniej nie czuł wstydu. Nie było w puszczy stworzenia odważniejszego odeń i mądrzejszego zarazem - te dwa czynniki zabezpieczały jego życie.

Dango byłaby wcześniej natarła, gdyby nie groźne pomruki człowieka-małpy, pomruki budzące trwogę w sercu hieny, bo wychodziły z piersi ludzkiej. Napadała na kobiety i dzieci na polach krajowców i straszła mężczyzn nocami przy ogniskach; ale nie słyszała nigdy człowieka, wydającego dźwięki, które przypominały raczej rozgniewanego Numę niż przestraszoną istotę ludzką.

Tarzan, dokończywszy ucztę, zamierzał wstać i cisnąć obgryzioną kość w hienę, resztę łupu pozostawiając zwierzęciu. Lecz nowa myśl wstrzymała go: podniósł trupa jelenia, zarzucił go na ramiona i ruszył ku kotlinie. Dango poszła za nim skowycząc i gdy zrozumiała, że nawet nie zakosztuje smacznego jada, natarła. Jak gdyby natura obdarzyła go oczami w plecach, Tarzan odczuł groźne niebezpieczeństwo. Rzucił Barę na ziemię i wyciągnął włócznię. Potężne ramię wzniosło się w górę, pochyliło daleko w tył, potem naprzód i włócznia z rozmachem utkwiała w karku Dango, zatapiając się w jej ciele.

Wyciągnąwszy drzewce z ciała hieny, Tarzan oba trupy zarzucił na plecy i poszedł w kierunku kotliny. W cieniu samotnego drzewa leżał Numa. Na okrzyk człowieka-małpy dźwignął się powoli na nogi i, aczkolwiek bezsilny, zawarczał dziko, usiłował nawet zaryczeć na widok wroga. Tarzan spuścił oba trupy z krawędzi skały.

- Jedz, Numa! - zawołał. - Może będziesz mi jeszcze potrzebny. - Lew, przywrócony do życia na widok żeru, skoczył na jelenia i rwał, i szarpał mięso, pochłaniając je wielkimi kęsami.

Następnego dnia Tarzan ujrzał linie niemieckie. Z zadrzewionego szczytu wzgórza spozierał na lewe skrzydło wojsk nieprzyjaciela i poza nie, ku liniom angielskim. Stanowisko to dawało mu widok z lotu ptaka na pole bitwy, a bystre jego oczy mogły dojrzeć szczegóły, niedostrzegalne dla mniej wyćwiczonego wzroku. Zauważył działa szybkostrzelne, zamaskowane przed wzrokiem

Anglików, i placówki, umieszczone już w pasie neutralnym.

Gdy tak przyglądał się z zaciekawieniem nowemu widokowi, usłyszał oddzielny wystrzał karabinowy, rozlegający się wśród huku dział i grzechotu ognia karabinowego. Natychmiast uwaga jego skupiła się na miejscu, w którym ukrywał się strzelec. Cierpliwie oczekiwał następnego strzału, a gdy go usłyszał, zaczął opuszczać się w dół po stromym zboczach, z ostrożnością i spokojem pantery. Pozornie nie zważał, gdzie stąpa, nie strącił jednak ani jednego kamyczka, nie złamał ani jednej gałązki - jak gdyby stopy jego miały oczy.

Minawszy kępę krzaków, zbliżył się do skraju niskiej skały i ujrzał, o jakie piętnaście stóp poniżej, żołnierza niemieckiego, wychylonego spoza wału kamieni i gałęzi, którym zasłaniał się przed Anglikami. Człowiek ten musiał być znakomitym strzelcem, gdyż znajdował się na tyłach niemieckiej linii i strzelał ponad głowy swych ziomków. Jego dalekonośny karabin zaopatrzone był w dalekowiedz, miał też lunetę, którą posługiwał się właśnie w chwili, gdy go Tarzan wykrył: badał może rezultat swego ostatniego strzału, lub też szukał nowego celu. Tarzan szybko spojrzął w kierunku tej części linii angielskiej, którą Niemiec zdawał się badać i jego bystry wzrok zauważył mnóstwo doskonałych celów dla karabinu umieszczonego tak wysoko ponad okopami. Niemiec, zadowolony widocznie z wyniku swych obserwacji, położył na bok lunetę, ujął karabin, kolbę umieścił w zagłębieniu ramienia i starannie wymierzył. W tej samej chwili brązowe ciało zeskoczyło ze skały ponad nim. Nic nie zamąciło ciszy i wątpliwe jest, czy Niemiec dowiedział się kiedy, jakiego rodzaju stworzenie ciężko spadło na jego plecy, bo jednocześnie żyłaste ręce zacisnęły się na włochatej gardzieli Szwaba. Chwila jałowej walki - strzelec nie żył.

Ukryty za wałem z kamieni i gałęzi, Tarzan patrzył. W pobliżu okopy niemieckie. Widział oficerów i żołnierzy poruszających się w nich, a na wprost siebie dobrze zamaskowane działo szybkostrzelne, ustawione w pasie neutralnym ukośnie, aby mogło razić Anglików pod takim kątem, żeby nie mogli zorientować się skąd pada strzał.

Tarzan bezmyślnie trzymał w ręku broń zabitego Niemca, po czym zaczął badać jej mechanizm. Spojrzawszy znowu na okopy niemieckie, nastawił inaczej dalekowiedz, przyłożył karabin do ramienia i wziął na cel.

Tarzan był świetnym strzelcem. Brał udział w wielkich polowaniach, urządzanych przez jego cywilizowanych przyjaciół, i chociaż zabijał wyłącznie dla zdobycia pożywienia i w celach samoobrony, zabawiał się strzelaniem do tarczy i wydoskonalił w używaniu broni palnej sam o tym nie wiedząc.

Teraz urządzi sobie wielkie łowy. Lekki uśmiech zaigrał na jego twarzy, gdy palce naciskały cyngiel. Karabin przemówił i celowniczy szybkostrzelnego działa padł obok swej maszyny. W ciągu trzech minut Tarzan zmiotł całą obsługę działa, po czym sprzątnął oficera, który wychylił się ze schronu i trzech żołnierzy w korytarzu łącznikowym. Dbał o to, by nie zostawić w bezpośrednim sąsiedztwie nikogo, kto by mógł się zastanowić, w jaki sposób Niemcy mogli być zabijani w okopach niemieckich, skoro byli doskonale ukryci przed wzrokiem nieprzyjaciela.

Nastawiwszy na nowo dalekowiedz, wziął na cel obsługę działa bardziej oddalonego na prawo. Spokojnie powystrzelał ją do nogi. Dwa działa ucichły. Dojrzał ludzi, przebiegających przez okopy, i trafił wielu z nich. Niemcy tymczasem spostrzegli, że coś się stało, że jakiś tajemniczy strzelec znalazł dogodny punkt, z którego wybomie widział ten odcinek okopów. Z początku mniemali, że umieścił się w pasie neutralnym; lecz gdy pewien oficer, który spoglądał przez dalekowiedz, wychyliwszy się z okopu, dostał kulą w tył głowy, zrozumieli, że należy szukać nie przed, lecz poza

okopami.

Kula, która zabiła oficera, przebiła mu czaszkę i wpadła na dno okopu; jeden z żołnierzy podniósł ją i wielkie poruszenie powstało na odcinku, gdyż kula była niemieckiego pochodzenia. Posłano tę wiadomość w obie strony i dalekowiedze rozpoczęły poszukiwania zuchwałego zdrajcy. Niezadługo odnaleźli stanowisko ukrytego strzelca i Tarzan zobaczył, że kierują działą szybkostrzelne na niego. Zanim jeszcze poszło w ruch, cała obsługa leżała już martwa; lecz było dosyć żołnierzy, by zając, choć może niechętnie, miejsce zabitych, jednocześnie zaś dwa inne szybkostrzelne działa zatoczono na dogodną pozycję.

Widząc, że gra skończona, Tarzan wystrzelił na pożegnanie, rzucił broń i skrył się na wzgórzach. Długo jeszcze słyszał, jak dalekostrzelne działą wypluwało pociski w miejsce, które opuścił, i uśmiechał się na myśl o marnowaniu amunicji niemieckiej.

Sowicie zapłacili za Wasimbu, którego ukrzyżowali, i za jego zamordowanych towarzyszy - dumal - ale za Janinę nigdy nie zdołają zapłacić, nawet gdybym ich wszystkich powystrzelał.

Nocą okrążył skrzydła obu armii, minął wysunięte placówki angielskie i wszedł do obozu angielskiego. Nikt go nie widział, nikt nie wiedział, że się tam znajduje.

Kwatera główna Drugiego Pułku Rodezyjskiego stała na pozycji osłoniętej, dość daleko od linii, względnie zabezpieczona przed obserwacją nieprzyjacielską. Nawet dozwolone było tu światło. Pułkownik Capell siedział przy stole polowym, na którym rozłożona była mapa wojskowa, i rozmawiał z oficerami. Nad nimi rozpościerało się duże drzewo, latarnia mętnie oświetlała stół i niewielkie ognisko płonęło tuż obok.

Oficerowie mówili o liczebnej przewadze wroga i o tym, że Anglicy mogli co najwyżej utrzymać obecne swoje pozycje, lecz naprzód iść nie mogli. Ponosili wielkie straty we wszystkich atakach i stale byli odpierani przez przeważające siły. Były też ukryte działą szybkostrzelne, które bardzo dręczyły pułkownika. Widoczne to było, gdyż w czasie rozmowy często powracał do tego przedmiotu.

- Dziś po południu coś je na chwilę uciszyło - rzekł jeden z młodszych oficerów.

- Robiłem w tym czasie obserwacje i nie mogłem zrozumieć zamieszania, jakie powstało; wyglądało, jak gdyby coś się stało w jednej sekcji ich okopów z lewej strony. Była chwila, że przysięgłbym, że zaatakowano ich we własnych szeregach. Zareportowałem wówczas panu o tym, pamięta pan? Łotry wiały, co sił. Widziałem, jak ta zaraza uciekała. Nie wiem, co to mogło znaczyć.

Gałęzie drzew lekko zaszemrały i nagle gibkie, brązowe ciało stanęło wśród oficerów. Ręce sięgnęły ku rękojeściom rewolwerów, lecz nikt się nie poruszył. Oficerowie ze zdumieniem spoglądali na nagiego, białego człowieka, na którego zaokrąglonych mięśniach igrał blask ognia, przypatrywali się jego prymitywnemu strojowi i równie prymitywnemu uzbrojeniu, po czym wszystkie oczy obróciły się na pułkownika.

- Cóżes pan, do diabła, za jeden? - burknął pułkownik.

- Małpi Tarzan! - odrzekł przybysz.

- Och, Greystoke! - wykrzyknął jeden z majorów i zbliżył się z wyciągniętymi ramionami.

- Preswick - poznał go Tarzan, ściskając podaną dłoń.

- Nie poznałem pana z początku - tłumaczył się major. Ostatni raz widziałem pana we fraku. Duża różnica - słowo daję - musi pan przyznać.

Tarzan uśmiechnął się i zwrócił się do pułkownika.

- Podśluchałem waszą rozmowę - rzekł. - Przychodzę właśnie spoza linii niemieckich.

Prawdopodobnie będę wam mógł pomóc.

Pułkownik pytająco spojrział na majora Preswicka, który zbliżył się i przedstawił człowieka-małpę swemu dowódcy i towarzyszą. Tarzan treściwie opowiedział, co skłoniło go do tropienia Niemców.

- A teraz przyszedł pan, by wstąpić w nasze szeregi? - zapytał pułkownik.

Tarzan potrząsnął głową.

- Nie jako żołnierz. Ja muszę walczyć na swój sposób, ale mogę wam pomóc. Kiedykolwiek zechcę, mogę wejść do niemieckiego obozu.

Capell uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- To nie tak łatwo, jak się panu zdaje - rzekł.

- Straciłem dwu dobrych oficerów na takiej próbie w zeszłym tygodniu - a byli to ludzie doświadczeni; najlepsi z wydziału wywiadowczego.

- Czy to trudniej, niż wejść do obozu angielskiego? - zapytał Tarzan. - Pułkownik miał właśnie odpowiedzieć, gdy nagle przysłała mu widocznie nowa myśl do głowy. - Kto przeprowadził pana przez nasze placówki? - zapytał.

- Tylko co przeszedłem przez linie niemieckie i wasze, i przez cały wasz obóz - odpowiedział Tarzan. - Niech pan pośle dowiedzieć się, czy widział mnie ktokolwiek.

- Ale kto panu towarzyszył? - upierał się Capell.

- Sam przyszedłem - odrzekł Tarzan. I wyprostowując swą rosłą postać mówił dalej. - Wy, ludzie cywilizowani, gdy wchodzić do puszczy, jesteście jak umarli wśród żywych. Manu, mała małpka, jest mędrcom w porównaniu z wami. Zdumiewa mnie, że wy w ogóle istniejecie. Ratuje was tylko wasza ilość, wasza broń i wasza zdolność myślenia. Gdybym miał kilkaset wielkich małp z waszą zdolnością myślenia, dawno przepędziłbym Niemców za morze. Szczęściem dla was te tępe zwierzęta nie umieją myśleć. Gdyby umiały, Afryka wieczyście wolna byłaby od ludzi. Ale mniejsza o to. Czy mogę wam się na co przydać? Czy chciałby pan wiedzieć, gdzie są ukryte działa szybkostrzelne?

Pułkownik zapewnił, że bardzo by chciał, i za chwilę Tarzan wskazał na mapie stanowiska tych trzech dział, które dokuczały Anglikom.

- Tu jest słabe miejsce - rzekł, pokazując palcem na mapie. - Jest ono w rękach czarnych, ale działa szybkostrzelne, na przedzie, obsługują biali. Poczekajcie! Mam pewien plan. Możecie ten okop obsadzić swoimi ludźmi i okopy, na prawo od niego leżące, ostrzeliwać ich własnymi działami szybkostrzelnymi.

Pułkownik Capell uśmiechnął się i potrząsnął głową.

- Mówi się to bardzo łatwo - odrzekł.

- To jest łatwe dla mnie - odpowiedział człowiek-małpa. - Mogę opróżnić ten odcinek bez wystrzału. Wychowałem się w puszczy, znam lud puszczy - zarówno Gomangani, jak innych. Oczekujcie mnie jutrzejszej nocy - i zawrócił, chcąc odejść.

- Niech pan zaczeka - rzekł pułkownik - pošlę oficera, aby przeprowadził pana.

Tarzan uśmiechnął się i znikł. Gdy opuszczał towarzystwo, przeszedł obok drobnej postaci, owiniętej grubym płaszczem oficerskim. Kołnierz był podniesiony wysoko, a daszek wojskowe czapki nisko zsunięty na oczy; lecz, gdy człowiek-małpa mijał młodzieńca, światło ogniska padło na jego twarz, ukazując Tarzanowi jak gdyby znajome rysy. Zapewne jakiś oficer, którego widywał w Londynie, pomyślał, i idąc dalej przez obóz, minął linie angielskie, nie postrzeżony przez czujne

placówki.

Noc całą prawie szedł przez podgórze Kilimandżaro, instynktownie kierując się nieznaną drogą, gdyż domyślał się, że to, czego szuka, znajdzie na zalesionych zboczach, powyżej tych, którymi wędrował niedawno w tej mało mu znanej okolicy. Na trzy godziny przed brzaskiem ostry jego węch pouczył go, że w niedalekim sąsiedztwie znajdzie to, czego pragnął. Wdrapał się więc na wysokie drzewo i ułożył na kilka godzin snu.

ROZDZIAŁ IV

KARMIENIE LWA

Kudu-słońce wysoko już stało na niebie, gdy Tarzan się obudził. Przeciągnął się, palcami przebrał gęste swe włosy i lekko zesunął się na ziemię. Kierując się węchem, zszedł za tropem w głęboki wądół. Skradał się ostrożnie, wiedział bowiem, że poszukiwana zwierzyna jest tuż pod ręką; istotnie siadłszy na wystającym konarze, spostrzegł Hortę - dzika z całym stadem. Zdjąwszy z ramienia łuk, nałożył strzałę i wziął na cel największą świnię. W zębach trzymał inne strzały i po wysłaniu pierwszej, puścił natychmiast dalsze. Wśród stada powstało zamieszanie; dziki, nie wiedząc, skąd zagraża niebezpieczeństwo, najpierw głupio zatrzymały się, potem zakrzyły bezradnie, wreszcie, gdy zobaczyły sześciu towarzyszy zabitych albo konających, rzuciły się do ucieczki, kwicząc i chrząkając, i znikły w gęstym podszyciu.

Tarzan zesunął się z drzewa, dobił te, które jeszcze żyły, i zabrał się do ściągania z nich skóry. Pracując szybko i bardzo zręcznie, nie nucił, ani nie pogwizdywał, jak to czynią ludzie cywilizowani. Podobne liczne, acz drobne szczegóły, różniły go od ludzi, zapewne wskutek jego wychowania w dżungli. Mieszkańcy puszczy byli figlarzami, póki nie dosięgli wieku dojrzałego. Jego towarzyski - małpy, stawały się z wiekiem srogie i ponure. Życie było tu poważną sprawą - trzeba było walką zdobywać codzienną strawę. Polowanie było pracą na utrzymanie się przy życiu, a praca na życie to nie drobnostka, którą by wolno było traktować lekkomyślnie. Tarzan więc do każdej czynności przystępował z powagą, zachowując jednakże to, co inne zwierzęta z wiekiem traciły - wesołość, której oddawał się, gdy był odpowiednio usposobiony. Była to wesołość dzika nieraz i straszna, lecz jemu wystarczała.

Ktoś, kto śpiewa i gwizdże przy pracy, nie może skupić należycie uwagi, a Tarzan umiał skupić wszystkie swe pięć zmysłów na danym zajęciu. Teraz obdzierał ze skóry sześć świń, a oczy jego i palce pracowały, jak gdyby poza tymi sześcioma trupami nic na świecie nie istniało, jednocześnie wszakże uszy jego i nos były wciąż zajęte - pierwsze przysłuchiwały się głosom lasu, drugi wietrzył nadlatujące powiewy. Węchem też odkrył Saborę-lwicę, gdy wiatr się na chwilę odmienił.

Tak wyraźnie, jak gdyby patrzył na to, Tarzan wiedział, że lwica zwęszyła świeżo zabite świnię i że natychmiast ruszyła tym tropem. Wiedział, jak daleko była i że zbliża się spoza jego pleców. Kończył właśnie ostatnią sztukę i nie spieszył się. Pięć skór leżało pod ręką - umyślnie położył je tuż obok siebie - wielkie drzewo kołysało nad nim swe gałęzie.

Nie odwrócił nawet głowy, wiedział bowiem, że jeszcze nie było jej widać, natężył tylko słuch. Gdy ściągnął ostania skórę - wstał.

Teraz usłyszał, że Sabora jest w krzakach, lecz jeszcze nie za blisko. Spokojnie pozbierał sześć skór i jednego trupa, a gdy lwica ukazała się między pniami drzew, wdrapał się między gałęzie. Tu

porozwieszał skóry na sękach, rozsiadł się wygodnie, opierając się o trzon drzewa, odkrajał kawał mięsa z zabranej świni i zaczął zaspakajać głód. Sabora, pomrukując, wyczołgała się spomiędzy krzaków, podejrzliwie spojrzała na człowieka-małpę i rzuciła się na najbliższe ściерwo.

Tarzan patrzył na nią i przypomniał sobie, że jeden ze słynnych myśliwych twierdził, jakoby król zwierząt jadał tylko to, co sam upoluje. Tarzan znał się na tym lepiej, widywał bowiem Numę i Saborę, karmiących się nawet padliną.

Napełniwszy żołądek, Tarzan wziął się do pracy nad skórami - wszystkie były duże i mocne. Najpierw poodcinał z nich pasy mniej więcej pół cala szerokie. Gdy już miał ich dostateczną liczbę, wywiercił przy brzegach dwu skór dziury co trzy lub cztery cale i zeszył je, przewlekając pas przez te dziury. Gdy przez otwór przeciągnął drugi pas - otrzymał duży worek z rzemieniem do ściągania go. W ten sam sposób z pozostałych czterech skór porobił trochę mniejsze worki i jeszcze zostało mu dużo pasów.

Skończywszy robotę, cisnął duży, soczysty owoc w Saborę, resztki świni ukrył w rozwidleniu drzewa i dźwigając pięć worków, ruszył w kierunku południowo-zachodnim. Szedł prosto do kotliny, w której uwięził był Numę-lwa. Skradając się zbliżył do krawędzi skały i spojrzał w dół. Numa nie było. Tarzan węszył i nadśłuchiwał. Nic nie usłyszał; wiedział jednak, że śpi - zależało mu na tym bardzo, aby go nie zbudzić.

Ostrożnie przekroczył krawędź skały i bezszelestnie zaczął się spuszczać do kotliny. Często się zatrzymywał i zwracał oczy i uszy w kierunku otworu jaskini, leżącego o jakie sto stóp odległości, na samym końcu jaru. W miarę jak się zbliżał do dna, wzrastało niebezpieczeństwo. Jeśli zdoła zejść i przebiec choćby połowę drogi do drzewa, stojącego pośrodku kotliny, będzie bezwzględnie bezpieczny, gdyż nawet, gdyby Numa się zjawił, czuł, że pierwszy dopadnie albo do drzewa, albo ściany i zdąży wdrapać się na jakie trzydzieści stóp wysokości - trzeba tylko pierwsze dwadzieścia stóp przebiec z szybkością wiewiórki, jak to było za pierwszym razem, kiedy to do takiej wściekłości doprowadził Numę.

Staął wreszcie na dnie jaru. Cicho, jak duch, zbliżał się do drzewa. Był już na połowie drogi, a Numa ani znaku. Doszedł do ogołoczonego pnia, bo zgłodniały lew obdarł nie tylko korę, ale nawet poodgryzał kawały mięszu - Numa wciąż się nie zjawiał.

Wdrapując się na gałęzie, zaczął się zastanawiać, czy Numa znajdował się w ogóle w jaskini. Czyż było to możliwe, by rozwalił mur kamienny, którym Tarzan zamknął drugi koniec wąwozu? Lub może już nie żył? Ostatnie przypuszczenie wydało mu się wątpliwe; wszak zaledwie przed kilku dniami nakarmił lwa jeleniem i hieną - zwierz nie mógł tak rychło umrzeć z głodu, zwłaszcza że miał pod dostatkiem wody w małym strumyku.

Tarzan już zamierzał zejść i przeszukać jaskinię, gdy przyszło mu na myśl, że oszczędzi sobie zachodu, wabiąc kota. Z tą myślą wydał cichy pomruk. Odpowiedział mu natychmiast ruch w głębi jaskini i po chwili wypadł ponury, o dzikim wejrzeniu lew, gotów zmierzyć się z samym diabłem, byleby ten był jadalny. Ujrzawszy na drzewie Tarzana tłustego i gładkiego, stał się wcieleniem zajadłości. Wzrok i węch pouczyły go, że to była istota odpowiedzialna za jego położenie i że zarazem nadawała się do zjedzenia. W zapamiętaniu usiłował wdrapać się na drzewo. Dwa razy podskoczył tak wysoko, że uchwycił szponami dolne gałęzie, lecz oba razy spadał z powrotem na ziemię. Niepowodzenia wzmagaly jego wściekłość. Straszliwe i bezustanne były jego ryki i pomruki; Tarzan tymczasem szczyrzył do niego zęby, w języku dżungli wyszydając jego niezręczność, a w duchu ciesząc się, że Numa zużywa swe i tak nadwątlone siły.

Wreszcie człowiek-małpa podniósł się i rozwinął sznur. Starannie ułożył zwoje w lewej ręce, a pętlice w prawej, ustawił nogi w ten sposób, że opierały się na dwóch równoległych gałęziach i plecami przywarł mocno do pnia. Stał tak, obrzucając Numę obelgami, póki go nie pobudził do ponownych skoków na drzewo i w chwili, gdy Numa unosił się w powietrze, szybko zarzucił mu pętlicę na łeb i kark. Zwinnym ruchem ręki podciągnął zwoje i gdy Numa zsunął się na dół, jedna tylko jego tylna łapa dotykała ziemi, gdyż Tarzan kołysał go w powietrzu.

Z wolna posuwając się po dwu gałęziach, Tarzan odbujał Numę tak daleko, by nie mógł dosięgnąć pnia swymi szponami, spuścił go blisko ziemi, przymocował sznur do drzewa, cisnął na dół swoje pięć worków ze świńskiej skóry i zeskoczył. Numa zapalczywie szarpał sznur swemi pazurami. Mógł go każdej chwili zerwać. Tarzan więc musiał spieszyć z dokonaniem zamierzonego dzieła.

Przede wszystkim większy worek nałożył Numie na głowę i umocnił go na karku za pomocą ściąganego rzemienia; potem z wielkim wysiłkiem, cudem uniknąwszy śmierci w drapieźnych szponach, spętał wszystkie cztery nogi za pomocą pasów ze świńskiej skóry.

Lew nareszcie uspokoił się - widocznie się dusił, a ponieważ nie leżało to w planach Tarzana, wskoczył na drzewo, odwiązał sznur, opuścił lwa na ziemię, po czym zwolnił pętlę na jego karku. Nożem wyciął w kapturze dwa okrągłe otwory na oczy z podwójnym celem: chciał, by lew mógł widzieć i oddychać.

Dokonawszy tego, zabrał się do nakładania na potężne łapy pozostałych worków. Na tylnych kończynach nie tylko przymocował je za pomocą ściąganych rzemieni, lecz jeszcze uplótł rodzaj podwiązek, które ściśle przylegały do nóg poniżej kolan. W ten sam sposób zaopatrzył przednie łapy, z tą różnicą, że przywiązał worki powyżej kolan. Teraz, w samej rzeczy, Numa-lew, nic był bardziej szkodliwy od Bary-jelenia.

Numa zaczął dawać oznaki życia. Nabrał tchu i zaczął się szamotać. Liczne jednak i mocne były rzemienie, którymi spętane miał nogi. Tarzan pewien był, że wytrzymają. Numa posiada jednak potężne mięśnie, i mogło się zdarzyć, że wydobędzie się z więzów, a wówczas wszystko będzie zależało od sprawności worków i ściąganych rzemieni.

Gdy Numa zaczął już normalnie oddychać, szamotanie jego wzrosło na chwilę do rozmiarów tytanicznych; ponieważ jednak wytrzymałość lwia jest nieproporcjonalną do jego wielkości i siły, wkrótce zmęczył się i legł spokojnie. Ponawiając pomruki i słabe próby wyswobodzenia się, musiał wreszcie poddać się dalszemu upokorzeniu: wokoło szyi uwiązano mu sznur. Nie była to już pętlica, która mogłaby zacisnąć się i udusić go, tylko zwykły węzeł.

Drugi koniec sznura przywiązał Tarzan do pnia, szybko rozciął pęta na nogach Numy i uskoczył na bok, gdy zwierzę zerwał się na nogi. Przez chwilę lew stał z nogami szeroko rozkraczonymi; podniósł jedną łapę, potem drugą, energicznie nimi potrząsając, by zrzucić dziwne obuwie. Wreszcie sięgnął łapą do kaptura na głowie. Człowiek-małpa, z nastawioną włócznią, bacznie śledził te wysiłki. Czy worek wytrzyma? Czy też cała praca pójdzie w niwecz?

Gdy dziwne rzeczy, przylegające do głowy i nóg, nie dawały się zerwać, Numa wpadł w szal, rzucał się na ziemię, drapiąc i gryząc, bijąc i rycząc; zrywał się na nogi, skakał w górę; już docierał do Tarzana, gdy nagle sznur, którym był uwiązany do drzewa, zatrzymywał go w miejscu. Tarzan zbliżył się i wymierzył mu w głowę dotkliwy cios drzewcem włóczni. Numa wspiął się na tylne nogi i rzucił na człowieka-małpę, w odpowiedzi na co otrzymał takiego szturchańca w ucho, że się zatoczył. Gdy powtórnie rzucił się do ataku - znów rozciągnął się jak długi. Po czwartej, bezowocnej

próbie zaświtało widocznie w głowie króla zwierząt zrozumienie, że napotkał swego pana; spuścił łeb i ogon i gdy Tarzan zbliżył się do niego, usunął się na bok, wciąż jednak pomrukując.

Pozostawiwszy Numę, uwiązane do drzewa, Tarzan wszedł do tunelu i rozebrał barykadę, zamykając otwór, po czym wrócił do kotliny i skierował się prosto do drzewa. Na drodze jego leżał Numa i za zbliżeniem się Tarzana groźnie warknął. Tarzan kopnął go nogą i odwiązał od drzewa. Teraz nastąpiła półgodzinna uporczywa walka, gdyż Tarzan usiłował wygnać Numę z tunelu. Numa zaś opierał się temu. Wreszcie, dzięki nieograniczonemu posługiwaniu się ostrzem włóczni, udało się człowiekowi-małpie zmusić lwa do ruszenia naprzód i wejść z nim do korytarza.

Tam zadanie było już łatwiejsze, gdyż Tarzan szedł tuż obok, z nastawionym ostrzem, które nieubłaganie zachęcało lwa do posłuszeństwa. Kłuło go, jeśli się zatrzymywał, ten sam skutek był, gdy się cofał, a ponieważ Numa był mądrym lwem, który szybko się uczył, zdecydował, że najlepiej iść naprzód. Na końcu tunelu, wynurzając się na świat zewnętrzny, poczuł wolność, zadarł głowę i ogon do góry i puścił się pędem.

Zaskoczyło to Tarzana, który musiał posuwać się na czworakach. Wynik był taki, że rozciągnął się jak długi twarzą do ziemi i z jakie sto łokci wleczony był po skalistym gruncie, zanim zdołał zatrzymać Numę. Podrapany i gniewny zerwał się na nogi. W pierwszej chwili miał pokusę ukarać zwierzę, lecz ponieważ bardzo rzadko pozwalał, by doradca jego był gniew, nie kierowany rozumem, zaniechał tego zamiaru.

Nauczywszy Numę elementarnych zasad chodzenia w zaprzęgu, poganiał go spiesznie i rozpoczęła się najdziwniejsza podróż, jaką kiedykolwiek puszcza widziała.

Doniosłe były wyniki tego dnia zarówno dla Tarzana, jak i dla Numy. Od otwartego buntu przeszedł lew poprzez krnąbrny opór i niechętnie posłuszeństwo do zupełnego poddania. Gdy noc zapadła, był bardzo zmęczony, głodny i spragniony - lecz ani tego, ani następnego dnia nie miał otrzymać strawy - Tarzan nie ośmielał się zaryzykować zdjęcia z głowy worka, chociaż wyciął w nim drugi otwór, co pozwoliło Numie ugasić pragnienie po zapadnięciu mroku. Uwiązał lwa do drzewa, poszukał pokarmu dla siebie i ułożył się między konarami, ponad swym jeńcem, na kilka godzin snu.

Wczesnym rankiem ruszyli w dalszą drogę i na południowych stokach Kilimandżaro skręcili na wschód. Mieszkańcy dżungli na ich widok uciekali. Wystarczyłoby wiatru samego Numy, by skłonić do ucieczki niejedno z pomniejszych zwierząt; ale widok tego dziwnego zjawiska, które pachniało jak lew, a wyglądało jak coś, czego nigdy jeszcze nie widziały, prowadzonego przez olbrzymiego Tarmangani - było to za dużo dla największych nawet zwierząt.

Sabora-lwica z oddali rozpoznała woń swego pana i władcy, pomieszana z zapachem Tarmangani i skóry Horty-dzika, i przysła ze zboczy lasu zbadać, co to znaczy. Tarzan i Numa usłyszeli jej żaloszny i pytający szloch, gdyż niepojęta, pomieszana woń, budziła w niej zaciekawienie i trwogę zarazem.

Tarzan wyciągnął włócznię, wiedział bowiem, że może być zmuszony do podjęcia walki dla zachowania swego łupu. Numa zatrzymał się i oszpecony łeb zwrócił w stronę zbliżającej się samicy. Z gardła jego wydobył się ryk, raczej mruczenie. Tarzan miał go właśnie popędzić, gdy ukazała się Sabora, a opodal cztery dorosłe lwy na jej tropie.

Gdyby Numa czynnie oparł się dalszej podróży, niewątpliwie całe stado rzuciłoby mu się na pomoc, Tarzan więc zatrzymał się, by poznać zamiary przybyszów. Nie zamierzał oddać swej zdobyczy bez walki, znając jednak dobrze lwy, wiedział, że trudno przewidzieć, co uczynią.

Lwica była młoda i gibka, cztery lwy również młode i dorodne. Trzy z nich miały skąpe grzywy, ale czwarty, najbliższy, posiadał wspaniałą, czarną grzywę, która rozwiewała się na wietrze, gdy kroczył majestatycznie. Lwica zatrzymała się w odległości stu stóp od Tarzana, lwy zaś minęły ją i stanęły o kilka stóp bliżej. Uszy ich były nastroszone, a oczy pełne zaciekawienia. Tarzan nie mógł odgadnąć ich zamiarów. Jego Numa patrzył wprost na nich, cichy teraz i baczny.

Nagle lwica znowu z cicha zaszlochała, na co lew Tarzana odpowiedział grzmiącym rykiem i rzucił się ku czarnogrzywemu zwierzęciu. Piękny lew nie zniósł widoku tego grozę budzącego stworzenia, o dziwacznej głowie, które skoczyło ku niemu, pociągając za sobą Tarzana; ze skowytami zawrócił i uciekł, za nim jego towarzysze i samica.

Numa próbował ich gonić, lecz Tarzan trzymał go na smyczy, gdy zaś lew z wściekłością rzucił się na niego, począł niemiłosiernie walić go po głowie włócznią. Wstrząsając głową i mrużąc groźnie, lew nareszcie ruszył w nakazanym kierunku, dąsał się jednak jeszcze z godzinę. Bardzo głodny i naturalnie w złym humorze, był jednak uległy dzięki heroicznym metodom poskramiania, jakimi Tarzan się posługiwał, więc kroczył obecnie przy boku człowieka-małpy, niby wielki pies.

Ciemno już było, gdy zbliżyli się do linii angielskich. Nieopodal wysuniętych placówek Tarzan przywiązał Numę do drzewa, a sam poszedł dalej. Przemknął obok wartownika, minął strażę i poszedł do kwatery pułkownika Capella, ukazując się zebrany tam oficerom, jak bezcielesny duch, materializujący się w powietrzu.

Gdy zobaczyli, kto to przyszedł tak bez zapowiedzenia, uśmiechnęli się, a pułkownik w zakłopotaniu poskrobał się po głowie.

- Ktoś powinien być za to rozstrzelany - powiedział. - Równie dobrze mógłbym wcale nie rozstawiać wart, jeśli człowiek może przeniknąć przez nie, ilekroć ma ochotę.

Tarzan uśmiechnął się.

- Niech pan nie ma do nich pretensji - rzekł - ja nie jestem człowiekiem. Jestem Tarmangani. Każdy Mangani, gdyby zechciał, mógłby wejść do obozu. Gdyby pan jednak ich miał na warcie, nikt by nie wszedł bez ich wiedzy.

- Któż to są ci Mangani? Może moglibyśmy garść ich zwerbować?

Tarzan potrząsnął głową.

- To są Wielkie Małpy - wyjaśnił - mój lud; ale nie może pan z nich skorzystać. Nie mogą one długo zatrzymać uwagi na jakiejś myśli. Gdybym im powiedział o pańskiej propozycji, zainteresowałiby się bardzo, ale na krótką chwilę - mógłbym ich ciekawość utrzymać nawet na tak długo, by je tu przyprowadzić i wytłumaczyć im ich obowiązki; wkrótce jednak znudziłoby je to i uciekłyby do lasu, by poszukiwać chrabąszczy, zamiast pilnować swych stanowisk. Umysły ich są dziecięce i dlatego pozostają tym, czym są.

- Pan zowie ich Mangani, siebie zaś Tarmangani. Na czym polega różnica? - zapytał major Preswick.

- Tar oznacza biały - odpowiedział Tarzan - Mangani zaś - wielka małpa. Moje imię, imię nadane mi przez szczep Kerczaka, znaczy Biała Skóra. Gdy byłem maleńkim dzieckiem, skóra moja musiała wydawać się bardzo białą, przy pięknym czarnym futrze Kali, mojej mlecznej matki, i dlatego nazwano mnie Tarzan, Tarmangani. Pan też nazywa się Tarmangani - zakończył z uśmiechem.

Capell uśmiechnął się.

- To nie żadna obelga, Greystoke - rzekł - i, na Jowisza, zdobyłby odznaczenie, kto by potrafił odegrać pańską rolę. Ale co z pańskim planem? Czy nadal pan sądzi, że zdoła opróżnić okop na

wprost naszego odcinka?

- Czy wciąż jest zajęty przez Gomangani? - zapytał Tarzan.

- Co to są Gomangani? - zaciekał się pułkownik. - Jest wciąż zajęty przez krajowe wojska, jeśli to pan ma na myśli.

- Tak - odrzekł człowiek-małpa - Gomangani to wielkie, czarne małpy, Murzyni.

- Co pan zamierza uczynić i co my mamy robić? - zapytał Capell.

Tarzan zbliżył się do stołu i położył palec na mapie.

- Tu jest placówka - rzekł - tu właśnie są ukryte działa szybkostrzelne. Tunel łączy je z okopem w tym miejscu - palec jego posuwał się po mapie w miarę, jak mówił. - Daj mi pan bombę i gdy usłyszysz pan jej wybuch w tym miejscu, gdzie jest placówka, niech ludzie pańscy przejdą pas neutralny. Usłyszą wtedy poruszenie w okopie nieprzyjacielskim, lecz niech się nie spieszą i niech nadejdą spokojnie. Proszę ich też ostrzec, że ja mogę być wówczas w okopie i że wcale nie pragnę być zastrzelony lub przebity bagnetem.

- I to wszystko? - zagadnął Capell, poleciwszy oficerowi, by dał Tarzanowi ręczny granat. - Pan sam opróżni okop?

- Niezupełnie sam - odrzekł Tarzan z okrutnym uśmiechem - ale go opróżnię i, proszę pamiętać, pańscy ludzie niech lepiej wejdą przez tunel od strony placówki. Za jakie pół godziny, pułkownik.

Z tymi słowami odszedł.

Gdy przechodził przez obóz, nagle przypomniała mu się twarz oficera, którego był spostrzegł za pierwszą bytnością w kwaterze pułkownika. Potrząsnął głową z powątpiewaniem. Nie, to niemożliwe. A jednak, rysy młodego człowieka były te same, co Fräulein Kirchner, szpiega niemieckiego, którą widział w niemieckiej kwaterze owej nocy, gdy sprzątnął majora Schneidra sprzed nosa generała i jego świty.

Minawszy ostatnie linie wart, Tarzan szybko podszedł do Numa. Zwierz leżał u stóp drzewa, na widok Tarzana podniósł się. Cichy szloch wyrwał się z jego owiązanego pyska. Tarzan uśmiechnął się, gdyż w nowym dźwięku rozpoznał nutę błagalną, podobną raczej do skomlenia głodnego psa niż do głosu dumnego króla zwierząt.

- Wkrótce zaczniesz zabijać - i jeść - szepnął w narzeczu wielkich małp.

Odwiązał linę od drzewa i z Numa przy nodze zakradł się na pas neutralny.

Słysząc tam było trochę ognia karabinowego, z rzadka jakiś granat zdradzał obecność artylerii, ukrytej na przeciwnych liniach. Granaty z obu stron padały daleko za okopy, nie groziły więc Tarzanowi żadnym niebezpieczeństwem; lecz ich wybuchy i szczęk karabinów wywierały wielkie wrażenie na lwa, który, drżąc na całym ciele, przykucnął obok Tarzana, jak gdyby szukając u niego opieki.

Ostrożnie skradali się oboje ku placówce niemieckiej. W jednej ręce trzymał Tarzan pocisk angielski, w drugiej zwinięty sznur, na którym lew był uwiązany. Wreszcie dojrzał pozycję, odległą o kilka łokci. Bystre jego oczy dostrzegły głowę i ramiona wartownika. Człowiek-małpa mocno zacisnął bombę w prawej ręce. Oczyma wymierzył odległość, zabrał nogi, podniósł się jednym rzutem i cisnął granat, po czym natychmiast rozpląszczył się na ziemi.

Po upływie pięciu sekund nastąpił straszliwy wybuch w samym środku placówki. Numa zerwał się do ucieczki, lecz Tarzan trzymał go mocno i pobiegł naprzód, ciągnąc zwierzę za sobą. Na skraju pozycji dojrzał zaledwie słabe ślady, wskazujące że stanowisko to było kiedykolwiek zajęte, zostały bowiem tylko szczątki poszarpanego mięsa. Jedyną niezniszczoną rzeczą było działo szybkostrzelne,

które uratowały wory z piaskiem.

Nie było ani chwili do stracenia. Już mogła zbliżyć się odsiecz poprzez korytarz łącznikowy, gdyż warta w niemieckich okopach niewątpliwie dostrzegła zniszczenie placówki. Numa nie zdradzał chęci zejścia za Tarzanem w zagłębienie, ale człowiek-małpa szarpnął lwa mocno. Mieli przed sobą czeluść tunelu, łączącego pas neutralny z niemieckimi okopami. Tarzan popychał Numę, dopóki łeb zwierzęcia nie wszedł w czeluść. Nagle, jak gdyby nowa myśl przysłała mu do głowy, szybko zawrócił, zdjął działo z wału, ustawił je przed samym otworem, wrócił do Numy, szybko porozcinał podwiązki, przytrzymujące worki na jego przednich nogach. Zanim lew zdołał się połapać, że jest częściowo oswobodzony, Tarzan odciął sznur na jego szyi i worek na głowie i, objąwszy zad zwierzęcia, częściowo wepchnął je w otwór.

Numa opierał się, ale w odpowiedzi otrzymywał ostre ciosy nożem w uda. Wreszcie udało się wepchnąć lwa o tyle, że zwierzęciu pozostało tylko albo ruszyć naprzód, albo cofnąć się na nastawione z tyłu ostrze. Wówczas Tarzan poobcinał worki na tylnych łapach, stanął za lwem z nastawionym nożem, zarył się nogami w ziemię, spulchnioną przez wybuch pocisku, i popchnął zwierzę.

Numa posuwał się cal za cal. Pomruki jego przeszły w donośny ryk. Nagle skoczył naprzód - Tarzan zrozumiał, że poczuł mięso. Wlokąc za sobą działo, pospieszył Tarzan za lwem, którego ryki mieszały się teraz z wrzaskami przerażonych ludzi. I znowu ponury uśmiech pojawił się na ustach człowieka-małpy.

- Wymordowali moich Waziri - zaszeptał - ukrzyżowali Wasimbu, syna Moviro.

Gdy Tarzan dosięgnął okopu, nikogo nie zastał ani w tym odcinku, ani w następnym, ani też w dalszym, gdy je przebiegał, spiesząc ku centrum niemieckiemu; dopiero w czwartym ujrzał około tuzina ludzi, stłoczonych w kącie; pazurami i kłami rozszarpał ich Numa, straszliwe wcielenie okrucieństwa i drapieżnego głodu.

Ludzie nieprzypadkiem walczyli między sobą, usiłując wymknąć się okropnej istocie, która od dzieciennych lat budziła w nich grozę. Czepiali się ścian, wdrapywali się nawet na wał, nie bacząc na niebezpieczeństwo, grożące im od strony pasa neutralnego.

Anglicy, powoli posuwający się ku niemieckim okopom, natknęli się na przerażonych, czarnych żołnierzy, którzy rzucali się im do nóg, aż nazbyt gotowi do poddania się. Że we wrogich okopach działa się coś piekielnego, jasne było dla Rodezyjczyków nie tylko z powodu zjawienia się dezertersów, ale i z odgłosu skowytów i przekleństw, do ich uszu dochodzących; zdumiał ich wszakże jeden dźwięk, gdyż brzmiał ni mniej, ni więcej, jeno jak wściekłe pomruki rozjuszonego lwa.

Gdy wreszcie weszli do okopu, nagle wprost przed tymi z lewego flanku zagrało działo szybkostrzelne i wielki lew, z wrzeszczącym żołnierzem niemieckim w zębach, przemknął przed nimi i znikł w cieniach nocy. Na lewo, przykucnięty poniżej działa, Małpi Tarzan oczyszczał niemieckie okopy.

Rodezyjczycy, idący na czele, ujrzeli coś więcej jeszcze - ujrzeli, jak barczysty oficer niemiecki wynurzył się ze schronu za człowiekiem-małpą. Ujrzeli, jak pochwycił nienabity karabin z nasadzonym bagnetem, jak skradał się do pozornie nieświadomego Tarzana. Rzucił się naprzód, wznosząc ostrzegawcze okrzyki, które jednak nie mogły przeniknąć poprzez piekielne wrzaski w okopach i huczenie działa. Niemiec schował się za wał, tłuste ręce dźwignęły kolbę karabinu, by zadać tchórzliwy cios w nagie plecy. Wtedy, jak Ara-błyskawica, zerwał się człowiek-małpa.

To nie człowiek skoczył na niemieckiego oficera, wytrącając mu z ręki bagnet, jak gdyby słomkę

z dłoni dziecka - był to dziki zwierz i ryk dzikiego zwierzęcia wydarł się z jego gardła. Gdy ten szczególny zmysł, wspólny zwierzętom puszczy, ostrzegł Tarzana o obecności wroga za jego plecami i człowiek zwierzę odwrócił się twarzą do przeciwnika, oczy jego poznały na bluzie nieprzyjaciela te same odznaki pułkowe, które widział na mordercach swej żony i swego ludu, na tych, którzy zniweczyli jego dom i jego szczęście.

Zęby dzikiego zwierza wpiły się w plecy Prusaka, szpony dzikiego zwierza szarpały tłusty kark. Chłopcy z Drugiego Pułku Rodezyjskiego zobaczyli coś, czego nie zapomnieli aż do śmierci. Ujrzeni, jak olbrzymi człowiek-małpa podniósł w górę ciężkiego Niemca i potrząsał nim, jak jamnik potrząsa szczurem, jak Sabora-lwica, potrząsa swym łupem. Ujrzeni jak oczy Niemca wyłaziły z orbit, gdy słabymi rękami na próżno tłukł po potężnej piersi i głowie napastnika. Ujrzeni, jak Tarzan odwrócił nagle wroga, kolano przycisnął do jego kręgow, ramieniem otoczył mu szyję i powoli nachylał go do ziemi. Kolana Niemca ugięły się i padł na nic, lecz niezwyciężona moc pochylała go nadal. Rozległo się przedśmiertne charczenie, potem coś trzasnęło - Tarzan odrzucił na bok obwisły, martwy przedmiot.

Rodezyjczycy chcieli wznieść okrzyk podziwu - ale głos zamarł w ich piersiach, gdyż w tej chwili Tarzan postawił nogę na trupie i, wznosząc oblicze ku niebu, wydał osobliwy, przerażający okrzyk zwycięski wielkich małp.

Podporucznik von Goss nie żył.

Bez jednego spojrzenia na grozą przejętych żołnierzy, wyskoczył Tarzan z okopu i znikł.

ROZDZIAŁ V

ZŁOTY MEDALION

Mała armia angielska w Afryce Wschodniej, po wielu niepowodzeniach wynikających z liczebnej przewagi wroga, zaczynała brać górę. Ofensywa niemiecka była złamana i Niemcy powoli cofali się wzdłuż linii kolejowej do Tanga. Przełamanie szeregów niemieckich nastąpiło po opróżnieniu jednej sekcji ich okopów z lewego skrzydła przez Tarzana i Numę-lwa, owej pamiętnej nocy, gdy człowiek-małpa rzucił wygłodzonego pożeracza ludzi na przesądnych i struchlałych krajowców. Drugi Pułk Rodezyjski natychmiast zajął opuszczony okop i z tej pozycji ogniem flankowym raził przylegające sekcje linii niemieckich; dzięki tej dywersji pomyślny atak nocny zrównoważył siły przeciwników.

Upłynęły tygodnie. Niemcy uporczywie bronili każdej piędzi bezwodnej, cierniami porosłej ziemi, kurczowo trzymając się swoich stanowisk wzdłuż linii kolejowej. Oficerowie z Drugiego Pułku Rodezyjskiego nie widzieli więcej Tarzana, odkąd zamordował porucznika von Gossa i znikł w kierunku środka pozycji nieprzyjacielskich. Przypuszczali, że został zabity przez Niemców.

- Mogli go zabić - przyznał pułkownik Capell - lecz pewien jestem, że nie wzięli go żywcem.

Istotnie, ani go ujęli, ani zabili. Tarzan przyjemnie i pożytecznie spędził ten czas.

Zebrał on sobie znaczny zapas wiadomości co do rozkładu i siły wojsk niemieckich, ich metod prowadzenia wojny i różnych sposobów, jakimi samotny Tarmangani może nużyć armię i obniżyć jej ducha.

Miał obecnie specjalny cel na oku. Był pewien szpieg niemiecki, którego pragnął wziąć żywcem i zaprowadzić do Anglików. Po swej pierwszej wizycie w niemieckiej kwaterze głównej widział, jak młoda kobieta wręczała jakieś pismo niemieckiemu generałowi, później zaś tę samą młodą kobietę spostrzegł wśród szeregów angielskich, w mundurze angielskiego oficera. Wniosek jasny - była szpiegiem.

Odwiedzał więc Tarzan przez wiele nocy niemiecką kwaterę główną w nadziei, że ją znowu spotka lub znajdzie jakiś sposób dowiedzenia się, gdzie przebywa; jednocześnie zaś starał się napędzić Niemcom stracha. Że mu się ostatnio udawało, przekonywał się z urywków rozmów, jakie podchwytывał, włócząc się po niemieckich obozach. Pewnej nocy, gdy leżał ukryty w krzakach tuż obok pułkowej kwatery głównej, usłyszał rozmowę oficerów. Jeden z nich nawiązywał do historii, opowiadanych przez tubylczych żołnierzy w związku z rozgromieniem ich przez lwa przed kilku tygodniami i jednoczesnym wówczas ukazaniem się w ich okopach nagiego, białego olbrzyma, o którym głęboko byli przekonani, że był duchem dżungli.

- Musiał to być ten sam łotr, który wdarł się do kwatery generała i porwał Schneidera - twierdził jeden. - Nie pojmuję, jak on potrafił wybrać biednego Schneidera. Podobno tylko o niego mu

chodziło. Miał w rękach von Keltera, mógł z łatwością wziąć samego generała, ale nikt go nie obchodził, prócz Schneidera. Gonił go po pokoju, schwycił i porwał. Bóg raczy wiedzieć, jaki los biedaka spotkał.

- Kapitan Fritz Schneider wyjaśnia to niejako teoretycznie - odezwał się drugi. - Przed jednym czy dwoma tygodniami powiedział mi, że zdaje mu się, iż wie, dlaczego jego brat został porwany - że stało się to na skutek poplątania osób. Nie był tego zupełnie pewien, dopóki nie został zamordowany von Goss, najwidoczniej przez to samo stworzenie owej nocy, gdy lew dostał się do okopów. Von Goss należał do kompanii Schneidera. Znalaziono też jednego z ludzi Schneidera ze skreconym karkiem tej samej nocy, kiedy nastąpiło porwanie majora. Schneider przypuszcza, że ten diabeł czuje coś do niego i jego kompanii i że owej nocy przyszedł do niego, brata zaś porwał przez omyłkę. Mówi on - tak mu powiedział Kraut - że w tej chwili, gdy generał przedstawił majora panie Kirchner, zaledwie zdążył wymówić nazwisko, dzikus wskoczył przez okno i rzucił się na majora. Zebrani nagle skamieniali nasłuchując.

- Co to było? - szepnął jeden, spoglądając w gąszcz, skąd dobiegło stłumione warczenie, gdy małpi Tarzan usłyszał, że morderca jego żony jeszcze żyje.

Długą chwilę oficerowie stali w nerwowym naprężeniu, z oczyma utkwionymi w krzaki, skąd rozległ się groźny dźwięk. Przypomniały im się tajemnicze zniknięcia zarówno spośród ludnych obozów, jak i samotnych placówek. Pomyśleli o zmarłych, zamordowanych prawie na oczach kolegów przez jakieś niewidzialne ręce. Przypomnieli sobie piętna na martwych piersiach - były to znaki szponów lub potężnych palców - na plecach i szyjach, gdzie widoczne były ślady straszliwych zębów - i czekali z wyciągniętymi pistoletami.

Raz krzaki poruszyły się prawie niedostrzegalnie i w chwilę później jeden z oficerów, bez ostrzeżenia, dał ognia; ale nie było tam Małpiego Tarzana. W przerwie między poruszeniem się krzaków a strzałem znikł w cieniach nocy. W dziesięć minut później krążył po krańcach obozu, gdzie tej nocy biwakowali czarni żołnierze krajowej kompanii kapitana Fritza Schneidera. Ludzie leżeli na ziemi pod gołym niebem, dla oficerów jednak rozstawiono namioty. Ku nim zaczął się Tarzan podkradać. Było to przedsięwzięcie trudne i niebezpieczne, gdyż Niemcy mieli się teraz na baczności z powodu niepojętego wroga, który nocami zakradał się do ich obozów - człowiek-małpa jednak wyminął wartowników, zwiódł czujność wewnętrznych placówek i doczołgał się wreszcie do linii oficerskiej.

Tu rozpląszczył się na ziemi tuż za najbliższym namiotem i zaczął nasłuchiwać. Ze środka dochodził regularny oddech śpiącego człowieka - jednego tylko. Tarzan był zadowolony. Przeciął nożem rzemienie, związujące z tyłu płótna namiotu i wszedł. Liść, opadający na ziemię w bezwietrzny dzień, nie zrobiłby mniej szmeru. Podszedł do śpiącego i nachylił się nad nim. Nie wiedział naturalnie, czy to był Schneider, czy kto inny, nigdy bowiem Schneidera nie widział; musiał się jednak dowiedzieć i czegoś więcej ponadto.

Ostrożnie potrząsnął śpiącego za ramię. Człowiek obrócił się ociężale i zamruczał.

- Milczeć! - upomniał go szeptem człowiek-małpa. - Milczeć, bo zabiję.

Niemiec otworzył oczy. W półcieniu ujrzał olbrzymią postać. Nagle potężna dłoń ścisnęła jego ramię, druga lekko objęła jego gardło.

- Nie krzycz - rozkazał Tarzan - szeptem odpowiadaj na moje pytania. Jak się nazywasz?

- Luberg - odpowiedział oficer. Drżał na całym ciele. Niesamowita zjawia przejęła go trwożą. I on także przypomniał sobie ludzi tajemniczo zamordowanych wśród ciszy nocnej. - Czego chcesz ode

mnie?

- Gdzie jest kapitan Fritz Schneider? Który jest jego namiot?

- Nie ma go tu - odpowiedział Luberg. - Wczoraj wysłano go do Wilhelmstahl.

- Nie zabiję cię, na razie - rzekł Tarzan. - Najpierw pójdę i dowiem się, czyś mnie okłamał, a jeśli tak, tym straszliwsza będzie twoja śmierć. Czy wiesz, jak umarł major Schneider?

Luberg przecząco ruszył głową.

- Ja wiem - ciągnął dalej Tarzan. - Nie był to przyjemny rodzaj śmierci, nawet dla przeklętego Niemca. Obróć się twarzą na dół i zamknij oczy. Nie ruszaj się i żadnego głosu nie wydawaj.

Oficer uczynił, jak mu kazano i Tarzan wyslizgnął się z namiotu. W godzinę później był daleko od obozu niemieckiego, dążąc do górskiego miasteczka Wilhelmstahl, letniej siedziby władz niemieckiej Afryki Wschodniej.

* * *

Fräulein Berta Kirchner zabłąkała się. Zła była i upokorzona. Długo nie chciała pogodzić się z myślą, że ona, tak dumna ze swej umiejętności orientowania się w lesie, zabłądziła na tej małej przestrzeni między Pangani i linią kolejową Tanga! Wiedziała, że Wilhelmstahl leży na południowy-wschód od niej o jakie pięć mil odległości, lecz wskutek głupiego zbiegu okoliczności, nie mogła określić, gdzie jest południowy-wschód.

Najpierw z głównej kwatery niemieckiej skierowała się ku dobrze wydeptanej drodze, przez którą maszerowały wojska, i miała wszelkie powody liczyć na to, że ten szlak doprowadzi ją do Wilhelmstahl. Ostrzeżono ją jednak w drodze, że silny patrol angielski wyruszył zachodnim wybrzeżem Pangani, przeprowił się na południu, a teraz maszerował torem kolejowym ku Tonda.

Zeszedłszy z drogi, znalazła się w gęstwinie leśnej, a ponieważ niebo było zaciągnięte chmurami, chciała poradzić się kompasu i dopiero teraz spostrzegła z przerażeniem, że nie miała go przy sobie. Tak jednak pewna była swej zdolności orientowania się w lesie, że jechała dalej w kierunku, który brała za kierunek zachodni, póki nie przebyła takiej przestrzeni, jaka, w jej przekonaniu, zapewniała jej, jeśli teraz zwróci się na południe, bezpieczne obejście tyłów patroli angielskich.

Nie powstały w niej żadne wątpliwości dopóki, znacznie póź niej, nie skręciła powtórnie na wschód, raczej na południe, wedle swego mniemania, od patrolu. Było dobrze po południu - dawno już powinna była dotrzeć z powrotem do drogi na południe o Tonda; zaczęła się niepokoić.

Koń jej szedł cały dzień bez paszy i bez wody, noc zapadła uprzytomniła sobie, że beznadziejnie zabłąkała się w dzikiej i bezdrożnej okolicy, znanej ze zjadliwych much tse tse i drapieżnych zwierząt. Można było oszaleć na myśl, że absolutnie nie ma pojęcia, w jakim kierunku jedzie, że może coraz bardziej oddala się od toru kolejowego, coraz więcej zagłębiając się w ponure i odstręczające pustkowia ku Pangani; a jednak niepodobieństwem było zatrzymać się - trzeba podążać naprzód.

Cokolwiek można by zarzucić Bercie Kirchner - tchórzem nie była. Gdy jednak noc zaczęła zapadać, nie mogła odpędzić myśli o okropnościach czekających ją długich godzin, zanim wschodzące słońce rozproszy styksowe cienie - o strasznej nocy, wywabiającej z ukrycia wszystkich włóczęgów, wszystkich drapieżników dżungli.

Zanim ciemności ogarnęły las, znalazła polankę z niewielką kępą drzew pośrodku i tu postanowiła przenocować. Wysoka i gęsta trawa zapewniła paszę dla konia i łożę dla niej, pod dostatkiem też było suchych gałęzi. Rozkulbaczyła konia i uwiązała go do drzewa, nazbierała chrustu i zanim zupełnie się ściemniło, miała porządne ognisko i zapas paliwa na całą noc.

Posiliła się zimnymi zapasami, wyjętymi z kieszeni siodła i napiła z manierki wody - jeden łyk tylko. Na więcej nie mógł sobie pozwolić, gdyż nie wiedziała, ile czasu upłynie, zanim znajdzie świeżą wodę. Martwiło ją to, że nie może napoić konia.

Ciemno było. Nie było ani księżyca, ani gwiazd, a blask je ogniska podkreślił jeszcze ciemność poza nim. Widziała trawę obok siebie i pnie drzew, jasno odrzynające się na tle nieprzeniknionej nocy - poza ogniskiem była czarna ściana.

W dżungli zdawała się panować groźna cisza. Hen daleko w wielkiej odległości głucho grzmiały ciężkie działa. Nie umiał oznaczyć ich kierunku. Wyteżyła słuch, nie mogła wszakże po wiedzieć, skąd szedł ten odgłos. A miało to dla niej wielkie znaczenie, gdyż pole bitwy leżało na północy i gdyby tylko zdołała określić kierunek huku dział, wiedziałyby jaką drogę obrać rankiem.

Rankiem! Czy dożyje do rana? Wzruszyła ramionami i wyprostowała się. Trzeba odpędzić podobne myśli, na nic się nie zdadzą. Odważnie nuciła piosenkę, kładąc siodło w pobliżu ogniska i zbierając naręcza trawy, by urządzić sobie wygodne siedzenie, które nakryła derką spod siodła. Rozwinęła gruby płaszcz wojskowy i okryła się nim, bo zrobiło się chłodno.

Usiadłszy tak, by móc oprzeć się o siodło, przygotowała się do czuwania przez całą noc. W ciągu godziny ciszę przerywał tylko daleki huk armat i chrzęst trawy w zuchwach konia, gdy nagle w odległości mili* zagrzmiął ryk lwa. Dziewczyna zerwała się i sięgnęła po broń. Lekki dreszcz wstrząsnął jej drobną postacią, uczuła gęsią skórkę na całym ciele.

Złowróbnny dźwięk powtórzył się raz i drugi, za każdym razem pewna była, że coraz bliżej. Mogła określić kierunek tego głosu, jakkolwiek nie umiała określić kierunku huku ciężkich armat, gdyż źródło pierwszego było znacznie bliższe. Lew szedł z wiatrem i dlatego pewnie jej nie zwęszył; zbliżał się, zwabiony może blaskiem ogniska, które niewątpliwie było widoczne ze znacznej odległości.

Jeszcze jedną pełną trwogi godzinę spędziła, wyteżając wzrok i słuch w czarną pustkę, ziejącą poza małą wysepką światła. Przez cały ten czas lew nie zaryczał ani razu, miała jednak uczucie, że skrada się ku niej. Coraz to zrywała się i wpatrywała w ciemności poza drzewami, gdyż jej przemęczone nerwy wyczuwały szmer skradających się cichych stóp. Trzymała broń na kolanach w pogotowiu do strzału i drżała od stóp do głowy.

Nagle koń podniósł głowę i zarżał; z lekkim okrzykiem dziewczyna zerwała się na nogi. Wierzchowiec obrócił się i szedł ku niej, póki linka nie zmusiła go do zatrzymania się; wtedy zakołował i z nastroszonymi uszami wpatrzył się w ciemności; dziewczyna jednak niczego nie mogła dojrzeć, ni dosłyszeć.

Minęła jeszcze godzina trwogi, w ciągu której koń niejednokrotnie podnosił głowę i długo, i bacznie wpatrywał się w mroki. Dziewczyna od czasu do czasu dokładała do ognia. Była bardzo senna; ciężkie jej powieki opadały coraz częściej, nie śmiała jednak zasnąć. W obawie, by sen jej nie zmorzył, wstała i zaczęła się przechadzać zwawo tam i na powrót, dorzuciła drzewa do ogniska, podeszła do konia i pogłaskała go po pysku, wróciła wreszcie na swoje miejsce.

Oparta o siodło próbowała zająć myśli planami na jutro, widocznie jednak zdrzemnęła się. Wzdrygnęła się i obudziła. Był jasny dzień. Okropna noc minęła.

Z trudnością uwierzyła świadectwu swych zmysłów. Spała szereg godzin, ogień wygasł, a mimo to i ona żyła, i jej koń był cały i żywy. A co najlepsze, świeciło słońce, wskazując drogę na wschód. Pośpiesznie przełknęła parę kęsów swej cennej racji, co wraz z łykiem wody stanowiło całe jej śniadanie, po czym osiodłała konia i dosiadła go. Czowała się tak bezpieczną, jak gdyby była już w

Wilhelmstahl.

Niechybnie zmieniałaby zdanie, gdyby widziała dwie pary oczu, które z dwu różnych punktów gęstwiny śledziło każdy jej ruch.

Wesoło, niczego nie podejrzewając, jechała przez polankę ku gąszczom, a wprost za nią żółtozielone oczy błyskały okrutnie, płowy ogon drgał nerwowo, pod gibkim tułowiem aksamitne łapy prężyły się do skoku. Gdy koń już był prawie na skraju polanki, Numa-lew dał susa w powietrzu. Potracił wierzchowca w chwili, gdy ten, przerażony, cofał się. Siła uderzenia obaliła konia tak szybko, że, zanim dziewczyna zdążyła wyskoczyć z siodła, runął na ziemię, przygniatając jej lewą nogę.

Struchlała dziewczyna ujrzała potężne szczęki, zaciskające się na karku konia, usłyszała chrupanie kości - jej wierny przyjaciel wydał ostatnie tchnienie. Numa przykucnął przy łupie, oczy wpijając w dziewczynę - czuła na swej twarzy jego gorący oddech. Zdawało się jej, że wieki tak na siebie patrzą. Lew wydał groźny pomruk.

Nigdy jeszcze nie była Berta Kirchner tak przerażona - nigdy jeszcze nie miała takiego powodu, by czuć trwogę. Miała u boku pistolet, broń pewna, która pozwalała jej stawić czoło człowiekowi, ale która była igraszką wobec wielkiego zwierza.

Wiedziała, że w najlepszym razie tylko podrażni lwa, a jednak postanowiła drogo sprzedać życie, czuła bowiem, że musi umrzeć. Żadna ludzka pomoc, gdyby nawet się zjawiała, na nic by się nie zdała. Oderwała na chwilę wzrok od hipnotyzujących ją oczu i westchnęła po raz ostatni do Boga. Nie błagała go ratunek, wiedziała, że to byłoby próżne, modliła się tylko o rychłą i możliwie bezbolesną śmierć.

Nikt nigdy nie zdoła przewidzieć, co lew uczyni w danych okolicznościach. Ten przez chwilę spoglądał na dziewczynę pomrukując, po czym rzucił się łapczywie na zabitego rumaka. Fräulein Kirchner przeczekała chwilę i nieznacznie popróbowowała wyciągnąć nogę spod konia; lecz nie mogła poruszyć nią. Zwiększyła swe wysiłki, ale Numa spojrzał na nią mruczając.

Dziewczyna znieruchomiała. Spodziewała się, że lew nasyci głód i odejdzie, by się położyć, liczyła jednak na to, że zostawi ją żywa. Niezawodnie resztki jadła zaciągnie w krzaki, by je tam przechować a wówczas, ponieważ niewątpliwie uważał ją za część swego łupu, wróci do niej i zabije.

Numa wziął się z powrotem do uczy. Nerwy dziewczyny były napięte do najwyższego stopnia; dziw bierze, że nie zemdląca. Przypomniła sobie, jak często pragnęła spotkać się z lwem oko w oko, zabić go i skosztować jego mięsa. O Boże! Jakże realistycznie ziściło się jej marzenie!

Znowu pomyślała o pistolecie. Gdy padała, olstro wyslizgnęło się i leżało teraz opodal. Pomaleńku sięgnęła po nie, lecz przy tym ruchu musiała dźwignąć się cokolwiek z ziemi. Lew zerwał się bezzwłocznie. Ze zwinnością kota przeskoczył trupa końskiego i ciężką łapę położył jej na piersi, mruczając wciąż i warcząc. Minęła chwila - żadne nie drgnęło. Wówczas spoza siebie dziewczyna usłyszała ludzki głos, wydający zwierzęce dźwięki.

Numa oderwał wzrok od twarzy ofiary i spojrzał na to, co zjawiało się poza nią. Pomruki jego przeszły w ryk, gdy cofnął się, zdzierając szponami kawał bluzy z dziewczyny, obnażając jej białe ciało, cudem jakimś lub przypadkiem, nie tknięte ostrymi pazurami.

Małpi Tarzan był świadkiem całego zajścia od chwili, gdy Numa skoczył na dziewczynę i gdy Numa ją napadł, w pierwszej chwili zamierzał pozostawić ją własnemu losowi. Wszak była nienawistną Niemką i szpiegiem w dodatku! Widział ją w kwaterze generała Krauta, konferującą ze

sztabem niemieckim, później zaś w szeregach angielskich, przebraną za oficera angielskiego. Ostatnia właśnie myśl skłoniła go do wystąpienia. Niewątpliwie generał John Smuts rad będzie zobaczyć ją i wybadać. Może uda się wydrzeć od niej cenne wiadomości, zanim każe ją rozstrzelać.

Tarzan poznał nie tylko dziewczynę, ale i lwa także. Dla nas, zapewne, wszystkie lwy są do siebie podobne; inaczej ma się rzecz z mieszkańcami puszczy. Dla nich każde zwierzę ma tak samo swe indywidualne oblicze, swój kształt i ruchy, jak dla nas oddzielni członkowie rodzaju ludzkiego. Prócz tego mają one szczególną cechę jeszcze wyraźniejszą - woń. Każdy z nas, człowiek czy zwierzę, posiada specjalną swoją woń i właśnie po zapachu zwierzęta, obdarzone nadzwyczajnym węchem, rozpoznają poszczególne jednostki.

Oto dowód. Widzieliście to tysiące razy - pies poznaje wasz głos i patrzy na was. Zna on waszą twarz i postać. Nie ma w jego umyśle żadnych wątpliwości, że to wy jesteście; ale czy to mu wystarcza? Musi zbliżyć się i obwąchać was. Wszystkie inne jego zmysły mogą być omylne, prócz zmysłu powonienia i tylko ostatnie świadectwo daje mu zupełną pewność.

Tarzan poznał, że to ten sam Numa, któremu był nałożył kaganiec ze skóry Horty-dzika, którego przez dwa dni wodził na linie i wreszcie wpuścił do okopu niemieckiego, i wiedział, że, Numa również jego poznał - że pamięta ostrą włócznię, która: nauczyła go uległości i posłuszeństwa, i spodziewał się, że lekcja nie wypadła z pamięci lwa.

Posunął się naprzód, przemawiając do Numy językiem wielkich małp, ostrzegając go, by nie ruszał dziewczyny. Czy mowę jego lew zrozumiał - nie wiadomo, zrozumiał jednak groźbę ciężkiej włóczni, którą Tarmangani trzymał w silnej, brązowej dłoni - cofnął się więc z pomrukiem, ważąc w swym ciasnym mózgu, co czynić: natrzeć, czy też uciec.

Człowiek-małpa podchodził do lwa, ani na chwilę nie zatrzymując się. „Idź precz, Numo!”, zawołał, „albo Tarzan znowu cię zwiąże i poprowadzi głodnego poprzez dżunglę. Spójrz na Arad, moją włócznię! Czy pamiętasz, jak jej ostrzem kłułem cię i jak cię biłem po głowie jej rękojęścią? Odejdź Numo, jam jest Małpi Tarzan!”

Numa ściągnął skórę swej twarzy w tak grube fałdy, że oczy jego prawie znikły i zaczął mrużyć, i ryczeć, i warczeć, i znowu mrużyć; gdy zaś ostrze włóczni nieomal go dotknęło, odtrącił je wprawdzie łapą, lecz cofnął się. Tarzan przekroczył martwego konia, a leżąca za nim dziewczyna szeroko rozwartymi oczyma spoglądała na piękną postać, odpędzającą gniewnego lwa od łupu.

Gdy Numa cofnął się o kilka łokci, człowiek-małpa zwrócił się do dziewczyny wybomą niemiecką:

- Czy pani ciężko ranna?

- Sądzę, że nie - odrzekła - tylko nie mogę wydostać nogi spod konia.

- Niech pani jeszcze raz spróbuje. Nie wiem, jak długo zdołam powstrzymać Numę.

Dziewczyna szarpnęła się z całej siły, padła wreszcie wycieńczona.

- Niepodobieństwo - rzekła.

Powoli cofał się tyłem, aż znalazł się znowu obok konia, nachylił się, ujął popręg, szczęśliwie nietknięty, i jedną ręką dźwignął konia z ziemi. Uwolniona dziewczyna zerwała się na nogi.

- Czy może pani chodzić? - zapytał Tarzan.

- Tak - odrzekła - noga mi zdrętwiała, ale nie jest, zdaje się, uszkodzona.

- Tak dobrze. Niech się pani z wolna cofa poza mnie - proszę unikać gwałtownych ruchów. Mam nadzieję, że nie rzuci się na nas.

Z największą ostrożnością posuwali się tyłem ku gęstwinie. Numa stał przez chwilę, po czym

ruszył za nimi. Tarzan ciekaw był, czy zatrzyma się przy swej zdobyczy, czy pójdzie dalej. Jeśli pójdzie dalej - należy oczekiwać natarcia, a jeśli natrze - porwie jedno z nich.

Gdy lew doszedł już do zabitego konia, Tarzan zatrzymał się. Numa też, jak to Tarzan przewidywał. Człowiek-małpa czekał, co dalej nastąpi. Lew popatrzył chwilę na ludzi, gniewnie zawarczał, rzucił okiem na ponętne mięso i wrócił do przerwanej uczty.

Dziewczyna głęboko odetchnęła z uczuciem ulgi, gdy człowiek-małpa zaczął dalszy odwrót; a gdy nareszcie dotarli do gęstwiny, zachwiała się i byłaby upadła, gdyby jej Tarzan nie był podtrzymał. Trwało to tylko chwilę, opanowała się natychmiast.

- Nie mogłam temu zapobiec - rzekła na w pół przepraszając. - Byłam tak bliska śmierci - takiej ohydnej śmierci, to mnie na chwilę osłabiło; ale już czuję się zupełnie dobrze. Jak mam panu podziękować? To było zdumiewające - zdawało się, że pan wcale się nie boi straszliwego stworzenia, raczej ono przelękło się pana. Kto pan jest?

- On mnie zna - ponuro odparł Tarzan - i dlatego boi się mnie.

Stał patrząc na dziewczynę i po raz pierwszy miał sposobność dobrze jej się przyjrzeć.

Była bardzo piękna - trudno było temu zaprzeczyć - Tarzan jednak spostrzegł jej piękność jedynie podświadomie. Była to rzecz zewnętrzna - nie zdobiła jej duszy, która musiała być czarna jak grzech. Była Niemką - szpiegiem niemieckim. Nienawidził jej i obmyślał jej zgubę; zamierzał wszakże wybrać taki sposób, który by jak największą szkodę wyrządził sprawie nieprzyjacielskiej.

Zobaczył jej nagie piersi, z których Numa zdarł odzież; na białym, delikatnym ciele ujrzał coś co wykrzywiło mu twarz gniewem i zdziwieniem: brylantami wysadzony złoty medalion - zastaw miłości, skradziony z piersi jego żony przez Schneidera, podłego Szwaba, wisiał na jej szyi. Dziewczyna zauważyła ten wyraz twarzy, ale go nie zrozumiała. Tarzan szorstko schwycił ją za ramię.

- Skąd pani to ma? - zapytał zrywając klejnot z jej szyi. Dziewczyna wyprostowała się.

- Precz z rękami!

Lecz Tarzan nie zwracał uwagi na jej słowa, jeszcze mocniej ściskając jej ramię.

- Proszę odpowiedzieć - warknął. - Skąd pani to ma?

- Cóż to pana obchodzi?

- To jest moje - odrzekł. - Proszę powiedzieć, kto dał to pani, albo cisnę panią z powrotem Numa.

- Zrobiłby pan to? - zapytała.

- Dlaczego nie? Pani jest szpiegiem, a schwytanego szpiega czeka śmierć.

- Pan więc zamierza mnie zabić?

- Zamierzałem zabrać panią do kwatery głównej. Tam wiedzieliby, co z panią zrobić, ale Numa może to uczynić równie skutecznie. Co pani woli?

- Kapitan Fritz Schneider dał mi to - rzekła.

- A więc kwatera główna. Idźmy!

Dziewczyna szła przy jego boku, a myśl jej żywo pracowała.

Kierowali się na wschód, co jej dogadzało; zadowolona też była, że ma w lesie opiekę tego wielkiego, białego, dzikiego człowieka. Liczyła na pistolet, który wisiał u jej biodra. Ten człowiek musiał być szalony, że jej go nie odebrał.

- Dlaczego pan mnie bierze za szpiega? - zapytała po długim milczeniu.

- Widziałem panią w niemieckiej kwaterze głównej - odrzekł - a później w szeregach

angielskich.

Nie mogła pozwolić, by ją zaprowadził tam, dokąd zamierzał. Musiała dostać się do Wilhelmstahl, choćby nawet miała uciec się do pomocy broni. Spojrzała z ukosa na wysoką postać. Co za przepyszna istota! A jednak - jest to zwierzę, które zamorduje ją lub odda na zamordowanie, jeśli ona go nie zabije. A medalion? Musi go odzyskać, musi go zanieść do Wilhelmstahl. Tarzan był teraz o krok przed nią, gdyż ścieżka nagle się zwężyła. Ostrożnie sięgnęła po pistolet. Wystarczy jeden strzał. Tak blisko, z pewnością nie chybi! Gdy o tym myślała, oczy jej spoczęły na brązowej skórze, pod którą zaokrąglały się piękne mięśnie, na harmonijnych członkach, głowie i postawie, których mógłby pozazdrościć nawet dumny król starożytny.

Poczuła wstręt do zamierzonego czynu. Nie, nie mogłaby tego zrobić - a jednak, musi się uwolnić i odzyskać medalion. I nagle, prawie na oślep, wyciągnęła broń i rękojeścią z całej siły wymierzyła cios w tył głowy. Jak podcięte drzewo zwałił się Tarzan na ziemię.

ROZDZIAŁ VI

ZEMSTA I ŁASKA

W godzinę później Szita-pantera, wybrawszy się na łowy, spojrzała przypadkiem na błękitne niebiosy i uwagę jej zwrócił Ska-sęp, który z wolna krążył nad lasem o milę odległości. Długo spoglądały żółte oczy na odrażającego ptaka. Widziały jak Ska opadał i wznosił się, krążąc nadal; ruchy te były zrozumiałe dla Szity, chociaż nam nic by nie powiedziały.

Pantera odgadła, że na ziemi leżało coś żyjącego - albo zwierzę, pożerające swoją zdobycz, albo zwierzę umierające, na które Ska nie śmie się rzucić. W obu przypadkach mógł to być żer dla Szity, toteż chytry drapieżnik zaczął się skradać określną drogą, na cichych, miękkich stopach, nie sprawiających szmeru. Posuwając się naprzód, zaczęła iść pod wiatr i wówczas, jej nozdrza, wciągając nadlatujące powiewy, odróżniły woń człowieka - Tarmangani.

Szita zatrzymała się. Nie była łowcą ludzi. Młoda była i w pierwszym rozkwicie i zawsze dotychczas unikała tego nienawistnego widoku. Ostatnio trochę się z nim oswoiła, odkąd przez jej dawny teren myśliwski zaczęli przechadzać się liczni żołnierze; ponieważ ci żołnierze wystraszyli większą część zwierzyny, Szita, gdy zdarzyły się dni chude, przywykała do zaspokojenia głodu tą nową zwierzyną.

Dziś Szita była głodna.

Krążący sęp nasuwał przypuszczenie, że Tarmangani musi być bezsilny i bliski śmierci - inaczej Ska nie zwróciłby na niego uwagi - stanie się więc łatwym łupem Szity. Z tą myślą pantera znowu zaczęła się skradać. Wyszła teraz z gąszczu i oczy jej łakomie zatrzymały się na zupełnie nagim Tarmangani, leżącym twarzą do ziemi na wąskim szlaku.

* * *

Numa, nasyciwszy głód, oderwał się od trupa konia Berty Kirchner, niedojedzoną resztę zaciągnął w krzaki, po czym ruszył na wschód do legowiska, gdzie zostawił samicę. Obżarty, czuł się bardzo dobrze, pragnął snu i bynajmniej nie był w nastroju wojowniczym. Poruszał się powoli, majestatycznie, nie kryjąc się wcale.

Król szedł na przechadzkę, nikogo się nie lękając.

Rzucając od czasu do czasu monarsze spojrzenia na prawo i lewo, szedł wąskim tropem, gdy nagle na zakręcie zatrzymał się na widok Szity, skradającej się do nagiego ciała Tarmangani, leżącego twarzą do ziemi w pyle wąskiej ścieżyny. Numa uważnie przyglądał się spokojnemu ciału. Poznał wkrótce. To jego Tarmangani. Cichy pomruk ostrzeżenia wydobył się z jego gardła. Szita, z jedną łapą na plecach Tarzana, zatrzymała się i odwróciła nagle, by zobaczyć natręta.

Co przemknęło przez ten dziki mózg? Pantera zdawała się rozważać, czy roztropnie będzie bronić tego, co znalazła, i groźnym pomrukiem usiłowała odstraszyć Numę od swej ofiary. A Numa? Czy

myślami jego rządziło pojęcie o prawie własności? Tarmangani był jego albo on był Tarmanganiego? Czy Wielka Biała Małpa nie poskromiła go i nie zmusiła do uległości, a prócz tego, czy nie nakarmiła?

Numie przypomniawszy się trwoga, jaką budził w nim ten człowiek i jego okrutna włócznia; ale w dzikich mózgach trwoga raczej szacunek rodzi niż nienawiść. Numa więc szanował tego, kto go poskromił. Zobaczył Szitę, na którą zwykł patrzeć z pogardą, ośmielającą się naruszać spokój jego pana. Zazdrość i chciwość wystarczyłyby, aby skłonić Numę do odpędzenia Szity, choćby nawet nie był dosyć głodny, by pożreć mięso odebrane niniejszemu kotowi. Ale w małym mózgu olbrzymiej głowy było także poczucie lojalności i może ono właśnie popchnęło Numę ku parszającej panterze.

Szita stała z wygiętym w kabłąk grzbietem i warczała. Numa nie czuł chęci do walki; ale widok pantery, kwestionującej jego prawa, rozpałił nagle jego zapał wojenny. Okrągłe ślepia zabłysły wściekłością, falujący ogon zadarł się sztywno do góry i z grzmiącym rykiem rzucił się Numa na zarozumialca.

Stało się to tak nagle i z tak bliskiej odległości, że Szita nie zdążyła się odwrócić i uniknąć natarcia; odpierała je pazurami i zębami, przewaga jednak nie była po jej stronie. Przeciwnik, prócz większych pazurów i mocniejszych szczęk, miał swą wielkość i ciężar. Pierwsze zaraz natarcie zważyło z nóg Szitę; wprawdzie rozważnie padła na grzbiet i potężne swe tylne nogi nastawiła pod Numę, chcąc mu rozpruć brzuch, Numa jednak uprzedził ją i straszne szczęki zawarły się na gardle pantery.

Wkrótce było po wszystkim. Numa powstał, otrząsnął się i stanął nad poszarpanym ciałem wroga. Jego własna, gładka skóra była pokaleczona, bok ociekał mu krwią: chociaż były to tylko drobne rany, budziły w nim gniew. Spojrzał na martwe ciało pantery i w napadzie szału pochwycił je, i zaczął deptać, to znów je podrzucił, pochylił głowę, ryknął straszliwie i zwrócił się do człowieka-małpy.

Zbliżywszy się do cichej wciąż postaci, obwąchał ją od stóp do głowy. Położył na nią swą wielką łapę i odwrócił do góry. Znowu obwąchał ciało i wreszcie ostrym językiem polizał twarz. W tej właśnie chwili Tarzan otworzył oczy.

Nad nim wznosił się olbrzymi lew, dysząc mu w twarz gorącym oddechem, policzki jego liżąc ostrym językiem. Człowiek-małpa nieraz śmierci zaglądał w oczy, nigdy jednak, jak sądził, z tak bliskiej odległości, pewien był bowiem, że śmierć jest sprawą kilku zaledwie sekund. Oszołomiony był jeszcze uderzeniem, które go powaliło, i dlatego nie poznał w pierwszej chwili lwa, nad nim stojącego.

Wreszcie przyszło przypomnienie i wraz z nim uprzytomnił sobie zdumiewający fakt, że Numa nie zdradzał zamiaru pożarcia go - przynajmniej nie natychmiast. Położenie jego było trudne. Lew stał nad nim okrakiem, przednimi łapami do jego głowy. Tarzan nie mógł więc powstać, nie odsunawszy uprzednio lwa na bok, czy zaś Numa zgodzi się na odepchnięcie - było to pytanie nierozstrzygnięte. Może zwierz uważał go za zmarłego, wszelkie zaś poruszenie, które by zdradziło, że tak nie jest, mogło rozbudzić krwiożercze popędy pożeracza ludzi.

Położenie to jednak zaczęło nużyć Tarzana. Nie miał wcale chęci leżeć tak do nieskończoności, zwłaszcza gdy uprzytomnił sobie, że dziewczyna - szpieg, która chciała rozwalić mu głowę, uciekła niewątpliwie jak tylko mogła najspieszej.

Numa patrzył mu prosto w oczy, świadom teraz widocznie, że Tarmangani żyje. Naraz lew pochylił głowę na bok i zaszlochał. Tarzan znał tę nutę - wiedział, że nie oznaczała ani gniewu, ani

głodu, postawił więc wszystko na jedną kartę.

- Odsuń się Numo - rozkazał i, kładąc dłoń na płowych barkach, odepchnął lwa na bok. Podniósł się i z ręką na nożu, oczekiwał, co będzie dalej.

Dopiero wówczas padł jego wzrok na poszarpane ciało Szity. Z martwego kota przeniósł spojrzenie na żywego, spostrzegł na nim ślady walki i zrozumiał, co zaszło - Numa obronił go przed panterą!

Wydawało się to nieprawdopodobne, a jednak fakt oczywisty. Odwrócił się do lwa i bez obawy zbadał jego rany, które okazały się mało znaczące. Gdy tak klęczał obok lwa, Numa potarł swędzące swe ucho o nagie, brązowe ramię. Tarzan pogłaskał wielki łeb, podniósł z ziemi włócznię i zaczął szukać tropu dziewczyny. Wkrótce go znalazł, prowadził w kierunku na wschód. Gdy ruszył w tę stronę coś nakazało mu pomacać medalion, który zawiesił był sobie na szyi. Nie było go!

Na twarzy człowieka-małpy nie znać było gniewu, prócz lekkiego zaciśnięcia szczęki. Dotknął ręką miejsca na tyle głów tam gdzie wyskoczył guz, i gdzie go dziewczyna uderzyła, a po chwili uśmiech błysnął na jego ustach. Musiał przyznać, że splątała mu dobrego figła i że trzeba dużo zimnej krwi, by zrobić to, ona uczyniła, i żeby, uzbrojona tylko w pistolet, puścić się w bezdrożną pustynię, która ją oddzielała od toru kolejowego, i dalej w góry, gdzie leży Wilhelmstahl.

Tarzan miał uwielbienie dla jej odwagi. Stać było go na to, by to przyznać i podziwiać nawet u szpiega niemieckiego, lecz odwaga ta czyniła dziewczynę bardziej niebezpieczną i tym pilniejsi stawała się potrzeba unieszkodliwienia jej. Spodziewał się, że ubiegnie ją i dlatego puścił się kłusem, a mógł tak biec godziny całe jednym ciągiem, bez zmęczenia.

Nieprawdopodobne było, żeby dziewczyna mogła pieszo dojść do miasta prędzej niż za dwa dni, gdyż miała do przebycia dobre trzydzieści mil i część z nich przez góry. Właśnie, gdy myśl przeszła mu przez głowę, usłyszał od strony wschodniej świst lokomotywy i poznał, że po długich dniach bezczynności, kolej znowu funkcjonowała. Jeśli pociąg szedł na południe, dziewczyna będzie mogła go zatrzymać sygnałem, o ile zdąży dojść na czas. Bystry jego słuch rozpoznał zgrzyt podkutych butów na szynach a w kilka minut później dźwięk sygnału hamulcowego. Pociąg stanął i ruszył znowu, a gdy się oddalił, Tarzan poznał, że idzie południe.

Człowiek-małpa trzymał się ścieżki aż do toru, który urywał się nagle na zachód od linii kolejowej, wskazując, że dziewczyna zatrzymywała pociąg właśnie tak, jak przypuszczał. Nic mu nie pozostało, jeno śpieszyć do Wilhelmstahl, gdzie spodziewał się z stać kapitana Fritza Schneidera i dziewczynę i odzyskać swój brylantami wysadzany medalion.

Ciemno było, gdy Tarzan doszedł do małego miasteczka górskiego, Wilhelmstahl. Zatrzymał się na jego krańcach, zastanawiając się, w jaki sposób nagi biały człowiek może je przeszukać nie budząc podejrzeń. Miasto, pełne żołnierzy, było dobrze strzeżone, gdyż widział samotnego wartownika, chodzącego tam i na powrót najwyżej o sto łokci od siebie. Nietrudno było wyminąć tego jednego, ale wejść do miasta i zbadać je byłoby zupełnie niemożliwe w tym stroju, a raczej wobec braku stroju.

Skradając się, korzystając z każdej zasłony, leżąc na płask i bez ruchu, gdy wartownik zwracał się twarzą w jego stronę, dosięgnął nareszcie zbawienego cienia domu, stojącego na tyłach ulicy. Stąd zaczął posuwać się od budynku do budynku, póki wreszcie za jednym z bungalowów nie odkrył go wielki pies. Zwierzę, warcząc, szło powoli ku niemu. Tarzan stanął nieruchomo pod drzewem. Widział światło w bungalowie i poruszających się w nim umundurowanych ludzi i spodziewał się, że pies nie zaszczeka. Nie szczekał istotnie, ale warczał coraz groźniej i właśnie w chwili, gdy drzwi

bungalowu się otwierały i wyszedł jakiś człowiek, pies natarł.

Był to pies duży, tak duży jak Dango-hiena, a rzucił się z zapalczywością Numy-lwa. Tarzan przykląkł i pies skoczył mu do gardła; lecz nie z człowiekiem miał do czynienia. Zęby jego nie zakosztowały ciała Tarmangani - silne palce, palce stalowe, chwyciły go za kark. Krótko, urywanie szczeknął i pazurami wpił się w nagą pierś; ale już był bezsilny. Potężne palce zacisnęły się na jego gardle; człowiek podniósł się chwycił wczepione weń ciało i odrzucił na bok. W tej samej chwili głos z bungalowu zawołał - „Simba!”.

Nie było odpowiedzi. Powtarzając wołanie, człowiek zeszedł ze stopni i zbliżył się do drzewa.

W świetle otwartych drzwi Tarzan zobaczył wysokiego, barczystego mężczyznę w mundurze niemieckiego oficera. Człowiek-małpa cofnął się w cień drzewa. Mężczyzna podszedł bliżej, wciąż wzywając psa. Nie widział zaczajonego w cieniu dzikiego stworzenia. Gdy zbliżył się na dziesięć stóp, Tarzan skoczył na niego. Siła i ciężar jego ciała obaliły Niemca na ziemię, potężne palce zagłuszyły krzyk i w chwilę później oficer leżał martwy obok trupa swego psa.

Gdy Tarzan stał nad swą ofiarą i żałował, że nie może wydać ulubionego okrzyku zwycięstwa, widok munduru nasunął mu pomysł, który by mu ułatwił możliwość chodzenia po Wilhelmstahl, nie budząc podejrzeń. Po upływie dziesięciu minut wysoki, barczysty oficer wyszedł z podwórza bungalowu, pozostawiając za sobą zwłoki psa i nagiego człowieka.

Śmiało kroczył uliczką i nikomu z mijających go przechodniów nie przyszłoby na myśl, że pod tym cesarskim mundurem niemieckim bije dzikie serce, pełne nieubłaganej nienawiści do Niemców. Postanowił dostać się do hotelu, gdyż spodziewał się, że tam znajdzie dziewczynę, a niewątpliwie gdzie będzie dziewczyna, tam będzie i kapitan Fritz Schneider - jej współnik, czy kochanek, czy obaj razem - i tam będzie również cenny medalion.

Znalazł wreszcie hotel, niski jednopiętrowy budynek z werandą. Wszystkie okna były oświetlone, widać było tam ludzi, przeważnie oficerów. Człowiek-małpa chciał wejść i zapytać o tych, których poszukiwał, zmienił jednak zamiar. Obszedł budynek wokoło, zaglądając do każdego okna na parterze, a nie znalazłszy tych, po których przyszedł, skoczył lekko na dach werandy i zaczął badać przez okna wnętrza pokoi na piętrze.

W narożniku hotelu, w ostatnim pokoju, story były opuszczone, ale słyszał głosy stamtąd dochodzące i raz nawet spostrzegł sylwetkę, która się na chwilę zarysowała na firance. Wyglądała na sylwetkę kobiecą, tak jednak szybko znikła, że nie był tego pewien. Podsunął się pod samo okno i zaczął nasłuchiwać. Tak, tam byli kobieta i mężczyzna - słyszał dźwięki ich głosów, chociaż słów nie mógł rozeznaczyć, gdyż rozmawiali szeptem.

W przyległym pokoju było ciemno. Tarzan spróbował okna - było tylko przymknięte. Pchnął ramę, nadstawił uszu - cisza. Wślizgnął się do środka i szybko się rozejrzał. Pokój był pusty. Podszedł do drzwi, otworzył je i zajrzał do przedpokoju - i tam również nie było nikogo, minął go więc i zbliżył się do drzwi przyległego pokoju, w którym znajdowali się kobieta i mężczyzna.

Przyłgnął do drzwi i słuchał. Teraz mógł już rozróżnić wyrazy, gdyż oboje podnieśli głos, jak gdyby w sprzeczce.

- Przyniosłam medalion - mówiła kobieta - jako dowód mojej tożsamości. Tak było umówione między panem a generałem Krautem. Nie mam innych uwierzytelnień. Miało to wystarczyć. Proszę dać mi papiery i pozwolić mi odejść.

Mężczyzna odpowiedział tak cicho, że Tarzan nie usłyszał jego słów, i znów przemówiła kobieta. W głosie jej przebijała nuta wzgardy, a może po trosze i strachu.

- Nie ośmieli się pan, kapitanie Schneider - rzekła, potem znów: - Proszę mnie nie dotykać!
Precz z rękami!

Małpi Tarzan otworzył drzwi i wszedł do pokoju. Zobaczył wysokiego, o bawolim karku oficera niemieckiego, obejmującego ramieniem kibić Fräulein Berty Kirchner, a drugą ręką usiłującego podnieść do góry jej głowę, w zamiarze ucałowania jej ust.

Dziewczyna wrywała się brutalowi, lecz na próżno. Z wolna usta mężczyzny zbliżyły się do jej warg, coraz mocniej silne ramię przechylało ją w tył.

Schneider usłyszał stuk otwieranych i zamykanych drzwi i odwrócił się.

Na widok obcego oficera puścił dziewczynę i wyprostował się.

- Co znaczy to wejście bez meldowania, poruczniku? - zapytał, zauważywszy naramienniki intruza. - Proszę natychmiast wyjść.

Zamiast odpowiedzi, wyrwał się z ust Tarzana cichy pomruk, od którego dziewczyna zadrżała, czerwona zaś twarz Niemca pobladła, a ręka jego sięgnęła po rewolwer; broń jednak została wydarta mu z dłoni i wyrzucona przez okno na podwórze.

Tarzan zawrócił ku drzwiom i powoli zdejmował płaszcz wojskowy.

- Tyś jest kapitan Fritz Schneider? - rzekł do Niemca.

- Więc cóż z tego? - burknął tamten.

- Jam jest Małpi Tarzan - odrzekł człowiek-małpa. - Teraz wiesz, dlaczego tu wszedł.

Nagie miał piersi pod ciśniętym teraz na ziemię płaszczem, szybko zrzucił spodnie i stanął nagi, tylko z przepaską na biodrach. Dziewczyna poznała go teraz.

- Nie dotykać pistoletu - upomniął ją Tarzan. Ręka jej opadła wzdłuż boku. - Proszę się zbliżyć.

Dziewczyna podeszła, a Tarzan spostrzegł, że gdy wymienił swe imię, rysy Niemca oblekły się śmiertelną bladością. Znalazł wreszcie tego, kogo szukał. Nareszcie jego żona będzie częściowo pomszczona - całkowicie pomszczona nigdy nie będzie. Zbyt krótkie było życie i zbyt dużo było Niemców na świecie.

- Czego pan chce ode mnie? - zapytał Schneider.

- Zapłacisz mi za to, co uczyniłeś w bungalowie, w krainie Waziri - odrzekł człowiek-małpa.

Schneider zaczął krzyczeć i grozić. Tarzan przekręcił w zamku klucz, wyrzucił przez okno, jak poprzednio uczynił z bronią, po czym zwrócił się do dziewczyny.

- Niech się pani odsunie na bok - rzekł cicho. - Małpi Tarzan przyszedł zabić.

Niemiec przestał grozić i zaczął błagać. - Mam żonę i dzieci - zawołał - ja nic nie uczyniłem. Ja...

- Umrzesz taką śmiercią, na jaką podobni tobie zasługują - rzekł Tarzan - z rękami splamionymi krwią i z kłamstwem na ustach. - Rzucił się na Niemca. Schneider był mocno zbudowanym, roslym mężczyzną - równego prawie wzrostu z Tarzanem, ale cięższym od niego. Widząc, że ani prośby, ani groźby nic nie pomogą, przygotował się do walki - jak szczur zapędzony w kąt walczy o życie - z wściekłością, przebiegłością i okrucieństwem.

Pochyliwszy swą bawolą głowę, natarł na człowieka-małpę i zwarli się ze sobą na środku pokoju. Trwali tak chwilę, mocując się, wreszcie Tarzanowi udało się popchnąć Niemca w tył, na stół, który przewrócił się, rozłupany pod ciężarem dwu potężnych ciał.

Dziewczyna szeroko otwartymi oczyma przypatrywała się walce. Patrzyła, jak przewracali się po podłodze, słyszała straszne pomruki nagiego olbrzyma. Widziała, jak Schneider wyciągał palce do gardła wroga, tamten zaś, o zgrozo, zębami sięgał do szyi Niemca!

Schneider zdawał się wszakże to spostrzegać, gdyż podwoił wysiłki, wreszcie udało mu się

wydostać na wierzch i wyrwać z wrażeń uścisków. Zerwał się i pobiegł do okna; nim jednak zdążył wyskoczyć, ciężka dłoń chwyciła go za bary, szarpnęła i cisnęła poprzez pokój na przeciwległą ścianę. Znowu szepili się, wymierzając sobie straszliwe ciosy, wreszcie Schneider przesywającym głosem wrzasnął: „Kamerad! Kamerad!”*

Tarzan chwycił go za gardło i wyciągnął swój nóż myśliwski. Schneider był oparty plecami o ścianę, toteż chociaż kolana chwiały się pod nim, stał prosto, trzymany mocno przez Tarzana. Człowiek-małpa skierował ostrze noża ku dolnej części brzucha ofiary. - W ten sposób zamordowałeś moją żonę - zasyczał. - Umrzesz tak samo!

Dziewczyna postąpiła naprzód chwiejnym krokiem. - O Boże, nie! - krzyknęła. - Nie! Pan jest zbyt mężny. Pan nie może być takim bydlęciem!

Tarzan odwrócił się, spojrzał na nią i rzekł:

- Ma pani słusność. Nie mogę tego zrobić.

Wzniósł ostrze noża i zatopił je w nikczemnym sercu kapitana Fritza Schneidera. Bluzgająca krew przerwała okrzyk, ostatnie tchnienie wydającego Niemca:

- Nie zrobiłem tego! Ona nie jest...

Tarzan zwrócił się do dziewczyny i wyciągnął rękę:

- Proszę oddać mi mój medalion - rzekł. Wskazała na zabitego.

- On go ma.

Tarzan obszukał trupa i znalazł klejnot.

- Teraz niech pani odda mi papiery. Bez słowa dziewczyna podała mu dokumenty.

Długo spoglądał na nią, zanim znowu przemówił.

- Przyszedłem i po panią także. Trudno byłoby zabrać ją stąd i dlatego miałem zamiar zabić panią, gdyż przysiągłem wszystkim was, Niemców, wymordować. Ale słusznie pani powiedziała, że ja nie jestem takim bydlęciem, jak ten morderca kobiet. Nie mogłem zabić go tak, jak on zabił moją żonę, ale nie mogę zamordować pani, bo jesteście kobietą.

Podszedł do okna, otworzył je i po chwili znikł wśród nocy. Wówczas Fräulein Berta Kirchner zbliżyła się do trupa, leżącego na podłodze, sięgnęła do kieszeni jego bluzy, wyciągnęła zwitek papierów, ukryła je w zanadrzu, po czym zaczęła wzywać przez okno pomocy.

ROZDZIAŁ VII

ZEW KRWI

Małpi Tarzan czuł niesmak. Miał być w rękach szpiega niemieckiego, Bertę Kirchner, i puścił ją nietkniętą. Prawda, że zamordował kapitana Fritza Schneidera, prawda, że podporucznik von Goss zginął z jego ręki, prawda, że na różne sposoby wywarł był zemstę na członkach kompanii niemieckiej, która dopuściła się była morderstwa, rabunku i grabieży w bungalowie, w kraju Waziri. Z jednym jeszcze człowiekiem porachunki nie były skończone, ale nie mógł go znaleźć. Wciąż poszukiwał porucznika Obergatza, na próżno jednak. Dowiedział się wreszcie, że wysłano go ze specjalną misją albo do Afryki, albo do Europy - informatorzy bądź nie wiedzieli, bądź nie chcieli wyjawić prawdy.

Jątrzyła go myśl, że dopuścił, by uczucie powstrzymało jego dłoń, gdy tak łatwo mógł usunąć Bertę Kirchner wówczas, w hotelu w Wilhelmstahl. Wstydził się swej słabości. I gdy otrzymane od niej papiery wręczył angielskiemu dowódcy sztabowemu, wciąż był niezadowolony z siebie, mimo że te papiery dopomogły Anglikom do udaremnienia flankowego ataku niemieckiego. Źródło tego niezadowolenia tkwiło prawdopodobnie w tym, że zdawał sobie sprawę, iż gdyby się znalazł powtórnie w takich samych okolicznościach, znowu nie potrafiłby zamordować kobiety, podobnie jak wówczas, w Wilhelmstahl.

Tarzan ganił tę słabość, przypisując ją wpływom cywilizacji, gdyż w głębi swego dzikiego serca gardził cywilizacją i jej przedstawicielami - zarówno mężczyznami, jak kobietami cywilizowanych krajów. Porównywał zazwyczaj ich wątłość, ich głosy, ich hipokryzję i małostkową próżność z otwartym, prymitywnym sposobem bycia mieszkańców puszczy, jednocześnie zaś toczyła się w tym wielkim sercu walka między umiłowaniem tych ostatnich, a przywiązaniem do przyjaciół ze świata kulturalnego.

Człowiek-małpa, wychowany przez dzikie zwierzęta wśród dzikich zwierząt, z trudnością zawierał przyjaźń. Znajomych miał całe setki - przyjaciół niewielu. Tych niewielu oddałoby życie za niego, jak i on za nich, ale żaden z nich nie walczył w szeregach angielskich w Afryce Wschodniej. Toteż Tarzan, obrzydziwszy sobie okrucieństwa wojny, postanowił dać posłuch natarczywym wołaniom odległej puszczy swej młodości, zwłaszcza że Niemcy byli w odwrocie, wojna w Afryce Wschodniej miała się ku końcowi, dalsze więc jego usługi małej być mogły wartości.

Nigdy nie będąc zaciągnięty do służby królewskiej, nie miał żadnego obowiązku pozostawać w niej nadal, teraz gdy przestały działać moralne zobowiązania. Znikł też z obozu angielskiego równie tajemniczo, jak tajemniczo się w nim zjawiał przed kilku miesiącami.

Tarzan nieraz już wracał do świata pierwotnego, by go znowu porzucić dla cywilizowanego z miłości do żony; gdy jej nie stało, czuł, że na zawsze już odrywa się od siedzib ludzkich, by żyć i

umrzeć jako zwierzę między zwierzętami.

Pomiędzy nim a miejscem przeznaczenia leżało bezdrożne pustkowienie, nietknięta odwieczna puszcza, gdzie, niewątpliwie, w wielu miejscach, stopa jego będzie pierwszą stopą ludzką, która dotknie dziewiczego gruntu. Nie odstraszała go ta myśl, była raczej podniecią i zachęcią, gdyż w żyłach jego płynęła szlachetna moc krwi, która większą część powierzchni ziemi uczyniła zdatną do użytku człowieka.

Kwestia strawy i wody, która w umyśle zwykłego człowieka zajęłaby pierwsze miejsce przed podobną wyprawą, nie powstała w głowie Tarzana. Puszcza była jego przyrodzonym mieszkaniem, a orientowanie się w niej tak naturalną czynnością jak oddychanie. Podobnie jak inne zwierzęta dżungli umiał wywęszyć wodę z wielkiej odległości i tam, gdzie my umarlibyśmy z pragnienia, nieomylnie wybrałby sobie odpowiednie miejsce, gdzie by kopał i wodę znalazł.

Przez długie dni szedł Tarzan przez teren obfitych łowów, i częstych strumieni. Posuwał się nie śpiesząc, polując i łowiąc, bratając się lub swarząc z innymi dzikimi mieszkańcami puszczy. Mała Mańka, małpka, klóciła się i wymyślała potężnemu Tarmangani, by za chwilę ostrzec go, że Histah-waż leży zwinięty tuż przed nim w wysokiej trawie. U Mańki Tarzan zasięgał wiadomości o wielkich małpach - Mangani i dowiedział się, że niewiele z nich zamieszkiwało tę część dżungli, że nawet te, w obecnej porze roku, polowały dalej na północy.

- Ale jest tu Bolgani* - rzekła Mańka. - Chciałbyś zobaczyć Bolgani?

Ton Mańki był drwiący; Tarzan wiedział, że było to dlatego, iż według przekonania Mańki, wszystkie stworzenia były się potężnego Bolgani-goryla. Tarzan wygiął swój mocny grzbiet i uderzył się w pierś zaciśniętą pięścią.

- Jam jest Tarzan - wykrzyknął. - Jako małe szczenię Tarzan zabił pewnego Bolgani. Tarzan szuka Mangani, swych braci, ale nie szuka Bolgani, niechaj więc Bolgani nie wchodzi mu w drogę.

Zrobiło to wielkie wrażenie na Mańce, gdyż w puszczy jest przyjęte przechwalać się i wierzyć przechwałkom. Wówczas to zgodziła się opowiedzieć Tarzanowi coś więcej o Manganich.

- Chodzą tam i tam, i tam - mówiła, robiąc szeroki gest ręką na północ, na zachód i na południe. - Bo tam - wskazała na zachód - są dobre łowy; ale to miejsce odgradza wielka przestrzeń, gdzie nie ma co jeść, ani co pić, muszą więc obchodzić tą drogą - i ręką zrobiła półkole, które wyjaśniło Tarzanowi krąg, jaki muszą zatoczyć małpy, by dostać się na swój teren łowów.

Dobre to było dla Manganich, które są leniwe i nie lubią szybko się poruszać, dla Tarzana jednak najlepszą będzie droga prosta. Na przebycie na przelaj suchej okolicy i dostanie się na teren dobrych łowów wystarczy mu trzecia część tego czasu, który by zużył na okrążenie. Idąc więc nadal w kierunku zachodnim i przebywszy pasmo niskich gór, ujrzał rozległe płaskowzgórze, usiane skałami i zupełnie jałowe. W oddali widniał drugi łańcuch gór, poza którym niechybnie leżał teren łowów Manganich. Tam przyłączy się do nich i pozostanie czas jakiś, po czym podąży ku wybrzeżu i odszuka małą chatkę, którą ojciec jego zbudował nad zatoką na skraju dżungli.

Tarzan miał głowę pełną planów. Odbuduje i powiększy chatkę, w której się urodził, przerobi ją na magazyn, w którym małpy będą składały zapasy żywności, zbierane w czasie dobrych łowów na dni głodu - rzecz, o której żadna małpa nigdy nie pomyślała. Plemię małpie pozostanie na stałe w owej okolicy, on zaś, jak w przeszłości, będzie znów ich królem. Spróbuje nauczyć je niektórych pożytecznych rzeczy, które poznał u ludzi; znając jednak zbyt dobrze umysł małpy, obawiał się, że trud jego pójdzie na marne.

Płaskowzgórze wydało się Tarzanowi bardzo surowe. Pocięte było licznymi wąwozami, których

przebycie wymagało często całych godzin męczącego wysiłku. Roślinność była skąpa, brunatnej barwy, co przydawało krajobrazowi ponurości. Wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, rozsiane były wielkie skały, zaryte częściowo w drobniuteńki piasek, który tumanami unosił się w powietrze za każdym krokiem Tarzana. Słońce niechętnie prażyło z nieba, żadną chmurką nie osłoniętego.

Dzień cały przedzierał się przez nienawistną krainę, a gdy słońce zaszło, odległe góry na zachodzie nie wydawały się wcale bliższe niż z rana. Nie dojrzał przez cały ten czas ani jednej żyjącej istoty, prócz Ska, tego ptaka złej wróżby, który niezmordowanie krążył nad nim od chwili, gdy wszedł do tej spalonej pustyni.

Najdrobniejszy robaczek nie zdradzał istnienia tu jakiegoś życia. Głodny i spragniony legł Tarzan tego wieczora na spoczynek. Postanowił iść podczas chłodu nocnego, bowiem gdzie mc nie rośnie i nie żyje, tam nie ma co jeść, i gdzie nie ma wody, tam jej nikt nie znajdzie. Było to coś zupełnie nowego, taki nagi i straszliwy kraj w jego ukochanej Afryce. Nawet na Saharze są oazy; ale ta przerażająca kraina nie zdradzała obecności ani skrawka gościnnej ziemi.

Nie żywił jednak żadnych złych przeczuc, chyba tylko, że do obiecannej przez Manu krainy cudów dotrze z pustym żołądkiem i wysuszoną skórą. Szedł więc aż do brzasku, po czym znowu zatrzymał się, by spocząć. Był nad brzegiem jednego z tych okropnych wąwozów, już ósmego z rzędu, którego strome ściany wyczerpałyby siły mocnego, wypoczętego, dobrze odżywionego człowieka, i po raz pierwszy, gdy spojrzął w głąb przepaści, a potem na przeciwległą ścianę, na którą należało się wdrzeć, złe przeczucia zaczęły go napastować.

Nie lękał się śmierci - pamięć o zamordowanej żonie, zawsze świeża, pobudzała jego nieustraszoną, silny jednak był w nim instynkt samozachowawczy, owa moc życiowa, podtrzymująca go w walce z Wielkim Żniwiarzem, aż do ostatniego tchu, gdy zmoże go najwyższa potęga.

Cień jakiś musnął ziemię obok niego; spojrzawszy w górę, zobaczył Ska-sępa, zataczającego szeroki krąg. Ponury i wytrwały zwiastun śmierci obudził w człowieku nowe siły. Wstał, zbliżył się do skraju wąwozu i wzniosłszy oczy ku drapieżnemu ptakowi, wydał wyzywający okrzyk małpiego samca.

- Jam jest Tarzan! - zawołał. - Pan dżungli! Małpi Tarzan nie jest dla Ska, pożeracza padliny. Wracaj do legowiska Dango i tucz się resztkami, jakich ci udzieli hiena, bo Tarzan w tej pustyni śmierci nie pozostawi ci kości do obgryzania.

Lecz zanim dotarł do dna wąwozu, musiał przyznać, że wyczerpuje się jego wielka moc i gdy padł u stóp skały, wycieńczony, zacisnął pięści na widok przeciwległej ściany, na którą należało się wdrzeć. Godzinę wypoczywał w chłodnym cieniu na dnie przepaści. Ponad nim była bezwzględna cisza, cisza mogilna. Ni szelest skrzydeł ptasich, ni brzęk owada, ni pełzanie gadów nie przerwało śmiertelnego milczenia. Była to w samej rzeczy dolina śmierci. Poczuł, jak opanowuje go przygnębiająca atmosfera tego strasznego miejsca; zerwał się jednak, bo czyż nie był wciąż jeszcze Tarzanem, aż do ostatniego drgnienia swego dzikiego serca!

Przechodząc przez dno wąwozu, zauważył coś leżącego u stóp ściany, do której się zbliżał - coś, co stanowiło zdumiewający kontrast z otoczeniem, a zarazem wydawało się tak dalece cząstką ponurej całości, jak gdyby bezlitosne promienie pałającego Kudu-słońca, wykuły w skale tę rzecz, leżącą u stóp zachodniej ściany.

Gdy podszedł bliżej, ujrzał zbielałą czaszkę i kości ludzkie, z resztkami odzieży i częściami uzbrojenia, które go tak dalece zaciekały, że na chwilę zapomniał o swym położeniu,

zastanawiając się nad tym niemyym świadectwem dawno minionej tragedii.

Kości były dobrze zachowane i zdradzały, że mięso z nich zostało wydziobane przez sępy, gdyż żadna nie była złamana; uzbrojenie było bardzo odległego pochodzenia. W tym zasłoniętym miejscu, gdzie nie było mrozów i gdzie najwidoczniej deszcz był rzadkim zjawiskiem kości mogły wieki całe leżeć, nie rozsypując się.

Obok szkieletu leżał hełm z kutego brązu i zardzewiały napierśnik stalowy, z boku zaś widać było długi, prosty miecz w pochwie i starożytną rusznicę. Kości musiały należeć do ogromnego człowieka - człowiekiem zdumiewającej siły i żywotności musiał być ten, kto tak daleko zaszedł poprzez niebezpieczeństwa Afryki w tak ciężkim uzbrojeniu.

Człowiek-małpa poczuł podziw dla tego bezimiennego awanturника minionych dni. Cóż to musiał być za człowiek bezwzględny, co za świetne walki, co za zmienne koleje losu musiały być udziałem tych zbieleiałych dzisiaj kości! Tarzan zaczął oglądać skrawki odzieży, zwisające jeszcze na szkielecie. Wszelkie ślady skóry znikły; zjedzone niechybnie przez Ska. Nie było butów, o ile w ogóle człowiek ten używał ich, ale dużo leżało sprzączek, co nasuwało przypuszczenie, że znaczna część jego ubioru zrobiona była ze skóry. W pobliżu kości jednej ręki leżał metalowy walec, około ośmiu cali długości i dwu cali średnicy. Tarzan, podniósłszy go, przekonał się że grubo był pokostowany, co go tak dobrze uchroniło przed zniszczeniem, że zachował się w takim stanie, w jakim musiał być, gdy jego właściciel zapadł w ostatni sen, przed wiekami może.

Oglądając walec, zauważył pokrywę, która z łatwością dała się otworzyć. Wewnątrz był zwój pergaminowy, który Tarzan wyjął i rozwinął: ukazało się mnóstwo pożółkłych ze starości arkuszy, gęsto zapisanych pięknym pismem. Język był, jak się wydawało Tarzanowi, hiszpański, lecz nie znając go, nie mógł odczytać treści. Na ostatnim arkuszu była z grubsza narysowana mapa z różnymi znakami, niezrozumiałymi dla człowieka-małpy. Obejrząwszy papiery, włożył je z powrotem do metalowego pudła, zamknął pokrywę i miał właśnie rzucić walec na poprzednie miejsce obok niemych resztek dawnego posiadacza, gdy nagle kaprys niezaspokojonej ciekawości skłonił go do wsunięcia znalezionej przedmiotu do kołczana ze strzałami, mimo ponurej myśli, że, może po upływie kilku stuleci, znów jakiś człowiek znajdzie tu dokumenty obok jego własnych zbieleiałych kości.

Rzuciwszy pożegnalne wejrzenie na starożytny szkielet, zaczął wdzierać się na zachodnią ścianę wąwozu. Powoli, przystając często, wciągał w górę swe słabnące członki. Coraz to ześlizgiwał się i cudem tylko nie zleciał z powrotem na dno wąwozu. Nie umiałby powiedzieć, ile czasu zabrało mu wspinanie się na tę okropną ścianę i gdy nareszcie wgramolił się na szczyty, legł ciężko dysząc, zbyt wyczerpany, by powstać lub odsunąć się choćby na parę cali od brzegu niebezpiecznej przepaści.

Dźwignął się wreszcie, powoli, z wielkim wysiłkiem, lecz nieprzezwyjężona wola życia pchała go naprzód. Szukał wzrokiem następnego wąwozu wiedząc, że teraz rozstrzygnie się jego los. Wzgórza zachodnie wznosiły się już bliżej, chociaż tak niewyraźnie, że zdawały się płaszc w blasku słonecznym, łudząc go swą pozorną bliskością - właśnie wówczas, gdy jego wyczerpanie czyniło je niedosiężnymi.

Wiedział, że poza nimi ciągną się żyzne obszary, o których opowiadała Manu. Jeżeli nawet nie spotka nowego wąwozu, wątpił, czy siły pozwolą mu wspinąć się na niskie bodaj góry, o ile w ogóle dosięgnie ich podnóży. Jeszcze jeden wąwóz zabiłby wszelką nadzieję. Ponad nim Ska krążył wytrwale, wydawało się nawet, że złowróźbne ptaszysko zniża swój lot, jak gdyby czytał w tej słabnącej postaci zbliżanie się końca. Ze spieczonych warg Tarzana wydobył się wyzywający

pomruk.

Powoli, miłą za miłą, posuwał się Małpi Tarzan, podtrzymywany siłą woli, tam gdzie zwykły człowiek wyciągnąłby na wieczny spoczynek zmęczone członki, dla których każde poruszenie było śmiertelnym wysiłkiem. Wreszcie zaczął iść zupełnie machinalnie - posuwał się chwiejnym krokiem, posłuszny podświadomemu nakazowi: naprzód, naprzód, naprzód! Góry były teraz niewyraźną, zaćmioną plamą. Chwilami zapominał, że to góry, i dziwił się, dlaczego musi dążyć do nich poprzez te wszystkie męczarnie - do tych uciekających, zwodniczych wyniosłości. Zaczął je nienawidzić; oto w jego zgorączkowanym mózgu zamajaczyło, że to są góry niemieckie, że zamordowały kogoś bardzo mu drogiego, kogo w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć, i że gonił je, by zabić.

Wyobrażenie to zdało się dodawać mu sił - miał nowy cel - przez czas jakiś już się nie chwiał, lecz szedł mocno, z podniesioną głową. Potknął się naraz i upadł, a gdy chciał wstać, przekonał się, że nie może, bo tak dalece utracił siły, że stać go zaledwie na to, by na czworakach przeczołgać kilka metrów.

Gdy tak leżał w zupełnym wyczerpaniu, usłyszał szelest złowrogich skrzydeł bardzo blisko nad sobą. Ostatkiem sił obrócił się na plecy i ujrzał Ska, szybko wznoszącego się do góry. Na ten widok umysł Tarzana rozjaśnił się na chwilę.

- Czyżby koniec był już tak bliski? - pomyślał. - Czyżby Ska wiedział jak źle jest ze mną, że ośmiela się już siadać na moim trupie?

Nawet w takiej chwili ponury uśmiech przemknął po opuchłych wargach, gdy w dzikim mózgu zrodził się przebiegły plan. Zamknął oczy, zasłonił je przedramieniem, by zabezpieczyć przed potężnym dziobem Ska, i leżał bez ruchu wyczekując.

Dobrze było mu tak wypoczywać, zwłaszcza że słońce zasłonięte chmurami, nie prażyło bezlitośnie. Obawiał się, że zaśnie, a instynkt ostrzegał go, że już by się więcej nie obudził; skupił więc resztki sił na jednej myśli - czuwać. Nie drgnął w nim ani jeden mięsień - dla Ska, krążącego powyżej jasne było, że nadszedł koniec i że jego wytrwałe czekanie zostaje nagrodzone.

Z wolna krążąc, zbliżał się do konającego. Dlaczego Tarzan się nie poruszał? Czy znużył go sen wyczerpania, czy też Ska miał słuszość - śmierć wreszcie objęła w posiadanie to mocarne ciało? Czy to wielkie, dzikie serce uciszyło się na zawsze? To nieprawdopodobne.

Ska, pełen wątpliwości, ostrożnie krążył. Dwa razy nieomal siadł na wielkiej, brązowej piersi, za każdym jednak razem zrywał się do lotu, za trzecim wszakże szpony jego dotknęły brązowej skóry. Jak gdyby prąd elektryczny ożywił nagle martwą bryłę, ciemna dłoń zesunęła się i zanim Ska zdążył rozwinąć skrzydła do lotu, znalazł się w zaciśniętej garści domniemanego trupa.

Wyrwał się Ska, ale nie mógł dorównać umierającemu nawet Tarzanowi i w chwilę później człowiek-małpa zatopił zęby w pożeraczu padliny.

Mięso było twarde i łykowate o niemiłej woni i jeszcze gorszym smaku, było jednak pokarmem, a krew była napojem; Tarzan zaś w głębi serca był małpą jedynie i w dodatku małpą, umierającą z głodu i pragnienia.

Mimo wyczerpania, człowiek-małpa umiał panować nad swym apetytem, jadł więc z umiarem, resztę pozostawiając na przyszłość. Ponieważ teraz mógł to zrobić, nie narażając się na żadne niebezpieczeństwo, obrócił się na bok i zasnął.

Obudził go obfity deszcz. Siadł i złożywszy dłonie, chwycił drogocenne krople, niosąc je do wyschniętego gardła. Parę kęsów Ska wraz z krwią i kilka kropli wody deszczowej oraz trochę snu znacznie go orzeźwiły i w zmęczone jego członki wlały nowe siły.

Teraz wyraźnie widział góry. Mimo że słońce się skryło, świat wyglądał jasno i wesoło, gdyż Tarzan wiedział, że jest ocalony. Ptak, który chciał go pożreć, i zbawczy deszcz uratowały go w chwili, gdy śmierć wydawała się nieunikniona.

Zjadłszy znowu parę kęsów niesmacznego mięsa, powstał człowiek-małpa tak nieomal raźnie, jak dawniej i ruszył mocnym krokiem ku wzgórzom, ponętnie wznoszącym się przed nim. Mrok zapadł zanim ich dosięgnął, szedł jednak dalej, póki stromo wznoszący się grunt nie ostrzegł go, że przybył do podnóża gór. Wówczas położył się, oczekując ranka, który wskaże mu najłatwiejsze przejście. Deszcz ustał, ale niebo wciąż zasłaniały chmury, toteż nawet jego bystre oczy nie mogły przebić ciemności dalej niż na kilka stóp. Posiliwszy się resztkami Ska, zasnął i dopiero poranne słońce obudziło go pełnego sił i otuchy.

Minął wreszcie góry, strzegące doliny śmierci, i wkroczył do krainy pięknych lasów i bogatych łąk. Pod nim rozciągała się głęboka dolina, przez jej środek gęsta roślinność znaczyła bieg rzeki, poza którą odwieczny las ciągnął się niezliczone mile, sięgając do stóp wyniosłych, śniegiem pokrytych gór. Był to kraj, jakiego Tarzan nigdy jeszcze nie widział. Nie tknęła go stopa białego człowieka, chyba w zamierzchłej przeszłości zaszedł tu wędrowiec, którego szkielet leżał w wąwozie.

ROZDZIAŁ VIII

TARZAN I WIELKIE MAŁPY

Trzy dni poświęcił człowiek-małpa na wypoczynek i odzyskanie sił, karmiąc się owocami, orzechami i drobniejszą zwierzyną, łatwą do pochwylenia. Czwartego dnia wyruszył na badanie doliny i poszukiwanie wielkich małp. Czas był rzeczą obojętną - Tarzan nie dbał o to, czy dojdzie na wybrzeże zachodnie w ciągu miesiąca roku, czy trzech lat. Czas i cała Afryka były jego własnością. Wolność miał bezwzględna - porwał ostatecznie więzy, które łączyły go z cywilizacją. Był sam, ale nie był samotny. Nie było wprawdzie żadnego przedstawiciela jego rodzaju ale otoczony był ludem puszczy, dla którego nie żywił pogardy. Nie tylko interesował się najdrobniejszym nawet stworzeniem, były takie, z którymi Tarzan się zaprzyjaźnił, inne znów, które były jego dziedzicznymi wrogami. Obecność ostatnich urozmaicała życie, które inaczej stałoby się nudne i monotonne.

Tak więc czwartego dnia wyruszył na badanie doliny i poszukiwanie wielkich małp. Przebył niewielką przestrzeń w kierunku południowym, gdy nozdrza jego wyczuły woń Gomangani-czarnego człowieka. Było ich wielu, a z ich wonią mieszała się inna - zapach Tarmangani - kobiety.

Skacząc po drzewach, zbliżył się do sprawców tych woni. Przewornie zaszedł z boku, nie zwracając jednakże uwagi na wiatr, wiedział bowiem, że człowiek, ze swymi tępych zmysłami, może rozpoznać go tylko oczami i uszami, i to z odległości względnie niewielkiej. Gdy tropił Numę czy Szitę, okrążałby je tak, by stanąć pod wiatr do nich, kryjąc się w ten sposób, dopóki by go nie ujrzały lub nie usłyszały. Tropiąc tępą kłodę, człowieka, zbliżał się z pogardliwą obojętnością tak, że cała dżungla wokoło wiedziała, że idzie - wszyscy, prócz tropionych ludzi.

Umieściwszy się wśród gęstych liści drzewa, śledził przechodzących. Była to nędzna hałastrą, jedni przybrani w mundury niemieckiej wschodnio-afrykańskiej armii tubylczej, inni tylko w poszczególnych częściach tego umundurowania, inni wreszcie w pełnym prostoty stroju swych przodków nader zbliżonym do nagości. Dużo było czarnych kobiet, śmiejących się i rozmawiających z mężczyznami. Wszyscy mężczyźni byli uzbrojeni w niemieckie karabiny, mieli niemieckie pasy i amunicję.

Nie było tam białych oficerów, niemniej Tarzan był pewien, że to ludzie z jakiegoś niemieckiego krajowego oddziału i domyślił się, że pozabijali oficerów i uciekli do dżungli ze swymi kobietami; niektóre z nich pewno ukradli w wioskach, które musieli mijać. Widać było, że starali się jak najbardziej oddalić od wybrzeża i niewątpliwie szli na poszukiwanie ukrytego ostępu, gdzie mogliby rozpocząć rządy terroru nad prymitywnie uzbrojonymi mieszkańcami i łupieżstwem, grabieżą, rabunkiem bogacić się w sprzęt i kobiety kosztem okolicy, w której osiadą.

Między dwiema czarnymi kobietami kroczyła smukła, biała dziewczyna. Odzież jej była porwana, głowa niczym nie osłonięta. Od czasu do czasu, bez żadnej widocznej przyczyny, to jedna,

to druga Murzynka szarpały ją i popychały. Tarzan spoglądał spod przymkniętych powiek. Pierwszym jego odruchem było skoczyć i wyrwać dziewczynę z okrutnych szponów. Poznał ją natychmiast i dlatego wahał się.

Cóż obchodził Małpiego Tarzana los tego wrażego szpiega? Nie zabił jej wskutek dziedzicznej słabości, która nie pozwoliła mu skrzywdzić kobiety, ale to nie miało nic wspólnego z tym, co inni mogą z nią uczynić. Że czekał ją straszliwszy los od szybkiej śmierci, jaka byłaby ją spotkała z jego ręki, nic go to nie obchodziło.

Przepuścił więc spokojnie czarnych wraz z panną Bertą Kirchner. Dopiero pozostały na końcu wojownik przypomniał mu zabawę, w której się wydoskonalił od owego dawno minionego dnia, gdy Kulago, syn Mbongi, wodza, rzucił niefortunną włócznię w Kale, matkę mleczną człowieka-małpy.

Czarny wojownik był w tyle za towarzystwem o jakie ćwierć mili. Zaczął pośpieszać, by ich dogonić, i mijał właśnie drzewo, na którym siedział Tarzan, gdy nagle pętlica spadła mu na kark. Postać jego była widoczną dla oddalających się i gdy struchlały człowiek krzyknął przeraźliwie, obejrżeli się i spostrzegli, że niepojętą jakąś mocą unosi się w powietrze i znika wśród liści drzewa.

Chwilę stali czarni jak wryci; lecz gruby sierżant, Usango, który ich prowadził, pędem zawrócił, wzywając pozostałych, by szli za nim. Z nabitą bronią biegli czarni na pomoc koledze i na rozkaz Usangi ustawili się w szereg, stopniowo okrążając drzewo, na którym znikł ich towarzysz.

Usango zaczął wołać, a nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, zbliżył się z wolna z bronią gotową do strzału, wpatrując się w wierzchołek drzewa. Nie dojrzał niczego. Pierścień zaciskał się, już pięćdziesięciu czarnych przeszukiwało drzewo bystrymi oczyma.

Co się stało z ich towarzyszem? Wiedzieli, jak unosi się na drzewo, i od tej chwili mnóstwo oczu wpatrywało się w to miejsce, nie dojrzeli jednak nikogo. Jeden, bardziej od innych przedsiębiorczy, wdrapał się nawet na drzewo. Wkrótce zeskoczył przysięgając, że nie było tam śladu żadnego stworzenia.

Zdumieni i trochę już zatrwożeni z wolna zawrócili i ruszyli w dalszą podróż, często oglądając się poza siebie. Gdy już oddalili się na jaką milę, ci którzy szli na przodzie, ujrzeli zaginionego towarzysza wyglądającego zza drzew wprost przed nimi. Okrzykami zawiadamiając pozostałych, że zguba się znalazła, rzucili się naprzód; lecz ci, którzy pierwsi dobiegli do drzewa, zatrzymali się nagle i cofnęli, rzucając, przerażonym wzrokiem to w jedną, to w drugą stronę, jak gdyby w obawie, że coś nieznanego a okropnego wyskoczy ku nim.

Zatknięta na koniec ułamanej gałęzi głowa ich towarzysza wyglądała spoza drzewa, robiąc wrażenie, jak gdyby patrzyła na nich, ukryta za pniem.

Wówczas wielu chciało zawrócić twierdząc, że musieli obrazić jakiego ducha lasu, deprecując jego obszar. Ale Usanga przedstawił im, jakie tortury i śmierć czekałyby ich, gdyby zawrócili i wpadli w ręce swych okrutnych panów niemieckich. Dowodzenia jego trafiły do przekonania słuchaczy i pokorna, strwożona gromada zbitą masą, jak stado baranów, ruszyła poprzez dolinę; nikt nie pozostawał w tyle.

Szczęśliwą cechą rasy murzyńskiej, tak jak i małych dzieci, jest łatwość zapomnienia przeżytych wrażeń. Toteż banda Usangi po upływie pół godziny zaczynała już odzyskiwać poprzednią bez troskę, jednak gdy na zakręcie ujrzeli bezwładne ciało kolegi, leżące na ścieżce, znów pograżyli się w otchłań trwogi i ponurych przeczuć.

Całe to zdarzenie było tak niepojęte, tak niesamowite, że nikt nie umiał znaleźć cienia pociechy w jakimkolwiek wyjaśnieniu złowróbnego wypadku. Co spotkało jednego z nich, mogło spotkać

każdego.

Jeśli coś podobnego mogło się zdarzyć wśród białego dnia, to co ich czekało, gdy noc otuli swym czarnym płaszczem? Zawczasu już drżeli ze strachu.

Biała dziewczyna niemniej od nich była zdumiona, lecz znacznie mniej poruszona, gdyż śmierć była najdobrotliwszym losem, jakiego mogła oczekiwać. Dotychczas nic gorszego jej nie spotkało, nad drobne okrucieństwa kobiet, z drugiej wszakże strony jedynie obecność kobiet chroniła ją przed czymś gorszym, ze strony mężczyzn - zwłaszcza ze strony brutalnego, czarnego sierżanta, Usangi. Wraz z gromadą szła jego własna żona - prawdziwa olbrzymka - widoczne było, że była ona jedyną na świecie istotą, przed którą Usanga się korzył. I mimo że była szczególnie okrutna dla białej dziewczyny, ta ostatnia uważała ją za jedyną swą ochronę przed czarnym tyranem.

O zmierzchu cała zgraja dotarła do małej, otoczonej palisadą wioski, leżącej na polanie, wśród dżungli, nad spokojną rzeką. Mieszkańcy wysypali się z chat za ich zbliżaniem się. Usango wraz z dwu wojownikami wystąpili naprzód, by rozmówić się z wodzem. Doświadczenia minionego dnia tak wstrząsnęły nerwami czarnego sierżanta, że wolał pertraktować z tymi ludźmi, niż przemocą brać wioskę, co z pewnością więcej by mu dogadzało.

Ale teraz niejasne przecucie ostrzegało go, że nad tą częścią dżungli czuwa jakiś potężny duch, straszliwy dla tych, którzy mu się narażą. Chciał więc przede wszystkim dowiedzieć się, jaki był stosunek między mieszkańcami wioski, a okrutnym bożkiem, jeśli zaś cieszyli się jego opieką, gotów był okazać im jak najwięcej uprzejmości i szacunku.

Z rozmowy wynikało, że wódz posiadał kozy, ptactwo i zapasy żywności, którymi chciał rozporządzać wedle swego uznania. Gdy jednak okazało się, że to „uznanie” znaczyło cenne karabiny i amunicję, a nawet piękne mundury, zaczął Usanga dochodzić do przekonania, że bez walki nie zdobędzie jada.

Jeden z jego ludzi podsunął mu szczęśliwą myśl, by żołnierze następnego dnia poszli zapolować dla wieśniaków i w zamian za ugoszczenie przynieśli im świeżego mięsa. Wódz zgodził się i umówił, ile i jakiej zwierzyny otrzyma w zamian za mąkę, kozy, ptactwo i za pewną liczbę chat, jakie odstąpi gościom. Gdy po całogodzinnej kłótni, tak miłej krajowcom afrykańskim, ustalono szczegóły umowy, przybysze wkroczyli do wioski, gdzie im wskazano przeznaczone dla nich chaty.

Berta Kirchner znalazła się sama jedna w małej chatce, tuż obok palisady, na samym końcu ulicy wioskowej. Mimo to, że nie była ani związana, ani strzeżona, Usanga upewnił ją, że nie zdoła uciec z wioski, nie narażając się na niechybną śmierć, gdyż, wedle twierdzenia wieśniaków, przyległa dżungla roiła się od wielkich i drapieżnych lwów.

- Bądź dobra dla Usangi - zakończył - to nie spotka cię nic złego. Przyjdę znowu do ciebie, gdy inni pozasypiają. Bądźmy przyjaciółmi.

Gdy odszedł, dziewczyna padła na ziemię i zakryła twarz rękami, wstrząsana konwulsyjnym dreszczem. Teraz zrozumiała, dlaczego nie zostawiono kobiet, by ją pilnowały. Było to dziełem chytrego Usangi, ale czy jego żona nie przejrzy tych zamiarów? Wcale niegłupia, a przy tym szalenie zazdrosna, pilnowała zwykle swego hebanowego małżonka. Berta Kirchner czuła, że tylko ta kobieta może ją wybawić i wybawi, byle tylko szepnąć jej słówko. Ale w jaki sposób to uczynić?

Po raz pierwszy od ubiegłej nocy pozostawiona w samotności, z dala od oczu ludzkich, pośpieszyła przekonać się czy papiery, które zabrała z kieszeni trupa kapitana Schneidera, są wciąż bezpiecznie zaszyte w jej ubraniu.

Niestety! Jakąż wartość miały teraz dla jej ubóstwianej ojczyzny? Lecz nawyk i sumienność tak

były w niej silne, że wciąż spodziewała się oddać pakiecik swemu zwierzchnikowi.

Czarni jak gdyby zapomnieli o jej istnieniu - nikt nie zbliżał się do jej chaty - nawet, by przynieść pożywienie.

Słyszała, jak z drugiego końca wioski dochodziły śmiechy i wrzaski, domyśliła się, że raczą się tam jadłem i piwem krajowym - i obawy jej rosły. Uwięziona w wiosce murzyńskiej, w samym sercu nieznanej części Afryki Środkowej - jedyna biała kobieta wśród zgrai pijanych Negrów! Sama myśl o tym przejmowała ją strachem. Słaby promyk nadziei tlił się w niej jednak. Pocieszała się tym, że dotychczas nic się jej nie stało, że teraz widocznie o niej zapomnieli i że wkrótce spiją się tak, że staną się nieszkodliwi.

Mrok zapadł, a nikt się nie zjawił. Dziewczyna zastanawiała się nad tym, czy ważyć się na poszukiwanie Naratu, żony Usangi. Usanga bowiem może nie zapomni swej obietnicy powrotu. Nikogo nie było w pobliżu, gdy wyszła z chatki i skierowała swe kroki w stronę wioski, gdzie biesiadnicy zabawiali się wokół wielkiego ogniska. Zbliżywszy się ujrzała wieśniaków i ich gości. Czarni szerokim kołem obsiedli ognisko, przed którym z pół tuzina nagich wojowników skakało, w jakimś dziwnym tańcu. Garnki z jadłem i wydrążone dynie, pełne napoju, przechodziły z rąk do rąk widzów. Brudne ręce zanurzały się w garnkach, jadło było z taką pożądlivością pochłaniane, jak gdyby cała gmina była przez długi czas głodna. Usta ich wpijały się w wydrążone dynie z piwem, aż płyn rozlewał się po brodach i łakomy sąsiad wyrывał naczynie. Nieprzyzwoite zachowanie świadczyło, że napój zaczyna działać.

Gdy dziewczyna, kryjąc się w cieniu chat, przybliżyła się, by poszukać Naratu, jakaś tęga baba spostrzegła ją, podniosła się z krzykiem i rzuciła ku niej. Biała dziewczyna miała wrażenie, że kobieta chce ją dosłownie rozszarpać. Napaść była tak nieoczekiwana, dziewczyna była na nią tak nieprzygotowana, że nie wiadomo, jakby się to skończyło, gdyby nie inwencja jakiegoś wojownika. Usanga, zauważywszy zajście, przysunął się do Bertę.

- Czego chcesz - zapytał - jadła i napoju? Pójdź ze mną - i objąwszy ramieniem, ciągnął ku biesiadnemu kołu.

- Nie! - zawołała. - Szukam Naratu. Gdzie jest Naratu?

Czarny otrzeźwiał na chwilę. Rzucił trwożne spojrzenie naokół i, widocznie uspokojony, że Naratu niczego nie zauważyła, rozkazał wojownikowi, który wciąż powstrzymywał rozszalałą, czarną kobietę, by odprowadził białą dziewczynę do jej chaty i pozostał tam, pilnując jej.

Pochwyciwszy naczynie z piwem, wojownik popchnął dziewczynę i powiódł ją do chaty, sarn zaś przysiadł na zewnątrz pod progiem, całą swą uwagę skupiając na wydrążonej dyni.

Berta Kirchner usiadła w najdalszym kącie chaty. Nie mogła zasnąć, gdyż głowa jej pełna była projektów ucieczki, wszystkich jednak niewykonalnych. Wkrótce wojownik wszedł do chaty i próbował wszcząć rozmowę. Krótką swą włócznię oparł o ścianę i siadł obok dziewczyny. Mówiąc wciąż przysuwał się coraz bliżej, wreszcie dotknął jej. Wzdrygnąwszy się krzyknęła:

- Nie dotykaj mnie! Jeśli nie pozostawisz mnie w spokoju, powiem Usandze, a wiesz, co on ci zrobi.

Czarny zaśmiał się pijacko, wyciągnął rękę, pochwycił jej ramię i przyciągnął ją do siebie. Wyrwała się, głośno wzywając Usangi, i nagle w drzwiach zjawiała się jakaś postać.

- Co się tu dzieje! - huknął przybyły grubym głosem. Dziewczyna poznała czarnego sierżanta. Przyszedł; ale czy to lepiej dla niej? Wiedziała, że przyście jego o tyle tylko będzie dla niej zbawienne, o ile potrafi wykorzystać jego strach przed żoną.

Usanga dowiedział się, co zaszło, i szturchańcami wygnał wojownika i kazał mu iść precz.

Gdy ten, mrużąc i odgrażając się, znikł, sierżant zbliżył się do białej dziewczyny. Był bardzo pijany; tak pijany, że kilkakrotnie udało jej się wymknąć mu, a dwa razy odepchnęła go tak gwałtownie, że zatoczył się i upadł.

Rozzłościł się wreszcie, rzucił się na nią i pochwycił w swe długie, małpie ramiona. Tłukąc go po twarzy zaciśniętymi pięściami, usiłowała wyrwać się. Gdy zaczęła go straszyć gniewem Naratu, zmienił taktykę i spróbował prośb. Gdy tymczasem usiłował ująć ją obietnicami bezpieczeństwa i względnej swobody, wypędzony wojownik szedł chwiejnym krokiem do chaty Naratu.

Usanga, widząc, że prośby i obietnice były równie jak groźby bezskuteczne, stracił wreszcie cierpliwość i brutalnie chwycił dziewczynę. W tej samej chwili wpadł do chaty szatan zazdrości.

Bijąc, drapiąc, gryząc, w mgnieniu oka Naratu pokonała struchlałego Usangę, a tak była przejęta pragnieniem wymierzenia kary swemu niewiernemu panu i władcy, że zupełnie zapomniała o tej, która go usidliła.

Berta Kirchner słyszała jej wrzaski, gdy popędzała Usangę w dół ulicy wioski, i zadrżała na myśl o tym, co ją czekało nazajutrz w rękach tej pary.

Wiedziała, że jutro najdalej Naratu pierwszy swój gniew wywarłszy na mężu, odmierzy jej pełną miarą swej przepojonej zazdrością nienawiści.

Zaledwie tamci znikli powrócił wojownik. Zajrzał do chaty i wszedł.

- Nikt mi teraz nie przeszkodzi, biała kobieto! - zawołał, szybko idąc ku niej.

* * *

Małpi Tarzan, ze smakiem zajadając soczyste udo Bary-jelenia, odczuwał pewien niepokój. Mógł się napawać pełną swobodą, bo czyż nie był w swym przyrodzonym żywiole, otoczony bogactwem zwierzyny i szybko napełniając żołądek ulubioną strawą? Ale przed oczyma jego wciąż jawił się obraz smukłej, młodej dziewczyny, popychanej i bitej przez brutalne Murzynki, wyobraźnia ukazywała mu ją więzioną w dzikim kraju, przez zdemoralizowanych, czarnych żołnierzy.

Dlaczego tak trudno było mu pamiętać, że była ona tylko nienawistnym szpiegiem niemieckim? Dlaczego świadomości jego wciąż narzucał się fakt, że była kobietą, i to białą kobietą? Nienawidził jej tak samo, jak całego jej rodu; los, który ją czekał, nie był gorszy od tego, na jaki ona wraz z całym swym narodem zasługiwała. Sprawa była załatwiona i Tarzan zmuszał się do myślenia o czym innym. Obraz jednak nie znikał - ukazywał mu się ze wszystkimi szczegółami i męczył go. Zaczynał zastanawiać się nad tym, co z nią tam robili i dokąd ją wiedli. Wstydził się przed samym sobą, jak wówczas, po zajściu w Wilhelmstahl, gdy słabość skłoniła go do oszczędzenia życia szpiega. Czy znów będzie taki słaby? Nie!

Gdy noc zapadła, ułożył się na spoczynek wśród konarów rozłożystego drzewa; ale sen nie przychodził. Przyszła natomiast wizja białej dziewczyny, bitej przez czarne kobiety, i druga - tej samej białej dziewczyny, zdanej na łaskę i niełaskę czarnych wojowników w głębi tej mrocznej i przerażającej puszczy.

Z pomrukiem gniewu i wzgardy dla samego siebie zerwał się Tarzan, skoczył na sąsiednie drzewo, potem na dalsze i puścił się w ślad za tropem oddziału Usangi. Zadanie miał łatwe, gdyż zgraja szła wydeptanym szlakiem. Gdy około północy subtelne jego nozdrza poczuły wyziewy murzyńskiej wioski, odgadł, że blisko był celu i że teraz odnajdzie tę, której szukał.

Skradając się, jak skrada się Numa, tropiąc czujną zwierzynę, bez szmeru zbliżył się do palisady, nasłuchując i węsząc. Na samym końcu wioski znalazł drzewo, którego konary zwisały ponad

palisadę. W chwilę później był we wsi.

Szedł od chaty do chaty, poszukując słuchem i węchem świadectwa obecności dziewczyny. Nareszcie znalazł je: słaby, przytłumiony wyziewami Gomangani, unosił się jej zapach nad małą chatą. Wioska była teraz cicha, gdyż pochłonięte już zostały resztki jadła i piwa, a czarni spali, jak kłody po swych chatach. Mimo to Tarzan poruszał się tak bezszelestnie, że nie usłyszałyby go człowiek zupełnie nawet trzeźwy i bardzo czujny.

Podszedł pod drzwi chatki i posłuchał. Z wnętrza nie dochodził żaden dźwięk, ani nawet cichy oddech czuwającej istoty. A jednak pewien był, że dziewczyna tam była, może jest nawet jeszcze; wślizgnął się więc jak duch bezcielesny. Chwilę stał bez ruchu nasłuchując. Nie, nie było tam nikogo, był tego pewien. Musi jednak przekonać się. Gdy jego oczy przywykły do ciemności, panującej w chatce, jakiś przedmiot zaczął nabierać kształtów i zarysował się wreszcie, jako ciało ludzkie leżące na podłodze.

Tarzan podszedł bliżej i nachylił się - był to trup nagiego wojownika z krótką włócznią, wbitą w piersi. Starannie przeszukał każdy skrawek podłogi, wreszcie wrócił do trupa, zatrzymał się i obwąchał rękojeść broni, która zabiła czarnego. Lekki uśmiech okolił jego usta - zrozumiał.

Spiesznie przeszukał resztę wioski i przekonał się, że dziewczyna uciekła. Z uczuciem ulgi pomyślał, że nie stała się jej żadna krzywda. Że życiu jej zagrażało niebezpieczeństwo w dzikiej puszczy, do której musiała uciec - nie robiło to na nim żadnego wrażenia; podług Tarzana dżungla nie była miejscem niebezpiecznym, uważał, że człowiek jest tam pewniejszy niż nocą w Paryżu lub Londynie.

Wspiał się na drzewo i był już po drugiej stronie palisady, gdy do uszu jego doszedł z wielkiej oddali, niewyraźnie, spoza wioski, dawno, dobrze mu znany odgłos. Kołysząc się lekko na chwiejącej się gałęzi, stał jak piękny posąg leśnego bóstwa, słuchając z napięciem. Stał tak z minutę i nagle wydał przeciągły, niesamowity okrzyk, nawołujący małpy, i popędził przez dżunglę, w kierunku huczenia bębna antropoidów. Poza nim została rozbudzona wioska, z przerażonymi, bijącymi pokłony czarnymi, którzy później zespolili już na zawsze ten straszliwy okrzyk ze zniknięciem białej dziewczyny i śmiercią ich towarzysza-wojownika.

Berta Kirchner, spiesząc przez dżunglę dobrze wydeptanym szlakiem, myślała tylko o tym, by jak najwięcej oddalić się od wioski, zanim światło dzienne pozwoli na pościg. Nie wiedziała, dokąd idzie i mało ją to obchodziło, skoro i tak, prędzej czy później, czekała ją śmierć.

Los sprzyjał jej tej nocy, gdy nie napastowana mijala obszar, tak nawiedzany przez lwy, jak nigdzie w Afryce - teren wielkich łowów, nietknięty przez białego człowieka, gdzie obfitują: jeleń, antylopa, zebra, żyrafa, słoń, bawół, nosorożec i inne trawożerne zwierzęta Afryki środkowej, napastowane jedynie przez swych przyrodzonych wrogów - wielkie koty, które zmęczone łatwym łupem, a zabezpieczone przed strzelbami myśliwych, roiły się w tym okręgu.

Uciekała godzinę lub dwie może, gdy uwagę jej zwróciły głosy zwierząt, pomrukujących i porykujących tuż nad nią. Pewna, że oddaliła się od wioski już na tyle, że gdy rano czarni rozpoczną pościg, będzie ich miała daleko za sobą, a ednocześnie przestraszona bliskością nieznanych istot, wdrapała się na drzewo, zamierzając tam spędzić resztę nocy.

Zaledwie dostała się na mocny i wygodny konar, spostrzegła, że drzewo stało na skraju małej polanki, którą poprzednio zasłaniało przed nią gęste podszycie w dole i zarazem dowiedziała się, co to za zwierzęta ją nastraszyły.

Na środku polanki znajdowało się dwadzieścia wielkich, do człowieka podobnych małp,

ogromne kudłate okazy chodziły na tylnych łapach, z lekka tylko podpierając się kłykciami rąk. Światło księżyca połyskiwało na lśniących futrach, nadając tym stworzeniom wspaniały wygląd.

Po paru minutach do małego grona małp zaczęły przyłączać się nowe, przybywając pojedynczo lub grupami, aż wreszcie skupiło się pięćdziesiąt wielkich zwierząt. Były wśród nich młode i dużo małych, uczepionych na kudłatych ramionach matczynych.

Gromada rozdzieliła się, tworząc krąg wokoło czegoś, co okazało się małym, mocno ubitym nasypem na środku polanki. Trzy stare samice, uzbrojone w krótkie pałki, przycupnąwszy przy nasypie, zaczęły walić weń. Rozległ się głuchy, huczący odgłos. Natychmiast pozostałe małpy jeły poruszać się, pochylając się w tył i naprzód jak wielkie, czarne chimery.

Z początku walenie w bęben było bezładne, lecz stopniowo przechodziło w ciężki rytm, do którego małpy dostosowały swe stąpanie i pochylanie. Z wolna gromada rozdzielała się na dwa pierścienie: zewnętrzny, złożony z samic i młodych, wewnętrzny - z dorosłych samców. Pierwszy zaprzestał ruchów i przykucnął, samce zaś zaczęły krążyć, wszyscy w tym samym kierunku, naokół bębna.

Wówczas do uszu dziewczyny dotarł od strony wioski niesamowity okrzyk. Jak zelektryzowane małpy zatrzymały się w postawie nasłuchującej, po czym jedna z nich, samiec największy ze wszystkich, wznosił głowę do góry i głosem, który zimnym dreszczem przejął dziewczynę, odpowiedział na daleki okrzyk.

I znowu rozpoczęło się walenie w bęben, i znowu samce ruszyły w tan. Dziki ten obrzęd miał swój urok i dziewczyna przyglądała się mu jak oczarowana. Ponieważ małe było prawdopodobieństwo, by jej kryjówka została odkryta, postanowiła spędzić resztę nocy na swym drzewie, a rankiem ruszyć dalej.

Upewniwszy się, że ma przy sobie swój zwitek papierów, wyszukała dogodnej pozycji, by przyglądać się niezwykle widowisku na polance.

Minęło pół godziny, w ciągu której stopniowo wzrastało napięcie bębna. Teraz wielki samiec, który odpowiedział na odległe wołanie, wyskoczył z wewnętrznego pierścienia i zaczął tańczyć sam między doboszami i pozostałymi samcami. Skakał i kurczył się i skakał znowu, pomrukując i wyjąc, zatrzymywał się od czasu do czasu, by podnieść swą szkaradną twarz do Goro-księżyca i, bijąc się we włochatą pierś, wydawał przenikliwy wrzask - wzywanie małpiego samca.

Stał tak w pełnym blasku księżyca, znieruchomiały po wyrzuceniu niesamowitego okrzyku, w głębi przedwiecznej puszczy, w kręgu małp - obraz pierwotnej dzikości i mocy. Herkules zarania świata - gdy naraz dziewczyna usłyszała tuż spoza siebie okrzyk odpowiedzi, w chwilę później ujrzała nagiego białego człowieka, spadającego z sąsiedniego drzewa na polankę.

Natychmiast małpy stały się gromadą wyjących, warczących, dzikich bestii. Berta Kirchner wstrzymała oddech. Cóż to za szalenciec ważył się zbliżyć do tych strasznych stworzeń w ich własnym schronieniu, jeden przeciw pięćdziesięciu? Widziała, jak brązowo-skóra istota, skąpiana w blasku księżyca, szła prosto ku warczącej gromadzie. Widziała harmonijność i piękno tego doskonałego ciała - jego wdzięk, jego zdumiewająca proporcjonalność - i poznała go. Była to ta sama istota, która porwała majora Schneidera, ta sama, która ocaliła ją od lwa, ta sama, którą powaliła ręką pistoletu, ta sama, która zamordowała kapitana Schneidera i darowała jej życie owej nocy w Wilhemstahl.

Pełna trwogi i olśnienia patrzyła, jak zbliżał się do małp. Słyszała dźwięki, dobywające się z jego piersi - identyczne z dźwiękami, wydawanymi przez bestie - i, aczkolwiek zaledwie dowierzała

swym oczom, wiedziała, że ta ludzka istota rozmawia ze zwierzętami w ich własnym języku.

Tarzan zatrzymał się przed zewnętrznym pierścieniem samiec. - Jam jest Małpi Tarzan! - zawołał. - Nie znacie mnie, gdyż jestem z innego rodu; pokój czy wojna - co wybieracie?

Tarzan chce mówić z waszym królem - i mówiąc to, parł naprzód, pomiędzy samice z młodymi, które ustępowały mu z drogi, robiąc wąskie przejście, poprzez które dotarł do wewnętrznego pierścienia samców.

Samice i szczenięta mruczały i jeżyły się, gdy mijał je z bliska, żadne jednak nie broniło mu dostępu do wewnętrznego kręgu. Tu zagroziły mu obnażone kły i ohydnie powykrzywiane twarze.

- Jam jest Tarzan - powtarzał. - Tarzan przychodzi zatańczyć Dum-Dum ze swymi braćmi. Gdzie wasz król?

I dalej parł naprzód, a dziewczyna, ukryta na drzewie, przycisnęła dłonie do twarzy, patrząc szeroko rozwartymi oczyma na tego szaleńca, idącego na niechybną śmierć. Za chwilę rzucą się na niego, szarpiąc go i rozdzierając, póki z tych doskonałych kształtów nie zostaną same strzępy. Ale pierścień otworzył się i chociaż małpy wyły i groziły, nie rzuciły się na niego. Wreszcie stanął w pierścieniu wewnętrznym, tuż obok bębna, twarzą w twarz z wielkim królem małp.

Znowu przemówił:

- Jam jest Małpi Tarzan, Tarzan przychodzi, by żyć ze swymi braćmi. Przynosi pokój i chce żyć w pokoju, albo będzie zabijał; ale przyszedł i pozostanie. Czy Tarzan ma zatańczyć Dum-Dum ze swymi braćmi, czy wprawdzie musi zabijać?

- Jam jest Go-lat, król małp! - wrzasnął olbrzymi samiec. - Zabijam! zabijam! zabijam! - i, wyjąc ponuro, rzucił się na Tarzana.

Człowiek-małpa wydał się dziewczynie zupełnie nieprzygotowany na natarcie; oczekiwała, że za chwilę będzie zamordowany. Wielki samiec już go brał w wyciągnięte ręce, a Tarzan się nie ruszał; lecz gdy się poruszył, szybkość jego mogłaby zawstydzić Arę-błyskawicę.

Jak wystrzela w górę łeb Histach-węza, tak wysunęła się lewa ręka człowieka-zwierza, gdy chwycił lewy przegub wroga. Szybki obrót - i prawe ramię samca znalazło się poza prawym ramieniem przeciwnika za pomocą chwytu dziu-dzitsu, którego nauczył się Tarzan od ludzi cywilizowanych, chwytu, dzięki któremu mógłby z łatwością połamać potężne barki, chwytu, który obezwładnił małpę.

- Jam jest Małpi Tarzan! - wrzasnął człowiek-małpa. Czy Tarzan ma tańczyć, czy też zabijać?

- Zabijam! zabijam! zabijam! - krzyknął Go-lat.

Z szybkością kota pochwycił Tarzan przeciwnika za biodro, cisnął go i król małp rozciągnął się na ziemi jak długi.

Go-lat rozwścieczony zerwał się i znowu natarł ze swym okrzykiem bojowym: - Zabijam! zabijam! zabijam! - I znowu Tarzan odpowiedział nagłym chwytym, którego samiec, nie umiał uniknąć - chwytym i rzutem, które wywołały okrzyk zachwytu wśród zaciekawionych widzów, a które dziewczynie nasunęły wątpliwości co do szaleństwa człowieka.

Oczywiste było, że był zupełnie bezpieczny wśród małp, gdyż zobaczyła, jak chwycił Go-lata na plecy i przerzucił go przez ramię. Król małp runął na głowę i leżał bez ruchu.

- Jam jest Małpi Tarzan! - zawołał człowiek-małpa. - Przyszedłem tańczyć Dum-Dum ze swymi braćmi.

Dał znak starym samcom, które natychmiast poczęły wybijać rytm na tonie przerwany, gdy zatrzymały się, by popatrzeć, jak ich król zabije głupiego Tarmangani.

Wówczas Go-lat podniósł głowę i z wolna dźwignął się na nogi. Tarzan zbliżył się do niego...

- Jam jest Małpi Tarzan - zawołał. - Czy Tarzan ma zatańczyć Dum-Dum ze swymi braćmi, czy wprzód ma zabić?

Go-lat podniósł swe krwią nabiegłe oczy na Tarmangani.

- Kagoda! - zawołał. - Niechaj Małpi Tarzan tańczy Dum-Dum ze swymi braćmi, a Go-lat zatańczy z Tarzanem!

Dziewczyna na drzewie ujrzała, jak dziki człowiek skakał, pochylał się, przytupywał razem z dzikimi małpami według starożytnego obrzędu Dum-Dum. Ryki jego i pomruki były jeszcze bardziej niż ich zwierzęce. Piękną jego twarz wykrzywiło dzikie okrucieństwo. Walił w swą potężną pierś i wykrzykiwał swe wyzwanie, gdy jego gładka, brunatna skóra ocierała się o kudłate futra towarzyszy. Niesamowity, zdumiewający i w swej pierwotnej dzikości nie pozbawiony piękna był ten niezwykle widok, jakiego żadna inna istota ludzka nie była nigdy świadkiem - ale było to zarazem okropne.

Nagle zwrócił jej uwagę szelest poza nią. Odwróciła głowę i ujrzała dwoje świecących, żółtozielonych oczu Szity, pantera chyłała na nią.

Zwierz był tak blisko, że mógł dosięgnąć jej wielką, w szpony uzbrojoną, łapą. Nie było czasu na namysły, na rozważania. Wiedziona instynktem, z głośnym okrzykiem zeskoczyła na polankę.

Małpy, podniecone tańcem przy księżycu, natychmiast zwróciły się ku tej, która przerwała ich obrzędy. Ujrawszy, że to jest Tarmangani-samica, bezbronna i samotna, ruszyły ku niej. Pantera, wiedząc, że nawet Numa-lew o ile nie jest oszalały z głodu, nie waży się przeszkadzać wielkim małpom podczas ich Dum-Dum, znikła w ciemnościach nocy.

Tarzan, który obejrzał się również, by zobaczyć przyczynę zamieszania, poznał dziewczynę i zrozumiał grożące jej niebezpieczeństwo. I tu znowu grozi jej śmierć z cudzych rąk, lecz co go to obchodzi? A jednak, mimo to, że wstydził się tej świadomości, wiedział, że nie dopuści do zguby dziewczyny.

Samice już zabierały się do bezbronnej ofiary, gdy Tarzan, rozdając ciosy na prawo i na lewo, porozpędzał je. Gdy zaś podeszły wielkie samce, by zakosztować nowej zwierzyny, wyciągnął opiekuńcze ramię nad dziewczęciem.

- To jest samica Tarzana - rzekł - nie róbcie jej krzywdy.

Był to jedyny sposób powstrzymania ich od morderstwa. Rad był, że ona nie rozumie jego słów; dosyć było upokarzające wobec dzikich małp takie doświadczenie, dotyczące nienawistnego wroga.

Po raz drugi Małpi Tarzan stanął w obronie Niemki.

Wyczerpany wyszeptał: - To kobieta, a ja nie jestem Niemcem, nie mogłem inaczej.

ROZDZIAŁ IX

SPADŁY Z NIEBA

Harold Percy Smith-Oldwick, porucznik królewskiej floty powietrznej, robił wywiad. Do angielskiego dowództwa naczelnego w niemieckiej Afryce Wschodniej doszła wiadomość, powiedzmy raczej pogłoska, że na wschodnim wybrzeżu wylądowały znaczne siły nieprzyjacielskie, by wzmocnić swe wojska kolonialne. Nowa armia miała się znajdować nie dalej, jak dziesięć lub dwanaście dni marszu od strony zachodniej. Było to oczywiście śmieszne i niedorzeczne, ale niedorzeczne rzeczy często dzieją się na wojnie. Jednak żaden dobry generał nie przepuści bez zbadania najdrobniejszej nawet wieści o ruchach nieprzyjaciela.

Dlatego więc porucznik Harold Percy Smith-Oldwick poleciał na zachód, byстрым wzrokiem wypatrując armii nieprzyjacielskiej. Pod nim ciągnęły się rozległe lasy, pod sklepieniem których łatwo mógł ukryć się oddział niemiecki. Góry, łąki, i pustynie ukazywały mu się jak piękne panoramy, ale nigdzie nie dojrzał niczego podejrzanego.

Nie tracąc nadziei, że natrafi na ślad przejścia wojska - jakiś porzucony wóz, złamane koło armatnie lub opuszczone obozowisko - leciał wciąż dalej i dalej na wschód. Wreszcie po południu, dotarłszy nad równinę usianą drzewami, przeciętą po środku wijącą się rzeką, postanowił zawrócić do obozu. Trzeba będzie lecieć z największą szybkością, by zdążyć przed nocą; ponieważ jednak miał obszerny zbiornik i dobry aparat, nie wątpił, że mu się to uda. Nagle motor przestał działać.

Nie pozostawało nic innego, jak wylądować i to czym prędzej, póki był nad otwartą przestrzenią, gdyż wprost na wschód przed nim ciągnął się wielki las, w którym spadek aparatu naraziłby go na pewne kalectwo, a nawet śmierć. Opuścił się więc na błonia w pobliżu rzeki i zabrał się do naprawiania motoru.

Pracując nucił jakąś piosenkę, modną przed rokiem w Londynie. Można by pomyśleć, że znajduje się na jakimś lotnisku angielskim, otoczony niezliczonymi kolegami, a nie sam jeden, w głębi niezbadanego pustkowia afrykańskiego. Wybitną jego cechą była zupełna obojętność na otoczenie, mimo że wygląd jego bynajmniej nie zdradzał szczególnie bohaterskiego usposobienia: porucznik miał jasne włosy, niebieskie oczy, smukłą postać i różową, chłopięcą twarz.

Nie tylko pozornie nie dbał on o bezpośrednią przyszłość i otoczenie; było tak istotnie. Nie obchodziło go ani trochę, że w pobliżu mogą być niezliczeni wrogowie. Zajęty naprawianiem motoru, nie spojrzał nawet na miejscowość, w której się znajdował. Las na wschód od niego leżący i bardziej odległa puszcza, którą otaczała wijąca się rzeka, mogły być schronieniem całej armii krwi łaknących dzikich - ani las, ani puszcza nie wzbudzały w nim cienia zainteresowania.

Gdyby nawet zainteresował się nimi, wątpliwe jest, czy dojrzałby grupkę postaci, ukrytych w gęstym podszyciu na skraju lasu. Istnieją ludzie obdarzeni tym, co z braku lepszej nazwy, określamy

jako szósty zmysł - specjalną intuicję, pouczającą ich o obecności niewidzialnego niebezpieczeństwa. Skupione wejrzenie ukrytego obserwatora wywołuje w takich ludziach nerwowy niepokój: ale chociaż w porucznika Harolda Percy'ego Smith-Oldwicka wpatrywało się dwadzieścia par dzikich oczu, spokojnego jego serca nie poruszyło żadne złe przeczucie. Nucił sobie dalej i - skończywszy reperację - wypróbował motor, po czym odsunął się, z zamiarem wyciągnięcia się na chwilę i wypalenia papierosa, zanim rozpocznie dalszy lot powrotny. Teraz dopiero zauważył otoczenie i uderzyła go zarówno dzikość, jak i piękno widoku. Błonia, usiane drzewami, przywiodły mu na myśl parki angielskie i nie powstało w nim najlżejsze nawet przypuszczenie, by tak pogodny widok mógł mieć coś wspólnego z drapieżnymi zwierzętami lub dzikimi ludźmi.

Wspaniałe kwiaty na krzewie, rosnącym niedaleko jego maszyny, pociągnęły jego wzrok. Chcąc lepiej je obejrzeć, oddalił się o jakieś kilkaset łokci od samolotu. Tę właśnie chwilę wybrał Numabo, wódz plemienia Wamabo, by wyskoczyć z zasadzki i poprowadzić swych wojowników do ataku na białego człowieka.

Chór dzikich wrzasków ostrzegł młodego Anglika o grożącym mu niebezpieczeństwie. Odwrócił się, ujrzał dwudziestu nagich wojowników, szybko ku niemu zmierzających. Szli zbita masa i w miarę zbliżania się, zwalniali biegu. Porucznik Smith-Oldwick spostrzegł, że odcięli mu dostęp do samolotu, zrozumiał, że postawa ich była groźna i wojownicza. Widział, że byli uzbrojeni w dzidy, łuki i strzały i pewien był, mimo iż posiadał pistolet, że pokonają go za pierwszym atakiem. Nie znając ich taktyki, nie wiedział, że wystarczy okazać byle jaki opór, aby się cofnęli, ale że po licznych posunięciach naprzód i wstecz, podniecając się krzykami, skokami i tańcami, zdecydują się wreszcie na ostateczne natarcie.

Na czele szedł Numabo, a że wyróżniał się wyższym od innych wzrostem i bardziej wojowniczym wyglądem, jego wziął Anglik na cel.

Chybił na swoje nieszczęście, gdyż zabicie wodza rozproszyłoby resztę. Kula minęła Numabo i trafiła w pierś idącego za nim wojownika. Gdy ten runął z krzykiem, pozostali cofnęli się, lecz, ku zmartwieniu porucznika, pobiegli w kierunku aeroplanu, zamiast z powrotem do lasu. Wciąż więc odcięty był od swej maszyny.

Zatrzymali się i obrócili twarzą ku niemu. Zaczęli głośno rozmawiać i gestykulować, po czym jeden z nich skoczył do góry, potrząsając dzidą i wydając dzikie okrzyki, co natychmiast podziało na pozostałych. Niezadługo wszyscy wzięli udział w tańcu wojennym, który miał wzmocnić ich zwątloną odwagę i podniecić do nowego ataku.

Drugie natarcie zbliżyło ich do Anglika i, mimo że powalił jednego z nich, rzucili w niego kilka dzid. Pozostało mu pięć kuł na osiemnastu wojowników, o ile więc nie uda mu się ich odstraszyć, los jego będzie rozstrzygnięty.

Zrozumieli, że każdą próbę zabicia go, muszą przypłacić życiem jednego ze swoich, nowy atak obmyślili więc zręczniejszy niż poprzednie. Mianowicie rozdzielili się na trzy oddziały i, częściowo go otaczając, zbliżyli się jednocześnie z kilku stron. Mimo że z dobrym skutkiem, powystrzelał wszystkie naboje, dosięgli go wreszcie. Wiedzieli widocznie, że wyczerpał zapas swej amunicji, gdyż okrążyli go z bliska, z widocznym zamiarem ujęcia go żywcem.

Krążyli wokoło niego dwie lub trzy minuty, aż na znak, dany przez Numabo, rzucili się jednocześnie. Mimo oporu młodego porucznika, który tłukł pięściami na prawo i na lewo, powalili go przeważającą liczbą i rękojeściami ciężkich dzid.

Postawili go wreszcie na nogi i związawszy mu ręce na plecach, pchnęli brutalnie w głąb

dzungli.

Podczas gdy straż gnała go wąskim szlakiem, porucznik Smith-Oldwick zastanawiał się, dlaczego chcieli wziąć go żywcem. Wiedział, że znajdował się w takiej okolicy, gdzie jego mundur nie mógł mieć żadnego znaczenia dla miejscowej ludności, która z pewnością nie miała pojęcia o Wielkiej Wojnie. Przypuszczał, że wpadł w ręce wojowników jakiegoś dzikiego władcy, od królewskiego kaprysu którego zależeć będą jego dalsze losy.

Po półgodzinnej wędrówce ujrzał na małej polance, nad brzegiem rzeki, strzechą kryte dachy, wyglądające spoza mocnej palisady, i wszedł w uliczkę murzyńskiej wioski, gdzie natychmiast otoczyły go kobiety, dzieci i wojownicy.

Podniecony tłum chciał rozprawić się z nim jak najprędzej. Najzjadlejsze były kobiety, które go biły i szarpały, gdzie tylko mogły dosięgnąć, dopóki Numabo, wódz, nie stanął w jego obronie, pragnąc inny koniec zgotować jeńcowi.

Gdy wojownicy rozpędzili tłum, robiąc przejście, którym poprowadzili więźnia w kierunku jednej z chat, porucznik Smith-Oldwick zobaczył zbliżającą się grupę Murzynów, przybranych w lachmany niemieckich mundurów. Niemało zadziwił go ten widok i pierwszą jego myślą było, że nareszcie natknął się na oddział nieprzyjacielskiej armii, o której chodziły słuchy i której właśnie poszukiwał.

Z żalością pomyślał o nieszczęśliwych warunkach, jakie udostępniły mu tę wiadomość, gdyż mimo że nie tracił nadziei, zdawał sobie sprawę z trudności wydostania się z rąk swych prześladowców i odzyskania aparatu.

Wśród na wpół umundurowanych czarnych znajdował się duży chłop w stroju sierżanta. Gdy jego oczy padły na oficera angielskiego, okrzyk triumfu wydobył się z jego ust.

- Skąd wzięłeś tego Anglika? - zwrócił się Usanga do wodza Numabo. - Czy jest ich tam dużo?

- Przyleciał z nieba - odrzekł wódz - w jakiejś dziwnej rzeczy, która wygląda jak ptak i bardzo nas z początku przestraszyła. Ale przyglądaliśmy się jej długą chwilę i przekonaliśmy się, że nie musi być żywa, i kiedy ten biały człowiek wyszedł z mej, napadliśmy na niego i chociaż zabił kilku moich wojowników, ujęliśmy go, bo my, Wamabo, jesteśmy dzielni.

Usanga wytrzeszczył oczy.

- Przyleciał tu z nieba? - zapytał.

- Tak - rzekł Numabo. - W wielkiej do ptaka podobnej rzeczy, zleciał z nieba. Ta rzecz leży tam, gdzie siadła, koło czterech drzew, blisko drugiego zakrętu rzeki. Zostawiliśmy ją tam, nie wiedząc co to jest, baliśmy się jej dotknąć i leży tam wciąż, o ile nie odleciała.

- Bez tego człowieka - odparł Usanga - nie może odlecieć. To straszna rzecz, która trwogą napępiała serca naszych żołnierzy, bo latała po nocach nad nami i rzucała na nas bomby. Dobrze się stało, że złapaliście tego białego, Numabo, bo latałby on ze swym wielkim ptakiem nad twoją wioską i pozabijałby cały twój lud. Ci Anglicy to bardzo źli biali ludzie.

- On już więcej nie polecą - rzekł Numabo. - Człowiek nie powinien latać w powietrzu. Tylko złe duchy tak robią i Numabo postara się, żeby ten człowiek więcej tego nie robił. - Z tymi słowami brutalnie oficera wepchnął do chaty, leżącej pośrodku wioski, i pozostawił pod strażą dwu rosnących wojowników.

Więzień, zamknięty w samotności, spędził około dwu godzin na bezowocnych próbach rozluźnienia pęt na rękach. Zajęcie to przerwało mu wejście czarnego sierżanta, Usangi.

- Co oni zamierzają uczynić ze mną? - zapytał Anglik. - Moja ojczyzna nie wojuje z tymi ludźmi.

Mówisz ich językiem. Powiedz im, że nie jestem ich wrogiem, że mój naród jest w przyjaźni z czarnymi i że muszą mnie wypuścić.

Usanga zaśmiał się.

- Oni nie odróżniają Anglika od Niemca. Nic ich nie obchodzi, kim jesteś. Wystarczy żeś biały i wróg.

- Dlaczego więc wzięli mnie żywcem? - zapytał porucznik.

- Pójdź, - rzekł Usanga i poprowadził Anglika do drzwi chaty. - Patrz - powiedział, czarnym palcem ukazując na koniec ulicy wioskowej, gdzie rozleglejsze miejsce między chatami tworzyło rodzaj placu.

Porucznik Harold Percy Smith-Oldwick zobaczył gromadę Murzynek, zajętych układaniem pęków chrustu wokoło pala i przygotowywaniem ognisk pod licznymi kotłami.

Aż nadto jasny był cel tych wrogich przygotowań.

Usanga bacznie wpatrywał się w białego człowieka, lecz jeśli oczekiwał na jego twarzy oznak przerażenia, spotkał go zawód. Młody porucznik wzruszył ramionami, zwracając się do niego.

- Więc doprawdy zamierzacie mnie zjeść?

- Nie mój lud - odrzekł Usanga. - My nie jemy mięsa ludzkiego, ale Wamabo jedzą je. Oni cię zjedzą, ale my cię zabijemy na ucztę, Angliku.

Anglik stał w drzwiach chaty jak ciekawy widz, przyglądając się przygotowaniom do orgii, która w tak odrażający sposób miała położyć kres jego istnieniu ziemskiemu. Trudno twierdzić, że nie czuł strachu. Jeśli go jednak czuł to znakomicie ukrył to uczucie pod maską obojętności. Odwaga jego zrobiła widocznie wrażenie nawet na brutalnym Usandze, gdyż zamiast, jak to zamierzał, torturować bezbronną ofiarę, ograniczył się do wymyślania na białych w ogóle, a Anglików w szczególności, nienawidząc ostatnich szczególnie za trwozę, jaką w sercach krajowych wojsk niemieckich budzili lotnicy angielscy.

- Nigdy już - zakończył - twój wielki ptak nie będzie latał nad nami, siejąc śmierć wśród mego ludu. Usanga już się o to postara - i wyszedł szybko z chaty, przyłączając się do swoich ludzi, którzy zebrali się w pobliżu pola, śmiejąc się i zabawiając z kobietami.

W chwilę później Anglik widział, jak wyszli poza bramę wioskową i myśli jego znów zaczęły krążyć wokół jałowych planów ucieczki.

* * *

Daleko na północ od wioski, na niewielkim wzniesieniu tuż obok rzeki, gdzie dżungla, zatrzymawszy się u stóp pagórka, pozostawiała kilka akrów tłustej, mało zadrzewionej ziemi, pracowało dwoje ludzi.

Mężczyzna i młoda dziewczyna budowali niewielką fermę, wśród której stała świeżo wzniesiona chatka.

Pracowali w milczeniu. Od czasu do czasu tylko padały wskazówki lub zapytania. Mężczyzna, poza przepaską na biodrach, całkiem był nagi, o skórze na głęboki brąz opalanej przez słońce i wiatry. Poruszał się z kocim wdziękiem, a gdy unosił w górę ciężary, robił to tak bez żadnego wysiłku, jak gdyby wyciągał puste ramiona.

Ilekcóż nie patrzył na nią, a patrzył bardzo rzadko, dziewczyna wodziła za nim oczyma i na twarzy jej zjawiał się wyraz zakłopotania, jak gdyby widziała w nim zagadkę, której nie umiała rozwiązać. Uczucie jej dla niego cechowała przede wszystkim obawa, gdyż w ciągu krótkiej znajomości dostrzegła w tym pięknym, boskim olbrzymie, właściwości nadczołowieka i dzikiej bestii

zarazem. Z początku odczuwała tylko tę kobiecą trwozę, zrozumiała w jej położeniu.

Czuć się samą jedną w głębi niezbadanej puszczy Afryki Środkowej, w towarzystwie dzikiego człowieka - to już było dostatecznie zatrważające. Ale wiedzieć, że ten człowiek jest jej śmiertelnym wrogiem, że nienawidził jej, że w dodatku miał do niej osobistą urazę za postępek, jakiego się względem niego dopuściła - nie, nie było isierki nadziei, żeby miał dla niej najdrobniejsze względy.

Pierwszy raz ujrzała go przed wielu miesiącami, gdy wszedł do kwatery naczelnego dowództwa niemieckiego w Afryce Wschodniej i porwał nieszczęsnego majora Schneidera, o losach którego nikt się niczego nie dowiedział. Później spotkała się z nim wówczas, kiedy wyrwał ją ze szponów lwa po to, by powiedziawszy, że poznał ją w obozie angielskim, wziąć ją? do niewoli. Wtenczas to uderzyła go ręką pistoletu i uciekła. Że za ten postępek nie szukał na niej zemsty, okazało się w Wilhelmstahl owej nocy, gdy zabił kapitana Fritza Schneidera, a jej darował życie.

Nie, nie mogła go zgłębić. Nienawidził i jednocześnie osłaniał, jak owej nocy, gdy ocalił ją przed rozszarpaniem przez wielkie małpy, kiedy to uciekła z wioski plemienia Wamabo. Dlaczego ją ocalił? Dla jakich strasznych celów bronił ją ten dziki człowiek przed innymi mieszkańcami swej okrutnej puszczy? Starala się nie myśleć o oczekującym ją losie. Ale myśli te wciąż ją napastowały, chociaż musiała przyznać, że postępowanie jego niczym nie uzasadniało obaw. Sądząc go według innych, znanych jej mężczyzn, może też dlatego, że patrzyła na niego jak na dziką istotę, dochodziła do przekonania, że więcej rycerskości nie znalazłaby wśród cywilizowanych mężczyzn swego środowiska.

Fräulein Berta Kirchner była obdarzona przez naturę usposobieniem towarzyskim i wesołym. Nie miała zwyczaju oddawać się smutnym przewidywaniom i nade wszystko łaknęła towarzystwa i wymiany myśli, tej wybitnej cechy, różniącej człowieka od niższych zwierząt. Z drugiej strony, Tarzan wystarczał sobie w zupełności. Długie lata, spędzone w półsamotności, wśród stworzeń, których zdolności rozmówcze były bardzo ograniczone, przyzwyczyły go do milczenia.

Ruchliwy jego umysł nie próżnował nigdy, ale ponieważ jego towarzysze w dżungli nie mogli ani zrozumieć, ani podążyć za biegiem jego myśli, przywykł zachowywać je dla siebie. Nie czuł też i teraz żadnej potrzeby dzielenia się nimi. Ten nawyk, poparty niechęcią, jaką żywił względem dziewczyny, wystarczał, by usta jego były zamknięte dla wszelkiej rozmowy, poza najniezbędniejszą. Pracowali więc razem we względnym milczeniu. Berta Kirchner jednakże miała w sobie dużo kobiecości i uważała, że to bardzo nudne mieć obok siebie kogoś, z którym można by rozmawiać, ale który nie chce mówić. Jej strach przed mężczyzną zmniejszał się stopniowo. Pełna była niezaspokojonej ciekawości zarówno co do jego planów na przyszłość, o ile jej dotyczyły, jak i bardziej osobistych jego spraw, musiały ją bowiem zaciekawiać: i jego przeszłość, i jego zdumiewające samotne życie w puszczy, i jego przyjazne obcowanie z dzikimi małpami.

W miarę, jak zmniejszał się jej strach, stawała się coraz śmielszą i wreszcie spytała go, co zamierza zrobić po wykończeniu chaty i bomy.*

- Wybieram się na zachodnie wybrzeże, gdzie się urodziłem - rzekł Tarzan. - Kiedy wyruszę - nie wiem. Mam całe życie przed sobą, a w dżungli nie ma czego się śpieszyć. My tu nie pędzimy wiecznie z miejsca na miejsce, jak wy tam, na świecie. Gdy już tu pobędę dostatecznie długo, pójdę na zachód. Ale najpierw muszę się postarać, by pani miała bezpieczne miejsce do spania i żeby się pani nauczyła zaopatrywać we wszystko co niezbędne. To potrwa trochę.

- Pan mnie tu samą zostawi?! - krzyknęła dziewczyna ze strachem. - Zostawi mnie tu pan na pastwę drapieżnym zwierzętom i dzikim ludziom, setki mil oddaloną od siedzib białych, w kraju,

którego nie tknęła nigdy stopa cywilizowanego człowieka?

- Dlaczego nie? - zapytał Tarzan. - Ja pani tu nie przyprowadziłem. Czy jakikolwiek rodak pani postąpiłby lepiej z nieprzyjacielską kobietą?

- Tak! - zawołała. - Z pewnością. Żaden mężczyzna mojej rasy nie pozostawiłby bezbronnej, białej kobiety samej jednej w tym okropnym miejscu.

Tarzan wzruszył ramionami. Rozmowa wydawała się bezcelową, a prócz tego raziła go dlatego, że prowadzona była po niemiecku, w języku, którego tak samo nienawidził, jak i posługującego się nim narodu. Chciałby, żeby dziewczyna umiała mówić po angielsku. Nagle przyszło mu do głowy, że skoro spotkał ją w obozie angielskim, prowadzącą tam swą niecną robotę szpiega niemieckiego, musiała umieć po angielsku i zapytał ją o to.

- Rozumie się, że mówię po angielsku - odrzekła, nie wiedziałam tylko, że i pan mówi tym językiem.

Tarzan spojrział zdumiony, ale nic nie powiedział. Dziwiło go, że dziewczyna wątpiła, czy Anglik umie po angielsku. Naraz zrozumiał, że ona prawdopodobnie uważa go za dziką bestię, która przypadkowo nauczyła się mówić po niemiecku przez częste odwiedzanie okręgu, skolonizowanego przez Niemców. Wszak tylko tam go widywała i pewnie nie wiedziała, że był Anglikiem i że posiadał był ognisko domowe w angielskiej Afryce Wschodniej. Tym lepiej - pomyślał - że tak mało o nim wiedziała, tym więcej on mógł się od niej dowiedzieć, o jej działalności wśród Niemców i o niemieckim systemie szpiegowskim, którego była przedstawicielką. Postanowił więc pozostawić ją w mniemaniu, że był tym, na co wyglądał - dzikim mieszkańcem dzikiej dżungli, człowiekiem bez rasy i ojczyzny, zarówno wszystkich białych ludzi nienawidzącym. W rzeczywistości tak o nim myślała i tym sobie tłumaczyła jego napaść na majora Schneidera i kapitana Fritza Schneidera, brata majora.

Wzięli się znów w milczeniu do pracy nad bomą, bliską już ukończenia dzięki pomocy dziewczyny. Tarzan musiał, acz z niechęcią, podziwiać wytrwałość, jaką okazywała przy uciążliwej często robocie zbierania i układania krzaków cierniowych, które stanowiły tymczasową ochronę przed wałęsającymi się drapieżnikami.

Ręce jej i ramiona pełne były zadrapań i, chociaż była wrogiem, Tarzan poczuł wstyd, że pozwolił jej na taką robotę. Wreszcie kazał jej zaprzestać.

- Dlaczego? - zapytała. - Nie jest to dla mnie uciążliwsze niż dla pana, a przecież dla mego wyłącznie bezpieczeństwa buduje pan tę bomę. Nie ma żadnej racji, bym ja w tej robocie nie brała udziału.

- Pani jest kobietą - odrzekł Tarzan - a to nie dla kobiety robota. Jeśli pani chce koniecznie coś zrobić, to proszę wziąć tę wydrążoną dynię, którą dziś rano przyniosłem i napełnić ją wodą z rzeki. Może być pani potrzebna podczas mojej nieobecności.

- Podczas pańskiej nieobecności? - powtórzyła. - Pan odchodzi?

- Gdy boma będzie gotowa, pójdę po mięso. Jutro pójdę z rana i wezmę panią ze sobą, by ją nauczyć samej zdobywać sobie zwierzynę, gdy mnie nie będzie.

Bez słowa wzięła łupinę i skierowała się do rzeki. Nabierając wodę, miała głowę zaprzątniętą ciężkimi myślami. Wiedziała, że Tarzan wydał na nią wyrok śmierci i że z chwilą, gdy on się oddali, los jej będzie zdecydowany. Będzie to tylko sprawa czasu - bardzo krótkiego czasu - dżungla ją zabierze. Bo w jakiż sposób może samotna kobieta przezwyciężyć dzikie moce puszczy?

Tak była zajęta tymi ponurymi przewidywaniami, że ani widziała, ani słyszała co się wokół niej

dzieje. Machinalnie napełniła łupiny dyni wodą i zawracała w kierunku bomby, gdy nagle ze stłumionym okrzykiem zaczęła się cofać na widok groźnej postaci, sterczącej przed nią i zagradzającej jej drogę do chaty.

Go-lat, król wielkich małp, polując trochę na uboczu od swego plemienia, widział kobietę, idącą po wodę do rzeki, i on to właśnie tak ją przestraszył. Według pojęć ludzkich, nie był Go-lat ładnym stworzeniem, chociaż samice z jego rodu i nawet sam Go-lat podziwiałały piękno jego połyskliwego czarnego futra, przetykanego srebrem, jego długich, do kolan zwisających rąk, jego okrągłej głowy, zapadniętej między potężnymi ramionami. Złe, krwią nabiegłe oczy, szeroki nos, ogromne usta i wielkie, wojownicze kły podnosiły jeszcze pretensje tego adonisa leśnego do sympatii samic jego rodu.

Niewątpliwie w małym, dzikim mózgu zrodziło się przekonanie, że ta dziwna, do Tarmangani należąca samica, musi z zachwytem spoglądać na stworzenie tak piękne jak Go-lat, nie ulegało bowiem wątpliwości, że uroda jego najzupełniej zaćmiewała powierzchowność bezwłosej, białej małpy.

Ale Berta Kirchner widziała tylko straszliwe zwierzę, srogą i odrażającą karykaturę ludzką. Gdyby Go-lat mógł poznać jej opinię, byłby bardzo zmartwiony, o ile by jej nie przypisywał brakowi smaku z jej strony. Tarzan usłyszał okrzyk dziewczyny, a podniósłszy głowę, zobaczył przyczynę jej strachu. Lekko przeskoczywszy bombę, pobiegł czym prędzej. Go-lat tymczasem przysuwał się do dziewczyny, gardłowymi dźwiękami tłumacząc jej swe uczucia, ale - niestety - najprzyjaźniejsze zapewnienia brzmiały w jej uszach jak pomruki rozwścieczonego zwierzęcia. Biegając Tarzan głośno wołał na małpę. Dziewczyna słyszała te same dźwięki, dobywające się z ust ludzkich, jakie wydawał antropoid.

- Nie zrobię krzywdy twojej samicy - zawołał Go-lat do Tarzana.

- Wiem o tym! - odrzekł człowiek-małpa. - Ale ona nie wie. Ona jest jak Numa albo Szita, nie rozumie naszej mowy. Myśli, że przyszedłeś ją skrzywdzić.

Tarzan już był przy dziewczynie.

- Niech się pani nie lęka, on nie robi pani nic złego - rzekł. - Ta małpa dostała już nauczkę. Dowiedziała się, że Tarzan jest panem dżungli. Nie skrzywdzi tego, co należy do Tarzana.

Dziewczyna rzuciła szybkie spojrzenie na mówiącego. Oczywiście było, że słowa te nie miały dla niego żadnego znaczenia i że przypisywanie sobie prawa własności nad nią było tylko, podobnie jak boma, jednym ze sposobów uchronienia jej przed niebezpieczeństwem.

- Ale ja się go boję - rzekła.

- Nie należy okazywać lęku. Będzie pani często przebywała w towarzystwie tych małp. Dam pani sposoby bronienia się, gdyby która z nich zechciała zwrócić się przeciwko pani. Na pani miejscu szukałbym ich towarzystwa. Mało jest zwierząt w puszczy, które ośmieliłyby się napaść na wielkie małpy, gdy są w gromadzie. Jeśli spostrzeża, że pani się ich boi, uczują swą przewagę i życie pani będzie wciąż zagrożone. Zwłaszcza samice zaraz by się na panią rzuciły. Pouczę je, że pani umie się bronić i potrafi je zabić. Pokażę pani w razie potrzeby ten sposób, a wówczas będą szanowały panią i będą się jej bały.

- Spróbuję - rzekła dziewczyna - ale to będzie trudne. To najbardziej przerażająca istota, jaką kiedykolwiek widziałam.

- Niewątpliwie myśli on to samo o pani - uśmiechnął się Tarzan.

Tymczasem nadeszły inne małpy. Dwoje ludzi otoczyła liczna gromada, złożona z samców,

młodych samic i starszych z małymi, uczepionymi do ich grzbietów lub igrającymi u ich stóp. Choć widziały dziewczynę owej nocy Dum-Dum, gdy Szita-pantera zmusiła ją do wyskoczenia z kryjówki na polankę, na której małpy tańczyły, okazywały wciąż wielkie zaniepokojenie. Niektóre samice zbliżyły się i skubały jej ubranie, robiąc między sobą uwagi w swym dziwnym języku. Dziewczyna, przyzwawszy na pomoc całą swą moc, panowała nad sobą, przeszła przez tę próbę, nie zdradziwszy ani lęku, ani obrzydzenia. Tarzan bacznie się jej przyglądał, z lekkim uśmiechem na twarzy. Nie tak dawno odsunął się był od ludzi cywilizowanych, aby nie mógł zrozumieć, jakie znosiła tortury. Ale nie czuł litości dla tej kobiety z wrogiego plemienia, która niewątpliwie zasługiwała na najsroższe cierpienia. Mimo jednak tych uczuć, nie mógł nie podziwiać odwagi, jakiej dowiodła. Zwrócił się do małp.

- Tarzan idzie zapolować dla siebie i dla swojej samicy - rzekł. - Samica zostanie tam - wskazał na chatę. - Pamiętajcie, aby żaden jej nie ukrzywdził. Rozumiecie?

- Nie skrzywdzimy jej - rzekł Go-lat.

- Nie - rzekł Tarzan - nie wyrządźcie jej krzywdy. Bo gdybyście wyrządziły, Tarzan by was pozabijał.

Po czym zwrócił się do dziewczyny.

- Chodźmy - rzekł. - Idę teraz na łowy. Najlepiej, żeby pani pozostała w chacie. Małpy obiecały nie skrzywdzić pani. Zostawię swą włócznię. To najlepszy oręż w razie, gdyby wypadło się bronić, chociaż wątpię, by podczas mojej krótkiej nieobecności zagroziło pani jakie niebezpieczeństwo.

Doprowadził ją aż do bomy, a gdy weszła, zamknął otwór gałęziami cierniowymi i zawrócił w kierunku lasu.

Patrzyła jak szedł przez polankę. Podziwiała lekki, koci chód i wdzięk każdego poruszenia, tak harmonizujących z symetrią i doskonałością całej postaci. Na skraju lasu lekko wznosił się na drzewo i znikł jej z oczu. Weszła do chaty i rzuciwszy się na ziemię, zalała się łzami.

ROZDZIAŁ X

W REKACH DZIKICH

Tarzan szukał Bary-jelenia lub Horty-dzika, gdyż, jak sądził, żadne inne ze zwierząt dżungli nie będzie smakowało białej kobiecie. Ale, mimo że węszył swymi wrażliwymi nozdrzami, daleko zawędrował, nie napotkawszy najlżejszego nawet śladu poszukiwanej zwierzyny. Trzymając się wciąż biegu rzeki, gdzie spodziewał się spotkać Barę lub Hortę, idących lub wracających od wodopoju, poczuł zalatujący odór wioski Wamabo. Zawsze gotów złożyć nieproszoną wizytę swym odwiecznym wrogom, Gomanganim*, zбочył z drogi i zaszedł od tyłu wioski. Wdrapawszy się na drzewo, którego gałęzie zwisały przez palisadę, spojrział w dół na ulicę i spostrzegł przygotowania. Wiedział z doświadczenia, że oznaczały one zbliżanie się owych straszliwych uroczystości, których główną atrakcją stanowiło mięso ludzkie.

Jedną z najmilszych rozrywek Tarzana było drażnienie dzikich. Dokuczanie im i przerażanie ich było źródłem większych dla niego przyjemności niż te, jakich mu mogła dostarczyć dżungla. Wielką radość odczułby, gdyby zdołał pozbawić ich zabawy w sposób, który by ich serca przejął grozą; przeszukiwał więc wzrokiem wioskę, chcąc znaleźć miejsce pobytu więźnia. Gęste liście przeszkadzały mu; by uzyskać lepszy widok, wdrapał się wyżej i ostrożnie posuwał się po smukłej gałęzi.

Małpi Tarzan miał cudowną znajomość lasu, ale nawet i jego zdumiewające zmysły nie były nieomyłne. Gałąź, na którą się dostał, nie była mniejsza od wielu innych, które wytrzymały jego ciężar niezliczone razy. Wydawała się pozornie mocną i zdrową i bujnie okryta była liśćmi, nie mógł więc wiedzieć, że tuż przy pniu robak wyjadł rdzeń pod korą.

Gdy zaszedł już dosyć daleko po powierzchni gałęzi, ułamała się nagle przy samym pniu drzewa. Nie było poniżej większych gałęzi, których mógłby się ucześcić. Gdy skoczył na dół, noga jego zaplatała się w pnącza. Wywrócił kozła i padł na wznak na sam środek ulicy wioskowej.

Usłyszawszy trzask łamiącej się gałęzi i łoskot spadającego z drzewa ciała, czarni pośpieszyli do chat po oręż. Gdy wrócili uzbrojeni, zobaczyli zupełnie nagiego białego, leżącego bez ruchu. Ośmieleni tym, podeszli bliżej, a nie widząc na drzewie innych jego towarzyszy, ruszyli naprzód i dwunastu wojowników obstało go z podniesionymi dzidami. Z początku myśleli, że upadek zabił go, ale po bliższym zbadaniu okazało się, że był tylko ogluszony. Jeden z wojowników chciał już pobić go włócznią, ale Numabo, wódz, sprzeciwił się temu.

- Zwiążcie go - rzekł. - Dobrze się dziś najemy!

Związali mu ręce i nogi rzemieniami, zrobionymi z kiszek, i zanieśli do chaty, w której porucznik Harold Percy Smith-Oldwick oczekiwał swego losu. Porucznikowi też związali ręce i nogi w obawie, by w ostatniej chwili nie uciekł i nie pozbawił ich uczy. Wokoło chaty zebrała się gromada

krajowców, żądnych widoku nowego więźnia, ale Numabo podwoił straż przed drzwiami chaty. Obawiał się, że któryś z nich, podniecony radością, pozbawi resztę czarnych przyjemności tańca śmierci, który miał poprzedzić zabicie ofiar.

Młody Anglik słyszał łoskot spadającego na ziemię ciała i poruszenie w wiosce, które bezpośrednio potem nastąpiło. Stojąc teraz, oparty o ścianę, spoglądał na wniesionego do chaty i złożonego na podłodze współwięźnia z uczuciem zdziwienia i współczucia. Nigdy nie widział doskonalszego okazu i zastanawiał się, jakie okoliczności spowodowały pojmanie tego człowieka. Było widoczne, że nowy więzień był równie dziki, jak ci, co go pojмали, jeśli sędzić po stroju i uzbrojeniu; równie jednak widoczne było, że to człowiek biały. Dobrze zbudowana głowa i piękne rysy wskazywały, że nie był to jeden z owych nieszczęsnych półgłówek, którzy tak często wracają do stanu dzikości nawet wśród cywilizowanych społeczeństw.

Przyglądając się człowiekowi zauważył, że jego powieki się poruszają. Podniosły się z wolna i para szarych oczu spojrzała błędnie. W miarę powracania do przytomności, oczy nabierały naturalnego wyrazu bystrej inteligencji. W chwale później więzień z wielkim wysiłkiem przewrócił się na bok i przybrał pozycję siedzącą.

Spoglądał na Anglika, a oczy jego spostrzegły spętane nogi i ręce, mocno przywiązane do pleców, uśmiechnął się.

- Napełnią dziś swe brzuchy - rzekł. Anglik wyszczerzył zęby.

- Sądząc po hałasie, jaki robią, łotry muszą być strasznie głodne. Zdawało się, że zjedzą mnie żywcem, jak mnie tu prowadzili. Jak ciebie ujęli?

Tarzan żałośnie pokręcił głową.

- To moja własna wina. Zasługuję na to, aby być zjedzony. Wlażłem na gałąź, która nie mogła wytrzymać mego ciężaru, a gdy się złamała, zamiast skoczyć na nogi, zaplątałem się w pnącze i runąłem głową na dół. Inaczej nie byliby mnie wzięli żywcem.

- Czy nie ma możliwości ucieczki? - zapytał Anglik.

- Uciekałem od nich i widziałem, jak inni uciekali. Widziałem, jak porwano człowieka spod pala, gdy już dwanaście rzutów dzidy podziurawiło mu ciało i ogień już był podłożony pod jego stopami.

Dreszcz wstrząsnął porucznikiem.

- Boże! - zawołał. - Spodziewam się, że mnie to nie grozi. Zdaje mi się, że wszystko mógłbym wytrzymać, prócz ognia. Diabło źle czułbym się, gdybym w ostatniej chwili stchórzył wobec tych łotrów.

- Nie martw się - rzekł Tarzan. - To nie trwa długo i nie stchórzysz. Naprawdę to wcale nie takie straszne, jak się wydaje. Jest tylko trochę bólu, zanim się straci przytomność. Widziałem to dużo razy. Taki sam dobry sposób jak każdy inny. Musimy kiedyś umrzeć. Co za różnica, czy dziś, czy jutro, czy za rok, byleśmy przedtem żyli - a ja żyłem!

- Twoja filozofia jest może bardzo słuszna - rzekł młody porucznik - nie mogę jednak powiedzieć, żeby była pocieszająca.

Tarzan się roześmiał.

- Przytocz się do mnie, to wezmę się zębami do twych więzów.

Anglik posłuchał go i mocne zęby Tarzana zabrały się do pęt. Czuł, jak ustępują. Za chwilę opadną, a wówczas łatwą będzie stosunkowo rzeczą dla Anglika pozbyć się pozostałych i uwolnić Tarzana.

W tej właśnie chwili wszedł do chaty jeden ze strażników.

Spostrzegł, co się tu działo, i ręką dżidy wymierzył cios w głowę Tarzana. Wezwał innych i gromadą całą rzucili się na nieszczęsnych, bijąc i tłukąc ich niemiłosiernie. Związali Anglika jeszcze mocniej niż poprzednio i każdego z więźniów umocowali do przeciwległych ścian. Gdy odeszli, Tarzan spojrzął na towarzysza niedoli.

- Niechaj żywi nie tracą nadziei - rzekł. Lecz uśmiechnął się przy tym.

Porucznik Harold Percy Smith-Oldwick odpowiedział mu takim samym uśmiechem.

- Zdaje mi się - rzekł - że krucho z nami. Zbliża się czas wieczery.

* * *

Zu-tag polował samotnie, z dala od reszty małp z rodu Go-lata, wielkiej małpy. Zu-tag (Mocny kark) był to młody samiec, który niedawno osiągnął był wiek męski. Był duży, mocny i okrutny zarazem, jednak inteligencją znacznie przerastał swych współplemieńców, co wykazywało jego czoło, wyższe i mniej cofnięte. Go-lat widział w nim rywala i spoglądał na młodego samca niechętnie i z zazdrością. Zapewne dlatego tak często Zu-tag polował samotnie; jego nieustraszoną pozwałała mu znacznie oddalać się od towarzyszy, zobaczył, że pozbawia się korzyści, jaką daje gromada małp wobec potężnych wrogów. Wynikiem przyzwyczajenia tego był rozwój pomysłowości i spostrzegawczości.

Dziś był na łowach w stronie południowej i wracał z biegiem rzeki tropem, którego często się trzymał, gdyż prowadził obok wioski Gomanganich, których szczególne i do małpich podobne ruchy, a zwłaszcza dziwny sposób życia, wzbudzały ciekawość Zu-taga. Jak to już nieraz poprzednio robił, usadowił się na drzewie, z którego mógł widzieć wioskę i przyglądać się czynnościom mieszkańców.

Zaledwie zdążył umieścić się na drzewie, gdy usłyszał, podobnie jak mieszkańcy wioski, łoskot ciała Tarzana, spadającego na ziemię z sąsiedniego drzewa. Widział, jak Murzyni zebrali się dookoła nieruchomej postaci i ponieśli ją do chaty. W brązowoskórym Tarmanganim poznał ową dziwną małpę, która dwie noce temu przyszła w czasie Dum-Dum i dla której, dzięki łatwości, z jaką pokonała największego przeciwnika, młody samiec żywił podziw i szacunek. Zerwał się, podniósł głowę do nieba, by wydać okrzyk wyzwania, lecz powstrzymał się, wiedziony wrodzoną chytryością i przezornością.

Zabłysła mu myśl, że chciałby wybawić tę niezwykłą małpę z rąk wspólnego wroga Gomanganich i dlatego nie wydał okrzyku, mądrze orzekłszy, że więcej można zdziałać przebiegłością niż siłą mięśni lub pazurów.

W pierwszej chwili zamierzał wejść do wioski i unieść Tarmangani. Gdy jednak zobaczył, jak liczni byli wojownicy i że wielu z nich siedziało pod drzwiami chaty, do której zanesiono jeńca, zrozumiał, że czynu tego sam jeden nie dokona i tak cicho jak przyszedł, pośpieszył na północ.

* * *

Małpy wciąż włóczyły się po polanie, na której stała chatka, zbudowana przez Tarzana i Bertę Kirchner. Jedne leniwie szukały pożywienia na skraju lasu, inne przysiadły w cieniu drzew na polance.

Dziewczyna, otarłszy łzy, wyszła z chaty, trwożliwie spoglądając na południe, gdzie Tarzan znikł w dżungli. Od czasu do czasu rzucała podejrzliwe spojrzenia na otaczające ją kudłate antropoidy. Z jaką łatwością mogłyby wejść do bomy i zabić ją! Mimo włóczni, którą jej biały człowiek pozostawił, czuła całą swą bezbronność wobec potężnych ramion, mocarnych karków i wielkich mięśni, drgających pod lśniącem futrem. Nigdy w życiu nie widziała takiego wcielenia brutalnej siły. Te wielkie ręce przełamują jej włócznię jak zapałkę; najłżejsze ich uderzenie powala ją martwą.

Przejęta była tymi myślami, wpadła nagle na polance na olbrzymiego młodego samca. W owym czasie dla Berty wszystkie małpy były do siebie podobne. Później dopiero przekonała się, że zarówno jak ludzie, różniły się między sobą twarzą i postacią. Nawet wówczas jednak nie mogła nie zauważyć zadziwiającej siły i zręczności przybysza, a gdy zbliżył się do niej, nie podziwiać połysku jego gęstego, czarnego, posrebrzanego futra.

Znać było, że przybyły jest bardzo podniecony. Zdradzały to jego ruchy i gesty nawet z oddali; zauważyła to nie tylko dziewczyna. Dużo małp powstało i szło mu naprzeciw, jeżąc się i pomrukując, jak to jest w ich zwyczaju. Go-lat również się zbliżał, z najeżonym włosom na karku i na grzbiecie, wydając pomruki i obnażając kły. Kto mógł wiedzieć, czy Zu-tag przychodził z zamiarami pokojowymi? Stary król widywał młode samce, zdjęte nagłą chęcią wyrwania wodzowi jego królewskiej władzy. Widział, jak takie samce wściekle wypadały z dżungli na pozostałych członków rodu. Go-lat więc gotował się do walki.

Gdyby Zu-tag przyszedł niedbale, zajadając po drodze, mógłby się być zjawić, nie zwracając uwagi, ani budząc podejrzeń. Ale jeśli ktoś przybywa tak gwałtownie, widocznie przepełniony jakimiś niezwykłymi uczuciami - małpy muszą mieć się na baczności. Było tam sporo krążenia, węszenia, mrużenia, najeżania się, zanim obie strony doszły do przekonania, że żadna nie miała wojowniczych zamiarów. Wówczas Zu-tag opowiedział Go-latowi, co widział w legowisku Gomanganich. Go-lat odwrócił się niechętnie.

- Niechaj biała małpa sama się o siebie troszczy - odrzekł.

- To wielka małpa - zawołał Zu-tag. - On przyszedł by żyć w pokoju z rodem Go-lata. Wybawmy go z rak Gomanganich.

Go-lat, pomrukując, oddalał się obojętnie.

- Jeśli Go-lat boi się Gomanganich, Zu-tag pójdzie sam. Król małp obrócił się, gniewnie mruży i bijąc się w piersi.

- Go-lat nie boi się! - wrzasnął. - Ale nie pójdzie, bo biała małpa nie z jego jest rodu. Idź sam i zabierz samicę Tarmangani, jeśli tak bardzo pragniesz go ocalić.

- Zu-tag pójdzie - odparł młody samiec - zabierze ze sobą samicę Tarmangani i wszystkie samce Go-lata, które nie są tchórzami. - Mówiąc to pytająco poglądał na pozostałe małpy. - Kto pójdzie z Zu-tagiem walczyć z Gomangani i uwolnić naszego brata? - zapytał.

Ośmiu młodych samców skupiło się wokół Zu-taga, ale stare, z konserwatyżmem i przezornością odpowiadającymi ich siwym grzbietom, potrząsnęły głowami i pokuszyły za Go-latem.

- Dobrze! - zawołał Zu-tag - Nie potrzeba nam starych bab do walki z Gomangani. To zadanie tylko dla dzielnych wojowników!

Stare samce nie zaszczyciły uwagą tych pogardliwych słów, ale napełniły one dumą ośmiu młodych, którzy ofiarowali swą pomoc. Stali też pyszniąc się, waląc się w piersi, obnażając kły i wydając okrzyki wyzwania, aż cała dżungla rozbrzmiewała echem tych przerażających dźwięków.

Berta Kirchner szeroko rozwartymi oczyma śledziła tę scenę, która, jak sądziła, skończy się straszliwą bójką między tymi okropnymi bestiami, i gdy Zu-tag i jego zwolennicy zaczęli wydawać okrzyki wyzwania, zadrżała ze strachu. Najbardziej bowiem zatrważającym ze wszystkich głosów dżungli jest głos wielkiego samca małpiego, gdy wydaje okrzyk wyzwania lub ogłasza swój triumf.

Jeśli była już przedtem zatrwożona, to teraz strach przykuł ją do miejsca, gdy ujrzała, że Zu-tag, wraz ze swymi małpami, kieruje się do niej. Ze zręcznością kota przeskoczył Zu-tag ochronną ścianę

i stanął przed dziewczyną. Zaczął szwargotać i gestykulować - nawet jej skąpa znajomość zwyczajów małpich wystarczała, by pojąć, że nie przyszedł ze złymi zamiarami. Nie obnażał wojowniczo kłów i cały jego wyraz i postawa zdradzały usiłowanie wyjaśnienia zawiłego zagadnienia lub obrony dobrej sprawy. W końcu zniecierpliwił się widocznie, gdyż jednym zamachem potężnej łapy wytrącił włócznię z jej ręki i pochwycił ją za ramię, nie brutalnie wszakże. Cofnęła się przerażona, a jednak coś jej mówiło w duszy, że ze strony tego wielkiego zwierza nie grozi jej żadne niebezpieczeństwo. Zu-tag szwargotał coraz głośniejsze, wciąż wskazując na południową stronę dżungli i ruszając ku bomy, pociągnął za sobą dziewczynę. Zdawał się zapamiętałe pragnąć coś jej wyjaśnić.

Wskazywał na bomę, na nią sama, na las, wreszcie - jakby w nagłym natchnieniu - nachylił się i - podniósłszy włócznię - kilkakrotnie dotknął ją wskazującym palcem i znowu zaczął ukazywać na południe. Dziewczyna zrozumiała wreszcie, że to, co małpa usiłowała jej powiedzieć, dotyczyło białego człowieka, za którego własność zwierzę ją uważało. Może coś złego spotkało jej ponurego opiekuna?! Z tą myślą już się nie opierała, lecz ruszyła natychmiast naprzód. Doszedłszy do miejsca bomy, w którym Tarzan zamknął otwór, zabrała się do odrzucania na bok gałęzi cierniowych, co gdy ujrzał Zu-tag, wziął się do pomocy. Zrobiwszy przejście, wyszła razem z wielką małpą.

Natychmiast Zu-tag i osiem małp szybko ruszyły ku dżungli, tak szybko, że Berta Kirchner musiała biec z całej siły, by im dotrzymać kroku. Długo tego nie wytrzymała i zaczęła pozostawać w tyle, ku wielkiemu niezadowoleniu Zu-taga, który wciąż powracał i przynaglał ją do pośpiechu. Raz nawet chwycił ją za ramię, próbując ciągnąć za sobą. Nic by nie pomógł jej opór, gdyż wielkie zwierzę nie czuło go nawet i nie poprzestało, póki nie uwikłała nogi w jakimś pnączu i nie upadła na ziemię. Zu-tag rozgniewał się bardzo i groźnie zamruczał. Jego małpy czekały na skraju lasu, by je poprowadził. Teraz rozumiał, że ta biedna, wątła samica nie mogła nadażyć i że jeśli będą się wlekli jej wolnym krokiem, przybędą za późno. Bez słowa nachylił się, podniósł ją z ziemi i przerzucił sobie na grzbiet. Gdy dziewczyna ramionami objęła jego kark, wielką łapą chwycił obie jej ręce, by nie spadła, i pędem puścił się, doganiając towarzyszy.

Berta Kirchner ubrana była po męsku, bez spódnic, które by jej zawadzały i zaczepiały się o krzaki, przekonała się rychło, że nietrudno jej będzie przylgnąć mocno do grzbietu potężnego zwierza, a gdy po chwili skoczył na niższe konary drzewa, zamknęła oczy i mocno przywarła do niego w obawie, że upuści ją na ziemię.

Ta podróż po odwiecznej puszczy wraz z dziewięcioma wielkimi małpami nie zatrze się nigdy w pamięci Berty Kirchner.

Gdy pierwsza fala strachu minęła, otworzyła wreszcie oczy i spojrzała wokół z zaciekawieniem. Uczucie trwogi stopniowo zaczęło zanikać i ustępować poczuciu względnego bezpieczeństwa, gdy zobaczyła, z jaką łatwością i pewnością siebie te wielkie zwierzęta wędrowały po drzewach. Wzrastał też jej podziw dla młodego przewodnika, który, mimo dodatkowego obciążenia jej osobą, poruszał się szybciej i nie zdradzał większego zmęczenia niż jego towarzysze.

Bez wytchnienia pośpieszał Zu-tag i zatrzymał się dopiero wśród gałęzi drzewa, rosnącego nie opodal wioski. Słyszał było głosy poza palisadą, śmiechy i krzyki Murzynów, naszczekiwanie psów, a poprzez liście dziewczyna dojrzała zarysy wioski, z której tak niedawno uciekła. Zadrżała na myśl o powrocie i powtórny uwięzieniu i nie rozumiała, po co ją Zu-tag tutaj przyprowadził.

Małpy ruszyły dalej z wielką ostrożnością, posuwając się bezszelestnie poprzez drzewa, dopóki nie dotarły do miejsca skąd mogły spojrzeć poprzez palisadę na ulicę wioskową, ciągnącą się

poniżej.

Zu-tag przykucnął na wielkiej gałęzi tuż obok pnia i uwolniwszy swój kark od ramion dziewczyny, wskazał jej, że musi sama iść dalej po gałęzi. Gdy to uczyniła, ukazał jej otwarte drzwi chaty, stojącej po przeciwnej stronie ulicy. Gestami usiłował coś jej wyjaśnić - wreszcie pojęła jego myśl - biały człowiek był tam uwięziony.

Pod nimi był dach chaty, na który mogła z łatwością zeskoczyć, nie miała jednak pojęcia, co dalej począć, gdy wejdzie do wioski.

Zapadał mrok. Pozapalano już ogniska pod kotłami. Dziewczyna dojrzała pal na ulicy wioskowej i stosy chrustu wokoło niego. Z przerażeniem zrozumiała znaczenie tych przygotowań. Ach, gdyby miała jakiś oręż, który dodałby jej cienia nadziei, najśłabszej choćby otuchy, że poradzi sobie z czarnymi! Nie zawahałaby się wpaść do wioski, by ocalić człowieka, który trzykrotnie uratował jej życie. Wiedziała, że jest mu nienawistną, w sercu jej jednak mocno tkwiło uczucie wdzięczności. Nie rozumiała tego człowieka, podobnego mu nie spotkała nigdy w życiu. Bywał nieraz dzikszy od zwierząt, wśród których przebywał, z drugiej strony rycerski był jak giermek średniowieczny. Długie dni zdana była w głuchej puszczy na jego łaskę i niełaskę, nauczył ją jednak tak ufać jego honorowi, że pozbyła się wszelkiej trwogi, jaką pierwotnie przed nim odczuwała.

Że jednocześnie potrafił być odrażająco okrutnym, okazywało się z tego, że zamierzał pozostawić ją samą jedną wśród straszliwych niebezpieczeństw, dniem i nocą jej zagrażających.

Zu-tag widocznie oczekiwał ciemności dla wykonania jakiegoś planu, który dojrzał w swym małym, dzikim mózgu, gdyż wraz ze swymi towarzyszami spokojnie zasiadł na drzewie, śledząc przygotowania czarnych. Wśród Murzynów wynikła zapewne jakaś kłótnia, gdyż dwudziestu lub więcej otoczyło jednego, który wydawał się ich wodzem, gwałtownie wykrzykując i gestykulując. Sprzeczka trwała około dziesięciu minut, po czym grupka rozeszła się. Dwu wojowników pobiegło na drugi koniec wioski, skąd wrócili niebawem z wielkim palem, który wbili obok poprzednio ustawionego. Dziewczyna zastanawiała się, na co mógł być potrzebny drugi pal. Nie czekała długo na wyjaśnienie.

Ściemniło się już zupełnie. Wioskę oświetlały chwiejne blaski licznych ognisk. Teraz znaczny zastęp wojowników znikł we wnętrzu chaty, strzeżonej przez Zu-taga. Wnet pojawili się, wlokąc dwu więźniów. W jednym z nich dziewczyna niezwłocznie poznała swego opiekuna, w drugim młodego Anglika w mundurze lotniczym. Zrozumiała znaczenie dwóch pali.

Szybko powstawszy, położyła rękę na ramieniu Zu-taga i wskazała mu wioskę.

- Pójdź - rzekła, jak gdyby przemawiała do równego sobie, i lekko zeskoczyła na dach, poniżej sterczący. Stamtąd dała susa na ziemię, a w chwilę później okrążyła chatę od strony najbardziej oddalonej od ognisk, kryjąc się w głębokich cieniach, gdzie nie było obawy, by ją wykryto. Odwróciła się raz, by zobaczyć czy Zu-tag idzie za nią, i zobaczyła tuż za sobą jego wielką postać, a za nim drugie zwierzę. Niezawodnie wszystkie małpy towarzyszyły jej; świadomość ta natchnęła ją większą, niż dotychczas, otuchą i nadzieją.

Zatrzymawszy się obok jednej chaty, przylegającej do ulicy, wyjrzała spoza węgła. O parę cali od niej znajdowały się otwarte drzwi budynku, poza nimi, na końcu ulicy, czarni stali wokoło jeńców, już przywiązanych do pali. Oczy wszystkich wlepione były w ofiary, toteż nie było obawy, by została wraz ze swymi towarzyszami dostrzeżona, dopóki nie zbliżą się do Murzynów. Pragnęła jednak zdobyć jakiś oręż, z którym by mogła rzucić się do ataku, nie miała bowiem zupełnej pewności, czy małpy pójdą za nią, czy też pozostawią ją samą. W nadziei, że znajdzie cokolwiek w

chacie, szybko prześlizgnęła się do otwartych drzwi, a za nią, jedna za drugą, dziewięć wielkich małp. Znalazłszy włócznię i uzbroiwszy się w nią, zawróciła do drzwi.

Małpi Tarzan i porucznik Harold Percy Smith-Oldwick stali mocno przywiązani każdy do swego pala. Przez jakiś czas milczeli. Anglik odwrócił głowę tak, by widzieć towarzysza niedoli. Tarzan stał wyprostowany pod palem. Twarz jego nie zdradzała ani gniewu, ani strachu. Miała wyraz znudzonej obojętności, chociaż obaj mężczyźni wiedzieli, że wkrótce zaczną się tortury.

- Żegnaj, przyjacielu - szepnął porucznik. Tarzan spojrział na niego i uśmiechnął się.

- Żegnaj - odpowiedział. - Jeśli chcesz prędko wszystkiego się pozbyć, łykaj dym - jak możesz najszybciej.

- Dzięki - odrzekł lotnik i, chociaż twarz mu się wykrzywiła, wyprostował się i podniósł ramiona.

Kobiety i dzieci rozsiadły się szerokim kręgiem wokół ofiar, wojownicy zaś, cudacznie pomalowani, z wolna się ustawiali, by rozpocząć taniec śmierci. Tarzan ponownie zwrócił się do towarzysza.

- Jeśli chcesz zepsuć im zabawę, nie krzycz, choćbyś nie wiem jak cierpiał. Jeśli zdołasz dotrzeć do końca, nie zmieniając wyrazu twarzy, żadnego nie wydając dźwięku, pozbawisz ich całej przyjemności tej części przedstawienia. Żegnaj: życzę ci powodzenia.

Młody Anglik nic nie odpowiedział, ale po zaciśnięciu jego szczęk widać było, że mało przyjemności dostarczy Murzynom.

Wojownicy zaczęli krążyć. Numabo pierwszy przeleje krew ostrą swą włócznią, co będzie sygnałem do rozpoczęcia tortur, po czym zapali się chrust pod stopami ofiar.

Coraz bliżej i bliżej tańczył odrażający wódz, w blasku ognia, ukazując swe żółte, ostre zęby spoza grubych, czerwonych warg. To pochylając się, to mocno przytupując, to wyskakując do góry, krok za krokiem tańczył zwężającym się kręgiem, który miał go doprowadzić do ofiar na odległość rzutu włóczni.

Wreszcie włócznia dotknęła piersi człowieka-małpy, a gdy odskoczyła, trysnęła krew i wąską nitką spłynęła po gładkiej, brązowej skórze. Jednocześnie z najdalszego obwodu wyczekujących widzów rozległ się krzyk kobiecy, niejako hasło do wrzasków, skowytów, ryków i wielkiego poruszenia w tej części koła.

Ofiary nie mogły dojrzeć przyczyny zamieszania, dla Tarzana jednak byłoby to zbyt cenne, poznał bowiem głosy wielkich małp. Zastanawiał się tylko, co je sprowadziło i jaka była przyczyna ich natarcia, nie mógł bowiem uwierzyć, aby przyszły go odbić.

Numabo i jego wojownicy wypadli szybko z kręgu tanecznego i ujrzeli, jak poprzez szeregi wrzeszczących i przerażonych Murzynów przedzierała się ta sama biała dziewczyna, która przed kilku nocami uciekła od nich, a za nią, jak wydało się ich zdumionym oczom, cała horda wielkich, włochatych leśnych ludzi.

Tłukąc na prawo i na lewo ciężkimi pięściami, szarpiąc wielkimi kłami, szedł Zu-tag, młody samiec, a za nim, podniecone jego przykładem, osiem strasznych małp. Szybko minęły szeregi starców, kobiet i dzieci, gdyż dziewczyna wiodła ich wprost na Numabo i jego wojowników. Wówczas dopiero zjawily się na linii wzroku Tarzana; z niekłamanym zdumieniem poznał, kto mu prowadzi małpy na ratunek.

Krzyknął do Zu-tagu:

- Bierz się do wielkich samców, gdy tymczasem ona będzie mnie odwiązywała - a do Berty

Kirchner: - Prędko! Rozciąć więzy! Małpy zajmą się czarnymi.

Dziewczyna przybiegła do niego. Nie miała noża, a więzy mocno były zaciśnięte. Z zimną krwią jednak i raźnie zabrała się do roboty, i gdy tymczasem Zu-tag zwierzał się z wojownikami, zdołała rozluźnić więzy o tyle, że Tarzan mógł wyplątać z nich ręce i w chwilę później był wolny.

- Rozwiąż teraz Anglika! - zawołał i rzucił się na pomoc Zu-tagowi i jego towarzyszom. Numabo i czarni wojownicy spostrzegli się już, jak małą stosunkowo była liczba małp, stawili więc zdecydowany opór i bliscy byli pokonania napastników. Już trzy małpy były zabite lub ciężko ranne, gdy Tarzan, widząc, że walka skończy się porażką małp, o ile nie zajdzie coś, co by złamało ducha Murzynów, zaczął szukać sposobu dokonania tego. Nagle wzrok jego padł na oręż, który niechybnie da mu osiągnięcie pożądanego wyniku. Z okrutnym uśmiechem chwycił z ogniska kocioł z ukropem i wylał go na wojowników. Cofnęli się z wrzaskiem bólu i trwogi i, mimo nalegań Numabo, nie odważyli się ruszyć naprzód.

Opróżniwszy pierwszy kocioł z ukropem, chlusnął Tarzan drugi, trzeci zaś był już zbyteczny, gdyż z krzykiem, rozbiegając się na wsze strony, śpieszyli Murzyni ukryć się po chatach.

Gdy tymczasem Tarzan odnajdywał swą własną broń, dziewczynie udało się rozwiązać Anglika i z szczęsioma pozostałymi małpami troje Europejczyków z wolna skierowało się ku bramom wioski. Lotnik uzbroił się we włócznię, porzuconą przez jednego z oparzonych wojowników.

Numabo nie zdołał zebrać ponownie swych nastraszonych i boleśnie poparzonych wojowników, wybawcy więc i wybawieni bez dalszych przeszkód pogrążyli się w mroki dżungli.

Tarzan kroczył w milczeniu. Obok szedł Zu-tag, dalej ciągnęły pozostałe przy życiu małpy. Pochód zamykali Fräulein Berta Kirchner i porucznik Harold Percy Smith-Oldwick - ostatni do najwyższego stopnia zdumiony i zaciekawiony.

W ciągu całego życia Tarzan mało zaciągnął był długów wdzięczności. Torował sobie drogę wśród dzikiego świata potęgą swych mięśni, wielką odwagą i od Boga daną mocą rozumu.

Dziś zaciążył na nim największy z długów wdzięczności - ktoś uratował mu życie. Tarzan potrząsnął głową i głuchy pomruk dobywał się z jego piersi; zawdzięczał życie komuś, kogo ponad wszystko nienawidził.

ROZDZIAŁ XI

ODNALEZIENIE AEROPLANU

Małpi Tarzan wracając z pomyślnych łowów z Barą-jeleniem na ramieniu, zatrzymał się wśród gałęzi drzew na skraju polanki i z niechęcią spoglądał na dwie postacie, powracające od rzeki do bomą ogrodzonej chatki.

Potrząsał rozczochraną głową i wzdychał.

Oczy jego zwróciły się na zachód, a myśli pobiegły do odległego domku, hen, nad zatoką wielkiej wody, obryzgującej wybrzeże, do gniazda jego chłopięctwa, dokąd nęciły go wspomnienia szczęśliwych lat dziecięcych. Po stracie towarzyski życia zatęsknił do miejsc, gdzie jego młodość upłynęła, do nieprzebytej dżungli, gdzie pędził życie takie, jakie najlepiej jego upodobaniom odpowiadało. Tam spodziewał się powrócić do dawnego życia, w dawnych warunkach znaleźć ukojenie cierpień, a może i trochę zapomnienia.

Ale mały domek i zatoka były oddalone o dużo długich dni trudnej drogi. Zatrzymywało go tu poczucie obowiązku względem dwu postaci, idących przez polanę. Jedna - był to młody człowiek, w podartym mundurze angielskiej królewskiej floty powietrznej; druga - młoda kobieta, w bardziej jeszcze zniszczonych resztkach tego, co było niegdyś eleganckim kostiumem do konnej jazdy.

Kaprys losu skupił te trzy zasadniczo odrębne istoty. Jedna - był to nagi, dziki człowiek-zwierzę, druga - oficer armii angielskiej, trzecia - znana człowiekowi-małpie, i dlatego znienawidzona przez niego, jako szpieg niemiecki.

Co robić, by się tych dwojga pozbyć - Tarzan nie miał pojęcia. Chyba odprowadzi ich na wschodnie wybrzeże, co go zmusi do powrotnego wędrowania długą, uciążliwą drogą, którą tylko co przebył, dążąc do swego upragnionego celu. Czy było jednak inne wyjście? Ci dwoje nie mieli ani sił, ani wytrzymałości, ani znajomości dżungli, by mu towarzyszyć poprzez nieznanne krainy na zachód, nie pragnął też bynajmniej brać ich tam ze sobą. Mężczyznę jeszcze może by zniósł, ale na samą myśl o zjawieniu się dziewczyny tam, w tej dalekiej chatce, uświęconej niejako przez związane z nią wspomnienia, pomruk gniewu wydzierał się z jego gardła. Nie było wyboru. Musi wyruszyć w powolną, nudną drogę z powrotem do wschodniego wybrzeża, lub przynajmniej do najbliższego osiedla białych w tym kierunku.

Zamierzał był, co prawda, pozostawić dziewczynę własnemu losowi, było to jednak zanim wyratowała go od tortur i śmierci z rąk czarnych Wamabów. Jątrzył go ten dług wdzięczności, przez nią nałożony, niemniej uznawał go. Gdy tak przyglądał się tym dwojgu, znikł z jego twarzy wyraz niechęci, ustępując miejsca uśmiechowi na myśl o ich bezradności. Jakże słabym stworzeniem jest człowiek! Jak źle wyposażony do walki z dzikimi mocami przyrody! Najśłabsze szczenię rodu Golata, wielkiej małpy, lepiej było przystosowane do życia w dżungli, gdyż mogło przynajmniej uciec

przed licznymi stworzeniami, zagrażającymi jego życiu, gdy tymczasem tak powoli, jak słaby i bezradny człowiek, nie poruszało się, z wyjątkiem chyba Kota-Żółwia, żadne zwierzę w puszczy.

Bez niego ci dwoje umarliby z głodu, gdyby nawet cudem jakimś uniknęli innych, bezustannie zagrażających im niebezpieczeństw. Dziś rano przyniósł im owoców, orzechów i bananów, teraz niósł im mięso zabitej przez siebie zwierzyny, oni zaś - co najwyżej umieli nabrać wody z rzeki. Ot, choćby teraz - gdy tak szli przez polankę do chaty, pojęcia nie mieli o jego tak bliskiej obecności. Nie wiedzieli, że jego bystre oczy na nich patrzyły, ani, że mnę, mniej życzliwe, śledziły ich zza krzaków tuż obok wejścia do bomy. Oni nie wiedzieli o tym, ale Tarzan wiedział. Równie, jak oni, nie mógł widzieć zwierzęcia, ukrytego w gęstych liściach. Wiedział jednak, że tam było, czym było i jakie miało zamiary tak jasno, jak gdyby leżało na otwartym miejscu. O obecności zwierzęcia pouczyło go lekkie poruszenie liści na szczycie jednej łodygi, gdyż ruch ten nie był wywołany powiewem wiatru. Wywołał je nacisk na dolną część łodygi, który w inny ruch wprawia liście, niż wiatr między nimi powiewający - wie o tym każdy, kto spędził życie w dżungli. Ten sam wiatr, który przeleciał między liśćmi krzaka, przyniósł wrażliwym nozdrzom człowieka-małpy nieomylny dowód, że Szita-pantera oczekiwała na tych dwoje, powracających z rzeki.

Gdy doszli do połowy drogi, Tarzan krzyknął, by się zatrzymali. Ze zdziwieniem spojrzeli w kierunku, skąd wyszedł jego głos i zobaczyli go, lekko zeskakującego na ziemię i zbliżającego się ku nim.

- Powoli skierujcie się do mnie! - zawołał. - Nie biegnijcie, bo jeśli pobiegniecie, Szita skoczy.

Pełni zdziwienia uczynili jak kazał.

- O kim pan mówi? - zapytał Anglik. - Kto to jest Szita? Zamiast odpowiedzi, człowiek-małpa cisnął na ziemię Barę-jelenia i skoczył ku nim z oczami utkwionymi w coś poza nimi. Wówczas oboje dowiedzieli się, kto to jest Szita. Za nimi pędziła pantera o dzikim wejrzeniu.

Szita ze wzrastającym gniewem i podejrzliwością patrzyła na Tarzana, zeskakującego z drzewa i zbliżającego się do jej zwierzyny. Doświadczenie poparte przez instynkt, ostrzegало ją, że Tarmangani zamierza zrabować jej łup, a ponieważ Szita była głodna, me miała wcale chęci dać się pozbawić tego, co uważała za własność swoją.

Dziewczyna stłumiła mimowolny okrzyk na widok goniącego ich zwierza. Przytuliła się do mężczyzny, który, jakkolwiek bezbronny, usunął ją poza siebie i zasłaniając swym ciałem, stawiał czoło nacierającej panterze. Tarzan zauważył ten gest, i mimo że był przyzwyczajony do czynów odwagi, uczył podziw dla beznadziejnej i bezcelowej dzielności młodzieńca.

Pantera zbliżała się szybko. Odległość między krzakiem, w którym leżała ukryta i przedmiotami jej pragnienia nie była wielka. Sprężysty kot mógł ją przebyć w ciągu czasu dostatecznego na przeczytanie dwunastu wyrazów. Jeśli jednak Szita była szybsza w ruchach, szybki był także i Tarzan. Anglik ujrzał, jak mignął obok niego niby wichur. Zobaczył jak wielki kot skręcił w biegu, jak gdyby dla uniknięcia spotkania z nagim człowiekiem. Szita widocznie pragnęła dosięgnąć swą zdobycz, zanim będzie zmuszona bronić jej przed Tarzanem.

Porucznik Smith-Oldwick widział to wszystko i ze wzrastającym zdumieniem patrzył, jak człowiek-małpa skoczył na cętkowanego kota. Zobaczył, jak silne, brązowe ramiona objęły ciało drapieżnika, lewym ramieniem ujmując z przodu kark zwierzęcia, a prawym jego prawą nogę przednią, jak oboje zwalili się na ziemię, tarzając się i przewracając. Usłyszał pomruki i warczenia i z niemalym przerażeniem zrozumiał, że dźwięki, dobywające się z piersi walczącego człowieka, nie różniły się od wydawanych przez panterę.

Gdy pierwsze wrażenie strachu minęło, dziewczyna puściła ramię Anglika.

- Czy nic nie możemy zrobić? - zapytała. - Czy nie możemy mu pomóc, zanim go ten potwór zabije?

Anglik zaczął rozglądać się za jakimś pociskiem, który by mógł rzucić w panterę, dziewczyna zaś pobiegła w kierunku chaty. - Niech pan tu zaczeka! - zawołała przez ramię. - Przyniosę włócznię, którą on mi pozostawił.

Smith-Oldwick widział drapieżne szpony pantery, sięgające po ciało człowieka, i człowieka ze swej strony natężającego mięśnie, i używającego wszelkich wybiegów, by uniknąć ich dotknięcia. Mięśnie jego ramion napinały się pod ciemną skórą, żyły nabrzmiwały mu na karku i na czole, gdy z coraz większą mocą usiłował zgnieść wielkiego kota. Zęby jego wpiły się w kark Szity, udało mu się otoczyć tors zwierzęcia nogami, które skrzyżował pod brzuchem pantery. Skacząc i warcząc, Szita starała się wydobyć z objęć człowieka-małpy. Miotła się po ziemi, tarzając się na wszelkie strony. Unosiła się na tylne nogi i rzucała wstecz, ale dzikie stworzenie na jej grzbiecie trzymało się uparcie i mocarne ramiona coraz silniej gnioły jej klatkę piersiową.

Zdyszana od szybkiego biegu dziewczyna wróciła, niosąc krótką włócznię, którą jej Tarzan był pozostawił. Nie wręczyła jej Anglikowi, który pobiegł na jej spotkanie. Minęła go pędem i zatrzymała się obok skłębionej masy żółtego futra i brązowej skóry. Wielokrotnie usiłowała wbić włócznię w ciało pantery, lecz powstrzymywała ją obawa zranienia człowieka. Wreszcie, gdy oboje legli na chwilę bez ruchu, Berta Kirchner przyłożyła włócznię do płowego boku i głęboko ją wepchnęła w dzikie serce.

Tarzan powstał z martwego ciała Szity i otrząsnął się na sposób zwierząt, włosem obrośniętych. Był to, jak wiele innych właściwości, ruch, nabyty wskutek przystosowania się do otoczenia, a nie z prawa dziedziczności wynikający. A jednak, mimo jego człowieczej postaci, naturalność tego ruchu uderzyła Anglika i dziewczynę. Wyglądało to, jak gdyby Numa po skończonej walce otrząsał się, by doprowadzić do porządku swą zwichrzoną grzywę. Było w tym jednak coś niesamowitego, podobnie jak w dzikich pomrukach i strasznym warczeniu, dobywających się z tych pięknie wykrojonych ust.

Tarzan spoglądał na dziewczynę z zagadkowym wyrazem twarzy. Znowu nakładała na niego dług wdzięczności. Małpi Tarzan nie chciał być niczym obowiązany szpiegowi niemieckiemu, w głębi jednak swego uczciwego serca nie mógł odmówić podziwu dla okazanej odwagi. Sam będąc uosobieniem męstwa, wysoko cenił objawy dzielności.

- Oto zwierzyna - rzekł, podnosząc z ziemi Barę-jelenia. - Wy zapewne ugotujecie sobie swoją część, ale Tarzan nie będzie psuł swego mięsa ogniem.

Poszli razem do bomy, gdzie powykrawał dla nich kawały mięsa, udziec zatrzymując dla siebie. Młody porucznik przygotował ognisko, dziewczyna zajęła się przygotowaniem prymitywnego pożywienia. Porucznik i człowiek-małpa obserwowali ją, krzątającą się na uboczu.

- Czy nie jest zachwycająca? - szepnął Smith-Oldwick.

- Jest Niemką i szpiegiem - odparł Tarzan.

Anglik gwałtownie zwrócił się ku niemu: - Co pan przez to rozumie? - zawołał.

- To, co mówię - odparł Tarzan. - Jest Niemką i szpiegiem.

- Nie wierzę w to! - zawołał lotnik.

- Jak się panu podoba. Nie dbam o to. Widziałem ją rozmawiającą z generałem niemieckim i jego sztabem w obozie w pobliżu Taveta. Wszyscy ją tam znali. Wręczyła generałowi jakiś papier. Wkrótce potem widziałem ją, niosącą zlecenie dla oficera niemieckiego w Wilhelmstahl. Jest

Niemką i szpiegiem, ale jest kobietą i dlatego nie mogę jej zabić.

- Czy pan rzeczywiście wierzy, że to, co pan mówi, jest prawdą? - zapytał młody porucznik. - Boże! nie mogę w to uwierzyć. Taka jest piękna, dzielna i dobra.

Człowiek-małpa wzruszył ramionami.

- Jest dzielna - rzekł - ale nawet Pompa-szczur musi posiadać jakieś dodatnie cechy. Ona jest tym, co panu powiedziałem, i dlatego nienawidzę jej i Pan również powinien jej nienawidzić.

Porucznik Harold Percy Smith-Oldwick ukrył twarz w dłonie.

- Niech mi Bóg wybaczy - rzekł wreszcie - nie mogę jej nienawidzić.

Człowiek-małpa rzucił pogardliwe spojrzenie na swego towarzysza i powstał.

Tarzan idzie znowu na łowy - rzekł. - Macie dosyć żywności na dwa dni. Po upływie tego czasu wrócę.

Młodzi ludzie odprowadzili go wzrokiem aż na skraj polanki, dopóki wśród gąszczu nie znikł im z oczu.

Po odejściu Tarzana dziewczynę opadły złe przeczucia, których nigdy nie doznawała w jego obecności. Niewidzialne groźby, czyhające w ponurej puszczy, zaczęły wydawać się bardziej realne i nieuniknione. Dopóki był tu i rozmawiał z nimi, mała chatka i otaczająca ją ciernista boma wydawały się najbezpieczniejszym miejscem na świecie. Żałowała, że nie pozostał. Dwa dni wydawały się wiecznością, dwa dni bezustannej trwogi, dwa dni, których każda chwila brzemienna będzie w niebezpieczeństwa.

- Wolalabym, żeby był pozostał - rzekła. - Czuję się zawsze tak bezpieczna, gdy jest w pobliżu. Ponury jest i straszliwy, a jednak przy nim czuję się pewniejsza, niż przy kimkolwiek innym. Zdaje się nie lubić mnie, mimo to wiem, że nie dopuściłby, aby mnie co złego spotkało. Nie rozumiem go.

- Ani ja - odpowiedział Anglik. - Wiem wszakże jedno - nasza obecność psuje jego plany. Rad by pozbyć się nas i bliski jestem przypuszczenia, że ma nadzieję, iż podczas jego nieobecności zginiemy w tych pełnych okropności warunkach. Podług mnie powinniśmy postarać się wrócić do osad europejskich. Ten człowiek nie jest nam tu rad, a przy tym nierozsądnie byłoby przypuszczać, że długo wytrzymamy w tym dzikim pustkowiu. Podróżowałem i polowałem w różnych okolicach Afryki, nigdy jednak nie spotkałem, ani nie słyszałem o miejscowości, podobnie jak ta, rojącej się od drapieżnych zwierząt i krwiożerczych krajowców. Jeśli skierujemy się na wschód, nie narazimy się na wiele więcej niebezpieczeństw, niż pozostając tutaj. Jeśli przeżyjemy jeden dzień wędrówki, spodziewam się, że znajdziemy sposób dotarcia do wybrzeża w ciągu kilku godzin, gdyż mój aparat musi leżeć wciąż na tym samym miejscu, gdzie wylądowałem, zanim mnie czarni uwięzili. Rozumie się samo przez się, że żaden z nich nie potrafi nim manewrować, nie widzę też żadnego powodu, by mieli go zniszczyć. Prawdopodobnie tak są przerażeni tą dziwną i niepojętą rzeczą, że nie ośmielą się nawet zbliżyć do niej. Tak, niewątpliwie leży tam, gdzie go pozostawiłem, gotów zanieść nas do kolonii.

- Ale nie możemy oddalić się - odparła dziewczyna - przed jego powrotem. Nie możemy odejść bez podziękowania lub pożegnania. Zbyt wiele mamy do zawdzięczenia.

Młody człowiek popatrzał na nią w milczeniu. Zastanawiał się, czy wiedziała, co jej Tarzan zarzucił i zaczął sam te zarzuty rozważać. Im dłużej poglądał na dziewczynę, tym trudniej było mu uwierzyć, by mogła być szpiegiem nieprzyjacielskim. Chciał wprost ją o to zapytać, ale nie mógł się na to zdobyć. Postanowił wreszcie poczekać, dopóki czas i bliższa znajomość nie wykażą prawdy lub fałszu tego oskarżenia.

- Pewien jestem - ciągnął dalej, jak gdyby nie było żadnej przerwy w ich rozmowie - że ten człowiek rad będzie, jeśli nas nie zastanie za swym powrotem. Nie widzę potrzeby narażania naszego życia jeszcze przez dwa dni po to jedynie, by mu podziękować. Pani wyrównała już swe zobowiązania względem niego, z tego zaś, co mówił mi o pani, wnioskuje, że pani nie powinna tu dłużej pozostawać.

Dziewczyna spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytała.

- Nieprzyjemnie mi jest o tym mówić - odrzekł, nerwowo wierząc kijem ziemię. - Proszę mi jednak wierzyć, że wolałby, żeby pani tu nie było.

- Proszę powiedzieć mi, co mówił - nalegała. - Mam prawo żądać tego.

Porucznik Smith-Oldwick wzruszył ramionami i spojrzał prosto w oczy dziewczynie.

- Powiedział, że nienawidzi pani - wyrwało mu się. - Pomagał pani tylko z pewnego poczucia obowiązku, ponieważ pani jest kobietą.

Dziewczyna zbladła i poczerwieniała.

- Za chwilę będę gotowa do odejścia. Weźmy ze sobą trochę tego mięsa. Nie wiadomo, kiedy zdołamy zdobyć sobie jaki pokarm.

Ruszyli więc w kierunku południowym z biegiem rzeki. Mężczyzna niósł krótką włócznię, pozostawioną przez Tarzana, dziewczyna uzbroiła się w mocny kij, wybrany spośród pozostałych po budowie chatki. Przed odejściem wymogła, by porucznik pozostawił kilka słów pożegnania i podziękowania za opiekę. Kartkę wetknęli w szczelinę ściany.

Wciąż musieli się mieć na baczności, gdyż nigdy nie wiadomo było, na co się natkną za najbliższym zakrętem wijącego się tropu, lub co kryło się w gęstych krzakach po obu stronach szlaku. Groziło im także bezustanne niebezpieczeństwo napotkania wojowników Numaby, ponieważ zaś wioska leżała wprost na linii ich pochodu, musieli nakładać drogi okrążając, by nie wpaść im w ręce.

- Nie tyle obawiam się miejscowych czarnych - mówiła dziewczyna - ile Usangi i jego ludzi. Należeli oni do niemieckiego, krajowego pułku. Gdy zdezerterowali, porwali mnie bądź w nadziei okupu, bądź w zamiarze sprzedania do haremu jakiego północnego sułtana. Usanga jest niebezpieczniejszy od Numaby, posiada bowiem przewagę europejskiego wyćwiczenia wojskowego i ma współczesną broń i amunicję.

- To szczęście dla mnie - odparł Anglik - że ciemny Numabo, a nie Usanga znalazł mnie i uwięził. Ten mniej by się obawiał wielkiej maszyny latającej i aż nadto dobrze wiedziałby, jak ją uszkodzić.

- Módlmy się o to, by jej czarny sierżant nie znalazł - rzekła dziewczyna.

Doszli do miejsca, które, według ich obliczenia, odległe było o jaka milę od wioski, i zapuścili się w nieprzebyte gąszcz ku wschodowi. Roślinność była tak gęsta, że z największym trudem, to przedzierali się na rękach i na kolanach, to znów wdrapywali się na pnie obalonych drzew. Ścieżkę ich zaścielały martwe konary i żywe gałęzie, oplecione potężnymi pnączami, co tworzyło sieć powikłana i trudna do przebycia.

Na południe od nich, na otwartym błoni, gromada wojowników zebrała się naokół przedmiotu, który budził w nich zdumienie. Przybrani byli w łachmany tego, co było niegdyś mundurami krajowych żołnierzy niemieckich. Wygląd mieli odstręczający, najbardziej zaś odstręczającym był wódz, sierżant Usanga. Przedmiotem ich zaciekawienia był aeroplan angielski.

Zaledwie Anglika przyprowadzono do wioski Numaby, udał się Usanga na poszukiwanie aparatu,

wiedziony po części pragnieniem zniszczenia go, gdy go jednak znalazł, powstrzymał się od wykonania zamiaru. Przedmiot przedstawiał znaczną wartość, wiedział o tym dobrze, przyszło mu więc do głowy, że mógłby wyciągnąć korzyści ze sprzedania go. Co dzień powracał do aparatu; z początku czuł przed nim trwogę, powoli przywykł patrzeć nań okiem właściciela. Wdrapywał się już na siedzenie i nawet zapragnął nauczyć się nim kierować.

Cudownie byłoby latać jak ptak, ponad najwyższe szczyty drzew! Jaki podziw i cześć budziłoby to w mniej szczęśliwych towarzyszach! Gdyby Usanga mógł latać, wszyscy mieszkańcy rozrzuconych na rozległej przestrzeni wiosek patrzyliby na niego, jak na jakiegoś bożka lub czarodzieja.

Usanga zacierał ręce i oblizywał swe grube wargi. Wówczas zostałby naprawdę bogaczem, gdyż wszystkie wioski składałyby mu daninę i mógłby posiadać nie mniej niż dwanaście żon.

Ta myśl wszelako przywiodła mu na pamięć Naratu, czarną diabolicę, która dzierżyła nad nim władzę żelazną dłonią. Usanga skrzywił się i próbował odpędzić myśl o dwunastu żonach, pokusa jednak trwała.

Dotykał steru, na wpół oczekując, a na wpół lękając się, że uda mu się tak poruszyć maszynę, by uniosła się w powietrze. Często obserwował lotników angielskich, bujających ponad liniami niemieckimi. Wydawało się to tak proste, że nie wątpił, że potrafiłby dokazać tego samego, byleby ktoś raz mu pokazał. Wciąż miał nadzieję, że biały człowiek, który przybył na aparacie i uciekł z wioski Numaby, wpadnie w ręce Usangi i nauczy go latania. W tej właśnie nadziei Usanga spędzał tyle czasu w sąsiedztwie aeroplanu, przewidując niechybnie, że prędzej czy później biały człowiek powróci do swej maszyny.

Doczekał się wreszcie. Zaledwie opuścił aparat i zagłębił się ze swymi wojownikami w dżungłę, usłyszał od strony północnej jakieś głosy. Ukryty wraz ze swymi ludźmi po obu stronach tropu, ujrzał zbliżających się angielskiego oficera i białą dziewczynę, której pożądał, a która mu uciekła.

Z trudnością powstrzymał okrzyk triumfu, nie spodziewał się bowiem aż takiej łaski losu, by oddał w jego moc jednocześnie dwoje ludzi, których najbardziej pragnął.

Gdy tymczasem młodzi ludzie, nieświadomi grożącego im niebezpieczeństwa, nadchodzili leśnym szlakiem, porucznik objaśnił dziewczynie, że niewątpliwie znajdują się w pobliżu miejsca wylądowania aeroplanu. Całą uwagę skupili na tropie przed sobą, oczekując, że za chwilę doprowadzi ich do błonia, gdzie pewni byli, że znajdą aparat, obiecujący im życie i wolność.

Trop był w tym miejscu szeroki, szli obok siebie. Na zakręcie ukazały im się błonia i jednocześnie zarysy poszukiwanego przedmiotu.

Okrzyki radości wyrwały się z ich ust; w tej samej chwili, jak gdyby spod ziemi, wyrósł oddział Usangi i otoczył ich.

ROZDZIAŁ XII

CZARNY LOTNIK

Dziewczyna była przerażona i zrozpaczona. Młodzieniec również silnie odczuł zawód, ogarnął go jednak i gniew zarazem. Zauważył resztki mundurów na drabach i zapytał, gdzie byli ich oficerowie.

- Nie rozumiem pana - rzekła dziewczyna i zwróciła się do Usangi łamaną gwara, jaką posługują się czarni z kolonii niemieckich, powtarzając pytanie Anglika.

Usanga wyszczerzył zęby.

- Wiesz gdzie oni są, biała kobieto, wiesz, że nie żyją; jeśli biały człowiek nie zrobi tego, czego żądam, umrze tak jak oni.

- Czego żądasz od niego? - zapytała.

- Chcę, żeby mnie nauczył latać - oświadczył Usanga. Berta Kirchner spojrzała zdumiona, lecz powtórzyła porucznikowi żądanie sierżanta.

Anglik pomyślał chwilę. - On chce nauczyć się latać? - powtórzył. - Niech go pani zapyta, czy wróci nam wolność, gdy go nauczę.

Usanga, człowiek chytry i bez zasad, gotów był zawsze do wszelkich obietnic bez względu na to, czy zamierzał ich dotrzymać, zgodził się też bez namysłu na propozycję.

- Niech biały człowiek nauczy mnie latać, to zabiorę was w pobliże waszych siedlisk, ale za to zatrzymam wielkiego ptaka - rzekł, wskazując ręką na aeroplan.

Gdy Berta Kirchner powtórzyła lotnikowi jego słowa, ten wzruszył ramionami i zgodził się po namyśle.

- Sądzę, że nie mamy innego wyjścia - rzekł. - Jakkolwiek aparat jest stracony dla rządu angielskiego, to jeśli odmówię żądaniom łajdaka, niechybnie zrobi z nami krótki obrachunek i w efekcie maszyna będzie tu leżała, póki nie zgnije. Jeśli zgodzę się na jego propozycję - dodał - posłuży przynajmniej za środek ocalenia pani, a to więcej jest dla mnie warte niż wszystkie aeroplany angielskiej floty powietrznej.

Dziewczyna bystro spojrzała na niego, po jej twarzy przeniknął cień. Były to pierwsze słowa zdradzające, że uczucia, jakie względem niej żywił, były czymś więcej niż współczuciem dla towarzyszk niewoli. Nie powinien był ich mówić. I on również pożałował swej nieopatrzności, gdy spostrzegł wyraz jej twarzy; zrozumiał, że utrudnił jej i tak już niełatwe położenie.

- Przepraszam! - zawołał. - Proszę zapomnieć o moich słowach. Przysięgam, że więcej nie obrażę pani, o ile to panią obraża, dopóki nie wydostaniemy się zdrowo i cało z tej przygody.

Uśmiechnęła się, ale co raz zostało powiedziane, nie daje się cofnąć. Berta Kirchner dowiedziała się lepiej, niż gdyby na klęczkach zapewniał ją o swej dozgonnej miłości, że młody oficer angielski ją kocha.

- Biała kobieta pozostanie z moimi ludźmi. Nie zrobią jej nic złego, chyba, że nie przywiózłbyś mnie z powrotem zdrowego i całego.

- Dobrze, stary łotrze - mruknął Anglik. - Dam ci nauczkę na całe życie - i zwrócił się do dziewczyny:

- Lękam się zostawić panią z tymi drabami; niech go pani przekona, że lepiej będzie, jeśli pani będzie nam towarzyszyła.

Gdy powtórzyła propozycję sierżantowi, Usanga powziął podejrzenie, że knują coś przeciwko niemu, że pewnie chcą go odstawić niemieckim władzom i stanowczo odmówił.

- Niech mu pani powie, że jeśli za moim powrotem nie będzie pani stała w pełnym świetle na błoni, nie wysadzę go na ziemię, ale zabiorę do obozu angielskiego i każę powiesić.

Usanga przyobiecał, że dziewczyna będzie ich oczekiwała według życzenia porucznika. Zwrócił się natychmiast do wojowników, pod karą śmierci nakazując im nie tykać białej kobiety, po czym w towarzystwie kilku czarnych skierował się wraz z Anglikiem w stronę aeroplanu.

Gdy zasiadł w tym, co uważał za swą własność, poczuł, że odwaga zaczyna go opuszczać, a kiedy aparat startował i silnik zaczął turkotać, wrzasnął na Anglika, aby zatrzymał i pozwolił mu wysiąść. Lotnik jednak nie mógł go dosłyszeć poprzez hałas motoru.

Samolot toczył się po ziemi. Usanga chciał wyskoczyć i byłby to zrobił, gdyby zdołał odpiąć pas bezpieczeństwa, gdy naraz aparat wzniósł się w powietrze i w jednej chwili wzbil się szerokim łukiem ponad szczyty drzew. Strach obezwładnił czarnego sierżanta. Widział drzewa, rzekę i nie opodal polankę z chatami wioski Numaby. Usilnie starał się nie myśleć o skutkach nagłego upadku na szybko uciekającą ziemię. Próbował skupić myśl na dwudziestu czterech żonach, których posiadanie zapewni mu wielki ptak. Coraz wyżej i wyżej wznosił się aeroplan, zakreślając wielki łuk ponad lasem, ponad rzeką i błoniem. Ze zdziwieniem zauważył Usanga, że przestrach ustępuje poczuciu zupełnego bezpieczeństwa, zaczął więc teraz przyglądać się w jaki sposób biały człowiek kierował i manipulował aeroplanem.

Po pół godzinie zręcznego manewrowania Anglik szybko wzniósł się na znaczną wysokość i nagle, bez ostrzeżenia, - wykonał luping*. Aparat leciał kilka sekund na grzbiecie.

- Powiedziałem, że dam łotrowi nauczkę na całe życie - mruknął, gdy nawet poprzez hałas silnika usłyszał przeraźliwy wrzask strwożonego Murzyna. Po chwili nadał aparatowi położenie normalne i szybko zaczął „schodzić” na dół. Kilka razy wolno okrążył błonie, dostrzegłszy zaś Bertę Kirchner, stojącą na widocznym miejscu, łagodnie wylądował - tak, że maszyna stanęła w pobliżu oczekującej Berty i wojowników.

Drżący i jak popiół szary, wysiadł Usanga z samolotu. Nie uspokoił się jeszcze po okropnym doświadczeniu z lupingiem, poczuwszy jednak ziemię pod nogami, szybko otrząsnął się z wrażenia. Z pyszałkowatą miną usiłował przekonać swych towarzyszy, że latanie tysiące metrów ponad dżunglą, to zwykła drobnostka. Co prawda długo trwało, zanim zdołał wmówić w siebie samego, że rozkoszował się lataniem i posiadał już sztukę latania.

Tak lękał się o maszynę, że nie chciał powrócić do wioski, lecz postanowił rozłożyć obóz w pobliżu samolotu, by mu w jaki niepojęty sposób nie znikł. Obozowali tak w ciągu dwu dni i co dzień Usanga zmuszał Anglika do uczenia go całymi godzinami sztuki latania.

Smith-Oldwick, wspominając długie miesiące uciążliwych ćwiczeń, którym musiał się poddawać, zanim został uznany za skończonego lotnika, roześmiał się z pomysłu naiwnego Murzyna, gdy ten zażądał, by mu pozwolił na samodzielną próbę lotu.

- Gdyby mi nie chodziło o maszynę - objaśniał dziewczynie - puściłbym durnia i niechaj sobie skręca swój głupi kark, co nastąpiłoby po upływie paru sekund.

Zaczął namawiać Murzyna, aby jeszcze trochę czasu poświęcił na naukę, ale w podejrzliwym mózgu czarnego zrodziło się przekonanie, że radą białego człowieka kierują jakieś ukryte zamiary. Usanga przypuszczał, że Anglik dlatego nie chce uznać jego umiejętności kierowania aparatem, bo sam zamierza na nim uciec i postanowił przechytrzyć oficera. Do wystarczającej i tak ponęty dwudziestu czterech powabnych żon przybywało jeszcze pożądanie białej dziewczyny, którą dawno postanowił był posiadać.

Z takimi myślami położył się Usanga na spoczynek wieczorem drugiego dnia. Bezustanne jednak wspomnienie Naratu przysłańało mu rozkoszne obrazy. Gdybyż mógł się jej pozbyć! Myśl ta nawiedzała go uporczywie, ale czarny sierżant bał się swej żony, bał się jej tak bardzo, że nie ważyłby się jej zabić, chyba potajemnie, gdy spała. Pożądania rodziły w jego głowie jeden projekt po drugim, wreszcie wpadł na pomysł, który go tak podniecił, że zerwał się i usiadł olśniony.

Gdy ranek zaświtał, Usanga ledwo mógł się doczekać sposobności wykonania powziętego nocą planu i zaledwie spożyli ranny posiłek, wezwał swych wojowników na rozmowę.

Anglik, który zazwyczaj miał na oku Usangę, widział, że ten coś szczegółowo objaśnia wojownikom. Z gestów jego znać było, że przedkłada im jakiś nowy projekt i daje wskazówki, co mają robić. Widział też, że kilkakrotnie oczy Murzyna zwracały się na jeńców, a raz spojrzały na białą dziewczynę.

Spostrzeżenie to wzbudziło w głowie Anglika podejrzenie, że przygotowuje się coś, co źle wróży dla niego i dla Berty. Nie mógł pozbyć się tej myśli i jeszcze pilniej baczyl na czarnych, chociaż musiał przyznać w duchu, że był zupełnie wobec nich bezsilny. Odebrano mu nawet włócznię, którą miał przed wzięciem do niewoli, był więc bezbronny i całkowicie zdany na łaskę i niełaskę dzikich. Niedługo czekał porucznik Harold Percy Smith-Oldwick na wyjaśnienie zagadki. Zaledwie czarny sierżant skończył dawanie wskazówek, gromada wojowników zbliżyła się do Anglika, trzech zaś skierowało się do dziewczyny.

Bez słowa wyjaśnienia czarni chwycili oficera i obalili go twarzą do ziemi.

Próbował walczyć, udało mu się nawet obdzielić napastników paru mocnymi ciosami, musiał jednak ulec przeważającej sile. Skrępowali mu ręce i nogi i dopiero, gdy upewnili się, że pęta mocno są zaciśnięte, obrócili go na bok. Wówczas zobaczył, że tak samo związali Bertę Kirchner. Smith-Oldwick leżał w takiej pozycji, że mógł widzieć prawie cały obszar błoń i niedaleko od niego leżący aeroplan. Usanga rozmawiał z dziewczyną, która przecząco poruszała głową.

- Co on mówi? - zawołał Anglik.

- Zabiera mnie ze sobą na aeroplanie. Wybiera się do odległego kraju, gdzie, jak mówi, zostanie królem, a ja mam być jedną z jego żon - i ku zdumieniu oficera, zwróciła ku niemu uśmiechnięte oblicze. - Nie ma obawy - ciągnęła dalej, gdyż za parę minut oboje się zabijemy - niechaj tylko wzniesiemy się na jakie sto metrów, już się go więcej lękać nie będę potrzebowała.

- Boże! - zawołał młodzieniec. - Czyż nie ma sposobu, by go odwieść od tego zamiaru? Niech mu pani przyrzeknie wszystko, czego zażąda. Posiadam więcej pieniędzy, niż ten biedak może sobie wyobrazić. Za te pieniądze kupi sobie, co zechce, piękne ubrania, żywność i żony, wszystkie kobiety, jakich zapragnie. Niech mu pani to powie i niech mu pani powie, że jeśli oszczędzi pani, dam mu słowo honoru, że mu wszystkie swoje pieniądze przyniosę.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

- To się na nic nie zda - rzekła. - Nie zrozumiałby, a gdyby nawet zrozumiał, nie uwierzy panu. Czarni są tak pozbawieni zasad, że nie pojmują, co to zasady, czy honor u innych. Ci zwłaszcza nie uwierzą Anglikowi, gdy Niemcy wbili im w głowy, że Anglicy to najbardziej zdradziecki i kłamliwy naród. Nie, tak będzie najlepiej. Żałuję, że pan nie może nam towarzyszyć, bo jeśli on wzbije się dosyć wysoko, moja śmierć będzie o wiele lżejsza od tej, jaka prawdopodobnie pana czeka.

Usanga wciąż przerywał im rozmowę żadaniami, by dziewczyna mu ją tłumaczyła, obawiał się bowiem, że knują jakiś spisek przeciw niemu. Chcąc go uspokoić, powiedziała mu, że Anglik żegnał się z nią i życzył jej szczęścia. Nagle zwróciła się do Murzyna.

- Czy chcesz uczynić coś dla mnie? - zapytała. - Zrobisz, to, jeśli pójdę dobrowolnie?

- Czego chcesz?

- Powiedz swym ludziom, by uwolnili białego człowieka po naszym odlocie. Przecież on nie będzie mógł nas dogonić. To wszystko, o co cię proszę. Jeśli darujesz mu wolność i życie, pójdę z tobą dobrowolnie.

- Pójdziesz ze mną w każdym razie - burknął Usanga. - Wszystko mi jedno, dobrowolnie czy niedobrowolnie. Zostanę wielkim królem i będziesz robiła wszystko, co ci każę.

Postanowił od razu postawić sprawę należycie z tą kobietą. Nie powtórzy się więcej niezdolne doświadczenie z Naratu. Ta żona i dwadzieścia cztery inne będą starannie dobrane i wyćwiczone. Odtąd Usanga będzie panem w swym domu.

Berta Kirchner przekonała się, że bezcelowym było odwoływać się do uczuć barbarzyńcy. Umilkła więc, ze smutkiem rozważając losy oczekujące młodzieńca, chłopca nieledwie, który tak naiwnie wyznał jej swą miłość.

Na rozkaz Usangi jeden z czarnych podniósł ją z ziemi i zaniósł do aparatu. Gdy Usanga się wgramolił, usadowili ją. Usanga przymocował ją pasami bezpieczeństwa, rozwiązawszy jej uprzednio ręce, po czym sam zasiadł na przednim siedzeniu.

Dziewczyna spojrzała na Anglika. Była bardzo blada, lecz uśmiechała się odważnie.

- Bóg z panem! - zawołała.

- Niech panią Bóg ma w swej opiece! - odpowiedział troszeczkę zachrypniętym głosem - a potem: - Czy mogę teraz, kiedy tak bliscy jesteśmy końca, powiedzieć to, co bym chciał, by pani wiedziała?

Wargi jej poruszyły się, ale czy wymówiły przyzwolenie, czy zakaz, nie dowiedział się, gdyż silnik zagłuszył jej słowa.

Usanga widać dobrze się nauczył, gdyż aparat startował statecznie i wkrótce maszyna potoczyła się po błoni. Jęk dobył się z ust zrozpaczonego Anglika, gdy patrzył na ukochaną kobietę, wiedzoną na pewną śmierć. Widział, jak samolot uniósł się w górę - był to dobry start, tak dobry, jak gdyby wykonał go sam porucznik Harold Percy Smith-Oldwick - lecz wiedział, że było to tylko rzeczą przypadku. Za chwilę aparat runie na ziemię, a jeśli nawet jakimś cudem uda się dzielnemu wznieść ponad wierzchołki drzew i wykonać pomyślny lot, to i tak nie było żadnych szans, by potrafił wylądować, nie zabijając swej uroczej branki i siebie samego.

Lecz cóż to? Serce w nim zamarło.

ROZDZIAŁ XIII

ZAPLATA USANGI

Dwa dni polował Małpi Tarzan na północy, po czym zakreśliwszy szeroki łuk, znalazł się w pobliżu polanki, na której pozostawił był bertę Kirchner i młodego porucznika. Noc spędził na dużym drzewie, stojącym nad rzeką, bardzo blisko polanki i teraz, wczesnym rankiem, siadł nad wodą, czatując na Pisah-rybę. Chciał ją zanieść do chaty, by dziewczyna przyrządziła ją dla siebie i swego towarzysza.

Nieruchomy, jak posąg z brązu, czekał Tarzan, wiedział bowiem, jak płochliwą była Pisah-ryba. Najlżejszy ruch mógł ją spłoszyć i tylko dzięki nieskończonej cierpliwości można było ją złapać. Człowiek-małpa liczył na swą zwinność i błyskawiczność swych ruchów, gdyż nie miał ani sieci, ani wędki. Dzięki swej znajomości obyczajów mieszkańców rzeki wiedział, gdzie czatować na Pisah. Może za minutę, a może za godzinę dopiero zjawi się ryba w małej zatoce, nad którą się zaczął, przyjdzie jednak prędzej, czy później. Wiedział o tym dobrze, czekał więc na swą zdobycz z cierpliwością drapieżnego zwierzęcia.

Wreszcie błysnęły świecące łuski. Pisah zbliżała się. Za chwilę będzie mógł ją dosięgnąć, a wówczas z błyskawiczną szybkością dwoje mocnych, brązowych ramion zanurzy się w wodzie i pochwyti ją. Ale właśnie w chwili, gdy ryba zbliżyła się tak, że mógłby ją dosięgnąć, w pobliskich krzakach rozległ się łoskot. Pisah uciekła, a Tarzan warcząc odwrócił się, by zobaczyć co za stworzenie mogło mu zagrażać.

Obejrzawszy się, ujrzał, że sprawcą łoskotu był Zu-tag.

- Czego chce Zu-tag? - zapytał człowiek-małpa.

- Zu-tag idzie do wody napić się - odrzekła małpa.

- Gdzie twoja gromada? - zapytał Tarzan.

- Poluje w głębi lasu - odpowiedział Zu-tag.

- A Tarmanganiego samiec i samica - zapytał Tarzan - czy są zdrowi i cali?

- Odeszli - odparł Zu-tag. - Kudu dwa razy wyszło ze swego legowiska, odkąd odeszli.

- Czy gromada ich wypędziła?

- Nie - odrzekła małpa. - Nie widzieliśmy, kiedy odeszli. Nie wiemy, dlaczego się oddalili.

Tarzan pośpieszył poprzez drzewa ku polance. Chata i bomy stały tak, jak je pozostawił, ale nie było widać ani mężczyzny, ani kobiety. Minąwszy polankę, wszedł do bomy, a potem do chaty. Wszędzie było pusto; poznał węchem, że najmniej przed dwoma dniami opuścili te miejsca. Miał zamiar wyjść z chaty, gdy zobaczył papier, zatknięty w szczelinę ściany i wyjąwszy go, przeczytał następujące słowa:

Po tym, co mi pan powiedział o panie Kirchner i wiedząc, że pan ją nienawidzi, doszedłem do

przekonania, że nie wypada ani jej, ani mnie dłużej panu zawadzać. Wiem, że nasza obecność powstrzymuje pana od upragnionej wędrówki na zachód i dlatego postanowiłem postarać się dostać do siedlisk ludzi białych. Dziękujemy oboje za pańską uprzejmość i opiekę. Gdyby był sposób odpłacenia panu za wszystko, co pan dla nas uczynił, czułbym się szczęśliwy, gdybym mógł okazać swą wdzięczność.

Podpisane było: porucznik Harold Percy Smith-Oldwick.

Tarzan wzruszył ramionami, zmiął kartkę i cisnął ją na ziemię. Doznał uczucia ulgi, pozbywszy się odpowiedzialności i rad był, że sami to załatwili. Poszli sobie i zapomni o nich. Nie mógł jednak zapomnieć. Wyszedł na polankę.

Czuł się nieswojo. Ruszył wreszcie na północ z nagłym postanowieniem podjęcia swej podróży ku wybrzeżu zachodniemu. Pójdzie z biegiem rzeki na północ, razem z nią skręci na zachód, potem w górę do jej źródeł, poprzez zadrzewione płaskowzgórza i dalej, na podnóża i w góry. Po drugiej stronie łańcucha górskiego poszuka strumienia, płynącego w dół ku wybrzeżu zachodniemu. Idąc tak z biegiem rzek, zapewnioną będzie miał obfitość zwierzyny i wody.

Ale nie uszedł daleko. Najwyżej kilka kroków zrobił i nagle stanął. - On jest Anglikiem - szepnęła - a ona - kobietą. Bez mojej pomocy nie dostaną się do siedzib białych ludzi. Nie mogłem zabić ją własnoręcznie, ale jeśli puszczę ją samą, będzie to tak samo, jak gdybym nóż zatopił w jej sercu. Nie - i znów potrząsnął głową. - Małpi Tarzan jest głupcem i słabą, starą babą - i zawrócił na wschód.

Manu-małpka widziała dwoje Tarmanganich przed dwoma dniami. Skrzecząc i łajając, opowiedziała Tarzanowi wszystko, co o nich wiedziała. Poszli w kierunku wioski Gomanganich, widziała to Manu na własne oczy.

Człowiek-małpa pośpieszył w kierunku wschodnim. Chociaż nie szukał śladów tych, których tropił, napotykał liczne dowody, że szli tą drogą - słabe echo ich zapachu na liściu, na gałęzi lub pniu, których jedno z nich dotknęło, ślad stóp na ziemi. Gdzie zaś droga wiała się wśród głuchych mroków ciemnego lasu, ukazywał się od czasu do czasu odcisk ich obuwia na wilgotnym podłożu gnijącej roślinności, zaścielającej drogę.

Niepojęty nakaz przynaglał Tarzana do pośpiechu. Ten sam głos wewnętrzny, który łajał go za zaniechanie ich, zdawał się podszeptywać mu, że groziło im wielkie niebezpieczeństwo. Sumienie niepokoiło Tarzana i z tego powodu porównywał siebie do słabej baby, gdyż wychowany w puszczy i nawykły do surowości i męstwa, nie lubił przyznawać się do delikatniejszych uczuć, które w rzeczywistości były mu wrodzone.

Trop skręcał na wschód od wioski Wamabo, potem nawracał do szerokiego szlaku słoni bliżej rzeki i wiódł dalej, długie mile, w kierunku południowym. Nareszcie człowiek-małpka usłyszał dziwny, świszczący, pulsujący dźwięk. Zatrzymał się na chwilę nasłuchując: „aeroplan”, szepnęła i z największym pośpiechem podążył dalej.

Gdy Małpi Tarzan dotarł do skraju błonia, gdzie wylądował aparat Smith-Oldwicka, jednym spojrzeniem ogarnął całą scenę i zrozumiał sytuację, jakkolwiek trudno mu było uwierzyć w to, na co patrzył. Skrępowany i bezradny, leżał na ziemi oficer angielski, otoczony gromadą czarnych dezertersów niemieckich. Tarzan już był widział tych ludzi i wiedział, co oni byli za jedni. Po błoniu sunął aeroplan, kierowany przez czarnego Usangę, na siedzeniu, poza pilotem, była biała dziewczyna, Berta Kirchner. W jaki sposób dziki człowiek kierował aeroplanem, Tarzan nie mógł odgadnąć, ani nie miał czasu zastanawiać się nad tą zagadką. Znając Usangę i widząc położenie białego oficera, pojął, że czarny sierżant usiłował porwać białą dziewczynę. Dlaczego robił to, skoro miał ją w

swym ręką i skrępował jedyne stworzenie w dżungli, które by, jak sądził Murzyn, chciało ją bronić - Tarzan nie mógł zgadnąć, nie wiedział bowiem o dwudziestu czterech wymarzonych żonach, ani o trwodze Usangi przed jego obecną małżonką, Naratu. Nie wiedział zatem, że Usanga postanowił polecieć z białą dziewczyną, by nigdy nie wrócić, i w ten sposób pozbyć się Naratu, nie wiedzieli też o tym i własni żołnierze Usangi. Powiedział im, że zanieś białą dziewczynę do jednego z północnych sułtanów i otrzyma za nią wielką cenę, a gdy powróci, podzieli się z nimi łupem.

Tego wszystkiego Tarzan nie wiedział. Wiedział tylko to co widział - Murzyna zamierzającego uciec z białą dziewczyną. Maszyna z wolna unosiła się z nad ziemi, za chwilę wzbije się i nie będzie można jej dosięgnąć. Z początku chciał puścić z łuku strzałę i zabić Usangę, szybko jednak porzucił tę myśl - wiedział, że ze śmiercią pilota aparat, puszczone bez kierunku, zdruzgotuje dziewczynę wśród drzew.

Jeden był tylko sposób uratowania jej, sposób, który jeśli chybi, zgotuje mu niechybną śmierć, nie zawahał się jednak.

Usanga zdawał się go nie widzieć, zbyt pogrążony w swych nowych obowiązkach pilota. Ujrzeni go wszakże dzicy na błoni i rzucili się ku niemu z wojowniczymi okrzykami, i grożąc karabinami. Zobaczyli, jak olbrzymi biały człowiek wyskoczył spomiędzy gałęzi i pędził za aeroplanem. Widzieli jak w biegu zdjął z ramion długi powróż. Widzieli, jak pętlica zakreślała łuk nad jego głową. Widzieli, że biała dziewczyna w aparacie spostrzegła to.

Wielki aeroplan warczał, unosząc się o dwadzieścia stóp nad człowiekiem-małpą. Pętlica wzleciała i dziewczyna, na wpół odgadując zamiary olbrzyma, wyciągnęła rękę, chwyciła ją i założywszy na siebie, obiema rękami z całej siły przytrzymała. Tarzan uniósł się ponad ziemią. Aeroplan, nagle obciążony, pochylił się na bok. Usanga chwycił za ster i maszyna stanęła pod ostrym kątem. Uczepiony do końca sznura, człowiek-małpa bujał w przestrzeni jak wahadło. Anglik, skrępowany na ziemi, był świadkiem tego wszystkiego. Serce w nim zamarło, gdy ujrzał Tarzana kołyszącego się pomiędzy wierzchołkami drzew, o które roztrzaska się niechybnie. Ale aeroplan wznosił się tak szybko, że człowiek-małpa już był ponad najwyższymi konarami. Wówczas z wolna zaczął się piąć po sznurze ku samolotowi. Dziewczyna, rozpaczliwie wpijając się w pętlę, natężyła mięśnie, by utrzymać olbrzymi ciężar, zwisający na końcu powroza.

Usanga nieświadom tego, co się poza jego plecami działo, parł aeroplan coraz wyżej w górę.

Tarzan spojrział w dół. Pod nim migały wierzchołki drzew i rzeka. Pomiędzy nim a śmiercią, ziejącą o tysiące metrów poniżej, był tylko wąty powróż i mięśnie słabej dziewczyny.

Bercie Kirchner zdawało się, że palce jej rąk zamierają. Omdlewały jej ramiona. Jak długo jeszcze podola takim wysiłkom? Wydawało się jej, że te zmartwiałe palce za chwilę same się rozewrą. Wtem, gdy już gasła ostatnia iskierka nadziei, spostrzegła brązową dłoń, czepiającą się ścian aparatu. Znikł straszliwy ciężar i po chwili Małpi Tarzan wdrapał się do aeroplanu. Spojrział na plecy Usangi i przykładając usta do ucha dziewczyny, krzyknął: - Czy kierowała pani kiedy aeroplanem?

Dziewczyna twierdząco skinęła głową.

- Czy ma pani odwagę podejść do czarnego i pochwycić ster, gdy tymczasem ja się nim zaopiekuję?

Dziewczyną wstrząsnął dreszcz.

- Tak - odrzekła - ale nogi mam związane.

Tarzan wyciągnął z pochwy swój nóż myśliwski i pochyliwszy się, rozciął więzy, krępujące jej

nogi, ona zaś zerwała pas, przytwierdzający ją do siedzenia. Jedną ręką ujął Tarzan dziewczynę za ramię, podtrzymując ją, gdy skradali się ku przedniemu siedzeniu. Najłżejsze pochylenie aeroplanu naraziłoby ich na niechybną śmierć. Tarzan zdawał sobie sprawę, że cudem tylko mogą dostać się do Usangi i zmienić pilota, wiedział jednak, że muszą ryzykować. Zaledwie ujrzał aeroplan, zrozumiał, że Usanga nie miał żadnego doświadczenia jako pilot i że gdyby nawet pozostał przy sterze, czekała ich nieunikniona zagłada.

Usanga zorientował się, że nie wszystko jest w porządku dopiero wówczas, gdy dziewczyna zjawiała się nagle u jego boku i schwyciła ster, w tej samej chwili stalowe palce otoczyły jego szyję. Brązowa dłoń ostrym nożem rozcięła pas bezpieczeństwa i potężne ramiona uniosły pilota z siedzenia. Usanga wrzasnął, był jednak bezsilny jak dziecko. Hen, w dole, widzowie ujrzeli, jak aeroplan wzniósł się w niebiosa, przybrał położenie poziome i nagłym zwrotem zawrócił w ich kierunku. Tak był jednak wysoko ponad nimi, a że przy tym oślepiał ich blask słońca nie mogli dojrzeć, co się działo w aparacie. Nagle porucznik Smith-Oldwick wydał okrzyk przerażenia na widok ciała ludzkiego, lecącego w dół z aeroplanu. Koziółkując w powietrzu, spadało ze wzrastającą szybkością. Anglik wstrzymał oddech, gdy runęło obok niego. Rozpłaszczyło się na środku błonia i gdy Anglik odważył się nareszcie spojrzeć, dziękczynna modlitwa wyrwała się z jego zbieleńszych ust. Bezkształtna masa, leżąca na krwią przesiąkniętej ziemi, skórę miała hebanową. Usanga otrzymał swą zapłatę.

Aeroplan krążył ponad błoniem. Czarnych, oszołomionych z początku śmiercią wodza, ogarnęła wściekłość i żądza zemsty. Dziewczyna i człowiek-małpa widzieli, jak banda skupiła się dookoła zwłok zwierchnika. Krążąc nad błoniem, widzieli wygrażające im pięści Murzynów i skierowane ku nim lufy karabinów. Tarzan trzymał się tuż poza siedzeniem pilota. Przysunął twarz tuż do twarzy Berty Kirchner i usiłując przekrzyczeć turkot silnika i szum śmigieł, wrzasnął jej w ucho parę słów objaśnienia.

Dziewczyna zbladła, zrozumiałwszy ich znaczenie, usta jej zacisnęły się mocno, oczy zabłyśły ogniem postanowienia. Opuściła aeroplan na kilka stóp nad ziemią na drugim końcu błonia i nadawszy mu najwyższy rozpęd, pomknęła w stronę czarnych. Aeroplan wpadł na nich tak nagle, że nie zdążyli przed nim umknąć. Roztrącając ich, dotknął ziemi i osadził się pod lasem. Człowiek-małpa szybko wyskoczył i pobiegł do porucznika. Gotów do obrony, spojrzawszy na miejsce, gdzie stali przed chwilą wojownicy, nie było jednak napastników. Martwi lub konający leżeli rozrzućeni po ziemi.

Tymczasem, gdy Tarzan rozcinał więzy Anglika, dziewczyna zbliżyła się do nich. Chciała dziękować człowiekowi-małpie, lecz ten gestem nakazał jej milczenie.

- Pani sama siebie ocaliła - rzekł - gdyż gdyby pani nie potrafiła sterować, nie zdołałbym pani dopomóc. Teraz macie oboje sposób dostania się do siedlisk europejskich. Jest jeszcze jasny dzień. Z łatwością, w ciągu kilku godzin, dostaniecie się tam, o ile macie dosyć benzyny.

Smith-Oldwick skinął twierdząco głową. - Mam jej duży zapas.

- Ruszajcie więc. Żadne z was nie jest stworzone do dżungli - rzekł z bladym uśmiechem.

Młodzi ludzie uśmiechnęli się również.

- Ta dżungla przynajmniej nie jest dla nas miejscem odpowiednim, nie jest to też miejsce dla żadnego białego człowieka. Dlaczego pan nie chce wrócić z nami do świata cywilizowanego?

Tarzan potrząsnął głową. - Wolę dżunglę.

Lotnik zaczął wiercić ziemię obcasem i ze spuszczoną głową zaczął z widoczną przykrością

bąkać... - Jeśli chodzi o środki do życia, stary chłopie, hm... o pieniądze... hm... Pan wie...

Tarzan roześmiał się. - Nie - odparł - wiem, co pan chce powiedzieć. Nie o to chodzi. Urodziłem się w dżungli, życie całe spędziłem w dżungli i umrę w dżungli. Nie chcę ani żyć, ani umierać gdzie indziej.

Tamci potrząsnęli głowami. Nie rozumieli go.

- Idźcie, rzekł człowiek-małpa. - Im prędzej wyruszycie, tym prędzej dostaniecie się do bezpiecznego miejsca.

Razem skierowali się do aeroplanu. Smith-Oldwick uściskał dłoń człowieka-małpy i usiadł na miejscu pilota. - Bóg z panem - rzekła dziewczyna, wyciągając rękę do Tarzana. - Czy nie powie mi pan przed rozstaniem, że przestał mnie nienawidzić?

Tarzan zachmurzył się. Bez jednego słowa podniósł ją i posadził poza Anglikiem. Cień przemknął po twarzy Berty Kirchner. Start - i za chwilę aparat wzniósł się ku wschodowi.

Na środku błonia stał człowiek-małpa, śledząc go wzrokiem.

- Co za szkoda, że ta dziewczyna jest Niemką i w dodatku szpiegiem - szepnął - bardzo trudno jest ją nienawidzić.

ROZDZIAŁ XIV

CZARNY LEW

Numa-lew był głodny. Przyszedł z pustyni do krainy wschodniej, bogatej w zwierzynę, lecz chociaż młody był i silny, pustynni trawożerzy umieli unikać jego groźnych pazurów.

Numa-lew był głodny i bardzo zły. Dwa dni nie jadł i teraz wyszedł na łowy w jak najgorszym humorze. Nie wydawał grzmiących ryków wyzwania, lecz szedł milczący i ponury, stąp; jać cicho, aby najłżejszy szmer gałązki nie zdradził jego obecności czujnej zwierzynie, której poszukiwał.

Na dobrze ubitej ścieżce widniał świeży trop Bary-jeleni; Niedawno był tu Bara, podwoił więc głodny lew ostrożność, skradając się za śladem.

Lekki wietrzyk, przelatujący poprzez dżunglę, przywiał do jego nozdrzy ostrą woń jelenia, podniecając jego i tak już dobry apetyt do rozmiarów dotkliwego cierpienia. Nie poddał się jedna pokusie przedwczesnego natarcia, jakie niedawno pozbawiło soczystego mięsa Pacco-zebry. Trochę tylko przyśpieszając kroku, szedł nadal wijącym się kręto szlakiem, aż nagle tam, gdzie szła skręcał około wielkiego drzewa, ujrzał młodego kozła; powoli przed nim idącego.

Oczami płonącymi jak dwa żółte ogniki zmierzył przestrzeń między sobą i jeleniem. Mógł się rzucić - teraz był tego pewien. Jeden przerażający ryk, który obezwładni idące przed nim zwie rzę, i jednoczesny błyskawiczny skok - i Numa-lew nareszcie nasyci głód. Nerwowy ogon, lekko kołyszący się na zadzie, zada się sztywno do góry - sygnał do natarcia. Już miał się rozległ grzmiący ryk, gdy nagle Szita-pantera zjawiała się na tropie Numy a jelenia.

Zbłądziła Szita, gdyż szmer jej cętkowanego ciała miedził liśćmi, ocieniającymi szlak, spłoszył Barę. Obejrzał się poza siebie i pomknął co żywo.

Ryk, który miał unieruchomić jelenia, rozległ się teraz - rył gniewu przeciwko Szicie, która pozbawiła Numę pewnej zdobyczy. Natarcie, przeznaczone dla Bary, skierowało się na panterę. Nowy zawód czekał Numę: Szita, szybko dostrzegłszy przewagę przeciwnika, skoczyła na najbliższe drzewo.

W pół godziny później rozwścieczony Numa najniespodziewaniej wsiadł na trop człowieka. Dotychczas pan dżungli gardził niesmacznym mięsem ludzkim. Było to mięso dobre dla bezzębnych, zgrzybiałych starców, niezdolnych do polowania na szybkożerów trawożerców. Dla młodych, silnych, dla zwinnych byli: Bara-jeleń, Horta-dzik i najsmaczniejsza a najpłochliwsza Pacco-zebra. Ale Numa był głodny. Tak głodny, jak jeszcze nigdy nie był w ciągu swego pięcioletniego żywota.

Cóż z tego, że był młody, silny, przebiegły i odważny? W obliczu głodu równy był starym, bezzębnym, zgrzybiałym. Jego brzuch krzyczał z udręki, jego szczęki domagały się mięsa. Zebra, jeleń czy człowiek - co za różnica, byle to było mięso, ciepłe, czerwone od gorących soków życiowych. Nawet Dango-hiena, pożeraczka padliny, wydałaby się teraz Numie przysmakiem.

Olbrzymi lew znał obyczaje i ułomności ludzkie, jakkolwiek nigdy nie polował na człowieka jako na pokarm. Znał pogardzanych przez siebie Gomanganich, jako najpowolniejsze, najgłupsze i najbezbronniejsze ze stworzeń. By zapolować na człowieka, nie potrzeba ani przebiegłości, ani skradania się. Zresztą Numa nie był wcale w usposobieniu do włóczenia i zachowania ciszy.

Wściekłość pożera go nie mniej od głodu. Teraz więc, wyczuwszy niedawne przejście człowieka, pochylił głowę, wydał grzmiący ryk i szybkim krokiem, nie dbając o sprawiany hałas, ruszył za tropem upatrzonej zwierzyny.

Groźny i majestatyczny, po królewsku obojętny na otoczenie, kroczył król zwierząt ubitym szlakiem. Opuściła go przezorność, wrodzona wszelkim dzikim tworom. Czego miał się obawiać, on, pan dżungli, polując na człowieka tylko? Czego miał się wystrzegać? Nie zobaczył też, ani wyczuł tego, co spostrzegłby bardzo czujny Numa, dopóki, z trzaskiem gałęzi i obsuwaniem się ziemi, nie wpadł w dowcipnie obmyśloną pułapkę, wykopaną przez chytrych Wamabo na samym środku łowieckiego tropu.

* * *

Małpi Tarzan stał na polance, patrząc na aeroplan, malejący do rozmiarów dziecinnej zabawki wśród wschodnich obłoków. Z ulgą odetchnął. Całe tygodnie dręczyła go odpowiedzialność za całość i bezpieczeństwo tych dwojga w dzikiej puszczy, bezbronnych wobec drapieżnych zwierząt i okrutnych Wamabo. Małpi Tarzan kochał nieskrępowaną wolność. Teraz, gdy szczęśliwie pozbył się tych dwojga, czuł, że może znowu wyruszyć na zachodnie wybrzeże do samotnej chatki zmarłego ojca.

A jednak, gdy stał, śledząc drobną plamę na wschodzie, z szerokiej jego piersi wyrwało się westchnienie - nie ulgi, innego raczej uczucia, którego Tarzan nie spodziewał się już nigdy w sobie odnaleźć i do którego nie chciał się przyznać nawet przed samym sobą. Niemożliwe wszak było, aby on, wychowany w puszczy, dobrowolnie wyrzekłszy się towarzystwa ludzi dla swych ukochanych, dzikich zwierząt, mógł odczuwać coś zbliżonego do żalu, że ci dwoje odeszli, lub do osamotnienia po ich odejściu. Porucznika Harolda Percy'ego Smith-Oldwicka polubił, ale kobietę, którą znał jako szpiega niemieckiego, nienawidził, mimo że nie mógł się zdobyć na zabicie jej, zgodnie ze swą przysięgą mordowania wszystkich Niemców. Słabość tę przypisywał temu, że była kobietą, niepokoiła go jednak kruchość jego nienawiści do niej i tylokrotne ochranianie jej, gdy widział grożące jej niebezpieczeństwo.

Gniewnie potrząsając głową, zawrócił gwałtownie na zachód, jak gdyby odwrócenie się plecami do szybko znikającego aeroplanu miało dopomóc do wyrzucenia z pamięci pasażerów. Na skraju polanki olbrzymie drzewo zagradzało mu drogę. Jak gdyby pchany jakimś nagłym i nieodpartym nakazem, wskoczył na gałęzie i z małpią zręcznością wdrapał się na najwyższy konar. Tam, lekko się kołysząc na chwiejnej podstawie, zaczął szukać w kierunku wschodnim drobnej plamki, która była angielskim aeroplanem, zabierającym mu ostatnich przedstawicieli jego rodzaju i rasy, jakich spodziewał się kiedykolwiek ujrzeć.

Wreszcie oczy jego odnalazły latający statek daleko na wschodzie, na znacznej wysokości. Przez parę sekund widział, jak szybko i równo dążył na wschód, gdy nagle, ku swemu przerażeniu, zobaczył, że stacza się w dół. Spadek wydawał mu się nieskończenie długo trwający i wyobraził sobie, na jak wielkiej wysokości był aeroplan, zanim zaczął spadać. Zanim znikł z oczu, wydało się, jak gdyby jego rozpęd nagle zmalął, wciąż jednak pośpiesznie leciał pod ostrym kątem i znikł wreszcie za odległymi wzgórzami.

Przez pół minuty stał człowiek-małpa, obserwując dalekie wzgórza graniczne, które, według jego przypuszczeń, musiały znajdować się w sąsiedztwie spadłego aeroplanu. Zaledwie zrozumiał, że ci ludzie byli znowu w niebezpieczeństwie, już wrodzone poczucie obowiązku względem pokrewnych mu istot nakazywało mu wyrzec się własnych projektów i biec im na ratunek.

Człowiek-małpa, wnosząc z umiejscowienia się aparatu, lękał się, że upadł on pomiędzy nieprzebyte wąwozy jałowej krainy, leżącej tuż poza żyznym basenem, oddzielonym od niej górami. Przebył sam tę wyschniętą i beznadziejną krainę śmierci i wiedział z doświadczenia, że człowiek słabszy od niego nie wydobędzie się z niej cało. Przypomniawszy sobie zbieleńsze kości dawno zmarłego wojownika na dnie stromego wąwozu, wąwozu, który omal nie stał się dla niego samego pułapką śmierci. Widział hełm z kutego brązu i zardzewiały napierśnik stalowy, i długi, prosty miecz w pochwie, i starożytną rusznicę - niemych świadków fizycznej mocy i wojowniczego ducha tego, który, nie wiadomo w jaki sposób, tak niefortunnie przybrany i uzbrojony, dostał się do samego serca dzikiej, starożytnej Afryki. I widział smukłego młodzieńca angielskiego i powiewną postać dziewczyny, rzuconych do tej samej, złowieszczej pułapki, z której starożytny olbrzym nie zdołał się wyrwać - rzuconych tam - rannych i z połamanymi członkami, o ile nie zabitych.

Rozsądek mówił mu, że najprawdopodobniejsze było ostatnie przypuszczenie, a jednak, może udało im się wylądować, uniknąwszy najgorszego. Opierając się na tej wątpliwej nadziei, puścił się w drogę, ciężką, połączoną z wielu niebezpieczeństwami, byle ich uratować, o ile jeszcze żyli.

Przebył może milę, gdy dosłyszał poza sobą odgłos szybkich kroków na tropie łowieckim. Odgłos nabrzmiewając zdradzał, że coś, co było jego sprawcą, poruszyło się w tym samym, co on, kierunku i zbliżało się pośpiesznie. Niebawem jego wyćwiczone zmysły poznały kroki uciekającego Bary-jelenia. W Tarzanie w nierozzerwalny sposób łączyły się właściwości człowieka i zwierzęcia. Długie doświadczenie nauczyło go, że najlepiej walczy lub najszybciej podróżuje ten, kto jest najlepiej odżywiony, i dlatego umiał odłożyć najpilniejszą sprawę, by skorzystać ze sposobności zdobycia pokarmu. Była to może najwybitniejsza w nim cecha zwierzęcia. Angielski dżentelmen, gnany najhumanitarniejszymi pobudkami, błyskawicznie przeobraził się w dzikie zwierzę, zaczajone w ukryciu gęstych zarośli, gotowe skoczyć na zbliżającą się ofiarę.

Trwoga i pośpiech pozbawiły Barę, który tylko co uniknął szponów Nury i Szity, możliwości wyczucia innego, równie groźnego wroga, który zasadził się na niego. Piersią w pierś wpadł jeleń na człowieka-małpę. Jasnobrazowe ciało wystrzeliło z zielonego ukrycia, silne ramiona otoczyły smukły kark młodego kozła, potężne zęby wpiły się w jędrne ciało. Tarzali się chwilę po ziemi. Niebawem podniósł się człowiek-małpa i postawiwszy nogę na zabitym jeleniu, wydał zwycięski okrzyk małpiego samca.

Jak gdyby w odpowiedzi na wyzwanie, rozległ się grzmiący ryk lwa, straszliwy, gniewny ryk, w którym Tarzan rozpoznał nutę zdziwienia i trwogi. Ciekawość jest właściwością wysoko rozwiniętą zarówno u dzikich mieszkańców puszczy, jak i u więcej oświeconych ich sióstr i braci ludzkiej rasy. Nie był wolny od niej i Tarzan. Szczególna nuta w głosie jego dziedzicznego wroga rozbudziła w nim chęć zbadania jej przyczyny. Dlatego, zarzuciwszy sobie Barę-jelenia na ramię, skoczył na gałęzie i pośpieszył w kierunku, skąd dochodził ryk lwa.

W miarę zmniejszania się odległości, rosło natężenie głosu, co wskazywało, że zbliżał się do lwa bardzo rozgniewanego. Tam, gdzie olbrzymie drzewo ocieniało szeroki trop łowiecki, głęboko wydeptany w ciągu wieków przez niezliczone tysiące kopyt i miękkich łap, zobaczył Tarzan dół na lwy, a w nim na próżno usiłującego wydostać się na wolność takiego lwa, jakiego nigdy jeszcze nie

widział. Na człowieka-małpę patrzył gorejącymi oczyma potężny zwierz, wielki, silny i młody, z duża, czarna grzyw; i skóra o tyle ciemniejsza, niż kiedykolwiek widziana przez Tarzana, że w głębi dołu wydawała się czarna. - Czarny lew!

Tarzana, który właśnie zamierzał drwić i szydzić z uwiezionego wroga, zdjął nagły podziw dla piękności wspaniałego zwierzęcia. Co za cudowne stworzenie! Jakimże karłem wobec niego wydawał się zwykły lew leśny! Oto istota, godna nazwy króla zwierząt! Zaledwie spojrzął na wielkiego kota, zrozumiał, że nie trwogę usłyszał w pierwszym jego ryku; zdziwienie, niezawodnie, ale na strunach głosowych tej mocarnej piersi nie zagrała nigdy trwoga.

Wraz z zachwytem przyszło współczucie dla zwierzęcia, przez podstęp Gomanganich obezwładnionego. Aczkolwiek zwierzy było wrogiem człowieka-małpy, mniej mu było wrogiem niż ci czarni, którzy złapali je w pułapkę. Tarzan wprawdzie liczył wielu przyjaciół wśród pewnych szczepów Murzynów afrykańskich, były jednak inne, o zwierzęcych obyczajach i nikkzemnych naturach, na które patrzył z najwyższą pogarda i do tych zaliczał ludożerców Numabo. Przez chwilę lew dziko błyskał ślepiami na nagiego człowieka, siedzącego ponad nim na gałęzi. Żółtozielone oczy zwierzęcia uporczywie wpatrywały się w jasne oczy człowieka-małpy. Ale wrażliwe nozdrza uderzył zapach świeżej krwi Bary-jelenia. Oczy zwróciły się na zabita zwierzynę, przewieszoną przez brązowe ramię, i z piwnicznej głębi dzikiego gardła dobył się cichy szloch.

Małpi Tarzan uśmiechnął się. Najwyraźniej, jak gdyby ludzkim głosem przemawiając, lew powiedział mu:

- Głodny jestem, więcej niż głodny, umieram z głodu. Człowiek-małpa popatrz na lwa i uśmiechnął się drwiącym uśmiechem. Zdjął z ramion jelenia, zawiesił go na gałęzi, wyjął długi nóż, zręcznie wyciął udziec i wytarłszy ostrze o skórę Bary, wsunął je z powrotem do pochwy. Numa ze ślanką, spływającą mu z paszczy, spoglądał na ponętne mięso i znowu zaszlochał. Człowiek-małpa wciąż z tym samym uśmiechem podniósł do ust udziec jeleni i zatopił w nim swe mocne zęby.

Po raz trzeci rozległ się błagalny szloch Numy-lwa. Z wyrzutem i niesmakiem potrząsając głową, Małpi Tarzan zdjął z drzewa resztę zwierzyny i rzucił zgłodniałemu kotu.

- Stara baba - mruknął - Tarzan stał się starą, płacziwą babą. Wkrótce zacznie wylewać łzy żalu nad zabitym Barą-jeleniem. Nie może patrzeć na głodnego Numę, swego wroga, bo serce jego topi się, jak wosk, wskutek obcowania ze słabymi tworamii cywilizacji.

Uśmiechał się jednak i nie żałował, że dał wodze swym subtelniejszym popędom.

Pochłaniając zatrzymaną dla siebie część zdobyczy, nie tracił i oczu ani jednego szczegółu sceny, rozgrywającej się w dole. Widział chciwość, z jaką Numa pożerał mięso i ze wzrastającym zachwytem spostrzegał nowe szczegóły piękności zwierzęcia. Zauważył też dowcipny sposób urządzenia pułapki.

Zwykła pułapka na lwy, znana Tarzanowi, miewała wbite w dno pale, na których zaostrome końce nieszczęsny lew się nadziewał, ta jednak pułapka inaczej była zbudowana. Tutaj krótkie pale osadzone były, co stopę mniej więcej, na górze dookoła ścian, a ich zaostrome końce skierowane były w dół. Lew wpadł więc do pułapki nieuszkodzony, wydobyć się jednak nie mógł, gdyż ilekroć skoczył do góry, uderzał się głową o ostre końce pali.

Najwidoczniej Wamabom zależało na ujęciu lwa żywcem. Ponieważ ten szczep nie miał żadnych stosunków z białymi ludźmi, celem ich mogło być tylko zadawanie tortur zwierzęciu, by nacieszyć się jego przedśmiertnymi męczarniami.

Przyszło do głowy Tarzanowi, że bezcelowym byłoby nakarmienie lwa i pozostawienie go potem

na łaskę i niełaskę czarnych; pomyślał też, że więcej przyjemności znajdzie, pozbawiając dzikusów zabawy, niż pozostawiając lwa własnemu losowi. Ale w jaki sposób go uwolnić? Wyjęcie kilku pali dałoby zwierzęciu możliwość wyskoczenia z dołu, który nie był bardzo głęboki. Jaką wszakże miał pewność, że uwolniony lew nie rzuci się na niego, zanim zdąży wdrapać się na drzewo? Mimo że Tarzan nie odczuwał wobec lwa takiej trwogi, jaką my byśmy w podobnych okolicznościach odczuwali, posiadał jednak instynkt samozachowawczy, niezbędny dla każdego żyjącego stworzenia. Gdyby zaszła potrzeba, Tarzan stawiałby czoło Numie, chociaż nie był tak zarozumiały, by sądzić, że w śmiertelnym boju weźmie górę nad dorosłym lwem inaczej niż dzięki przebiegłości, jaką dawała mu wyższość jego umysłu ludzkiego. Lekkomyślne narażanie się na śmierć uważał za równie karygodne, jak unikanie niebezpieczeństwa, gdy należało się z nim zmierzyć. Gdy jednak Tarzan chciał czegoś dokonać, znajdował zazwyczaj odpowiednie środki.

Postanowił uwolnić Numę i nie cofnie się już przed niczym. Wiedział, że przez pewien czas lew będzie zajęty zaspakajaniem głodu, wiedział jednak, że wówczas tym więcej będzie skłonny do ukarania tego, kogo będzie podejrzewał o chęć odebrania mu łupu. Musi więc zachować nadzwyczajną ostrożność.

Zeszedłszy na ziemię, podszedł do dołu, by obejrzyć pale i zadziwił się widząc że Numa za jego zbliżeniem się nie daje żadnych oznak gniewu. Rzucił badawcze spojrzenie na człowieka-małpę i powrócił do obgryzania kości. Tarzan obmacał pale i wypróbował je, napierając na nie całym swym ciężarem. Zaczął je szarpać silnymi ramionami i przekonał się, że przez poruszanie ich w tył i naprzód zdoła je obluzować. Wkrótce wpadł na nowy pomysł: za pomocą noża zaczął kopać wokoło jednego pala w miejscu, gdzie był wbity w ziemię. Grunt był miękki i łatwy do rozkruszenia, niebawem też obnażył Tarzan tę część pala, która była wkopana w ścianę dołu, pozostawiając tyle tylko ziemi, ile trzeba było, aby zapobiec spadnięciu w głąb dołu. W ten sam sposób obluźnił sąsiedni pal, po czym zarzuciwszy na oba pętle swego sznura, wskoczył na drzewo. Oparty mocno o pień, zaczął ciągnąć sznur. Z wolna wydobywały się pale ze swych jam, równocześnie zaś wzrastać zaczęło zaniepokojenie Numy i jego pomruki.

Czy to jakiś nowy zamach na jego prawa i wolność? Zastanowiło go to, a że, jak wszystkie lwy, nie odznaczał się cierpliwością, ogarnął go gniew. Nie wtrącał się, gdy Tarmangani przykucnął nad krawędzią dołu i patrzył na niego, bo czyż go ten Tarmangani nie nakarmił? Teraz wszakże coś nowego się działo, coś, co wzbudziło nieufność zwierzęcia. Przyglądając się jednak, spostrzegł Numa, że pale stopniowo unosiły się do pozycji pionowej, chwiały się, po czym znikając z jego oczu, padały na powierzchnię ziemi w górze. Pochwyciwszy w potężne szczęki resztki Bary-jelenia, Numa zręcznie wyskoczył z pułapki, Tarzan zaś puścił się w dalszą drogę na wschód.

Ślad człowieka, czy zwierzęcia, na powierzchni ziemi lub wśród gałęzi drzew był otwartą księgą dla człowieka-małpy, ale nawet jego wyostrzone zmysły okazały się zawodne, gdy przyszło tropić statek powietrzny. Na cóż się zdały oczy, uszy lub węch przy ściganiu rzeczy, której droga wiodła poprzez zmienną atmosferę, tysiące stóp ponad wierzchołkami drzew? W poszukiwaniu spadłego aeroplanu mógł się kierować tylko swym poczuciem kierunku. Nie mógł nawet ocenić dokładnie odległości, gdzie upadł, wiedząc, że z chwilą zniknięcia poza wzgórzami, mógł przelecieć jeszcze znaczną przestrzeń pod prostym kątem, zanim wreszcie runął na ziemię.

Jeśli jego pasażerowie zostali zabici lub ciężko ranieni, Tarzan mógł ich szukać bezskutecznie, w najbliższym będąc od nich sąsiedztwie.

Jedno tylko pozostawało do czynienia: jak najwięcej zbliżyć się do miejsca, w którym, jak sądził,

aeroplan wylądował i iść dalej, zakreślając coraz szersze łuki, póki nie trafił na ich trop. Tak też uczynił.

Zanim opuścił dolinę obfitości, zabił kilka sztuk zwierzyny i zabrał ze sobą najlepsze kawały mięsa, obkrajane kości pozostawił w lesie. Bogata roślinność dżungli kończyła się u stóp zachodniej pochyłości, stając się coraz uboższą w miarę, jak zbliżał się do podgórze, poza którym były już tylko nędzne chwasty i spalona przez słońce trawa ze stojącym gdzieś sękatym drzewem, które przetrzymało trudności bezwodnego niemal istnienia.

Z wierzchołka wzgórza oczy Tarzana rozglądały się po jałowym krajobrazie. W oddali dojrzał poszarpane, kręte linie okropnych wąwozów, które przecinały szeroką równinę - straszliwe wąwozy, w których omal nie przyplącił życiem zuchwałego pogwałcenia ich odwiecznej samotności.

Dwa dni trwały bezowocne poszukiwania jakichkolwiek wskazówek co do aeroplanu lub jego pasażerów. Przyniesione mięso Tarzan zakopał w kilku miejscach, znacząc je kopczykami z kamieni. Przebył pierwszy wąwóz i okrążył go z dala. Od czasu do czasu zatrzymywał się i głośno nawoływał, nasłuchując odpowiedzi - odpowiadało mu głucho milczenie.

Późnym wieczorem drugiego dnia doszedł do pamiętnego wąwozu, w którym leżały zbielełe kości starożytnego wędrowca i tu, po raz pierwszy, Ska-sęp zjawił się w górze.

- Nie dziś jeszcze, Ska - drwiącym głosem zawołał człowiek-małpa - teraz Tarzan jest zaprawdę Tarzanem. Wówczas tropiłeś szkielet Tarmanganiego i nawet wówczas przegrałeś. Nie trać czasu dla Małpiego Tarzana w pełni siły i mocy.

Wciąż jednak Ska krążył i unosił się nad nim i człowiek-małpa, mimo swych przechwałek, uczył dreszcz niepokoju. Po mózgu jego zaczęły przepływać uporczywe i bolesne pienia, do których mimo woli dołączył dwa wyrazy, powtarzające się z dręczącą monotonią: „Ska wie! Ska wie!”, dopóki, zdjęty gniewem, nie pochwycił kamienia i nie cisnął nim w ponurego czyściciela.

Schyliwszy się nad spadzistą ścianą wąwozu, na wpół zeszedł, a na wpół zesunął się na piaszczyste dno. Znalazł się w szczelinie, w tym samym miejscu, z którego przed kilku tygodniami zaczął się drapać w górę i zobaczył, nietknięty niewątpliwie od owego czasu, potężny szkielet wraz z uzbrojeniem.

Gdy tak stał, patrząc na to ponure napomnienie, że inny potężny człowiek uległ okrutnym mocom pustyni, uwagę jego zwrócił wystrzał z broni palnej, którego odgłos doszedł go z głębi wąwozu na wschód od niego leżącego i długo odbijał się echem o strome skały wąskiej szczeliny.

ROZDZIAŁ XV

TAJEMNICZE ŚLADY

Gdy angielski aeroplan, kierowany przez porucznika Harolda Percy'ego Smith-Oldwicka, wzniósł się ponad dżungla, w której Berta Kirchner tylokrotnie cudem tylko uniknęła śmierci, dziewczyna uczuła nagle skurcz w gardle. Dziwne wydało się jej, by miała żałować pozostawionych poza sobą strasznych niebezpieczeństw, a jednak wiedziała jasno, że tak właśnie było, zostawiała bowiem poza sobą jednocześnie jedyną osobę, jaką spotkała w życiu, do której czuła niewytłumaczony pociąg.

Przed nią, na miejscu pilota, siedział angielski oficer i dżentelmen, który, wiedziała o tym, kochał ją, a ona śmiała w jego towarzystwie odczuwać żal z powodu rozstania z dzikim zwierzęciem!

Porucznik Smith-Oldwick był w siódmym niebie. Odzyskał swój ulubiony aparat, leciał spieszenie do swych towarzyszy i obowiązków i miał ze sobą ukochaną kobietę. Czarną plamą na jego radości było oskarżenie Tarzana. Powiedział, że ta kobieta była Niemką i szpiegiem. Rozważając następstwa zarzutu, o ile okazałby się słuszny, z wyżyn szczęścia wpadł w otchłań rozpacz. Szarpał się między miłością a poczuciem honoru. Z jednej strony nie mógł ukochanej narazić na los, który ją czekał, jeżeli w istocie była szpiegiem nieprzyjacielskim, z drugiej zaś strony, jako Anglik i oficer, nie mógł w żaden sposób bronić jej i uchronić przed zasłużoną karą.

Młody człowiek uspokajał sam siebie, utwierdzając się w przekonaniu ojej niewinności. Starał się uwierzyć, że Tarzan się mylił. Gdy przywołał w myśli obraz dziewczyny, za nim siedzącej, jeszcze mocniej się upewnił, że rysy, odzwierciedlające kobiecość i łagodne usposobienie, te jasne i uczciwe oczy nie mogły należeć do nienawistnej rasy.

Lecieli na wschód, każde pogrążone we własnych myślach. Pod nimi bujna roślinność dżungli ustępowała uboższej na stokach gór. Wreszcie rozłożyła się pod nimi rozległa przestrzeń jałowej pustyni, naznaczona głębokimi bliznami wąskich wąwozów, wykutych przez dawno nie istniejące rzeki w zamierzchłych wiekach.

Zaledwie minęli szczyty pasma gór, stojących na rubieży pustyni, Ska-sęp, na znacznej wysokości lecący do gniazda, spostrzegł dziwnego, nowego ptaka gigantycznych rozmiarów, wkraczającego w dziedzinę jego powietrznych posiadłości. Czy to z zamiarem wydania bitwy szkodnikowi, czy też wiedziony zwykłą ciekawością, Ska wzniósł się nagle na spotkanie aeroplanu.

Niechybnie nie doceniał szybkości przybysza, gdyż koniec ramienia śmigła dotknął jego ciała, co wywołało różne następstwa. Martwe ciało Ska, poszarpane i krwawiące, spadło jak ołowianka na ziemię; kawałek odłupanego drzewa odskoczył, uderzając pilota w czoło; aeroplan wstrząsnął się, a ponieważ porucznik Smith-Oldwick wpadł w chwilowe omdlenie, aparat zaczął na łeb, na szyję opuszczać się ku ziemi.

Chwilę tylko był lotnik nieprzytomny, ale ta chwila rozstrzygnęła o ich zgubie. Gdy spostrzegł, co się dzieje, przekonał się zarazem, że motor się zatrzymał. Aeroplan osiągnął przerażającą szybkość postępową. Ziemia była za blisko, by mógł liczyć na podciągnięcie na czas, celem gładkiego wylądowania. Bezpośrednio pod nimi była głęboka szczelina w płaskowzgórzu - wąski parów, którego dno wydawało się względnie płaskie i pokryte piaskiem.

W ciągu sekundy, jaka pozostała mu do powzięcia decyzji, za najlepsze uznał lądowanie w wąwozie i tak uczynił, ale nie bez poważnego uszkodzenia aeroplanu i mocnego wstrząśnięcia siebie samego i pasażerki.

Na szczęście żadnemu nic się nie stało, ale położenie było zaiste beznadziejne.

Poważnym pytaniem było, czy porucznik zdoła naprawić uszkodzenia i kontynuować podróż, jak również wątpliwa była ich zdolność dojścia pieszo do wybrzeża wschodniego lub zawrócenia do porzuconego niedawno kraju. Mężczyzna pewien był, że nie zdołają przebyć pustyni wobec grożących im głodu i pragnienia, leżąca zaś poza nimi dolina obfitości, pełna była drapieżników i wojowniczych krajowców.

Gdy aeroplan nagle i nieszczęśliwie osiadł, Smith-Oldwick szybko się obrócił, by przekonać się, jakie to zrobiło wrażenie na dziewczynie. Ujrzał ją bladą, lecz uśmiechniętą. Przez kilka sekund oboje siedzieli, patrząc na siebie w milczeniu.

- Czy to koniec? - zapytała. Anglik potrząsnął głową.

- Jest to koniec pierwszego kursu w każdym razie.

- Ależ pan nie łudzi się, że potrafi dokonać tu naprawy! - rzekła z powątpiewaniem.

- Nie - odrzekł - nie, jeśli uszkodzenia są poważne, ale może uda się je załatać. Miejmy nadzieję, że to nic poważnego. Droga do linii kolejowej Tanga jest bardzo, bardzo długa!...

- Nie zaszlibyśmy daleko - rzekła dziewczyna z lekką nutą beznadziejności w głosie. - Najzupełniej bezbronni - cudem byłoby, gdybyśmy zdołali przejść małą część tej przestrzeni.

- Ależ my nie jesteśmy pozbawieni broni - odrzekł młodzieniec. - Mam tu pistolet, którego te draby nie znalazły - i wyciągnął z ukrycia automatyczny pistolet.

Berta Kirchner przechyliła się w tył i zaśmiała się głośno, śmiechem pozbawionym wesołości, prawie histerycznym.

- Ta pukawka? - zawołała. - Cóż może więcej, jak podrażnić drapieżne zwierzę, gdyby panu udało się je ugodzić?

Smith-Oldwick był zbity z tropu. - Ależ to oręż, musi pani przyznać i niezawodnie mógłbym nim zabić człowieka.

- Mógłby pan, gdyby się panu udało go trafić albo o ile się ta rzecz nie zatnie. Doprawdy, nie mam wielkiego zaufania do automatów. Sama się nimi posługiwałam.

- Naturalnie! - rzekł z ironią - lepszy byłby sztucer, bo kto wie, możemy spotkać na pustyni słonia.

Spostrzegła, że był urażony i zrobiło się jej przykro. Wiedziała, że wszystko byłby gotów zrobić, by jej usłużyć lub obronić ją, i że nie jego winą było, jeśli tak źle był uzbrojony. Niewątpliwie, zdawał sobie sam dobrze sprawę z bezcelowości posiadanego oręża i tylko po to zwrócił nań jej uwagę, by dodać jej odwagi.

- Proszę mi wybaczyć - rzekła. - Nie chciałam dokuczyć panu, ale ten wypadek to przysłowiowa kropla, przepelniająca kielich. Mam wrażenie, że zniosłam już wszystko, na co mi siły pozwoliły. Chciałam wprawdzie oddać życie w służbie dla ojczyzny, nie wyobrażałam sobie jednak, że moje przedśmiertne konania tak długo będą się przeciągały, gdyż teraz dopiero rozumiem, że już od szeregu

tygodni umieram.

- Co pani mówi?! - zawołał. - Co pani ma na myśli? Nic się pani nie stało.

- Och, to nie to, nie to mam na myśli. Od chwili, gdy czarny sierżant Usanga i jego zdradzieckie krajowe wojska niemieckie porwały mnie i uniosły w głąb kraju, od tej chwili został podpisany mój wyrok śmierci. Czasami uzyskiwałam odroczenie. Czasami przypuszczałam, że jestem u progu uzyskania ulaskawienia, ale w głębi serca widziałam, że nie dożyję powrotu do świata cywilizowanego. Dałam swej ojczyźnie tę trochę ze siebie, co mogłam, i chociaż to niewiele, mogę odejść w przekonaniu, że to najlepsze, na co mnie było stać. Wszystko, czego mogę się teraz spodziewać, wszystko, o co błagam, to szybkie wykonanie wyroku. Nie chcę już dłużej czekać, wciąż w obliczu trwogi i złych przeczuć. Od tego, co przeszłam, lżejsze byłyby tortury fizyczne. Nie wątpię, że pan uważa mnie za dzielną kobietę, ale w gruncie rzeczy strach mój był bezgraniczny. Głosy drapieżnych zwierząt nocami napawają mnie tak dotkliwym przerażeniem, że to dochodzi do rzeczywistego bólu. Czuję pazury, rozrywające moje ciało, i okrutne kły, obgryzające moje kości - takie to stają się realne, jak gdybym rzeczywiście przechodziła męczarnie podobnej śmierci. Wątpię, C/Y Pan rozumie mnie - mężczyźni są tacy inni...

- Tak - odparł - zdaje mi się, że rozumiem, i dlatego właśnie, że rozumiem, mogę lepiej, niż pani sądzi, ocenić bohaterstwo, z jakim pani to wszystko zniosła. Dziecko wejdzie do jaskini lwa, trzeba jednak bardzo odważnego człowieka, by poszedł wyciągnąć je stamtąd.

- Dziękuję panu, ale ja wcale nie jestem odważna, a teraz bardzo się wstydzę, że tak się zapomniałam. Postaram się zapanować nad sobą i mocno trzymać samą siebie. Pomogę panu, proszę mi tylko powiedzieć, co mam robić.

- Przede wszystkim - odrzekł - musimy przekonać się, na ile poważne są uszkodzenia i spróbować je naprawić.

- Wiedziałam o tym - odparła - lecz sądzę, że czułam to samo, co pan: że jakkolwiek próżne były nasze wysiłki, gorzej jeszcze byłoby, gdybyśmy zechcieli powrócić do dżungli lub iść naprzód do wybrzeża. Pan wie i ja wiem, że pieszo nie dojdziemy do linii kolejowej Tanga. Umarlibyśmy z głodu i pragnienia, zanim przebylibyśmy połowę drogi; wracając zaś do dżungli, o ile w ogóle dotarlibyśmy do niej, nie uniknęlibyśmy tego samego, chociaż w inny sposób, losu.

- Mamy więc się tu i czekać śmierci, nie zużywając bezcelowo naszej energii na próżne wysiłki ratowania się? - zapytał.

- Nie - odrzekła - nigdy się tak nie poddani. Miałam na myśli to, że ponieważ nie mając celu próby dotarcia do miejsc, o których wiemy, że obfitują w żywność i wodę, musimy pójść w nowym kierunku. Gdzieś musi tu być woda, jeśli zaś jest, najłatwiej ją znajdziemy, idąc w dół tym wąwozem. Mamy dosyć wody i żywności na kilka dni. Tymczasem może natkniemy się na jakieś źródło albo nawet dojdziemy do żyznego kraju, który, jak wiem, leży na południu. Gdy Usanga prowadził mnie z wybrzeża do kraju Wamabo, szedł drogą południową, wzdłuż której pełno było wody i zwierzyny. Dopiero gdy zbliżyliśmy się do miejsca przeznaczenia, zaroilo się od drapieżnych zwierząt. Jest więc nadzieja, że o ile dotrzemy do żyznej krainy na południu, dostaniemy się do wybrzeża.

Mężczyzna z niedowierzaniem potrząsnął głową.

- Spróbujmy - rzekł. - Co do mnie, nie mam ochoty siedzieć i czekać na śmierć.

Smith-Oldwick stał oparty o aeroplan, wlepiwszy w ziemię przygnębione spojrzenie. Dziewczyna wpatrywała się w południową stronę, która dawała im słaby promyk nadziei uratowania

życia.

- Spójrz pan! - szepnęła.

Porucznik szybko podniósł oczy w kierunku jej spojrzenia i ujrzał ogromną głowę wielkiego lwa, który spoglądał na nich spoza skalistego występu na pierwszym zakręcie wąwozu.

- Oho! - zawołał - wszędzie są te lotry!

- One nie mają zwyczaju oddalać się bardzo znacznie od wody, nieprawdaż? - zapytała dziewczyna.

- Zdaje mi się, że nie - odparł. - Lew nie jest bardzo wytrzymały.

- A więc jest zwiastunem nadziei! - zawołała. Mężczyzna zaśmiał się.

- Kochany zwiastun nadziei! - rzekł. - Przypomina mi jaskółkę, zwiastującą wiosnę.

Dziewczyna rozgniewała się.

- Niech pan nie mówi głupstw. Może się pan śmiać, jeśli pan ma ochotę, a ja mówię, że budzi we mnie nadzieję.

- To polega zapewne na wzajemności - odparł Smith-Oldwick - gdyż niewątpliwie i my budzimy w nim nadzieję.

Lew, zaspokoiwszy widocznie swą ciekawość co do rodzaju napotkanych stworzeń, powoli zbliżał się ku nim.

- Wdrapmy się na aparat - rzekł porucznik i pomógł dziewczynie dostać się na aeroplan.

- Czy on tu nie może nas dosięgnąć? - zapytała.

- Myślę, że może - odrzekł.

- Pan doskonale umie uspokajać - zauważyła.

- Nie sądzę - odparł i sięgnął po pistolet.

- Na miłość boską! - krzyknęła. - Niech pan nie strzela. Jeszcze go pan trafi.

- Nie zamierzam strzelać w niego, ale może uda mi się go odstraszyć, gdyby próbował dostać się do nas tutaj. Czy nigdy pani nie widziała, jak się trenuje lwy? Trener ma głupią, małą pukawkę z kapiszonami i krzesło kuchenne i tym poskramia najdziksze zwierzęta.

- Ale pan nie ma krzesła kuchennego - przypomniała mu.

- To prawda. Rząd wszystkiego zaniedbuje. Zawsze utrzymywałem, że aeroplany powinny być zaopatrzone w krzesła kuchenne.

Berta Kirchner roześmiała się tak swobodnie i bez żadnego j podniecenia nerwowego, jak gdyby byli na popołudniowej herbatce.

Numa-lew zbliżał się pomału ku nim; postawa jego zdradzała więcej zaciekawienia niż wojowniczości. Tuż obok aparatu zatrzymał się i zaczął się im przyglądać.

- Prawda, jaki pyszny? - wykrzyknął oficer.

- Nigdy nie widziałam piękniejszego stworzenia - odrzekła - ani z tak ciemną skórą. Jest prawie czarny.

Dźwięk ich głosów nie spodobał się widocznie panu dżungli. Ściągnął twarz w głębokie fałdy, obnażając kły spoza warczących warg, wydał gniewny pomruk i niemal jednocześnie skurczył się do skoku.

Nie zwlekając Smith-Oldwick wypalił z pistoletu.

Hałas rozdrażnił Numę jeszcze bardziej. Z przerażającym krzykiem rzucił się na sprawcę nowego i niepokojącego dźwięku, który obraził jego uszy.

Porucznik Harold Percy Smith-Oldwick dał zwinnego susa na drugą stronę aeroplanu, wzywając

towarzyszkę, by poszła za jego przykładem. Dziewczyna, zdając sobie sprawę z bezcelowości zeskakiwania na ziemię, wolała pozostać i wdrapała się na szczyt górnego skrzydła.

Numa, nienawykły do szczegółów konstrukcyjnych aeroplanu, ułożył się na przednim siedzeniu, patrzył na dziewczynę, zbyt wysoko dla niego umieszczoną, nie zdradzając zamiarów osiągnięcia jej. Objąwszy w posiadanie aeroplan zdawał się uspokajać i nie zwracał uwagi na Smith-Oldwicka. Dziewczyna, widząc względne bezpieczeństwo swej pozycji, posunęła się na sam brzeg i wzywała młodzieńca, by starał się dostać na drugi koniec górnego skrzydła.

Tę właśnie scenę ujrzał Małpi Tarzan, gdy usłyszawszy wystrzał, okrążył zagięcie wąwozu ponad aeroplanem. Dziewczyna tak uważnie przyglądała się, jak Anglik starał się dostać na bezpieczne miejsce, ostatni zaś tak był zajęty swymi wysiłkami, że żadne z nich nie zauważyło cichego nadejścia Tarzana.

Pierwszy Numa zauważył intruza. Bezzwłocznie okazał mu swe niezadowolenie, zwracając ku niemu warczącą paszczę i wydając ostrzegawcze pomruki. Zwróciło to uwagę obojga usadowionych na górnym skrzydle. Z ust dziewczyny wyrwał się stłumiony okrzyk: „Chwała Bogu!”, mimo że nie wierzyła swym oczom, iż to rzeczywiście ten dziki człowiek, którego obecność zawsze zapewniała jej bezpieczeństwo, tak opatrnościowo zjawiał się w odpowiedniej chwili.

Z przerażeniem ujrzeli, jak Numa wyskoczył z aeroplanu i ruszył ku Tarzanowi. Człowiek-małpa, trzymając w pogotowiu swą krzepką włócznię, spokojnie posuwał się na spotkanie drapieżnika, którego poznał jako lwa z pułapki. Ze sposobu zbliżania się lwa wiedział, czego ani Berta Kirchner, ani Smith-Oldwick nie wiedzieli, że więcej w nim było ciekawości niż wojowniczości i zastanawiał się, czy w tej wielkiej głowie nie znajdzie się coś w rodzaju wdzięczności za doznaną przysługę.

Tarzan nie wątpił, że Numa go poznał, dosyć dobrze bowiem znał swych towarzyszy z puszczy, by wiedzieć, że jeśli często pewne wrażenia zapominają szybciej od człowieka, inne za to latami całymi tkwiły w ich pamięci. Zwierzę mogło na całe życie zapamiętać jakąś ściśle określona woń, o ile pochwyciło ją w niezwykłych okolicznościach, i dlatego Tarzan pewien był, że wąż przypomniawszy Numie wszystkie szczegóły ich krótkiej znajomości.

Upodobania myśliwskie są wrodzone rasie anglosaskiej, toteż nie Małpi Tarzan, ale raczej lord Greystoke uśmiechem powitał sposobność sprawdzenia, jak daleko mogła sięgnąć wdzięczność Numy.

Smith-Oldwick i młoda dziewczyna widzieli tych dwoje zbliżających się do siebie. Porucznik zaklął cicho, dotykając nerwowo swego lichego oręża. Dziewczyna przycisnęła dłonie do twarzy i wychyliła się w kamiennym milczeniu. Mimo nieograniczonego zaufania do waleczności tego bogom podobnego człowieka, który ważył się tak nieustraszenie stawić czoło królowi zwierząt, nie łudziła się co do następstw ich spotkania. Wiedziała, jak Tarzan walczył z Szitą, panterą, i zrozumiała wówczas, że jakkolwiek mocarny był ten człowiek, jedynie zręczność, przebiegłość i przypadek stawiały go na równym poziomie z dzikimi przeciwnikami i że z tych trzech czynników najdonioślejszym był przypadek.

Wiedziała, jak człowiek i lew zatrzymali się jednocześnie - dzielił ich może metr odległości. Widziała, jak zwierzę biło się ogonem po bokach, słyszała głębokie pomruki, dobywające się z jego potężnej piersi, nie umiała jednak czytać ruchów smagającego ogona ani dźwięków pomruku.

Dla niej oznaczały one bestialską wściekłość, gdy tymczasem dla Tarzana były pojednawcze i uspakajające w najwyższym stopniu. Widziała dalej, jak Numa posunął się naprzód, aż wreszcie nos jego dotknął nagej nogi człowieka. Zamknęła oczy i przysłoniła je dłońmi. Wieczność chyba całą

czekała na straszne głosy starcia, które teraz musiało nastąpić, ale usłyszała tylko westchnienie ulgi z piersi Smith-Oldwicka i jego histeryczny okrzyk:

- Na Jowisza! Niech pani patrzy!

Ujrzała wielkiego lwa, ocierającego kudłatą głowę o biodro człowieka, i rękę Tarzana, zanurzoną w czarnej grzywie, drapiącą lwa za uchem.

Zdarza się, że zwierzęta odrębnych gatunków zawierają między sobą niezwykle przyjaźnie, rzadziej jednak trafia się to między człowiekiem, a mięsożercą, a to z powodu wrodzonej człowiekowi trwogi przed wielkimi kotami. Dlatego też niezrozumiała była tak nagle zawarta przyjaźń między dzikim lwem i dzikim człowiekiem.

Gdy Tarzan szedł do aeroplanu, Numa mu towarzyszył; gdy Tarzan zatrzymał się i spojrzał w górę na dziewczynę, Numa zatrzymał się również.

- Jużem prawie stracił nadzieję znalezienia was - rzekł człowiek-małpa - i wreszcie okazuje się, że w sam czas trafiłem.

- Ale skąd pan mógł wiedzieć, że jesteśmy w opałach? - zapytał oficer.

- Widziałem, jak wasz aeroplan zaczął opadać - objaśnił Tarzan. - Śledziłem go z drzewa, stojącego obok polanki, z której startowaliście. Miejsce waszego spadku wykombinowałem według kierunku. Musieliście lecieć po spirali znaczną jeszcze przestrzeń na południe, gdy znikliście mi z oczu poza górami. Szukałem was bardziej na północ. Miałem już właśnie wracać, gdy usłyszałem wystrzał. Czy maszyna wasza nie da się naprawić?

- Jest w stanie beznadziejnym - rzekł Smith-Oldwick.

- Jakie są wasze plany? Co zamierzacie robić? - zwrócił się Tarzan do dziewczyny.

- Chcielibyśmy dostać się do wschodniego wybrzeża, ale teraz to chyba niemożliwe.

- Przed chwilą byłbym tego samego zdania - odparł człowiek-małpa, - ale skoro jest tu Numa, to i woda musi być niezbyt daleko. Przed dwoma dniami natknąłem się na tego lwa w krainie Wamabo. Uwolniłem go z lwiego dołu. Musiał tu przyjść jakąś nieznaną mi drogą - nie natrafiłem na żaden trop łowiecki, ani na ślad zwierzyny, odkąd przekroczyłem góry, graniczące z żyzną okolicą. Z jakiej strony przyszedł do was?

- Z południa - rzekła dziewczyna. - My także pomyśleliśmy, że musi być w tamtej stronie woda.

- A więc idźmy jej szukać - rozstrzygnął Tarzan.

- Ale co będzie z lwem? - zapytał Smith-Oldwick.

- Tego musimy się dowiedzieć - odparł człowiek-małpa - dopiero wtedy, gdy pan zejdzie ze swej grzędy.

Oficer wzruszył ramionami. Dziewczyna spojrzała na niego, chcąc się dowiedzieć, jakie wrażenie zrobiła na nim propozycja Tarzana. Anglik pobladł, z uśmiechem jednak na ustach zsunął się na ziemię i stanął obok Tarzana.

Berta Kirchner zdawała sobie sprawę, że oficer boi się i me osądzała go za to, gdyż jednocześnie zdawała sobie sprawę z odwagi, jakiej dał dowód, stając oko w oko z niebezpieczeństwem, które mu istotnie zagrażało.

Numa, stojący u boku Tarzana, podniósł głowę, błysnął ślepiami, wydał pomruk i spojrzał na człowieka-małpę. Tarzan położył rękę na grzywie zwierzęcia i przemówił do niego w języku wielkich małp.

Dla dziewczyny i oficera niesamowicie brzmiały gardłowe dźwięki, wychodzące z ludzkiej piersi. Czy Numa je rozumiał, nie wiadomo, osiągnęły jednak pożądany skutek, gdyż ucichł, i gdy

Tarzan podszedł do Anglika, ruszył wraz z nim, nie zdradzając złych zamiarów względem oficera.

- Co pan mu powiedział? - zapytała dziewczyna. Tarzan uśmiechnął się.

- Powiedziałem mu, że jestem Małpi Tarzan, potężny łowca, pogromca zwierząt, władca dżungli i że wy jesteście moimi przyjaciółmi. Nigdy nie byłem pewien, czy inne zwierzęta rozumieją mowę Manganich*. Manu-małpka używa zbliżonego języka, pewien jestem, że Tantor-słoń rozumie wszystko, co do niego mówię. My tu, w dżungli, jesteśmy wielkimi pyszałkami. Mową, zachowaniem się, ruchami, musimy aż do najdrobniejszego szczegółu dążyć do olśnienia innych naszą mocą fizyczną i okrucieństwem. Dlatego pomrukuje na widok wroga. Mówimy mu, aby miał się na baczności, bo rzucimy się nań i rozszarpiemy go na sztuki. Numa nie rozumie może mych słów, wierzę jednak, że mój ton i zachowanie robią na nim pożądane wrażenie. Teraz niech pani zejdzie, przedstawię panią lwu.

Trzeba było całej odwagi, na jaką Berta Kirchner mogła się zdobyć, by zdecydować się opuścić na ziemię, tuż obok straszliwych szponów; nie zawahała się jednak. Numa na jej widok obnażył tylko kły i trochę pomruczał.

- Sądzę, że w obecności mojej nic pani z jego strony nie zagraża - rzekł człowiek-małpa. - Najlepiej po prostu nie zważać na niego. Niech mu pani nie okazuje żadnych względów, ale też nie zdradza obawy i o ile możliwości trzyma z dala od niego. Pewien jestem, że on teraz odejdzie i prawdopodobnie więcej go nie zobaczymy.

Za poradą Tarzana, Smith-Oldwick wyjął z aparatu resztę prowiantu i wody i rozdzieliwszy ładunek pomiędzy siebie, ruszyli na południe.

Numa nie poszedł za nimi, lecz stał przy aeroplanie patrząc, dopóki nie znikli mu z oczu na zakręcie wąwozu.

Tarzan trzymał się tropu Numy w kierunku południowym, licząc na to, że doprowadzi ich do wody. Odciski łap widoczne były na piasku, wyściełającym dno wąwozu. Najpierw widać było tylko świeże ślady, pozostawione przez Numę, później wszakże spostrzegł Tarzan dawniejsze ślady innych lwów, a zanim się ściemniło, zatrzymał się nagle w widocznym zdumieniu.

Towarzysze spojrzeli na niego pytająco. W odpowiedzi wskazał im ziemię.

- Spójrzcie na to! - wykrzyknął.

Z początku ani dziewczyna, ani Smith-Oldwick nic nie widzieli, prócz splątanych odcisków kocich łap na piasku. Wkrótce jednak Berta dostrzegła to, co zobaczył Tarzan, i z ust jej wyrwał się okrzyk zdziwienia.

- Odciski stopy ludzkiej! - zawołała. Tarzan potwierdził.

- Ale nie widać palców - zauważyła.

- Stopy były obute w miękkie sandały - wyjaśnił Tarzan.

- W takim razie musi być w pobliżu wioska krajowców - rzekł Smith-Oldwick.

- Tak - odparł Tarzan - ale nie takich, jakich mielibyśmy prawo oczekiwać w tych stronach Afryki, gdzie wszyscy chodzą boso, z wyjątkiem dezertów Usangi, obutych w niemieckie buty wojskowe. Nie wiem, czy umiecie to odróżnić, ale dla mnie oczywiste jest, że stopy w sandałach, które pozostawiły te ślady, nie są stopami Murzynów. Jeśli przyjrzy się lepiej, przekonacie się, że pięta i wygięcie stopy dobrze się odznaczają, nawet poprzez sandał. Różnią się bardzo od murzyńskich kształtów nóg.

- Sądzi pan, że to odciski stóp białych ludzi?

- Tak wyglądają - odparł Tarzan i naraz, ku zdziwieniu młodych ludzi, padł na ziemię i zaczął

obwąchiwać ślady - niczym zwierzę, spożytkowujące swe zmysły zwierzęce. Czołgając się naprzód, starał się za pomocą węchu rozpoznać sprawców nowych odcisków. Wreszcie powstał.

- To nie są Gomangani*, ani też właściwie biali ludzie, ale do jakiej rasy należą, nie mam pojęcia.

Pozornie charakter wąwozu nie zmienił się, tyle tylko, że stopniowo, w miarę jak szli w dół, zwiększała się jego głębokość, aż wreszcie wysoko nad nimi wznosiły się skaliste i strome ściany. W różnych miejscach, na różnej wysokości w tych ścianach widać było naturalne jamy, które zapewne woda w zamierzchłych wiekach wyryła. W pobliżu wędrowców znajdowała się taka pieczara na poziomie dna wąwozu - sklepiona, wyścielona białym piaskiem. Tarzan wskazał ją ręką.

Tu będzie nasze legowisko - rzekł, po czym poprawił się z jednym ze swych rzadkich, łagodnych uśmiechów. - Tu rozłożymy obóz tej nocy.

Po spożyciu skąpej wieczerzy, Tarzan kazał dziewczynie wejść do pieczary.

- Pani będzie spała wewnątrz, porucznik i ja zewnątrz przy wejściu.

ROZDZIAŁ XVI

NOCNY NAPAD

Gdy dziewczyna odwróciła się ku towarzyszom, życząc im dobrej nocy, wydało się jej, że cień jakiś porusza się w ciemnościach i jednocześnie upewniła się, że słyszy zaczajone kroki.

- Co to? - szepnęła. - Coś się porusza w ciemnościach.;

- Tak - rzekł Tarzan - to lew. Jest tam już od pewnego czasu. Nie zauważyła go pani wcześniej?

- Och! - zawołała dziewczyna z westchnieniem ulgi - czy to nasz lew?

- Nie - odparł Tarzan - to inny, który wyszedł na łowy.

- Czy on tropi nas? - zapytała.

- Tak - odrzekł człowiek-małpa. Smith-Oldwick dotknął rękojeści pistoletu.

Tarzan zauważył mimowolny gest i potrząsnął głową.

- Nie dotykaj tego sprzętu, poruczniku. Oficer zaśmiał się nerwowo.

- To było mimowolne, pan to rozumie - instynkt samozachowawczy i tak dalej.

- Byłoby to świadectwem instynktu samozniszczeniowego - rzekł Tarzan. - Są tu wokoło nas co najmniej trzy lwy czatujące. Gdybyśmy mieli ognisko albo gdyby był księżyc, zobaczyłby je pan wyraźnie. Mogą rzucić się na nas, ale mogą i nie rzucić się. Jeśli panu na tym bardzo zależy, żeby się rzuciły, proszę wypalić i trafić w jednego z nich.

- Co będzie, jeśli się rzucą? - zapytała dziewczyna. - Nie ma żadnego ratunku?

- Będziemy z nimi walczyli - odparł Tarzan.

- Jakże im poradzimy?

Człowiek-małpa wzruszył ramionami. - Kiedyś trzeba umrzeć. Pani zapewne straszną wydaje się taka śmierć, ale Małpi Tarzan zawsze oczekiwał podobnego końca. Mało nas w dżungli umiera ze starości i wcale nie uśmiecha mi się taka śmierć. Pewnego dnia zgładzi mnie Numa albo Szita, albo czarny wojownik. Co za różnica, czy stanie się to dziś, czy za rok, lub za lat dziesięć? gdy już będzie po wszystkim, będzie to dla nas zupełnie obojętne. Dreszcz wstrząsnął dziewczyną.

- Tak - powtórzyła głuchym, beznadziejnym głosem - gdy będzie po wszystkim, będzie to dla nas zupełnie obojętne.

Weszła do pieczary i legła na piasku. Smith-Oldwick usiadł przy wejściu i oparł się o skałę. Tarzan przykucnął po przeciwnej stronie.

- Czy mogę zapalić? - zapytał oficer. - Zachowałem kilka papierosów i, jeśli to nie przynęci tych drabów, chciałbym wypalić ostatniego przed śmiercią. Chce pan także? - podał Tarzanowi otwartą papierośnicę.

- Nie, dziękuję, ale może pan śmiało palić. Żadne dzikie zwierzę nie jest zwolennikiem dymu tytoniowego, który na pewno ich nie przynęci.

Smith-Oldwick zapalił papierosa i siedział, z wolna puszczając dym. Proponował jednego dziewczynie, ale odmówiła. Siedzieli w milczeniu wśród ciszy nocnej, przerywanej od czasu do czasu ledwo dosłyszalnymi stapaniami miękkich stóp po piasku wąwozu.

Smith-Oldwick pierwszy przerwał milczenie. - Czy nie są niezwykle spokojne jak na lwy?

- Nie - odparł człowiek-małpa - lew idący z rykiem przez dżunglę, nie robi tego, by przyciągnąć zdobycz. Zachowuje się bardzo cicho, gdy tropi zwierzynę.

- Wolałbym, żeby ryczały - rzekł oficer. - Wolałbym, żeby cokolwiek robiły, nawet rzucały się na nas. Działa mi na nerwy to ukazywanie się od czasu do czasu ich cieni w ciemnościach i to ciche stapanie. Mam jednak nadzieję, że nie rzucą się na nas wszystkie trzy jednocześnie.

- Trzy? - zapytał Tarzan. - Jest ich teraz siedem.

- Boże! - wykrzyknął Smith-Oldwick.

- Czy nie moglibyśmy rozpałcić ogniska i odstraszyć je? - zapytała dziewczyna.

- Nie sądzę, żeby się to na co zdało - rzekł Tarzan - gdyż coś mi się zdaje, że lwy różnią się nieco od znanych nam. Już mnie to uderzyło dziś rano - mówię o lwie, który okazał nam dzisiaj względną łagodność. Teraz jest człowiek z tymi lwami.

- To niemożliwe! - zawołał Smith-Oldwick. - Rozszarpałyby go niechybnie.

- Skąd pan przypuszcza, że jest tu człowiek? - zapytała dziewczyna.

Tarzan uśmiechnął się.

- Obawiam się, że pani tego nie zrozumie. Trudno jest nam zrozumieć coś, co przechodzi nasze siły.

- Co pan ma na myśli? - zapytał oficer.

- No, więc jeśli pan urodził się ślepy, nie może pan pojąć, jakie wrażenie cudze spojrzenie wnosi do pana mózgu. Ponieważ zaś oboje urodziliście się pozbawieni węchu, obawiam się, że nie zdołacie pojąć, w jaki sposób wiem, że jest tu człowiek.

- Pan chce powiedzieć, że zwęszył człowieka? - zapytała dziewczyna.

Tarzan skinął twierdząco głową.

- I w ten sposób dowiedział się pan o liczbie lwów? - dodał młody człowiek.

- Tak - potwierdził Tarzan. - Nie ma dwu lwów o jednakowym wyglądzie, ani o jednakowym odorze.

Anglik potrząsnął głową.

- Nie, nie rozumiem tego.

- Wątpię, czy lwy i człowiek mają zamiar wyrządzić nam krzywdę - rzekł Tarzan - gdyż nic nie stoi im na przeszkodzie i mogli to od dawna uczynić. Zdaje mi się co innego, ale to jest przypuszczenie wysoce niedorzeczne.

- Co pan przypuszcza? - zapytała dziewczyna.

- Myślę, że chcą nie dopuścić, byśmy zaszli gdzieś, gdzie oni sobie nie życzą; innymi słowy, jesteśmy pod nadzorem i bardzo możliwe, że dopóki nie spróbujemy iść tam, gdzie jesteśmy niepożądani, nikt nas nie tknie.

- Ale w jaki sposób możemy wiedzieć, dokąd nie chcą nas puścić? - zapytał Smith-Oldwick.

- Nie możemy wcale wiedzieć i bardzo możliwe, że właśnie miejsce, którego poszukujemy, jest miejscem, którego bronią przed nami.

- Myśli pan o wodzie?

- Tak - rzekł Tarzan.

Siedzieli jakiś czas w milczeniu, przerywanym tylko szelestami w ciemnościach. Godzina musiała upłynąć, gdy człowiek-małpa spokojnie się podniósł i wyciągnął długie ostrze z pochwy. Smith-Oldwick drzemał, oparty o ścianę pieczary, dziewczyna, wyczerpana wrażeniami i zmęczeniem ubiegłego dnia, zapadła w głęboki sen. W chwilę po powstaniu Tarzana zbudziła dziewczynę i oficera burza grzmiących ryków i tupot liczących stóp.

Małpi Tarzan stał przed otworem pieczary, z nożem w ręku oczekując natarcia. Człowiek-małpa nie spodziewał się, że ci, którzy krążyli wokół nich, podejmą taki skoncentrowany atak. Od pewnego czasu wiedział, że inni ludzie przyłączyli się do tych, którzy byli z lwami wieczorem i podniósł się dlatego, że widział, że lwy i ludzie ostrożnie skradali się ku niemu i jego towarzyszom. Mógł być ich łatwo uniknąć, gdyż widział, że bez trudności zdołałby się wdrapać na skałę, wznoszącą się ponad wejściem do pieczary. Najrozsądniej zrobiłby uciekając, wiedział bowiem, że wobec niepojętych rzeczy, które się działy, był zupełnie bezsilny, trwał jednak na stanowisku, sam może nie wiedząc dokładnie dlaczego.

Nie czuł ani długów wdzięczności, ani przyjaźni dla śpiącej w pieczarze dziewczyny, nie mógł też żadnej pomocy udzielić ni jej, ni jej towarzyszowi. Coś go jednak tu trzymało.

Wielki Tarmangani nie doznał nawet przyjemności wymierzenia jakiego ciosu w samoobronie. Istna lawina dzikich zwierząt przewalała się przez niego i ciężko obaliła go na ziemię. W upadku uderzył o skalistą krawędź urwiska i legł ogłuszony.

Był już jasny dzień, gdy odzyskał przytomność. Pierwsze wrażenie jakie uderzyło jego budzącą się świadomość, były to zmieszane dzikie odgłosy, które stopniowo zaczęły się wyodrębnić jako ryki lwów. Wówczas z wolna, stopniowo zaczęło mu wracać wspomnienie tego, co zaszło, zanim ogłuszyło go uderzenie.

W nozdrzach czuł ostry zapach lwa, obok swej nagiej nogi wyczuwał skórę jakiegoś zwierzęcia. Otworzył oczy. Leżał na boku i gdy spojrział wzdłuż swego ciała, ujrzał rozkraczonemu nad sobą ogromnego lwa, który straszliwie warczał na coś, czego Tarzan nie mógł dojrzeć.

Odzyskawszy w pełni zmysły, Tarzan nie wątpił, że zwierzę było Numą z pułapki.

Uspokojony przemówił do lwa i jednocześnie spróbował powstać z ziemi. Numa natychmiast usunął się na bok.

Podniósłszy głowę, przekonał się Tarzan, że leżał tam, gdzie był runął - przed otworem pieczary, w której spała dziewczyna, i że Numa, oparty o ścianę pieczary, ochraniał go widocznie przed lwami, które stapały tam i na powrót, czatując na przypuszczalną zdobycz.

Wówczas Tarzan zwrócił oczy na pieczarę i przekonał się, że nie było ani dziewczyny, ani porucznika.

Na marne poszły jego wysiłki i poświęcenie. Gniewnie potrząsając głową, człowiek-małpa obrócił się ku wciąż przechadzającym się lwom. Numa ze lwiego dołu skierował ku Tarzanowi przyjazne wejrzenie, potarł łeb o ramię człowieka, po czym warcząca paszczą obrócił ku dwóm lwom.

- Myślę - rzekł Tarzan do Numy że ty i ja możemy we dwóch mocno uszczęśliwić te stworzenia.

Mówił po angielsku, czego - oczywiście - Numa nie zrozumiał, musiało być jednak coś budzącego zaufanie w głosie człowieka-małpy, gdyż Numa błagalnie zawył i zaczął niecierpliwie, przechadzać się równoległe do przeciwników.

- Pójdź! - rzekł Tarzan i chwyciwszy lewą ręką za grzywę Numy, ruszył naprzeciw dwóm lwom, z Numą u boku. Tamte na ten widok wolno zaczęły się cofać i wreszcie, rozdzielivszy się, dały

przejście. Tarzan i Numa przeszli między nimi, nie spuszczać z oka sąsiadów, aby nie narazić się na niespodziewany napad, gdy nagle, jak gdyby na dane hasło, oba koty jednocześnie natarły, każdy ze swej strony.

Człowiek-małpa odpowiedział na natarcie swego sąsiada w zwykły sposób, jakiego używał w spotkaniach z Numa lub Szitą. Nawet mocarny Tarmangani nie mógł łudzić się, że zdoła wytrzymać rozpęd ogromnego lwa. Uciekł się więc, jak zwykle, do zwinnosci i przebiegłości, gdyż jakkolwiek szybkie w działaniu są wielkie koty, szybszym od nich był Małpi Tarzan.

Odkoczywszy z nastawionymi szponami i obnażonymi kłami, rzucił się Numa na nagą pierś przeciwnika. Tarzan wznosił lewe ramię, jak bokser odparowujący ciosy, pochwycił lewe przedramię lwa, podsunął się pod jego cielsko i jednocześnie pchnął nożem w płowe plecy. Z rykiem bólu Numa, uosobienie wściekłości, znowu zatoczył łuk. Teraz nauczył tego człeczynę, który wyobrażał sobie, że może bezkarnie stawać w poprzek życzeniom króla zwierząt. Ale jednocześnie i „zwierzyna” zataczała łuk, brązowe palce wczepiły się w gęste kudły grzywy i znowu nóż zatopił się w boku lwa.

Wówczas Numa oszalał z bólu i wściekłości, człowiek-małpa zaś skoczył mu na grzbiet. Zazwyczaj z łatwością Tarzan zaciskał nogi pod brzuchem zwierzęcia, siedząc na jego grzbiecie, i póty kłuł nożem, póki nie dosięgnął serca. Im łatwiejsze wydawało się to dotychczas, tym większego zawodu doznał Tarzan teraz, nie mogąc tego dokazać, gdyż przeszkadzały mu błyskawiczne ruchy lwa, z przerażeniem spostrzegł, że w miarę skoków zwierzęcia i podrzucania nim, nieuchronnie zsuwał się pod potężne pazury.

Z największym wysiłkiem zeskoczył z grzbietu Numy. Spodziewał się, że przez ułamek sekundy zdoła uniknąć ciosów rozjuszonego zwierzęcia, stanąć na nogi i zmierzyć się z nim na równiejszym gruncie. Ale tym razem Numa był zwinniejszy od niego. Zanim zdążył zerwać się na nogi, olbrzymia łapa uderzyła go w tył głowy i obaliła.

Padając zobaczył wznoszącą się ponad sobą czarną smugę: inny lew rzucił się na jego przeciwnika. Odepchnąwszy się spod walczących kotów, zerwał się na nogi, mimo że był na wpół ogluszony i chwiał się od otrzymanego ciosu. Poza sobą ujrzał martwego lwa, leżącego na piasku, przed nim Numa z pułapki zapamiętała tłuł drugiego.

Czarny lew przewyższał przeciwnika zarówno wzrostem i siłą, jak i dzikością. Niedługo trwały zapasy, gdyż większy zatopił kły w gardle tamtego i potrzasał nim, jak kot potrzasa myszką. A gdy umierający wróg spróbował podsunąć się pod zwycięzcę i tylnymi pazurami rozedrzyć mu brzuch, odplacił mu tym samym i zatopił swe szpony w dolnej części jego grzbietu, rozszarpując go całą mocą potężnych nóg. Bitwa była skończona.

Gdy Numa powstał z drugiej ofiary i otrząsnął się, Tarzan nie mógł powstrzymać się od ponownego podziwu dla cudownej proporcjonalności i symetryczności zwierzęcia. Zabite lwy były wspaniałymi okazami swego gatunku, skóra ich także posiadała odcień koloru czarnego, tak charakterystyczny dla Numy z pułapki. Grzywy ich były cokolwiek ciemniejsze od zwykłych, czarnogrzywych lwów, ale na reszcie skóry przeważał kolor płowy. Niemniej człowiek-małpa doszedł do przekonania, że należały do gatunku odrębnego od znanych mu dotychczas, jak gdyby pochodziły ze skrzyżowania jego znajomych lwów leśnych i rodzaju, jakiego typowym przedstawicielem musiał być Numa z lwiego dołu.

Po usunięciu bezpośredniej przeszkody, Tarzan zabrał się do poszukiwania tropu dziewczyny i Smith-Oldwicka, poczuł jednak nagle dokuczliwy głód. Gdy tymczasem krążył po piaszczystym dnie,

wśród splątanych niezliczonych śladów odszukując odcisków nóg swych protegowanych, wyrwał mu się mimowolny szloch głodnego zwierzęcia. Natychmiast Numa z pułapki nastroszył uszy, przez chwilę wpatrywał się uporczywie w człowieka-małpę, odpowiedział na zew głodu i zwawo puścił się w kierunku południowym, oglądając się, czy Tarzan idzie za nim.

Człowiek-małpa zrozumiał, że zwierzę prowadzi go do jądła, poszedł więc za nim, szukając po drodze wzrokiem i nozdrzami jakiejś wskazówki co do młodych ludzi. Spośród mnóstwa lwich śladów wyróżnił odcisk licznych stóp, obutych w sandały i zapach dziwnego gatunku ludzi takich, jacy ubiegłej nocy byli z lwami w wąwozie. Wreszcie odnalazł przytłumiony zapach dziewczyny, a trochę dalej - Smith-Oldwicka. Dalej odciski stawały się nie mniej poplątane. Teraz dobrze się odznaczały ślady dziewczyny i porucznika.

Szli obok siebie, po ich prawej i lewej stronie byli ludzie i lwy przed nimi i poza nimi byli ludzie i lwy. Człowiek-małpa był oszołomiony przypuszczeniem, jakie wynikało z tych śladów, nie mógł jednak w świetle swego dotychczasowego doświadczenia! wyjaśnić sobie w sposób zadawalający tego, co wskazywały jego: spostrzeżenia.

Nie zauważył znacznych zmian w ukształtowaniu wąwozu, ten wił się wciąż pomiędzy stromymi skałami. Czasami rozszerzał się, to znów stawał się nadzwyczaj ciasny, coraz zaś głębszy, w miarę, jak posuwali się na południe. Teraz dno zaczynało się] coraz gwałtowniej pochylać. Tu i ówdzie były ślady dawnych strumieni i wodospadów. Szlak stawał się coraz trudniejszy, ale; dobrze zaznaczony. Musiał być bardzo starożytny, miejscami znać było pracę rąk ludzkich. Szli już może pół lub trzy czwarte mili, gdy na zakręcie wąwozu zobaczył otwierającą się przed nimi wąską dolinę, głęboko wykutą w skale, od strony południowej zamkniętą łańcuchem wysokich gór. Nie mógł dojrzeć, jak daleko rozciągała się na wschód i zachód, lecz przypuszczał, że od południowego do północnego krańca nie miała więcej nad trzy do czterech mil.

Że dolina ta była dobrze nawodniona, wskazywała bogata roślinność, wyściełająca ją od skalistych urwisk na północy aż do gór na południu.

Od krawędzi skały, z której Tarzan spoglądał na dolinę, wykuta była ścieżka, która wiodła w dół aż do podstawy. Poprzedzany przez lwa, zszedł w dolinę, która w tym miejscu zalesiona była wielkimi drzewami. Ścieżka przed nim wiła się dalej ku środkowi doliny. Wspaniałe, ubarwione ptaki skrzeczały chrapliwym głosem wśród gałęzi, niezliczone małpki skakały, łajac i wykrzykując.

Las tętnił życiem, a jednak w duszy człowieka-małpy zrodziło się poczucie niewymownego osamotnienia, uczucie, jakiego nigdy nie doznawał w ukochanych dżunglach. We wszystkim dokoła, było coś nierzeczywistego - w samej już dolinie ukrytej i zapomnianej wśród jałowej pustyni. Ptaki i małpki, aczkolwiek podobne w typie do znanych dawniej Tarzanowi, nie były takie i same, jak tamte, roślinność również nie była pozbawiona odrębnych cech. Było tak, jak gdyby nagle przeniósł się do jakiegoś innego świata, czuł dziwny niepokój, który z łatwością można był nazwać przecuciem niebezpieczeństwa.

Wśród drzew rosły owoce, widział, że niektóre z nich małpki zjadały. Będąc głodny, skoczył na dolne gałęzie i wśród skrzeczenia małpek nazrywał takich, jakie widział, że Manu jadły. Gdy częściowo zaspokoił głód - nasycić mogło go tylko mięso - rozejrzał się za Numą z pułapki i przekonał się, że lew się oddalił.

ROZDZIAŁ XXVII

MIASTO OTOCZONE MUREM

Zeskoczywszy na ziemię, podjął na nowo trop dziewczyny i jej napastników wzdłuż dobrze ubitej ścieżki. Niebawem doszedł do strumyka, w którym ugasił pragnienie, i zauważył, że ścieżka z biegiem strumienia wiodła w kierunku południowo-zachodnim. Od czasu do czasu napotykał inne, krzyżujące się drożyny, zbiegające się do głównej ścieżki, na wszystkich zaś były tropy wielkich kotów: Numy-lwa i Szity-pantery.

Z wyjątkiem nielicznych drobnych gryzoni, nie widać było w dolinie żadnego dzikiego stworzenia. Nic nie zdradzało obecności Bary-jelenia lub Horty-dzika, ani Gorgo-bawołu, Buto-Tantora, Duro, Histah-wąż był tu. Widział go wśród drzew w większej niż gdziekolwiek liczbie na świecie. Raz, obok trzciną zarosłego stawu, wyczuł woń, która nie mogła należeć do nikogo innego, jeno do Simala-krokodyla, żadnego z nich jednak nie pragnął Tarmangani na pokarm.

Ponieważ łaknął mięsa, zwrócił uwagę na ptaki. Napastnicy ubiegłej nocy nie rozbroili go. Czy w mrokach i natłoku lwów przeoczył go wróg w ludzkiej postaci, czy uważał go za umarłego - dość, że Tarzan zachował nadal swą włócznię i nóż, swój łuk i strzały, swój powróż.

Nałożywszy strzałę na łuk, czekał na sposobność strącenia jednego z większych ptaków i gdy sposobność się nadarzyła, wypuścił strzałę. Zaledwie wesoło upierzone stworzenie spadło na ziemię, jego towarzysze i małe małpki podniosły przeraźliwy chór narzekań i krzykliwych protestów. Cały las napełnił się krzykami i wrzaskami.

Tarzan nie byłby się zdziwił, gdyby kilka najbliższych ptaków wydało w ucieczce okrzyk przestachu, ale nie podobało mu się poruszenie, jakiemu poddała się cała dżungla. Podniósł rozgniewaną twarz ku małpom i ptakom. Poczul nagły przyływ dzikiej chęci okazania im swego niezadowolenia i dania odpowiedzi na to, co uważał za wyzwanie z ich strony - i po raz pierwszy w tej dżungli rozległ się straszny okrzyk zwycięstwa i wyzwania.

Wrażenie było piorunujące. Gdy przed chwilą powietrze drżało od wrzawy, zapanowała martwa cisza. Po chwili pozostał Tarzan sam ze swą drobną zdobyczą.

Milczenie, jakie tak bezpośrednio nastąpiło po uprzednim hałasie, nieprzyjemnie podziałało na człowieka-małpę i podniosło jego gniew. Podniósłszy z ziemi zabitego ptaka, wyciągnął zeń strzałę którą wrzucił z powrotem do kołczanu. Nożem szybko i zręcznie obdarł skórę wraz z upierzeniem i jadł, gniewnie pomrukując, jaj gdyby groził mu jakiś niedaleko ukryty wróg; pomruki zapewne po części pochodziły stąd, że nie lubił ptasiego mięsa. Lepsze to co prawda, niż nic, zmysły zaś pouczyły go, że w pobliżu nie było żadnego mięsa, do którego przywykł i chętnie jadał. Jakże rozkoszowałby się soczystym biodrem Pecco-zebry lub zrazem z polędwicy Gorgo-bawołu! Na samo wspomnienie połykał ślinkę i rósł; w nim niechęć do tego nienaturalnego lasu, który nie dawał przytułku takiej

znakomitej zwierzynie.

Nie dokończył jeszcze jedzenia, gdy nagle zauważył ruch w pobliskich zaroślach, a w chwilę później nozdrza przyniosły mi wieść o Numie, z drugiej strony się zbliżającym, po czym ze wszystkich stron zaczął chwytać stąpanie cichych łap i ocieranie się ciała o liście krzewów. Człowiek-małpa uśmiechnął się. Za jakież głupie stworzenie uważano go sądząc, że da się złapać tak niezdarnym tropicielom? Stopniowo słuch i węch pouczał go, że lwy otaczają go ze wszystkich stron, zaciskając pierścien wokół niego. Widocznie tak były pewne zdobyczy, że nie zadawały sobie trudu skradania się, słyszał bowiem gałęzie, trzeszczące pod ich nogami i szelest krzaków, przez które się przedzierały.

Ciekaw był, co je sprowadzało. Dziwaczne byłoby przypuszczenie, że wezwały je krzyki ptaków i małp, a jednak uderzający! był zbieg okoliczności. Rozsądek mówił mu, że śmierć jednego ptaka w lesie, rojącym się od nich, była zbyt drobnym zdarzeniem, aby mogła wywołać podobne następstwa. A jednak, mimo rozumowania i doświadczenia, cała ta historia wydawała mu się niepojętą.

Zatrzymał się na środku ścieżki i oczekiwał na lwy, ciekaw, jaka będzie metoda ich ataku i czy w ogóle będą atakowały. Najpierw ukazał się na szlaku poniżej lew, ozdobiony wielką grzywą, i zatrzymał się. Zwierzę było podobne do tych, które napadły na niego rano, trochę większe i trochę ciemniejsze od lwów jego rodzinnej dżungli, ale ani tak wielkie, ani tak czarne jak Numa z pułapki.

Wkrótce dostrzegł zarysy innych lwów w otaczających zaroślach i wśród drzew. Wszystkie zatrzymały się na widok człowieka i stały, patrząc na niego w milczeniu. Tarzan ciekaw był, jak długo czekać będą z natarciem, a tymczasem zabrał się do przerwanego jedzenia, mając się jednak wciąż na baczności.

Jeden po drugim pokładły się lwy z oczami wciąż w niego utkwionymi. Nie było pomruków ni warczenia - ot, spokojne zatoczenie milczącego koła. Było to wszystko tak obce Tarzanowi, tak niepodobne do tego, do czego przywykł, że stracił cierpliwość i skończywszy jedzenie, zaczął miotać obelgi wedle zwyczaju, jakiego się nauczył od wielkich małp.

- Dango, pożeracze padliny! - nazwał lwy, porównał je też wcale niepochlebnie z Histah-wężem, najbardziej odrażającym stworzeniem w puszczy, wreszcie podniósł garść ziemi z kawałkami połamanych gałęzi i cisnął w nie.

Lwy zamruczały, obnażyły kły, ale nie poruszały się.

- Tchórze! - drażnił je Tarzan. - Numa o sercu Bary-jelenia.

Opowiedział im, kim był, z wielkimi przechwałkami, wedle zwyczajów dżungli, straszył okropnościami, jakie z nimi porobi. Lwy leżały i patrzyły na niego.

Minęło pół godziny - wtem z oddala doleciał odgłos kroków. Kroki należały do stworzenia na dwu nogach chodzącego, zbliżał się więc człowiek. Niedługo czekał Tarzan na potwierdzenie swego wniosku - za pierwszym lwem, którego był Tarzan zauważył, stanęła istota ludzka.

Na widok nowo przybyłego człowiek-małpa domyślił się, że musi należeć do tego samego gatunku stworzeń, których nieznany zapach poczuł ubiegłej nocy i przekonał się, że nie tylko wonią różnił się od znanych mu dotychczas ludzi.

Był to mocno zbudowany mężczyzna, o cerze skórzanej niby stary, pożółkły pergamin. Włosy, czarne jak węgiel, trzy do czterech cali długie, sterczały sztywno pod kątem prostym do czaszki. Oczy miał blisko osadzone o bardzo czarnych i bardzo małych tęczówkach, podkreślających białą gałkę ocznej. Twarz była pozbawiona włosów, z wyjątkiem kilku oddzielnie sterczących na podbródku i górnej wardze. Nos miał orli i cienki, ale czoło, nisko zarośnięte włosami, nadawało twarzy wyraz

brutalności i nikczemności. Górna warga była krótka i wąska, dolna zaś mięsista i obwisła, podbródek słaby. Całość robiła wrażenie oblicza niegdyś pięknego i mocnego, zeszpeconego bądź przez gwałt fizyczny, bądź przez upadające obyczaje i myśli. Ręce były długie, ale nie anormalnie, nogi zaś krótkie, chociaż proste.

Ubrany był w ściśle przylegające spodnie i luźną, poniżej bioder sięgającą tunikę. Miękkie sandały przytwierdzone były do nóg rzemieniami, skrzyżowanymi do pół łydki. Miał krótką, ciężką włócznię, przy boku zwieszał się oręż, który tak zdziwił Tarzana, że w pierwszej chwili nie wierzył swoim oczom - ciężka szabla w skórą pokrytej pochwie. Tunika wyglądała, jak gdyby była tkana - z pewnością nie była skórzana, gdy tymczasem przybranie nóg niewątpliwie było zrobione ze skóry gryzoni.

Zastanowiła Tarzana najzupełniejsza obojętność z jaką człowiek zbliżył się do lwów i z jaką te przyjęły jego nadejście. Post chwilę, jak gdyby oszacowując Tarzana, po czym zaczął mijać lwy, ocierając się w przejściu o płowe skóry.

Na jakie dwadzieścia stóp od człowieka-małpy zatrzymał się i przemówił dziwną gwarą, z której Tarmangani ani słowa ni zrozumiał. Gestami wskazywał na otaczające ich lwy, raz dotknął wskazującym palcem lewej ręki swą ciężką włócznię, dwa razy potrząsnął szablą.

Gdy mówił, Tarzan tymczasem przypatrywał mu się uważnie i doszedł do dziwnego przekonania - że ten człowiek był tym, o dałoby się określić jedynie jako logiczny wariat. Nie mógł powstrzymać uśmiechu wobec paradoksalności podobnego określenia. A jednak rysy człowieka i kształt głowy niezbitnie dowodziły, że był kretynem, głos zaś i gesty przypominały istotę normalną i inteligentną.

Skończywszy przemowę, zdawał się wyczekiwać odpowiedzi.: Człowiek-małpa przemówił najpierw w języku wielkich małp, szybko jednak przekonał się, że słuchacz słów jego nie rozumie. Próbował wszystkich znanych mu narzeczy krajowych, lecz na żadne z nich człowiek nie dawał odpowiedzi.

Tarzan zaczął tracić cierpliwość. Dostyc już czasu zmarnował, a ponieważ nie zwykł polegać na mowie, gdy zmierzał do jakiegoś celu, podniósł włócznię i postąpił ku przybyszowi. Ten język był widocznie zrozumiały dla nich obu, gdyż tamten również wzniósł do góry swój oręż i jednocześnie z ust jego wyszło ciche wezwanie, które bezzwłocznie powołało do czynu wszystkie lwy z milczącego dotychczas kręgu.

Grzmot ryków napełnił ciszę leśną. Lwy zerwały się i ze wszystkich stron zamknęły się wokoło zwierzyny. Człowiek, który je wezwał, cofnął się wstecz, szczerząc zęby w uśmiechu, pozbawionym wesołości.

Wówczas dopiero spostrzegł Tarzan, że jego górne kły były niezwykle długie i spiczaste. Błyskawicznie skoczył, i ku zdumieniu lwów i ich pana, znikł wśród liści drzewa, rzucając przez ramię:

- Jam jest Małpi Tarzan, potężny łowca, potężny zapaśnik. Nie ma w dżungli dzielniejszego ani mądrzejszego nad Tarzana!

Niedaleko od miejsca, w którym był przed chwilą otoczony przez lwy, porzucił drogę powietrzną i wrócił na ścieżkę, szukając nadal śladów Berty Kirchner i porucznika. Szybko je znalazł i poszedł dalej. Ślad wiódł go ścieżką jeszcze przez pół mili, gdy nagle droga wyłoniła się z lasu na otwarte pole i zdumionym oczom człowieka-małpy ukazały się kopyty i wieże miasta, otoczonego murem.

Wprost przed sobą zobaczył w murze sklepioną bramę, do której wiodła dobrze ubita droga. Na otwartej przestrzeni między lasem a murami miasta leżało mnóstwo ogrodów warzywnych. Przed

nimi, u stóp jego, w kanale, ludzką ręką wykopany, płynął strumień wody! Warzywa w ogrodach posadzone były symetrycznymi, dobrze odmierzonymi rzędami i zdradzały doskonałą opiekę i umiejętną uprawę. Z głównego kanału rozchodziły się wąskie rowy, rozprowadzające wodę po ogrodach. Niedaleko na prawo ludzie pracowali wśród roślin.

Mur miał około trzydziestu stóp wysokości, był gładki, przerywany tylko od czasu do czasu strzelnicami. Poza murami wznosiły się kopuły wielu budowli i liczne wieże strzelały w niebo. Największa, środkowa kopuła wydawała się pozłacaną, inne były czerwone, niebieskie i żółte. Architektura muru była pełna prostoty. Barwy był ciemnokremowej, zapewne pokryty wapnem i pomalowany. U podstawy jego ciągnęła się linia dobrze utrzymanych zarośli, trochę dalej ku wschodowi obrastał do samego szczytu winem.

Gdy tak stał, biorąc w siebie najdrobniejsze szczegóły nowego widoku, poczuł zbliżenie się czegoś poza sobą i węchem rozpoznał człowieka i lwy, którym niedawno tak łatwo umknął. Wdrapawszy się na drzewo, ruszył powietrzną drogą na zachód i znalazłszy wygodne rozwidlenie na skraju lasu, czekał nadejścia napastników. Wkrótce zjawili się - szczególnie człowiek z gromadą lwów. Jak psy wiódł je za sobą drogą między ogrodami do bramy miasta.

Tu końcem włóczni uderzył w wierzeje bramy i gdy na ten sygnał wrota się rozwarły, wszedł, a za nim lwy. Z wysokiego swego stanowiska Tarzan przelotnie dojrzał przez otwarte wierzeje wnętrze miasta i przekonał się, że zamieszkiwały je istoty ludzkie, Po czym wrota zawarły się.

Wiedział, że poprzez te drzwi wprowadzono do miasta poszukiwanych przez niego młodych ludzi. Co ich tam czekało albo co ich już spotkało - nie mógł odgadnąć, ani też nie wiedział, w którym miejscu poza tym niedostępnym murem byli uwięzieni. Wiedział tylko, że jeśli chce im pomóc, musi dostać się poza mury. Przede wszystkim musi znaleźć się w mieście, a potem już, wątpił, potrafi ich odszukać.

Zachodzące słońce kładło długie cienie na ogrody. Robotnicy powracali z pola. Najpierw przyszedł jeden, spuścił stawidło r dużym kanale bieżącej wody, zamykając rowy, zraszając ogrody. Za nim nadeszli inni, dźwigając na plecach kosze pełne świeżych jarzyn. Tarzan nie zauważył dotychczas, jak wielka liczba ludzi pracowała na polach, dopiero teraz, o zachodzie słońca, zobaczył długi, od wschodu płynący pochód robotników, niosących do miasta narzędzia i produkty.

Chcąc lepiej widzieć, wdrapał się na szczyt wysokiego drzewa, z którego mógł zajrzeć poprzez mur. Stąd dojrzał, że miasto było długie i wąskie i że gdy mury zewnętrzne stanowiły doskonały prostokąt, ulice były kręte. W środku miasta znajdował się niski, biały budynek, otoczony najwyższymi gmachami, w szybko zapadającym zmierzchu, wydało się Tarzanowi, że między dwoma budynkami dojrzał połysk wody. Nie był jednak tego pewien.

Sądząc według znanych mu ośrodków kulturalnych, przypuszczał, że przestrzeń ta na środku będzie zapewne placem, wokół którego grupowało się większe budowle, i że będzie to najwłaściwsze miejsce na poszukiwanie Berty Kirchner i jej towarzysza.

Słońce zaszło i miasto pograżyło się w mroku. Ciemności tych nie rozjaśniły sztuczne światła, które bezzwłocznie ukazały się w najbliższych Tarzanowi oknach. Przeciwnie mrok wydawał się od nich jeszcze gęstszy.

Tarzan zauważył, że dachy domów przeważnie były płaskie, z wyjątkiem tych, które, jak przypuszczał, należały do gmachów publicznych. Pojąć nie mógł, skąd wzięło się to miasto w odległej części nieznannej Afryki. Znał on lepiej niż kto inny nieodgadnione tajniki wielkiego Czarnego Łądu, Którego olbrzymich przestrzeni nie tknęła jeszcze stopa cywilizowanych ludzi.

Trudno jednak było mu uwierzyć, żeby całe pokolenia mogło istnieć miasto tej wielkości i tak dobrze zabudowane, bez żadnych stosunków ze światem zewnętrznym. Było wprawdzie otoczone bezdrożną pustynią, o czym dobrze wiedział, nie mieściło mu się jednak w głowie, by z pokolenia na pokolenie ludzie rodzili się i umierali, nie spróbowawszy rozwiązać zagadnień świata, leżącego poza granicami ich małej dolinki.

A jednak, oto miasto, otoczone uprawnymi polami i pełne ludzi!

Z nadejściem nocy dżungla zaczęła rozbrzmiewać głosami wielkich kotów, zarówno Numy, jak Szity; grzmiące ryki potężnych samców rozlegały się po lesie. Z głębi miasta odpowiadały im porykiwania lwów.

Tarzan obmyślił prosty plan dostania się do miasta i teraz, nastaniem mroków, postanowił go wykonać. Powodzenie zależało od wytrzymałości latorośli winnej, porastającej mur od strony wschodniej. W tym też kierunku ruszył, a za nim coraz groźniej i potężniej wznosił się grzmot ryków pożeraczy ludzi. Pomiedzy lasem a miastem ciągnęła się ćwierćmilowa przestrzeń uprawnych pól, ani jednym drzewem nie urozmaiconych. Tarzan zdawał sobie sprawę, że jeśli na otwartym polu dosięgnie go któryś z czarnych lwów, zamieszkujących dolinę, niechybnie nie uniknie zagłady. Musi więc polegać jedynie na swej przebiegłości i zwinności, i na nadziei, że latorośl winna wytrzyma jego ciężar.

Popędził poprzez niższe gałęzie drzew i gdy znalazł się na wprost winem obrośniętej części muru, zatrzymał się nasłuchując i węsząc, czy nie ma gdzie w najbliższym sąsiedztwie Numy. Upewniwszy się, że nie było żadnego lwa w pobliżu ani w lesie, ani na polanie między nim a murem, lekko zeskoczył na ziemię i pobiegł przez otwartą przestrzeń.

Wschodzący księżyc rzucił jasne promienie na długą linię ogrodów poniżej muru i w całej okazałości oświetlił postać olbrzymiego człowieka-małpy, śpieszącego poprzez polanę, właśnie gdy był na pół drogi między lasem a murem. Nagle groźny dźwięk doszedł do uszu Tarzana. Nie był to ryk lwa głodnego, jeno lwa rozgniewanego. Gdy rzucił okiem poza siebie, dojrzał olbrzymie zwierzę, wyłaniające się z cieni lasu.

Nawet na taką odległość i w świetle księżycy poznał Tarzan, że lew był ogromny, że był to czarnogrzywy potwór, podobny do Numy z pułapki. Miał chwilę pokusy zawrócenia się i podjęcia walki, zaraz jednak przebiegła mu myśl o bezbronnej dziewczynie, uwięzionej w mieście, i bez wahania popędził ku ścianie. Wówczas Numa natarł.

Numa-lew może biec bardzo szybko na krótką odległość, gdyż brak mu wytrwałości. W pierwszej chwili zwykłego natarcia potrafi przebyć większą przestrzeń, niż jakiegokolwiek inne stworzenie w świecie. Tarzan, przeciwnie, mógł wielkie odległości przebywać szybkim biegiem, nigdy jednak nie zdołał przebyć jednorazowo tak wielkiej przestrzeni jak napadający Numa.

Los jego zależał od tego, czy potrafi na kilka sekund ubiec Numę, jeśli zaś to mu się uda, czy lwu pozostanie mniejsza zdolność gonienia go przez resztę odległości, dzielącej go od muru.

Nigdy jeszcze nie rozgrywały się bardziej podniecające wyścigi, jedynym jednak ich widzem był księżyc i gwiazdy. Samotnie i w milczeniu sunęły w świetle księżycy dwie postacie poprzez polanę. Numa, ze zdumiewającą szybkością, dopędzał uciekającego człowieka, każdy skok jednakże przybliżał Tarzana do winem porośniętej ściany. Obejrzał się - Numa był tak blisko, że niechybnie za najbliższym susem pochwyci go. Był tak blisko, że człowiek-małpa wyciągnął w biegu nóż, chcąc przynajmniej drogo sprzedać swe życie.

Ale Numa dosięgnął już granic szybkości i wytrzymałości. Stopniowo zaczął pozostawać w tyle,

nie dał jednak za wygraną. Teraz wszystko zależało od mocy winorośli.

Jeśli na początku wyścigu jedynymi świadkami byli tylko Goro i gwiazdy, przy końcu ich znalazł się jeszcze inny: przez strzelnicę, w pobliżu szczytu muru, dwoje czarnych, blisko osadzonych oczu, śledziło zapaśników. Tarzan, dopadłszy ściany, wyprzedził był Numę o jakie dwanaście metrów. Nie było czasu na zatrzymanie się i wyszukanie mocnych pędów i pewnych podpór. Los jego zależał od przypadku. Wykonał ostatni rzut i czepiając się jak kot winorośli, drapał się po ścianie.

Poniżej Numa podskakiwał, usiłując pójść w jego ślady.

ROZDZIAŁ XVIII

WŚRÓD OBLĄKANYCH

Gdy lwy zaroily się wokoło jej opiekunów, Berta Kirchner cofnęła się w głąb pieczary, pod wpływem chwilowego przestachu wywołanego zapewne długimi dniami trapiącej ją nerwów trwogi.

Z rykami lwów mieszały się głosy ludzkie. Poczula też po chwili zbliżanie się jakiegoś człowieka i rąk po nią sięgających, Było tak ciemno, że nie mogła dojrzeć ani oficera angielskiego, ani Tarzana. Człowiek, który ją pochwycił, nie dopuszczał do niej lwów za pomocą mocnej włóczni, której rękojeścią odpędzał zwierzęta. Wyniósł ją z pieczary, wydając okrzyki, jak gdyby rozkazy i ostrzeżenia do lwów zwracane.

Na jasnym piasku wąwozu łatwiej niż w pieczarze można było rozróżnić otaczające przedmioty, Berta dojrzała więc jeszcze innych ludzi i spostrzegła, że dwu z nich na pół prowadziło, na pół dźwigało trzeciego, w którym domyśliła się porucznika Smith-Oldwicka.

Jakiś czas lwy usiłowały dostać się do dwu jeńców, ludziom jednak udało się je odpędzić. Osobniki te zdawały się wcale nie lękać wielkich zwierząt, skaczących i pomrukujących wokoło nich postępując z nimi, jak my byśmy postępowali z gromadą natrętnych psów. Ruszyli starym łożyskiem rzeki, która niegdyś płynęła przez wąwóz. Gdy pierwsze brzaski na wschodzie zapowiedziały wschód słońca, zatrzymali się na skraju pochyłości, która w szczególnym świetle uchodzącej nocy, wydała się dziewczynie bezdenną studnią. Gdy wszakże napastnicy ruszyli dalej, zobaczyła w świetle wstającego dnia, że kierowali się do gęstego lasu.

W lesie otoczyły ich znowu cienie nocy, które rozjaśniły się dopiero, gdy słońce wzniosło się ponad wschodnie urwiska. Wówczas zobaczyła, że posuwają się przez wielki las szerokim, dobrze udeptanym szlakiem. Nawet jak na las afrykański, ziemia była niezwykle sucha. Podszycie, jakkolwiek obficie pokryte liśćmi, nie było tak gęste i nieprzebyte, jak widywała w innych podobnych puszczech. Robiło to wrażenie, jak gdyby drzewa i krzewy rosły w bezwodnej krainie. Nie było też zapachu gnijącej roślinności, miliardów owadów, lęgnących się w miejscowościach wilgotnych.

W miarę jak słońce wznosiło się, budziło się życie wśród gałęzi drzew, napełniając las zgrzytliwymi głosami i donośną paplaniną. Niezliczone małpki skrzeczały i wrzeszczały nad ich głowami, krzykliwe, barwnie opierzone ptaki przelatowały z drzewa na drzewo. Berta zauważyła, że prześladowcy jej często rzucali ptakom porozumiewawcze spojrzenia i nieraz przemawiali do skrzydlatych mieszkańców lasu.

Silne wrażenie zrobiło na niej pewne zajście. Człowiek, idący bezpośrednio przed nią, był osobnikiem o potężnej budowie, a jednak, gdy wspaniale ubarwiona papuga rzuciła się na niego,

padł na kolana i zasłoniwszy twarz rękami, pochylił się tak nisko, że głową dotknął ziemi. Kilku z otoczenia spojrzało na niego i zaśmiało się nerwowo. Uderzony wznosił oczy do góry i ujrawszy, że ptak odleciał, powstał i poszedł spokojnie dalej.

Podczas tego krótkiego postoju, ludzie podtrzymujący Smith-Oldwicka zbliżyli się do Berty. Porucznik był dosyć ciężko raniony przez jednego lwa, mógł jednak iść o własnej sile, aczkolwiek był bardzo osłabiony wskutek rany i upływu krwi.

- Ładna historia, prawda? - zauważył z kwaśnym uśmiechem, wskazując na swe poszarpane i okrwawione odzienie.

- Straszne! - odrzekła. - Mam nadzieję, że pan nie cierpi nadmiernie?

- Nie tak, jakbym się spodziewał, ale czuję się osłabiony, jak stary osioł. Co to za stworzenia, te draby?

- Nie wiem - odparła - jest w nich coś niesamowitego.

Oficer przez chwilę uważnie przyglądał się jednemu z napastników, po czym zwrócił się do dziewczyny:

- Zwiedzała pani kiedy dom wariatów?

Spojrzała na niego i z wyrazem przerażenia w oczach zawołała;

- Istotnie!

- Mają wszystkie ich cechy: białko oczne uwydatniające się naokół tęczówki, włosy sztywno sterczące od głowy i zarastając nisko czoło. Nawet ich niezwykle między sobą podobieństwo i chód zdradzają zwyrodnienie.

Dziewczyną wstrząsnął dreszcz.

- Jeszcze jedno, co dowodzi ich nienormalności - ciągnął Anglik - to to, że boją się papug, a nieustraszeni są wobec lwów.

- To prawda, czy zauważył pan, że ptaki wcale się ich nie obawiają, po prostu zdają się mieć ich w pogardzie. Czy ma pan pojęcie, jakim oni mówią językiem?

- Nie próbowałem domyśleć się, ale niepodobny jest do tych niewielu narzeczy krajowych, o których mam trochę wyobrażenia.

- To nie brzmi jak języki krajowe - rzekła dziewczyna - ale jest w tym coś znajomego. Wie pan, co chwila zdaje mi się, że już za chwilę zrozumieję, co mówią, albo że gdzieś, kiedyś słyszałam ten język, ale wciąż wymyka mi się możliwość pochwycenia słów.

- Wątpię, żeby pani kiedykolwiek słyszała tę mowę - odparł oficer. - To plemię od wieków niechybnie zamieszkuje tę na krańcach świata leżącą dolinę i jeśli nawet przechowali bez zmiany język swych protoplastów, w co wątpię, musi to być język nie używany już przez żyjące narody.

W miejscu, gdzie drogę przecinał strumień, zatrzymano się, by dać możliwość orzeźwienia się ludziom i lwom; więźniów także przeprowadzono do wody. Gdy Berta Kirchner i Smith-Oldwick, położywszy się na ziemi, pili wprost ze strumienia czystą, zimną wodę, rozległ się nad nimi grzmiący ryk lwa. Natychmiast odpowiedziały mu lwy, towarzyszące wyprawie, niespokojnie poruszając się, z oczami to wlepionymi w miejsce, skąd wyszedł ryk, to zwróconymi na panów, do których się przyczółgały.

Ludzie wyciągnęli szable z pochew - oręż, który takie same zaciekawienie obudził w Smith-Oldwicku, jak poprzednio w Tarzanie - i mocniej ujęli w dłonie włócznie.

Widocznie lwy nie były równe lwom.

Tymczasem gdy ludzie nie okazywali żadnej obawy wobec towarzyszących im zwierząt, znać

było, że głos nowo przybyłego zupełnie inne zrobił na nich wrażenie, choć co prawda, ludzie wydawali się mniej nastraszeni niż lwy. Nikt jednakże nie zdradzał zamiaru ucieczki, przeciwnie, cała wyprawa posunęła się szlakiem w kierunku groźnego ryku. Wkrótce ukazał się na ścieżce lew kolosalnych rozmiarów. Smith-Oldwickowi i Bercie Kirchner wydało się, że to ten sam, z którym spotkali się przy aeroplanie i od którego Tarzan ich oswobodził. Nie był to jednak Numa z pułapki aczkolwiek bardzo do niego podobny.

Czarny zwierz stał na samym środku szlaku, smagając się po bokach ogonem i groźnie pomrukując. Ludzie szczuli swoje lwy, które warczały i wyły, ale wahały się z natarciem. Widocznie zniecierpliwiony i pewien swej siły nieproszony gość zadarł sztywno ogon i skoczył naprzód. Dużo lwów zdobyło się na niechętną próbę zagrodzenia mu drogi, ale miało to tyle znaczenia, jak gdyby chciały przeciwstawić się pędzącemu pociągowi; odrzucając je na bok, wielki zwierz rzucił się wprost na jednego z ludzi. Tuzin włóczni uderzyło w niego, tuzin szabel zabłyśło w powietrzu; błyszczące jak brzytwy, ostre ich klingi okazały się bezużyteczne wobec przerażającej szybkości natarcia.

Dwie włócznie, utkwivszy w ciele napastnika, jeszcze go bardziej rozjątrzyły, gdy z piekielnym rykiem dopadł upatrzonego nieszczęśnika. Schwycił go za ramię, szybkim zwrotem na prawo skoczył w zarośla, okrążając szlak, i znikł wraz ze swą ofiarą.

Całe zajście trwało tak krótko, że nic się prawie nie zmieniło w formacji małego oddziału. Nie było czasu na ucieczkę, gdyby nawet była zamierzona, a teraz, gdy lew oddalił się ze swą zdobyczą, nikt nie ruszył w pogoń za nim. Zatrzymano się tylko, by przywołać rozproszone lwy i oddział ruszył w dalszą drogę.

- Sądząc z wrażenia, jakie to na nich zrobiło, musi to być pospolity wypadek - zauważył Smith-Oldwick.

- To prawda - odparła dziewczyna. - Nie wyglądają ani na zdziwionych, ani wstrząśniętych. Widocznie są pewni, że lew, wzięwszy to, po co przyszedł, nie będzie więcej napastował.

- Myślałem, że lwy z krainy Numabo były najstraszniejszymi z istniejących, ale to były tylko cętkowane koty, w porównaniu z tymi czarnymi diabłami. Czy widziała pani kiedy w życiu coś bardziej nieustraszonego lub bardziej nieodpartego od tego natarcia?

Przez pewien czas myśli ich i rozmowy krążyły dokoła ostatnich przeżyć, gdy nagle szlak, wyłaniający się z lasu, ukazał im otoczone murem miasto i uprawne pola. Żadne z nich nie zdołało powstrzymać okrzyku zdumienia.

- Ależ to prawdziwie inżynierska robota - zawołał Smith-Oldwick.

- Proszę spojrzeć na kopuły i wieże miasta - wołała dziewczyna. - Poza tym murem muszą być cywilizowani ludzie. Może będziemy radzi, żeśmy wpadli w ich ręce.

Smith-Oldwick wzruszył ramionami.

- Mam nadzieję, chociaż nie jestem pewien niczego z ludzi którzy podróżują w towarzystwie lwów, a boją się papug. C tam musi być z nimi niezupełnie w porządku.

Oddział przez drogę, wiodącą wśród pól, doszedł do sklepionej bramy, która otwarła się na wezwanie jednego z ludzi, gdy uderzył włócznią w ciężkie, drewniane wierzeje. Poza bramą ukazała się wąska ulica, niejako dalszy ciąg leśnego szlaku. Z obu stron i na wprost stały budynki. Domy były właściwie dwupiętrowe o górnych piętrach na poziomie ulicy, gdy tymczasem piętra dolne były o jakie dziesięć stóp poniżej. Szereg prostych kolumn i łuków podtrzymywał front drugiego piętra, tworząc arkady po obu stronach ulicy. Środek był niewybrukowany, ale podłoga arkad była z kamieni

różnych kształtów i wielkości, starannie jednak zestawionych i spojonych wapnem. Chodniki te zdradzały wielką starożytność; środek ich był wyraźnie starty, jak gdyby kamień wydeptały tysiące w sandały odzianych stóp w ciągu niezliczonych stuleci.

O tej wczesnej porze mało było widać ludzi, ale spotkani przedstawiali ten sam typ, co nocni napastnicy. Z początku ukazywali się tylko mężczyźni, w miarę jednak zagłębienia się w miasto, napotymano nagie dzieci, bawiące się w pyle ulicy. Wielu przechodniów okazywało najwyższe zaciekawienie i zdziwienie na widok jeńców, często zadawali pytania straży, która żadnej na to nie zwracała uwagi.

- Chciałbym móc zrozumieć ich podły język - zawołał Smith-Oldwick.

- Tak - odparła dziewczyna - rada bym zapytać, co zamierzają z nami zrobić.

- To byłoby interesujące - rzekł Anglik. - Zastanawiał się wciąż nad tym.

- Nie podoba mi się układ ich kłów - zauważyła. - Zbyt mi to przypomina ludożerców.

- Pani przecież nie wierzy w to, żeby byli ludożercami? Pani chyba nie sądzi, że biali ludzie bywają kanibalami?

- Czy to są biali ludzie? - zapytała.

- Nie są Murzynami, to pewne - odparł. - Skóra ich jest żółta, nie jest jednak podobna do chińskiej, ani też żaden rys i twarzy nie jest chiński.

W tej chwili właśnie zobaczyli po raz pierwszy kobietę.

Pod wielu względami podobna była do mężczyzn, tylko wzrost jej był niższy i postać symetryczniejsza. Twarz miała bardziej od mężczyzn odrażającą - może dlatego właśnie, że u kobiety więcej jeszcze raziły: dziwaczność oczu, obwisła wargą, wystające kły i sztywne, czoło pokrywające włosy. Włosy miała dłuższe i znacznie gęstsze niż mężczyźni. Spadały jej na plecy i zakończone były wstążką. Cały jej strój stanowiła cienusieńka szarfa ściśle owinięta dokoła ciała, spod nagich piersi aż do kostek. Kawalki błyszczącego metalu, do złota podobnego, ozdobiły jej głowę i szatę. Poza tym pozbawiona była klejnotów. Nagie ramiona były smukłe i kształtne, ręce i nogi dobrze uformowane i proporcjonalne.

Podeszła blisko do mijającego ją oddziału, szwargocąc coś do strażników, którzy nic jej nie odpowiedzieli.

Jeńcy mogli dobrze się jej przyjrzeć, gdyż podążała czas jakiś wraz z oddziałem.

- Postać hurysy o twarzy kretynki - zauważył Smith-Oldwick.

Ulicę, którą szli, nieregularnie przecinały przecznice, które gdy w nie spojrzeli, ukazywały im się tak samo kręte jak ta, przez którą ich prowadzono. Rysunek domów zmieniał się niewiele. Spotykali trochę ubarwień lub prób architektonicznych ornamentacji. Przez otwarte drzwi i okna widzieli, że ściany były bardzo grube, a otwory małe, jak gdyby ludzie budowali z myślą o zabezpieczeniu się od nadmiernych upałów, co było zrozumiałe w tej dolinie zagrzebanej wśród afrykańskiej pustyni.

Z dala, od czasu do czasu, dostrzegali zarysy większych budowli, a gdy się do nich zbliżali, ujrzeli to, co było widocznie handlową częścią miasta. Było tam dużo małych sklepów i bazarów, rozsianych wśród dużych gmachów. Nad drzewami były napisy malowane w kształtach mocno przypominających greckie pochodzenie, jednak i Anglik, i dziewczyna wiedzieli, że nie było to po grecku.

Smith-Oldwick zaczął tymczasem dotkliwiej odczuwać ból swych ran i osłabienie, z utraty krwi wynikające. Zaczął potykać się, a dziewczyna, widząc jego stan, ofiarowała mu ramię.

- Nie! - odmówił. - Zbyt dużo przeszła pani sama, by jeszcze ciężary na nią nakładać...

Mimo jednak że czynił bohaterskie wysiłki, by dotrzymać kroku strażnikom, zaczął przystawać w tyle. Z tego powodu po raz pierwszy strażnicy zdradzili swe brutalne popędy.

Duży chłop szedł po lewej stronie Smith-Oldwicka. Kilkakrotnie brał Anglika za ramię i popychał go naprzód spokojnie. Gdy jednak jeniec coraz częściej zwalniał kroku, człowiek ten ni stąd ni zowąd, bez żadnej widocznej przyczyny, wpadł w szal. Skoczył na rannego, bijąc go pięściami, i obaliwszy na ziemię, lewą ręką chwycił go za gardło, prawą sięgając po swą ostrą szablę. Z okropnym wrzaskiem machał klingą nad głowa jeńca.

Pozostali stanęli, przypatrując się zajściu bez żadnego zaciekawienia. Jak gdyby jeden zatrzymał się dla poprawienia sandała a reszta czekała, aż będzie gotów do dalszego pochodu.

Ale Berta Kirchner nie była tak obojętną. Blisko osadzone oczy, miotające iskry, warcząca twarz o sterczących kłach, przeraźliwe wrzaski napawały ją strachem, ale brutalna i nikczemna napaść na rannego człowieka obudziła w niej, wrodzone kobietom, współczucie dla słabszego. Pamiętna tylko na to, że na jej oczach mordują chorego i bezbronno człowieka, zapomniała o wszelkiej ostrożności i Smith-Oldwickowi pospieszyła na ratunek, chwyciła ramię, wznoszące broń nad powalonym Anglikiem; Uczepiwszy się napastnika, całym swym ciężarem i całą swą siłą napierała na niego, aż udało się jej przeważać go i przewrócić na ziemię. Szamocząc się upuścił szablę, którą dziewczyna natychmiast pochwyciła. Wyprostowana obok bezwładnego oficera, Berta Kirchner z nastawioną bronią czekała na prześladowców.

Dzielnie wyglądała; nawet zbrukana i podarta odzież i rozczochrane włosy nic nie ujmowały jej postaci. Osobnik, którego powaliła, szybko zerwał się na nogi i natychmiast zmieniło się jego zachowanie. Diabelska wściekłość przeszła w histeryczny śmiech - co prawda dziewczyna nie wiedziała, co było bardziej przerażające.

Towarzysze stali z bezmyślnym uśmiechem na twarzach, gdy tymczasem ten, któremu Berta wyrwała oręż, podskakiwał, zanosząc się od śmiechu. Gdyby dziewczynie potrzebny był jeszcze nowy dowód, że znajdowali się w rękach ludzi chorych umy słowo, dostarczało go jej obecne postępowanie człowieka. Nagła, nieposkromiona wściekłość i bezpośrednio potem równie nieposkromiony śmiech, w którym nie brzmiał ani cień wesołości, podkreślały cechy idiotyzmu, zdradzającego się w budowie twarzy.

Nagle dziewczyna zdała sobie sprawę, jak bezsilna była, gdyby który z otaczających ją ludzi zechciał ją rozbroić. Zdjęta obrzydzeniem, cisnęła oręż pod nogi śmiejącego się szaleńca i uklękła przy Angliku.

- To było cudowne - rzekł - ale nie powinna była pani tego robić. Niech ich pani nie drażni; jestem pewien, że oni wszyscy są obłąkani, a pani wie, mówią, że trzeba zawsze ustępować wariatom.

Potrząsnęła głową.

- Nie mogłam patrzeć, jak on zarzyna rannego.

Oczy młodzieńca zajaśniały blaskiem. Wyciągnął rękę i chwycił palce dziewczyny.

- Więc pani dba o mnie trochę? Niech pani powie, że tak - choć troszeczkę?

Nie wysunęła ręki z jego dłoni, ale smutnie potrząsnęła głową.

- Proszę, niech pan przestanie - rzekła. - Przykro mi, ale mogę pana tylko bardzo lubić.

Blask zagaś w jego oczach. Puścił jej rękę.

- Niech mi pani wybaczy - szepnął - chciałem czekać, póki nie wydestaniemy się z tych opałów i pani znajdzie się bezpieczna wśród swoich. To skutek wstrząśnienia, albo czegoś podobnego, i

dlatego że widziałem, jak pani mnie broniła. Jak bądź, nie mogłem się powstrzymać, a zresztą, wszystko przecież jedno, co teraz mówię, nieprawda?

- Co pan ma na myśli? - szybko zapytała.

Uśmiechnął się żałośnie.

- Nie wyjdę żywy z tego miasta. Nie mówiłbym o tym, ale przecież pani sama rozumie to również dobrze jak ja. Byłem porządnie poszarpany przez lwa, a ten drab dobił mnie. Byłaby jakaś nadzieja, gdybyśmy się znajdowali wśród ludzi cywilizowanych, ale wśród tych okropnych istot jakiej opieki mogę się spodziewać?

Berta Kirchner wiedziała, że mówił prawdę, a jednak nie mogła pogodzić się z myślą, żeby Smith-Oldwick miał umrzeć. Lubiła go bardzo i wielkim jej zmartwieniem było, że go nie kochała. Wiedziała jednak, że go nie kocha.

Wydawało się, że nic łatwiejszego dla młodej panny, jak pokochać porucznika Harolda Smith-Oldwicka - oficer angielski i dżentelmen, latorośl starej rodziny, człowiek bardzo majątny, młody, przystojny, miły. Czego więcej mogła młoda panna pragnąć, jak posiadać miłość takiego młodzieńca, a że posiadała miłość Smith-Oldwicka, Berta Kirchner nie miała żadnych co do tego wątpliwości.

Westchnęła. Kładąc rękę na jego czole, szepnęła: „Niech pan nie traci nadziei. Proszę starać się żyć dla mnie, a ja postaram się pokochać pana”.

Jak gdyby nowe życie wstąpiło w młodego człowieka. Rozjaśniła mu się twarz. Z siłą, jakiej sam w sobie nie podejrzewał, z wolna podniósł się na nogi, chociaż trochę niepewnie. Dziewczyna pomagała mu i podtrzymywała, gdy już wstał.

Przez cały ten czas zapomnieli byli o tym, co się w koło nich działo. Gdy teraz spojrzeli na swych strażników, przekonali się, że ci zapadli w swą zwykłą obojętność. Na dany znak jednego - nich, rozpoczął się dalszy pochód, jakby nic nie było zaszło.

Chwilowe podniecenie Berty, gdy dawała obietnicę Anglikowi, ustąpiło i przyszła nagła reakcja. Wiedziała, że mówiła więcej dla nie go niż dla samej siebie, ale teraz, gdy już się stało, uprzytomniła sobie, że nieprawdopodobne jest, by kiedykolwiek powzięła dla niego takie uczucia, jakich on pragnął. Cóż jednak obiecała? Tyle tylko, że postarała się pokochać go. A teraz? - zapytała się samej siebie.

Wiedziała, że mało było nadziei, by mogli kiedykolwiek powrócić do krajów cywilizowanych. Gdyby nawet ci ludzie okazał się dla nich dobrzy i puścili ich wolno, w jaki sposób dostaliby na wybrzeże? Ze śmiercią Tarzana - pewna była, że widziała go leżącego bez życia, przy wejściu do pieczary, gdy ją stamtąd porwano - nie było żadnej mocy, która by mogła im pomóc.

Oboje nie wspominali prawie o człowieku-małpie, rozumie bowiem dobrze, co znaczyła dla nich ta strata. Porównali spostrzeżenia, dotyczące ostatnich chwil napaści i uwięzienia i leżli, że zgadzały się w zupełności. Smith-Oldwick, w chwili, gdy go zbudziły ryki napastujących zwierząt, widział nawet, jak lew skoczył na Tarzana i, chociaż noc była ciemna, zauważył, że ciało człowieka-małpy nie poruszyło się od chwili gdy runęło pod stopy drapieżnika. I tak, jeśli w innych położeniach w ciągu ostatnich tygodni Berta Kirchner miewała uczucie chwilowej beznadziejności, teraz musiała przyznać, że wszelka nadzieja zgasła.

Ulice zaczynały się zapełniać dziwnymi mężczyznami i kobietami tego dziwnego grodu. Jedni spostrzegali ich, okazywali wielkie zainteresowanie, inni mijali z bezmyślnym spojrzeniem, najwidoczniej nieświadomi tego, co się wokoło nich działo, żadnej: uwagi nie zwracając na jeńców. Raz zobaczyli człowieka w napadzie wściekłości, podobnym do tego, jak niedawno odczuł Smith-

Oldwick na własnej skórze. Ten osobnik wywierał swój obłąkańczy gniew na dziecku, które bił i szarpał, przerywając sobie tylko dla wydawania strasznych wrzasków. Wreszcie pochwycił wątłe ciało, wznosił je wysoko nad głową i z całej siły cisnął o ziemię, po czym zataczając się i wrzeszcząc, ile miał sił w płucach, popędził ulicą na łeb i szyję.

Dwie kobiety i kilku mężczyzn zatrzymało się, przypatrując się potwornemu zajściu. Europejczycy zbyt byli od nich oddaleni, by dojrzeć, co wyrażały ich oblicza - litość czy oburzenie - jakkolwiek jednak było, nikt nie próbował przeszkodzić zbrodni.

O parę metrów opodal, z okna drugiego piętra, wychylała się potworna jędza, która śmiała się i szwargotała, wykonując gesty. Inni szli swoją drogą, widocznie do jakichś wzywających obowiązków, tak trzeźwo i spokojnie, jak mieszkańcy kulturalnych zbiorowisk ludzkich.

- Boże - szepnął Smith-Oldwick - cóż za okropne miejsce.

Dziewczyna zwróciła się ku niemu.

- Czy ma pan przy sobie pistolet?

- Tak ukryłem go pod koszulą. Nie przeszukiwali mnie, było też zbyt ciemno, by mogli dojrzeć czy mam jaką broń. Ukryłem go w nadziei, że może się przydać.

Przysunęła się do niego i dotknęła jego ręki.

- Niech pan jeden nabój dla mnie zachowa - poprosiła.

Smith-Oldwick spojrział na nią i szybko zamrugał oczami. Zaszły niezwykłą i kompromitującą wilgocią. Rozumiał, naturalnie, jak ciężkie było ich położenie. Zdawało mu się jednak, nie wiedzieć czemu, że tylko jego to dotyczyło i niemożliwe było, by ktoś mógł skrzywdzić tę anielską dziewczynę.

Miała być zamordowana - przez niego! To było nazbyt okropne, nieprawdopodobne, nie do pomyślenia. Jeśli dotychczas miał złe przeczucia, teraz podwójnie czuł się zaniepokojony.

- Nie sądzę, bym zdołał to uczynić, Berto - rzekł.

- Nawet żeby mnie uchronić przed czymś gorszym? - zapytała.

Z rozpaczą potrząsnął głową. - Nigdy nie potrafiłbym tego zrobić - powtórzył.

Ulica, którą szli, doprowadziła ich do szerokiej alei. Przed nimi ukazało się obszerne i piękne jezioro, którego spokojna powierzchnia odzwierciedlała błękit nieba. Teraz zmienił się zupełnie wygląd miasta. Budynki były wyższe i ozdobniejsze pod względem architektonicznym i ornamentacyjnym. Ulica wyłożona była mozaiką o rysunku barbarzyńskim, lecz zdumiewająco pięknym. Ornamentacja budowli była barwna, z dużą domieszką jak gdyby złota. We wszystkich dekoracjach powtarzała się na różne sposoby konwencjonalna postać papugi, w niniejszym stopniu - małpy i lwa.

Jeńców poprowadzono obok jeziora i po mozaikowym bruku, wkrótce zaś poprzez sklepioną bramę do jednego z budynków, wychodzących na aleję. Tu, zaraz za wejściem, znajdowała się duża komnata zastawiona masywnymi stołami i ławkami, z których wiele było pracowicie rzeźbionych w nieunikniony motyw papugi, lwa i małpy, z papugą zawsze na pierwszym planie.

Za jednym ze stołów siedział człowiek, według opinii więźniów niczym nie różniący się od tych, którzy ich przywiedli. Oddział zatrzymał się przed tą osobą i jeden ze strażników zdał jak gdyby ustny raport. Nie wiedzieli, czy stanęli wobec oficera wojskowego, czy dygnitarza cywilnego. Był to w każdym razie człowiek władzę dzierżący, gdyż po wysłuchaniu sprawozdania, podczas którego bacznie przyglądał się jeńcom, bezowocnie spróbował rozmówić się z nimi, po czym wydał krótki rozkaz raportującemu.

Natychmiast dwaj ludzie podeszli do Berty Kirchner i dali jej znak, by im towarzyszyła. Smith-

Oldwick ruszył za nią, straż jednak zatrzymała go. Dziewczyna zawróciła, patrząc na człowieka za stołem siedzącego, i za pomocą gestów usiłowała wyjaśnić mu, że pragnie, by Smith-Oldwick z nią pozostał. Ale ten tylko potrząsnął przecząco głową i nakazał straży zabrać dziewczynę. Anglik znowu popróbował iść za nią, ale go znów zatrzymano. Zbyt był osłabiony i bezsilny, by móc przeprowadzić swe życzenia przemocą. Pomyślał o pistolecie, ale zaraz potem uprzytomnił sobie jałowość zamiaru pokonania całego miasta z małą ilością pozostającej mu amunicji.

Jak dotąd, z wyjątkiem jednej napaści na niego, nie mieli powodu skarżenia się na złe traktowanie. Wy tłumaczył więc sobie, że rozsądniej będzie uniknąć drażnienia tych ludzi, dopóki nie przekona się, że ich zamiary były nieprzyjazne. Widział jak wyprowadzono dziewczynę, która w ostatniej chwili przed zniknięciem mu z oczu odwróciła się i - posyłając mu pozdrowieni ręką - zawołała: - Powodzenia!

Lwy, które weszły do gmachu razem z oddziałem, zostały wyprowadzone z pokoju drzwiami znajdującymi się poza człowiekiem za stołem. Teraz tymi samymi drzwiami dwaj ludzie wyprowadzili! Smith-Oldwicka. Znalazł się w długim korytarzu, zaopatrzonym z obu stron w różne drzwi, wiodące widocznie do innych apartamentów. W końcu korytarza zobaczył gęste okratowanie, poza którym ukazało się podwórze. Na to podwórze wyprowadzono więźnia. Gdy się tam znalazł, zobaczył, że jest w miejscu zewsząd otoczonym wewnętrznymi ścianami budynku. Był to rodzaj ogrodu, w którym rosły drzewa i kwitnące krzewy. Pod wielu drzewami stały ławy. Była też ławka pod południową ścianą. Uwagę jego jednak przede wszystkim zwróciły lwy, które brały udział w jego uwięzieniu, które towarzyszyły mu przez miasto, leżały rozciągnięte na ziemi lub przechadzały się niespokojnie tam i na powrót. Przed kratą dwaj ludzie zatrzymali się, zamienili kilka słów i zawrócili do korytarza. Anglika zdjęło przerażenie, skoro do jego zmęczonego mózgu przeniknęła okropność jego położenia. Chwycił za kratę, chcąc ją otworzyć i ukryć się w korytarzu, ale była mocno zamknięta. Wówczas zaczął wołać na ludzi, znikających poza nią. Jedyna odpowiedź, jaką otrzymał, to piskliwy, pozbawiony wesołości śmiech. Tamci dwaj przeszli przez korytarz i skryli się za drzwiami. Pozostał sam wśród lwów.

ROZDZIAŁ XIX

OPOWIEŚĆ KRÓLOWEJ

Bertę Kirchner poprowadzono przez plac do największego i najokazalszego z otaczających go budynków. Wielopiętrowy ten gmach zajmował całą szerokość placu. Wchodziło się doń po szerokich, kamiennych schodach, strzeżonych przez olbrzymie kamienne lwy. U szczytu schodów, po obu stronach drzwi wchodowych stały dwie kolumny, zakończone wizerunkiem wielkich papug. Zbliżywszy się, Berta zauważyła, że za podstawę papugom służyły czaszki ludzkie, wyrzeźbione na kapitelach. Nad sklepieniami podwojami i na ścianach gmachu pełno było papug, lwów i małp, wykonanych w płaskorzeźbie, mozaice i malowidle. Barwy malowideł, spłowiałe od starości, były piękne i delikatne, robota rzeźb i mozaiki świadczyła o wysokim kunszcie artystycznym.

O ile pierwszy budynek, w którym Berta była poprzednio, nie miał drzwi wchodowych, tu wejście było zamknięte ciężkimi podwojami. W niszach między kolumnami, podtrzymującymi sklepienie drzwi i u podnóża kolumn z papugami, rozłożyło się kilkudziesięciu zbrojnych, przybranych w jaskrawożółte tuniki. Na piersiach i na plecach mieli wyhaftowaną papugę.

Po przebyciu schodów do przewodników Bertę zbliżył się jeden z tych zbrojnych, w żółtą tunikę przybranych ludzi, zatrzymał ich i zamienił z nimi kilka słów. Według spostrzeżenia Bertę, zarówno ten człowiek, jak i jego pozostali towarzysze, robili wrażenie jak gdyby, o ile to w ogóle możliwe, jeszcze niżej stali pod względem umysłowym od nocnych napastników. Twarde, sztywne włosy tak nisko zarastały im czoła, że niemal łączyły się z brwiami, tęczówki oczu były jeszcze mniejsze, pozostawiające więcej białka.

Po krótkiej rozmowie człowiek, trzymający straż przy drzwiach, odwrócił się i końcem włóczni uderzył w podwoje, przywołując jednocześnie towarzyszy. Wielkie drzwi powoli otwały się ze zgrzytem - dziewczyna zobaczyła siłę, te ciężkie wierzeje poruszającą: u każdej połowy drzwi stało po sześciu nagich Murzynów.

Przy drzwiach dwaj dotychczasowi strażnicy zawrócili, a miejsce ich zajęło sześciu żółto odzianych żołdaków. Gdy przekroczyli drzwi, czarni, ciągnąc za sobą ciężkie łańcuchy, zamknęli je za nimi. Berta z przerażeniem spostrzegła, że biedne istoty były przykute za karki do podwoi.

Teraz znalazła się w obszernym przedsionku z małą sadzawką czystej wody po środku. Tu znów na podłodze i na ścianach powtarzały się wciąż odmienne motywy papug, lwów i małp. Dużi z nich wykonanych było ze złota. Ściany korytarzy składały się z szeregu otwartych sklepień, poprzez które widać było po obu stronach obszerne apartamenty. Przedsionek był pozbawiony sprzętów, ale w bocznych komnatach stały ławy i stoły. Ściany tam pokryte były obiciami z jakiegoś kolorowego materiału, podłogi zaś były zasłane grubymi matami w barbarzyńskie wzory i skórami czarnych lwów, i pięknie ubarwionych tygrysów.

Pokój na prawo od wejścia pełen był ludzi w żółtych tunikach. Ściany miał zawieszono włóczniami i szablami. Na końcu korytarza kilka stopni wiodło do innych zamkniętych drzwi. Tu znowu zatrzymano idących. Jeden ze stojących na warcie u tych drzwi, po krótkim raporcie, zdany przez prowadzących Bertę, poszedł, pozostawiając przybyłych za drzwiami. Piętnaście minut upłynęło, zanim powrócił; znowu zmieniono strażę i poprowadzono ją do małej względnie komnaty. Tu chodził tam i na powrót człowiek w szkarłatnej tunice z olbrzymią papugą, wyhaftowaną na piersiach i plecach, w barbarzyńskim nakryciu głowy, zakończonym wypchaną papugą.

Ściany komnaty były całkowicie zasłonięte obiciami, wyhaftowanymi w setki, nie, tysiące papug. Podłoga wykładana była zło tymi papugami, powała wymalowana w papugi przepysznie ubarwione, ze skrzydłami jak do lotu rozpostartymi.

Człowiek był wyższy i tłuściejszy od dotychczas przez Bertę w mieście widzianych. Jego pergaminowa skóra pomarszczona była jak gdyby ze starości. Nagie ramiona zdradzały jednak wielką siłę, chód jego nie był chodem starca. Wyraz twarzy zdradza szczyt idiotyzmu. Był najbardziej odrażającym okazem ludzkim jaki Berta Kirchner w życiu widziała.

Przez kilka minut zdawał się wcale nie spostrzegać jej obecności, chodząc bez przerwy niespokojnie tam i na powrót. Nagle bez ostrzeżenia, znajdując się na drugim końcu pokoju, tyłem do niej odwrócony, obrócił się na pięcie i rzucił ku niej jak wariat. Mimowolnie dziewczyna cofnęła się i wyciągnęła przed siebie ręce, jakby chcąc odtrącić przerażającą istotę, ale każdy z dwu stojących po jej bokach strażników, chwycił ją za ramię i zatrzymał w miejscu.

Stał tak nagle, jak był się rzucił. Przez chwilę okropnymi, białymi oczyma badawczo spoglądał jej w twarz, po czym wybuchnął obłąkanym śmiechem. Dwie lub trzy minuty oddawał się wesołości, po czym znowu nagle urwał i zaczął oglądać brankę. Pomacał jej włosy, skórę, materiał ubrania i gestami nakazał jej otworzyć usta. Musiały go bardzo zainteresować, gdyż zwrócił uwagę jednego ze strażników na jej zęby, po czym, obnażając swoje własne ostre kły, pokazał je uwięzionej. Znowu zaczął chodzić po pokoju i upłynęło z piętnaście minut, zanim ponownie zauważył brankę. Dał krótki rozkaz straży, która natychmiast wyprowadziła ją z apartamentu.

Strażnicy powiedli dziewczynę przez szereg korytarzy i komnat do wąskich, kamiennych schodów, prowadzących na wyższe piętro, i wreszcie zatrzymali się przed małymi drzwiami, u których stał nagi Murzyn, uzbrojony we włócznię. Na rozkaz jednego strażnika Murzyn otworzył drzwi i wszyscy weszli do małej komnaty, o niskim stropie. Okna tego pokoju zwróciły natychmiast uwagę Bertę, gdyż były gęsto zakratowane. Komnata była umeblowana tak, jak wszystkie poprzednio mijane - te same rzeźbione stoły i ławy, te same maty na podłodze, te same dekoracje na ścianach, aczkolwiek wszystko skromniejsze niż na dolnym piętrze. W kącie było niskie łóżko, pokryte matą, podobną do leżących na podłodze z tą różnicą, że była z lżejszej tkaniny. Na łóżku siedziała kobieta.

Na widok dziewczyny wstała i zbliżyła się. Chód jej był tak chwiejny i niepewny, że musiała podpierać się kijem, który trzymała w obu rękach. Jeden ze strażników powiedział jej kilka słów, po czym mężczyźni opuścili pokój. Dziewczyna stała przy drzwiach czekając, co dalej nastąpi.

Staruszka przeszła przez pokój i zatrzymała się przed nią, podnosząc półślepe, łzawiące oczy na świeże oblicze przybyłej. Zmierzyła ją od stóp do głowy i znowu stare oczy wróciły do twarzy dziewczyny. Berta Kirchner ze swej strony nie mniej otwarcie przyglądała się starowinie. Ta przemówiła pierwsza. Słabym, drżącym głosem, wahając się, zająkując, jak gdyby posługiwała się słowami obcego dla niej języka, przemówiła po angielsku.

- Przychodzisz ze świata? Daj Boże, byś rozumiała i mówiła tym językiem.

- Po angielsku?! - zawołała dziewczyna. - Rozumie się, że mówię po angielsku.

- Bogu niech będą dzięki! - wykrzyknęła stara kobieta. - Nie wiedziałam, czy sama jeszcze potrafię tak mówić, aby mnie inni mogli zrozumieć. Sześćdziesiąt lat nie słyszałam jednego słowa w moim ojczystym języku. Biedne stworzenie! - zamruczała. - Jakaż przekłeta przygoda wtrąciła cię w ich ręce?

- Pani jest Angielką? - zapytała Berta Kirchner. - Czy dobrze zrozumiałam, że pani jest Angielką i że przebywa tu od lat sześćdziesięciu?

Staruszka twierdząco skinęła głową.

- Od sześćdziesięciu lat nie wyjrzałam poza mury tego pałacu. Pójdź! - rzekła, wyciągając kościstą rękę - jestem bardzo stara i nie mogę stać długo. Pójdź, siądziemy na łożu.

Dziewczyna ujęła podaną dłoń i poprowadziła starą damę drugi koniec komnaty, posadziła ją i sama siadła obok niej.

- Biedne dziecko! Biedne dziecko! - zajęczała stara kobieta. - Lepiej by ci było umrzeć, niż dać się tu przyprowadzić. Chciałam najpierw odebrać sobie życie, ale wciąż miałam nadzieję, że ktoś przyjdzie i wybawi mnie - ale nikt się nie zjawił. Opowiedz mi, w jaki sposób cię ujęli?

Dziewczyna opowiedziała pokrótce główne wypadki, kto doprowadziły do uwięzienia jej przez mieszkańców miasta.

- Jest więc jeszcze jakiś mężczyzna w mieście? - zapytał; staruszka.

- Tak - odparła dziewczyna - nie wiem jednak, gdzie się podziewa, ani jakie mają względem niego zamiary. Co prawda, nie wiem także, co ze mną zamierzają uczynić.

- Nikt nie zdoła odgadnąć - rzekła staruszka. - Oni sami nie wiedzą, jakie będą ich zamiary za minutę, ale sądzę, biedne dziecko, że nie ujrzysz więcej swego przyjaciela.

- Pani przecież nie zamordowali, a była pani wedle własnych jej słów, sześćdziesiąt lat w ich mocy.

- Nie, nie zabili mnie, ani już nie zabijają, choć Bogu wiadomo, że zanim pożyjesz długo w tym okropnym pałacu, będziesz ich błagała, by cię zamordowali.

- Kim oni są - zapytała Berta Kirchner - co to za ludzie? Inni są, niż jacykolwiek widziani przeze mnie. Proszę mi opowiedzieć, jak się pani tu dostała.

- Dawno to było - rzekła staruszka, kołysząc się w tył i naprzód. - Dawno to było, ach, jak dawno! Miałam wówczas zaledwie dwadzieścia lat. Pomyśl, dziecię! Spójrz na mnie. Nie mam lustra, nie mogę zobaczyć, jak wyglądam, oczy moje są stare i nie dojrzą odbicia w wodzie. Ale pod palcami wyczuwam zmarszczki na twarzy, wpadnięte oczy, wątłe wargi, zapadnięte na bezzębnych dziąsłach. Jestem stara, pochylona, ohydna, ale wówczas byłam młoda i mówiono, że byłam piękna. Nie, nie będę hipokrytką, byłam piękna. Mówiło mi to moje zwierciadło.

- Ojciec mój był misjonarzem w głębi Afryki. Pewnego razu zjawiła się banda arabskich handlarzy niewolnikami. Porwali mężczyzn i kobiety z małej wioski tubylczej, gdzie mój ojciec pracował, porwali i mnie także. Nie znali naszych okolic, musieli więc zdać się na przewodnictwo porwanych mężczyzn z naszej wioski. Powiedzieli mi, że nigdy jeszcze nie zapędzili się tak daleko na południe i że słyszeli, że kraina, bogata w kość słoniową i niewolników, znajdowała się na zachód od nas. Chcieli tam się udać, po czym mieli zabrać nas na północ, gdzie zamierzali sprzedać mnie do haremu jakiego czarnego sułtana.

- Często obliczali cenę, jaką za mnie otrzymają i ażeby się moja wartość nie zmniejszyła, zazdrośnie strzegli mnie jeden przed drugim, podróż więc odbywała się dla mnie zupełnie znośnie.

Otrzymałam najlepsze jedzenie i nie wyrządzono mi żadnej krzywdy. Wkrótce jednak, gdyśmy dosięgli granic kraju, znanego ludziom z naszej wioski, i wkroczyliśmy w straszliwą, jałową pustynię, Arabowie spostrzegli, żeśmy się zabłąkali. Dążyli jednak naprzód, wciąż ku zachodowi, przebywając okropne wąwozy i ciągnąc przez spaloną ziemię pod bezlitosnym słońcem. Nieszczęśni niewolnicy, zmuszeni do dźwigania wszystkich urządzeń obozowych, wygłodzeni, pozbawieni wody, zaczęli padać jak muchy.

Niedługo byliśmy w pustyni, gdy Arabowie zmuszeni zostali do zabicia wielu swych koni na pokarm. Gdy zaś przybyliśmy nad pierwszy wąwóz, przez który niepodobieństwem byłoby przeprowadzić zwierzęta, pozabijali pozostałe i mięso z nich naładowali na biednych, potykających się z osłabienia Murzynów.

- W ten sposób uszliśmy jeszcze dwa dni. Teraz już połowa naszych zginęła i sami Arabowie zaczęli odczuwać głód, pragnienie i nieznośny upał. Dokąd okiem sięgnąć w kierunku kraju, z którego przyszliśmy, drogę naszą znaczyły sępy na niebie i przy trupach, leżących wśród bezdrożnej pustyni. W miarę jak czarni umierali, gubiono kość słoniową, kiel za kłem. Wzdłuż szlaku śmierci leżały porzucone przez ludzi urządzenia obozowe, uprzęże końskie.

Wódz arabski do końca okazywał mi względy, zapewne wskutek przekonania, że ze wszystkich jego skarbów najłatwiej było mnie transportować, gdyż byłam młoda i silna i po zabiciu koni szłam pieszo, dotrzymując kroku najdzielniejszym mężczyznom. My, Anglicy, jak wiesz, jesteśmy dobrymi piechurami, gdy tymczasem Arabowie nie chodzą nigdy od chwili, gdy potrafią dosiąść konia.

- Nie umiem ci opowiedzieć, jak długo jeszcze wytrzymaliśmy. Wreszcie, zupełnie wyczerpani, garstka nas dotarła do dna głębokiego wąwozu. Nie było mowy o wdrapaniu się na przeciwległą ścianę. Posuwaliśmy się więc wśród piasków wzdłuż łożyska od wieków wyschniętej rzeki, aż doszliśmy do miejsca, skąd ujrzeliśmy prześliczną dolinę, obiecującą obfite łowy.

- Wówczas pozostało nas już tylko dwoje: wódz i ja mam potrzeby mówić ci, co to była za dolina, gdyż w ten sam sposób ją znalazłaś. Tak szybko zostaliśmy pochwyceni, że widocznie oczekiwali na nas. Jak się później dowiedziałam, tak było istotnie. Zupełnie tak samo, jak oczekiwali na was.

- Przechodząc przez las, musiałaś widzieć małpy i papugi, a odkąd weszłaś do pałacu, zauważyłaś, jak niezmiennie te stworzenia i lwy są stosowane w dekoracjach. W domu przywykłam do papug mówiących, które powtarzały wyuczone słowa. Ale te papugi mówią językiem, używanym przez ludność miasta, i podobno małpy rozmawiają z papugami, a papugi przylatują do miasta i powtarzają ludziom, co im małpy powiedziały. I mimo że trudno dać temu wiarę, przekonałam się, że to prawda, gdyż przeżyłam wśród tych ludzi sześćdziesiąt lat w pałacu ich króla.

- Tak jak ciebie, przywiedli mnie wprost do pałacu. Wódz arabskiego poprowadzili gdzie indziej. Nigdy nie dowiedziałam się, co się z nim stało. Królem wówczas był Ago XXV. Wielu królów widziałam od tego czasu. Był to straszliwy człowiek. Ale oni wszyscy są straszliwi.

- Co oni są za jedni? - zapytała dziewczyna.

- Jest to plemię obłąkańców. Są wśród nich doskonali rzemieślnicy i dobrzy ogrodnicy, rządzą się nawet pewnymi prawami i przepisami. Oddają cześć ptakom, ale głównym ich bóstwem jest papuga. Jedna przebywa tu, w pałacu, w prześlicznym apartamencie. Jest ich bogiem nad bogi. To bardzo stary ptak. Jeśli prawdą jest, co mi powiedział Ago za moim przybyciem, musi mieć około trzystu lat wieku. Ich obrzędy religijne są w najwyższym stopniu odrażające. Sądzę, że sprawianie tych obrzędów przez wieki całe, doprowadziło to plemię do obecnego stanu obłądu. A jednak, jak

powiedziałam, nie są pozbawieni pewnych cech dodatnich. Jeśli wierzyć legendzie, ich protoplasci - garść mężczyzn i kobiet, którzy przyszli nie wiadomo skąd z północy i zbłąkali się w pustkowiach Afryki Środkowej - zastali tu pustynną, jałową dolinę. Wiem sama, że deszcze rzadko, nigdy prawie tu nie padają, a jednak widziałas wielki las i bogatą roślinność z zewnątrz miasta i w samym mieście. Cudu tego dowiedzieli przez wyzyskanie naturalnych źródeł, które ich praojcowie rozszerzyli, a oni tak udoskonalili, że cała dolina jest stale zaopatrzona w dostateczną ilość wilgoci. Ago opowiadał mi, że na wiele pokoleń przed nim las był nawodniony za pomocą zmiany łożyska strumienia, dostarczającego miastu wodę źródlaną. Wszakże gdy drzewa zapuściły tak głęboko korzenie, że sięgnęły do przyrodzonej wilgoci gruntu i nie potrzebowały już więcej sztucznego nawadniania, zmieniono łożysko i zasadzono nowe drzewa. Tak wyrastał las, aż obecnie pokrywa prawie całą powierzchnię doliny za wyjątkiem miejsca, gdzie stoi miasto. Nie wiem, czy to prawda. Może być, że las zawsze tu był, ale to jedna z ich legend, która powstała stąd, że za mało jest tu opadów dla podtrzymania roślinności. Są to ludzie szczególnie pod wielu względami. Nie tylko z powodu kultu i praktyk religijnych, ale także i dlatego że hodują lwy, jak inni ludzie bydło. Widziałas sama, do czego używają lwów, ale przeważnie tuczą je i jedzą. Naturalnie, prędzej zgodziliby się umrzeć, niż zjeść mięso ptaka; nie tkną też mięsa małpiego, zwierzęta trawożerne zaś hodują tylko dla mleka i skóry, mięso przeznaczają dla lwów. Przypuszczani, że pierwotnie jadali mięso lwie, jako część obrzędu religijnego, z czasem jednak zasmakowali w nim i obecnie jest to jedyne mięso, jakie spożywają. Z południowej strony miasta są zagrody i pastwiska dla trawożerców. Dzik, jeleni i antylopa przeznaczone są dla lwów, kozy zaś trzymają ze względu na mleko dla ludzkich mieszkańców miasta.

- I pani wszystkie te lata przeżyła tu, nie widząc nikogo ze swoich?

Staruszka skinęła twierdząco.

- Sześćdziesiąt lat pani tu przeżyła i nie wyrządzili pani żadnej krzywdy!

- Nie powiedziałabym, że mnie nie skrzywdzili - nie zabili mnie, oto wszystko.

- Jakie... - dziewczyna zawahała się - jakie - zdecydowała się wreszcie - było pani stanowisko wśród nich? Proszę mi wybaczyć - dodała szybko. - Zdaje mi się, że wiem, ale chciałabym z własnych ust pani usłyszeć, gdyż jakiegokolwiek było położenie pani, takie same niechybnie mnie czeka.

Staruszka potaknęła.

- Tak, niewątpliwie, o ile zdołają utrzymać cię z dala od kobiet.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - zapytała dziewczyna.

- W ciągu sześćdziesięciu lat ani razu nie dopuszczono do mnie kobiety. Zabiłyby mnie nawet teraz, gdyby mogły mnie dosięgnąć. Mężczyźni są przerażający, Bogu wiadomo, jak są przerażający! Lecz niebiosa niechaj cię strzegą przed kobietami.

- Pani chce powiedzieć, że mężczyźni mnie nie skrzywdzą?

- Ago XXV uczynił mnie swą królową - rzekła staruszka. - Ale miał on dużo innych królowych i nie wszystkie były ludzkiego rodzaju. Zamordowano go w dziesięć lat po moim przybyciu. Wziął mnie następny król i tak było potem zawsze. Jestem obecnie najstarszą królową. Niewiele ich kobiet dożywa późnego wieku. Nie tylko stale zagraża im zamordowanie, ale wskutek nienormalności umysłowej podlegają napadom przygnębienia, a wówczas bardzo często odbierają sobie życie. Wskazała na okratowane okna.

- Widzisz tę komnatę z czarnym eunuchem pod drzwiami? Gdziekolwiek to zobaczysz, możesz być pewna, że tam są kobiety, gdyż z małymi wyjątkami, nigdy nie wypuszczają ich na wolność.

Uważają je i są rzeczywiście niebezpieczniejsze od mężczyzn.

Siedziały czas jakiś w milczeniu. Wreszcie młoda kobieta; zwróciła się do starej:

- Czy nie ma możliwości ucieczki?

Stara kobieta ponownie wskazała na okna, potem na drzwi, mówiąc:

- Tam jest uzbrojony eunuch. Gdybyś go nawet minęła, jak dojdiesz do ulicy? A jeśli znajdziesz się nawet na ulicy, w jaki sposób przejdiesz przez miasto poza mur zewnętrzny? A gdybyś, cudem jakim, wy dostała się poza mur, jak przebędziesz las, w którym wielkie lwy się roją i czatują na ludzi? Nie! - zawołała, jakby odpowiadając na własne pytania - iż lasu, to tylko po to, by napotkać śmierć w strasznej pustyni. W ciągu sześćdziesięciu lat ty pierwsza natrafiłaś na to pogrzebane miasto. W ciągu tysiąca ani jeden mieszkaniec tej doliny nie opuścił jej i odkąd sięga pamięć ludzka, w legendach nawet, przed moim przybyciem nie był tu nikt, prócz jednego wojownika-olbrzyma, którego historia podawana jest z ojca na syna. Z opisu wnoszę, że musiał to być? Hiszpan, olbrzym w hełmie i pancerzu, który przebił się przez straszliwy las do bramy miasta, rzucił się na tych, których posłano, by go pojмали i pozabijał ich swym potężnym mieczem. I gdy nasycił głód jarzynami z ogrodów i owocami z drzew, i ugasił pragnienie wodą ze strumienia, wywalczył powrót przez las do ujścia wąwozu. Ale chociaż ocalił się przed lasem i przed miastem, nie ocalił się przed pustynią. Legenda mówi, że król, w obawie, że przyprowadzi innych, by napaść na miasto, wysłał za nim ludzi, by go zamordowali. Wreszcie natrafili na jego kości, oczyszczone przez sępy, leżące o dzień drogi w tym samym wąwozie, którym ty i ja weszliśmy do doliny. Nie wiem, czy to prawda - to jedna z ich wielu legend.

- To prawda - rzekła dziewczyna. - Jestem pewna, że to prawda, bo widziałam szkielet i zardzewiałą broń olbrzyma.

W tym miejscu ich rozmowy drzwi otworzyły się bez ceremonii i wszedł Murzyn, niosąc dwa płaskie naczynia, a w nich dużo małych. Ustawił je na stole obok kobiet i wyszedł bez słowa. Wraz z wejściem człowieka z naczyniami rozeszła się po pokoju rozkoszna woń gotowanego jada, przypominając dziewczynie, że była głodna. Podeszła do stołu, chcąc przyjrzeć się potrawom. Większe naczynia, zawierające mniejsze, były gliniane, gdy tymczasem tamte były niewątpliwie z kutego złota. Ku najwyższemu zdumieniu zobaczyła łyżkę i widelec, które, aczkolwiek osobliwego kształtu, były również zdadne do użytku jak te, które widywała w bardziej kulturalnych środowiskach. Zęby widelca były prawdopodobnie żelazne lub stalowe, nie wiedziała dobrze, trzonek zaś i łyżka zrobione były z tego samego metalu, co mniejsze naczynia.

Była tam doskonale przyrządzona potrawa z mięsa i jarzyn, półmisek świeżych owoców, kubek mleka i dzbanuszek, zawierający coś podobnego do marmolady. Berta była tak wygłodniała, że nie czekała na towarzyszkę i gdy zaczęła jeść, gotowa była przysiąc, że nigdy nie kosztowała smaczniejszej potrawy. Staruszka powoli zbliżyła się do stołu i siadła na ławce naprzeciwko niej.

Gdy wyjęła z dużego mniejsze naczynia i ustawiła je na stole przed sobą, lekki uśmiezek przewiął się po jej twarzy.

- Głód jest wielkim kucharzem - rzekła śmiejąc się.

- Co pani ma na myśli? - zapytała dziewczyna.

- Ośmielam się twierdzić, że przed niewiele tygodniami zemdliliby cię na myśl o jedzeniu kota.

- Kota?! - wykrzyknęła dziewczyna.

- Tak - odparła staruszka. - Co za różnica - lew jest kotem.

- Chce pani powiedzieć, że jem w tej chwili lwa?

- Tak - rzekła - przyrządzają go wyjątkowo smacznie. Polubisz to bardzo.

Berta powątpiewająco potrząsnęła głową. - Nie potrafiłabym odróżnić go od jagnięcia lub od cielęcia.

- Nie - rzekła staruszka - dla mnie jest równie smaczny. Ale te lwy są bardzo starannie utrzymywane i bardzo starannie tuczone, a mięso ich jest tak przyprawione, że może zadowolić najwybredniejsze podniebienie.

I tak Berta Kirchner długi swój post przerwała spożyciem dziwnych owoców, lwiego mięsa i koziego mleka.

Zaledwie skończyła, drzwi otworzyły się ponownie i wszedł na żółto ubrany żołnierz. Przemówił kilka słów do staruszki.

- Król - rzekła - rozkazał, aby cię przygotowano i przyprowadzono do niego. Masz dzielić ze mną te apartamenta, król wie, że ja nie jestem jak inne jego kobiety. Nie odważyłby się nigdy umieścić cię z nimi. Herog XVI miewa od czasu do czasu chwile przytomności. Musiano cię pokazać mu w podobnej chwili. Zarówno jak im wszystkim, zdaje mu się, że on jeden z całego środowiska jest zdrów na umyśle. Ale wielokrotnie przekonałam się, że różni ludzie, z którymi miałam tu sposobność się zetknąć, nie wyłączając królów, patrzyli na mnie, jak na istotę, przynajmniej trochę mniej od innych obłąkaną. A jednak nie pojmuję, jak udało mi się w ciągu tylu lat zachować zdrowe zmysły.

- Co to znaczy „przygotować”? - zapytała Berta Kirchner. - Powiedziała pani, że król kazał mnie przygotować i przyprowadzić do niego.

- Będiesz wykąpana i przybrana w szatę, podobną do tej, jaką ją noszę.

- Czy nie ma ratunku? Czy nie ma sposobu, bym mogła się zabić?

Kobieta podała jej widelec. - Oto jedyna broń, a przyznasz sama, że zęby są bardzo krótkie i tępe.

Dziewczyną wstrząsnął dreszcz. Stara kobieta miękko położyła dłoń na jej ramieniu.

- Może być, że tylko spojrzysz na ciebie i odeśle cię. Ago XXV posłał raz po mnie, spróbował rozmówić się, przekonał się, że go nie rozumiem i że on mnie nie rozumie, rozkazał, aby nauczono mnie języka jego ludu i potem na cały rok zapomniał o moim istnieniu. Nieraz bardzo długo nie widuję króla. Był jeden król, który rządził pięć lat i ani razu go nie widziałam. Zawsze jest nadzieja. Nawet ja, o której niewątpliwie poza ścianami tego pałacu pamięć zginęła, wciąż żyję nadzieją, chociaż nikt lepiej ode mnie nie wie, jak próżne jest to złudzenie.

Staruszka zaprowadziła Bertę Kirchner do sąsiedniej komnaty, gdzie w podłodze była sadzawka. Tu dziewczyna wykąpała się, po czym towarzyszka przyniosła jej obcisłą szatę miejscowych kobiet i owinęła ją nią. Materiał był w rodzaju gazy i uwydatniał piękne kształty dziewczyny.

- Gotowe - rzekła staruszka, ostatnim dotknięciem układając fałdy szaty - prawdziwie jesteś królową.

Dziewczyna z przerażeniem spojrzała na swe nagie piersi i na wpół tylko osłonięte członki. - Zaprowadzą mnie do mężczyzny półnagą! - zawołała.

Stara kobieta uśmiechnęła się swym szczególnym uśmieszkiem.

- To nic - rzekła - przywykniesz, tak jak ja przywykłam - ja, wychowana w domu kapłana, gdzie niemal za zbrodnię poczytano kobiecie odsłonięcie pończoszki aż do kostek. W porównaniu z tym, co niechybnie zobaczysz i czemu będziesz musiała się poddać, to tylko drobnostka.

Godziny całe - wydawało się nieprzytomnej dziewczynie - chodziła tam i na powrót po komnacie, oczekując wezwania przed oblicze obłąkanego króla. Ściemniało się już zupełnie.

Pozapalano olejne światła w pałacu na długo, zanim zjawili się posłowie z poleceniem, by stawiała się natychmiast przed Herogiem w towarzystwie staruszki, którą zwali Xanila. Z niejakim uczuciem ulgi dowiedziała się, że będzie miała przynajmniej życzliwą duszę u boku, jakkolwiek bezsilna była stara kobieta, by jej jaką pomoc okazać mogła.

Posłowie zaprowadzili obie kobiety do małego apartamentu, o piętro niżej. Xanila objaśniła, że to jeden z przedpokoi, wiodących do sali tronowej, gdzie król zazwyczaj przebywał w złotych szatach, z oczami przeważnie wlepionymi w podłogę, z wyrazem posępnego przygnębienia. Gdy weszły dwie kobiety, niektórzy spojrzeli na nie obojętnie, inni żadnej nie zwrócili uwagi.

Gdy tymczasem oczekiwały w przedpokoju, z sąsiedniej komnaty wyszedł młody człowiek, tak samo, jak inni przybrany - z tą różnicą, że na głowie miał złotą opaskę, z której nad czołem sterczało pióro papuzie. Za jego wejściem żołnierze zerwali się na nogi.

- To Metak, jeden z synów królewskich - szepnęła Xanila dziewczynie.

Księżę mijał pokój w kierunku sali audiencyjnej, gdy przypadkiem wzrok jego padł na Bertę Kirchner. Zatrzymał się i nic nie mówiąc, przypatrywał się jej z minutę. Dziewczyna, zawstydzona jego zuchwałym spojrzeniem i swym niedostatecznym przybraniem, zarumieniła się, spuściła oczy i odwróciła się. Metak zaczął drzeć od stóp do głowy i z nagłym chrapliwym okrzykiem rzucił się na dziewczynę, porywając ją w ramiona.

Rozpętało się istne piekło. Dwaj posłowie, obowiązani przedstawić dziewczynę królowi, krzycząc skakali wokoło księcia, machali rękami i dziko gestykulowali, jak gdyby chcieli zmusić go do opuszczenia jej, nie śmiejąc jednak dotknąć królewskiej osoby. Żołnierze, jak gdyby zarażeni szaleństwem swego pana, biegali, krzycząc i potrząsając szablami.

Dziewczyna usiłowała wyrwać się z objęć wariata, ale lewym ramieniem trzymał ją z taką łatwością, jak gdyby była niemowlęciem, wolną zaś ręką wyciągnął szablę i uderzył najbliższych stojących.

Ostrze klingi trafiło jednego z posłów. Jednym potężnym cięciem rozplatał mu księżę kark. Z przeraźliwym krzykiem, który zagłuszył wrzaski żołnierzy, padł trafiony na ziemię, zalewając się krwią ze straszliwej rany; spróbował powstać i padł martwy w kałużę krwi.

Tymczasem Metak, wciąż mocno trzymając dziewczynę, wrócił do przeciwległych podwoi. Na widok krwi dwaj żołnierze jak gdyby w napadzie szału, cisnęli szable na ziemię i rzucili się na siebie z pazurami i zębami; inni próbowali pochwycić księcia, jeszcze inni bronić go. W kącie pokoju jeden ze strażników śmiał się rozgłośnie. Gdy Metakowi udało się dotrzeć do drzwi i przenieść przez nie dziewczynę, wydało się jej, że zobaczyła, jak jeden z ludzi rzucił się na martwego posła i zatopił zęby w jego ciele.

Podczas orgii szaleństwa Xanila trzymała się boku dziewczyny, ale przy drzwiach Metak ją spostrzegł i obróciwszy się, wymierzył jej cios. Na szczęście dla Xanili była już we framudze drzwi, klinga wyszczerbiła się więc tylko o kamienne sklepienie. Xanila, wiedzona niechybnie doświadczeniem sześćdziesięciu lat podobnych scen, uciekła do korytarza tak spiesźnie, jak na to pozwalały jej stare, potykające się nogi.

Metak, znalazłszy się za drzwiami, schował szablę do pochwy i uniósłszy dziewczynę z ziemi, pobiegł z nią w stronę przeciwną tej, jaką obrała Xanila.

ROZDZIAŁ XX

PRZYSZEDŁ TARZAN

Zanim się zupełnie ściemniło, bardzo wycieńczony lotnik wszedł do kwatery pułkownika Capella i oddał honory.

- Jak tam, Thompsonie? - zapytał zwierzchnik. - Jak się panu wiodło? Wszyscy już powrócili. Nikt nie znalazł śladu Oldwicka, ani jego aeroplanu. Zdaje mi się, że musimy dać za wygraną, o ile pan nie był szczęśliwszy.

- Znalazłem aeroplan - rzekł młody oficer.

- Nie! - wykrzyknął Capell. - Gdzie był? Żadnego śladu Oldwicka?

- Aparat leży w najniebezpieczniejszej dziurze, jaką pan kiedykolwiek widział, dosyć daleko w głębi łądu. Ciasny wąwóz. Zobaczyłem aparat, ale nie mogłem się do niego dostać. Spacerowałem sobie naokoło niego lew, prawdziwy smok. Wylądowałem w pobliżu skraju przepaści i miałem zamiar opuścić się na dół, aby przyrzeć się aeroplanowi. Ale ten diabeł nie odchodził godzinę czy dłużej. W końcu musiałem dać za wygraną.

- Czy pan sądzi, że lwy załatwiły się z Oldwickiem? - zapytał pułkownik.

- Wątpię - odparł porucznik Thompson - wokoło aeroplanu nie było śladów karmienia się lwa. Gdy przekonałem się o niemożliwości zejścia na dno, wzniosłem się w górę i zrobiłem rekonesans w górę i w dół wąwozu. Daleko na południu znalazłem małą zadrzewioną dolinkę, po środku której - proszę, niech nie bierze mnie pan za wariata - stoi prawdziwe miasto: ulice, budynki, główny plac z jeziorem, wysokie budowle z kopułami, wieżami i tak dalej.

Starszy oficer ze współczuciem popatrzył na młodszego.

- Jesteś pan przemęczony - rzekł. - Idź i prześpij się. Zmęczenie wyczerpało ci nerwy.

Młody człowiek, trochę zirytowany, odparł:

- Proszę mi wybaczyć, mówię ścisłą prawdę. Nie mylę się. Wielokrotnie okrążyłem to miejsce. Być może, Oldwick trafił do tego miasta, a może został uwięziony przez jego mieszkańców.

- Czy w mieście byli ludzie? - zapytał pułkownik.

- Czy sądzi pan, że kawaleria mogłaby się dostać do doliny?

- Nie! - odparł Thompson. - Cała droga pocięta jest głębokimi wąwozami. Piechota nawet miałaby piekielne zadanie, gdyż nie ma tam wcale wody, nie widziałem jej przynajmniej na odległość dwu dni marszu!

W tej właśnie chwili wszedł generał Smut. Pułkownik Capell powstał z krzesła i oddał honory zwierzchnikowi. Młody porucznik zasalutował i stanął na baczność.

- Przechodziłem tędy - powiedział generał i wstąpiłem na pogawędkę. Aha, jak tam idzie z poszukiwaniem porucznika Smith-Oldwicka? Widzę tu Thompsona. Zdaje mi się, że on był

przydzielony do tych poszukiwań.

- Tak - odrzekł Capell - i wrócił ostatni. Znalazł aparat porucznika - po czym pułkownik powtórzył sprawozdanie Thompsona. Generał zasiadł przy stole wraz z pułkownikiem Capellem i przy pomocy lotnika wykreślili przypuszczalne położenie miasta, o którym Thompson mówił.

- To strasznie skalista kraina - zauważył Smut - ale musimy poruszyć każdy kamień, zanim wyczerpiemy wszelkie środki odnalezienia tego chłopca. Wyślemy niewielki oddział. Małemu łatwiej się powiedzie niż dużemu. Kompanię albo dwie, powiedzmy, z platformami samochodowymi, zaopatrzonymi obficie w żywność i wodę. Porucz pan komendę odpowiedniemu człowiekowi i każ mu obrać bazę tak daleko na zachód, jak daleko będą mogły dotrzeć samochody. Jedną kompanię może pan tam pozostawić, drugą wysłać dalej. Skłaniam się do przypuszczenia, że bazę może pan założyć o dzień drogi od miasta. Jeśli się w tym względzie nie mylę, siły, wysłane naprzód, nie ucierpią od braku wody, gdyż niechybnie w dolinie, gdzie leży miasto, musi być woda. Niech pan przydzieli parę aeroplanów dla rekonesansu i służby łącznikowej, aby baza była stale w styczności z poprzednim oddziałem. Kiedy wyprawa może wyruszyć?

- W nocy możemy naładować platformy - rzekł Capell - i wyruszyć jutro rano około pierwszej.

- Dobrze! - odpowiedział generał - proszę mnie o wszystkim zawiadomić - i oddawszy ukłony, wyszedł.

* * *

Tarzan, wdrapując się po winorośli, zdawał sobie sprawę, że lew był tuż za nim i że jego życie zależało od wytrzymałości nici, pokrywających mury miasta. Z prawdziwą ulgą przekonał się, że lodygi miały objętość ramienia męskiego i że wąsy, uczone muru, tak się weń mocno zagłębiły, że nie groziło im urwanie się pod jego ciężarem.

Usłyszał ryk zawodu Numy, gdy lew zesunął się na ziemię, na próżno usiłując utrzymać się na pnączu, po czym ze zwinnością swych wychowawczyń, małp, skoczył ku szczytowi muru.

Kilka stóp poniżej widniał płaski dach sąsiedniego budynku. Gdy nań zeskoczył, stanął plecami do niszy, z zagłębienia której miało się widok na ogrody i las, nie zauważył też przykucniętej tam w cieniu postaci. Jeśli jednak nie widział, to nie pozostawił długo w nieświadomości faktu, że nie był sam, gdyż zaledwie stopy jego dotknęły dachu, ciężkie ciało zważyło się na niego od tyłu i brutalnie zacisnęły się dokoła jego pasa.

Niespodzianie napadnięty i uniesiony w górę, człowiek-małpa był na razie bezsilny. Czymkolwiek była istota, która go pochwyciła, miała widocznie określony cel, szła bowiem wprost ku skrajowi dachu. Wkrótce więc pojął Tarzan, że ma być zrzucony na bruk - bardzo skuteczny sposób pozbycia się intruza. Nie wątpił, że nadejdzie śmierć lub kalectwo, nie miał jednak bynajmniej ochoty dopuścić do wykonania planu napastnika.

Nogi i ramiona miał swobodne, znajdował się jednak w tak niekorzystnej pozycji, że nie mógł użyć ich odpowiednio. Jedną nadzieję pokładał w tym, że pozbawi napastnika równowagi. W tym celu naprężył się i pochylił w tył tak mocno, jak tylko zdołał, po czym natychmiast porwał się naprzód. Skutek był taki, jakiego oczekiwał. Wielki ciężar człowieka-małpy, przeszedłszy nagle z pozycji pionowej w pochyłą, gwałtownie pociągnął za sobą naprzód tamtego, który, chcąc się ratować, mimo woli zwolnił uścisku. Człowiek-małpa, upadając na dach, kocim ruchem stanął wprost na nogi i zwrócił się twarzą do człowieka, prawie równego mu wzrostem, uzbrojonego w szablę, którą teraz wyciągnął z pochwy. Tarzan nie miał ochoty zakosztować tego oręża, pochylił się więc bardzo nisko, unikając w ten sposób groźnego cięcia, schwycił przeciwnika za nogi, poniósł go

kilka metrów i ciężko nim grzmotnął o dach. Zaledwie człowiek znalazł się twarzą do dachu, Tarzan siadł mu na grzbiecie, jedną ręką chwytając za rękojeść szabli, drugą sięgając do gardła żółto odzianego strażnika. Dotychczas walczyli w milczeniu, lecz gdy palce Tarzana dotknęły jego gardła, napastnik wydał przenikliwy wrzask, który brązowe palce natychmiast uciszyły. Człowiek usiłował wyrwać się z objęć nagiej istoty, z równym jednak skutkiem mógłby wyrwać się ze szponów Numylwa.

Stopniowo słabły jego wysiłki; blisko osadzone oczy wylaziły z orbit, z pianą pokrytych warg wysunął się opuchły język. Gdy ruchy ustały, Tarzan powstał i kładąc stopę na trupie wroga, już miał wydać swój zwykły okrzyk zwycięski, gdy myśl o oczekującym go zadaniu zamknęła mu w porę usta.

Podszedłszy do skraju dachu, spojrzął na krętą ulicę, wijącą się poniżej. Od czasu do czasu, widocznie na przecięciu ulic, połyskiwało niepewne światło pochodni olejnych, przytwierdzonych do ścian troszkę wyżej niż na wzrost człowieka. Kręte przeważnie ulice pogrążone były w głębokim cieniu i nawet w bezpośrednim sąsiedztwie płomieni oświetlenie ich dalekie było od wspaniałości. W zacieśnionym polu swego widzenia mógł dojrzeć, że wciąż jeszcze garstka dziwnych mieszkańców chodziła po ulicach.

Chcąc zająć się poszukiwaniem oficera i dziewczyny, musiał mieć możliwość swobodnego poruszania się po mieście. Przejść pod narożnymi płomieniami, nagi, z opaską na biodrach jedynie i pod każdym względem odrębny od ludności grodu, było to narazić się na bezzwłoczne odkrycie. Gdy tymczasem zaprzętały go te myśli, wzrok jego padł na zwłoki obok leżące. Natychmiast wpadł na pomysł przebrania się w szaty zabitego przeciwnika.

W parę minut człowiek-małpa odział się w sandały i żółtą tunikę, ozdobioną papugami. Opasał się szablą, pod tuniką ukrył ojcowski nóż myśliwski.

Nie mógł tak dobrze schować pozostałego swego oręża, w nadziei więc odzyskania go z czasem, zaniósł na skraj muru i rzucił na dół, pomiędzy liście. W ostatniej chwili trudno mu było rozstać się ze sznurem, który wraz z nożem, był jego najczęściej używana bronią. Przekonał się, że mógł owinać się nim pod pasem od szabli i ukryć go w ten sposób przed wzrokiem ludzi.

Przebrany w sposób zadowolający, gdyż nawet czub jego czarnych włosów dodawał mu podobieństwa do ludności miasta, zaczął rozglądać się za sposobem dostania się na ulicę. Mógł wprawdzie zeskoczyć z dachu, obawiał się jednak zwrócić uwagę przechodniów. Budynki były różnej wysokości, ale ponieważ dachy miały płaskie, doszedł do przekonania, że z łatwością może po nich wędrować. Tak też uczynił. Wkrótce jednak spostrzegł liczne postacie, wychylające się z dachu sąsiedniego domu.

Zauważył był na wszystkich dachach otwory, prawdopodobnie stanowiące wejście do mieszkań, i teraz, napotkawszy przeszkodę w ludziach, znajdujących się przed nim, postanowił dostać się na ulicę przez wnętrze budynku. Zbliżywszy się do jednego z otworów, nachylił się nad czarną otchłanią i zaczął nasłuchiwać. Ani do uszu, ani do nozdrzy jego nie doszło świadectwo obecności żywej istoty w najbliższym sąsiedztwie. Bez wahania więc spuścił się w otwór i już miał skoczyć, gdy nogą natrafił na szczebel drabiny, z której chętnie skorzystał, by zejść do pokoju.

Tu ogarnęły go ciemności, dopóki oczy jego nie przywykły do wnętrza, którego mroki słabo rozjaśniał płomień odległego ulicznego światła, od czasu do czasu wpadający przez wąskie okna. Przekonawszy się, że mieszkanie było puste, zaczął szukać schodów, prowadzących na dolne piętro. W ciemnym przedpokoju, znalazł wąskie, kamienne stopnie, wiodące na ulicę. Szczęście mu sprzyjało. Dotarł do cieni arkady, nie natknąwszy się na żadnego mieszkańca domu.

Znalazłszy się na ulicy, nie wahał się co do kierunku, jaki powinien był obrać, gdyż właściwie tropił był Europejczyków aż do bramy, przez którą, pewien był, musieli wejść do miasta. Umiejętność orientowania się posiadał w wysokim stopniu i nie trudno mu było domyśleć się, gdzie była możliwość odnalezienia śladów tych, których poszukiwał.

Przede wszystkim należało znaleźć ulicę równoległą do muru północnego, którą mógłby iść w kierunku bramy, dostrzeżonej z lasu. Rozumiejąc, że powodzenie zależało od śmiałości, ruszył w kierunku najbliższego światła ulicznego, nie zachowując innych środków ostrożności, prócz trzymania się możliwie w cieniu arkady, co nie powinno było zwrócić na niego szczególnej uwagi, gdyż tak samo postępowali inni przechodnie. Niewielu, których mijał, wcale go nie zauważali. Już prawie dochodził do najbliższej przecznicy, gdy zobaczył zastęp ludzi przebranych w takie same żółte tuniki jak ta, którą zdarł ze swego wroga.

Szli na wprost niego. Gdyby chciał posuwać się dalej, natknąłby się na nich na skrzyżowaniu ulic w pełnym świetle płomienia. Pierwszym jego odruchem było iść wprost przed siebie, gdyż w gruncie rzeczy nie miał nic przeciwko zmierzeniu się z nimi. Lecz myśl o dziewczynie, bezbronnej w rękach tych ludzi, nakazała mu szukać innego, mniej wyzywającego sposobu postępowania.

Wyłonił się właśnie z cienia arkady na pełne światło płomienia. Nadchodzący ludzie byli oddaleni o kilka metrów, nagle więc przykląkł i zaczął poprawiać rzemienie u sandałów - prawdę powiedziawszy, nie był wcale pewien, czy owinął je tak, jak należało. Klęczał jeszcze, gdy żołnierze nadeszli. Podobnie innym przechodniom, nie zwrócili na niego żadnej uwagi. Gdy go minęli, poszedł dalej, zawracając na prawo na skrzyżowaniu dwu ulic.

Ulica, w którą się zagłębił, była tak kręta, że nie otrzymywała wcale światła od narożnych płomieni, omackiem więc musiał przebijać się poprzez gęste mroki arkady. Gdy zbliżył się do nowego płomienia, ulica stała się trochę prostszą, a gdy doszedł do oświetlenia, zobaczył sylwetkę lwa, powoli ku niemu kroczącego.

Drogą przeszła kobieta, nie zwracając uwagi na lwa. Ten także minął ją obojętnie. Po chwili za kobietą pobiegło dziecko, a tak blisko lwa przebiegło, że zwierzę musiało ustąpić mu z drogi. Człowiek-małpa szybko przeszedł na drugą stronę, aby wiatr, przelatujący przez ulice miasta i odbijający się o przeciwległy mur, powiał od lwa ku niemu, gdyby zaś szedł dalej, jak poprzednio, woń jego doniosłaby się do nozdrzy drapieżnika. Tarzan wiedział zbyt dobrze, że mógł oszukać oczy ludzi i zwierząt, nie tak łatwo jednak było ukryć przed - węchem wielkiego kota, że był innym stworzeniem niż mieszkańcy miasta, jedyne ludzkie istoty, z jakimi prawdopodobnie Numa był oswojony. Kot poznałby w nim obcego, a więc nieprzyjaciela. Tarzan zaś nie pragnął opóźnić się przez utarczkę ze zwierzęciem. Lew minął go, rzuciwszy mu tylko obojętne spojrzenie.

Tarzan szedł dalej i już dosięgał miejsca, skąd spodziewał się znaleźć ulicę, wiodącą do bramy miejskiej, gdy na skrzyżowaniu dwu ulic nozdrza jego odczuły trop dziewczyny. Spośród więzi innych odorów wyróżnił znaną mu woń dziewczyny, a w sekundę później i Smith-Oldwicka. Dokazał tego, bardzo się nisko pochylając na każdym przecięciu ulicy przy bezustannym prawie poprawianiu sandałów, co mu pozwalało zbliżyć nos ku ziemi.

Posuwając się ulicą, którą za dnia prowadzono młodych ludzi, zauważył, podobnie jak oni, zmianę typu budynków, gdyż dostał się do handlowej części miasta, zajętej przez sklepy i bazy. Tu było więcej światła i znacznie więcej ludzi. Sklepy były otwarte i oświetlone, gdyż po zachodzie słońca upał dzienny ustąpił miejsca miłemu chłodkowi. Wzrosła też liczba wałęsających się po ulicach lwów. Tu po raz pierwszy zauważył Tarzan dziwne cechy ludności.

Raz o mało co byłby go przewrócił nagi człowiek, pędzący przez ulicę z dzikim wrzaskiem. To znów omal nie potknął się o kobietę, która na czworakach posuwała się w cieniu arkady. Z początku myślał, że szukała jakiegoś upuszczonego przedmiotu, lecz gdy usunął się na bok, przyglądając się jej, przekonał się, że po prostu wolała chodzić na rękach i kolanach niż zwyczajnie, na nogach. Gdzie indziej dwoje ludzi walczyło na dachu. Wreszcie jeden, wyrwawszy się z uścisku drugiego, pchnął tak mocno przeciwnika, że ten runął na dół i legł bezwładnie w pyle ulicznym. Dzikie okrzyki zwycięzcy rozległy się po mieście, po czym bez namysłu człowiek ten skoczył głową na dół na ulicę i rozpląszczył się obok trupa swej ofiary. Z mroków arkady wysunął się lew i zbliżył się do dwu krwawych i nieruchomych trupów. Tarzan ciekaw był, jakie wrażenie zrobi na zwierzęciu zapach krwi. Ze zdumieniem zobaczył, że drapieżnik obwąchał zwłoki i gorącą czerwoną krew i spokojnie ułożył się obok martwych ludzi.

Minął lwa w niewielkiej odległości, gdy nagle uwagę jego zwrócił człowiek, pracowicie spuszczaający się z dachu budynku na wschodnią stronę ulicy. Ten widok podniecił jego ciekawość.

ROZDZIAŁ XXI

W ALKOWIE

Gdy Smith-Oldwick, osłabiony wpływem krwi, zrozumiał, że został sam i zupełnie bezbronny w ogrodzeniu pełnym wielkich lwów, wpadł w stan graniczący z histeryczną trwogą. Kurczowo uchwyciwszy się kraty, nie śmiał odwrócić głowy w kierunku zwierząt. Zakręciło mu się w głowie, dostał mdłości, zrobiło mu się czarno przed oczami i bezwładnie osunął się do stóp kraty.

Nie wiedział, jak długo leżał nieprzytomny. Z wolna odzyskując zmysły, uświadomił sobie, że leży w chłodnym łóżku, na najbielszej w świecie pościeli, w jasnym i miłym pokoju. Że tuż obok niego było otwarte okno, którego cienkie firanki powiewały od lekkiego letniego wietrzyka, wpadającego ze słońcem oblanego ogrodu, pełnego dojrzewających owoców - starego ogrodu, gdzie rosła miękka zielona trawa między obciążonymi owocem drzewami, gdzie słońce sączyło się przez liście. Na murawie małe dziecko igrało z figlarnym szczeniciem.

- Boże - pomyślał porucznik - jakież okropne zmary mnie trapiły - i poczuł rękę, gładzącą go po czole i policzku - chłodną i miękką rękę, która spędziła przykre wspomnienia. Długą chwilę leżał spokojny i zadowolony, dopóki stopniowo do świadomości jego nie zaczęło dochodzić, że ręka stała się twarda i że nie była już chłodna, lecz gorąca i wilgotna. Nagle otworzył oczy i spojrzał w oblicze wielkiego lwa.

Porucznik Harold Percy Smith-Oldwick nie tylko z imienia był angielskim szlachcicem i oficerem - był także tym, czego te tytuły wymagały - dzielnym mężczyzną. Gdy jednak zrozumiał, że miły obraz, na który patrzył, był tylko sennym złudzeniem, że w rzeczywistości leżał tam, gdzie upadł, u stóp kraty, z lwem, stojącym nad nim i lizającym go po twarzy - łzy rzuciły mu się do oczu i spłynęły po policzkach. Nigdy jeszcze, pomyślał, nielitościwy los nie zadrwił tak okrutnie z człowieka.

Leżał jakiś czas, udając nieżywego, lew zaś zaprzestawszy lizania go, obwąchiwał jego ciało. Są rzeczy, nad które lepsza jest śmierć. Przyszło też Anglikowi do głowy, że lepiej szybko umrzeć, niż leżeć w tym strasznym oczekiwaniu, aż rozum go opuści i obłąd ogarnie.

Ostrożnie, bez pośpiechu, zaczął się podnosić, opierając się o kratę. Za pierwszym jego poruszeniem lew zamruczał. Nie zwracał jednak więcej na niego uwagi i gdy wreszcie Smith-Oldwick stanął na nogi, lew odszedł obojętnie. Wówczas oficer odwrócił się i rozejrzał się po ogrodzeniu.

Rozciągnięte w cieniu drzew i rozłożone na długich ławach pod południową ścianą, wielkie bestie wyczywały prócz dwu lub trzech, niespokojnie chodzących tam i sam. Tych się najwięcej obawiał. Gdy jednak dwa przeszły spokojnie obok niego, zaczął odzyskiwać odwagę, przypominając sobie, że zwierzęta oswojone były z obecnością ludzi.

Nie śmiał jednak oddalić się od kraty. Badając otoczenie zauważył, że gałęzie jednego z drzew,

obok dalszej ściany, zwisały pod otwartym oknem. Gdyby mógł dosięgnąć tego drzewa i miał siłę to uczynić, mógłby z łatwością wdrapać się na gałąź i uciec z jaskini lwów. Ale, aby dosięgnąć drzewa, trzeba było przejść przez całą długość ogrodzenia, a pod samym pniem zbawczego drzewa dwa lwy spały rozciągnięte.

Pół godziny stał, tęsknie spoglądając na tę drogę ratunku. Wreszcie, cicho zakławszy, wyprostował się i podawszy w tył ramiona wzywającym gestem, powoli i ostrożnie ruszył ku środkowi podwórza. Jeden z włóczących się lwów zawrócił od bocznej ściany i szedł wprost po ścieżce człowieka, ale Smith-Oldwick, pochłonięty jedynym sposobem chwilowego ratunku, szedł dalej, nie zważając na niego. Lew podreptał przy jego boku, obwąchał go, po czym pomrukując wyszczerzył kły.

Smith-Oldwick wyciągnął zza koszuli pistolet. - Jeśli postanowił mnie zabić - pomyślał - to nie widzę różnicy, czy go rozdrażnię, czy nie. Drab nie zamorduje mnie śmiertelniej, czy będzie w złym, czy w dobrym humorze.

Wraz jednak z wyciągnięciem broni zmieniła się nagle postawa lwa; wprawdzie warczał wciąż jeszcze, ale zawrócił i odskoczył. Anglik dotarł prawie do stóp drzewa, które było jego celem, ale między nim a miejscem, rokującym ocalenie, leżał śpiący lew.

Ponad nim zwieszał się konar, do którego w zwykłych warunkach mógłby z łatwością podskoczyć i wdrapać się. Teraz jednak, osłabiony wskutek rany i utraty krwi, wątpił, czy mu się to uda. Wątpliwe było w ogóle, czy zdoła wdrapać się na drzewo. Była jedna możliwość: najniższa gałąź na lewo od pnia była tak umieszczona, że człowiek stojący na ziemi tuż obok drzewa, z łatwością mógł jej dosięgnąć. Ale, aby znaleźć się w pozycji, dającej dostęp do tej gałęzi, trzeba było przestąpić rozciągniętego lwa. Głęboko wciągnawszy oddech, umieścił jedną nogę pomiędzy rozłożone łapy zwierzęcia, ostrożnie podniósł drugą, by umieścić ją po drugiej stronie płowego cielska. - A jeśli - pomyślał - drabowi zechce się teraz właśnie obudzić. - Dreszcz nim wstrząsał. Ostrożnie postawił ją poza lwem, uniósł się i powoli przeniósł pierwszą nogę. Przystąpił i lew się nie obudził.

Smith-Oldwick osłabiony był przez upływ krwi i przebyte trudy, ale położenie zmuszało go do szybkiego działania. Życie jego zależało od powodzenia wysiłków. Zręcznie skoczył na dolne gałęzie drzewa i wdrapał się tak wysoko, by go lwy nie mogły dosięgnąć. Nagłe poruszenie w gałęziach obudziło oba śpiące koty. Podniosły głowę, spoglądając przez chwilę badawczo, po czym legły z powrotem i wróciły do przerwane go snu.

Tak łatwo dotychczas wszystko szło Anglikowi, że zaczął zapytywać samego siebie, czy istotnie zagrażało mu prawdziwe niebezpieczeństwo. Lwy oswojone były z obecnością ludzi - jednak były to lwy i musiał przyznać, że lżej oddychał teraz, gdy zabezpieczony się czuł przed ich szponami.

Przed nim było otwarte okno, które widział z dołu. Teraz znajdowało się na równym z nim poziomie, mógł widzieć przez nie pusty pokój. Po mocnej gałęzi dostał się do okna i po chwili zeskoczył na podłogę.

Znalazł się w dosyć obszernej komnacie, której podłoga była pokryta matami o barbarzyńskim rysunku, rzeźbione meble zaś były tego samego typu, co te, jakie widział, gdy go wprowadzono wraz z Bertą Kirchner do pokoju na pierwszym piętrze. W jednym końcu była alkowa, oddzielona kotarą, zupełnie zasłaniającą wnętrze. W ścianie, naprzeciw okna w pobliżu alkowy, znajdowały się zamknięte drzwi - jedyne wyjście z pokoju.

Dzień miał się ku końcowi, zastanawiał się więc, czy lepiej czekać, aż ciemności zapadną, czy też natychmiast szukać sposobu ucieczki z budynku i z miasta. W końcu zdecydował, że nie zaszkodzi

zbadać, co mogło być poza pokojem, aby łatwiej po zapadnięciu nocy ułożyć sobie plan dalszego działania. W tym celu skierował się do drzwi. Zaledwie jednak zrobił kilka kroków, odsunęła się kotara alkowy i w otworze ukazała się kobieta.

Była młoda i prześlicznie zbudowana; draperia, owijająca ją od piersi, nie ukrywała ani jednego szczegółu pięknego ciała, ale twarz jej była twarzą idiotki. Na jej widok Smith-Oldwick zatrzymał się, oczekując, że jego obecność wywoła u niej wzywanie ratunku. Tymczasem przeciwnie, podeszła ku niemu z uśmiechem. Gdy znalazł się tuż obok, jej smukłe, kształtne palce dotknęły rękawa jego podartej bluzy, jak ciekawe dziecko dotyka nowej zabawki. Wciąż z tym samym uśmiechem obejrzała go od stóp do głowy, z dziecinnym zdziwieniem przyglądając się każdemu szczegółowi jego stroju.

Przemówiła miłym, dźwięcznym głosem, który rażąco odbijał od jej twarzy. Głos i postać doskonale ze sobą harmonizowały, twarz zaś i głowa zdawały się należeć do innej istoty. Smith-Oldwick nie rozumiał ani słowa, odpowiedział jej jednak swym zwykłym uprzejmym tonem, co widocznie bardzo dodatnio podziałało, gdyż, zanim się spostrzegł, otoczyła jego szyję ramionami i z najwyższym oddaniem zaczęła go całować.

Mężczyzna próbował uwolnić się od tych zadziwiających objawów zainteresowania, lecz ona jeszcze silniej się go uczepiła.

Przypomniawszy sobie nagle, że słyszał, iż nie należy sprzeciwiać się chorym umysłowo, zarazem też licząc na jej ewentualną pomoc w ucieczce, zamknął oczy i oddał jej pocałunek.

W tej właśnie chwili drzwi się otworzyły i wszedł jakiś człowiek. Usłyszawszy szcęk otwieranej zasuwki, Smith-Oldwick otworzył oczy, chociaż jednak udało mu się wyzwolić z objęć kobiety, nowo przybyły zobaczył ich kompromitujące położenie. Kobieta plecami odwrócona do drzwi, nie zauważyła w pierwszej chwili, że ktoś wszedł. Gdy wreszcie spostrzegła, odwróciła się szybko i ujrzawszy człowieka, którego ohydna twarz wykrzywiona była straszliwie gniewem, z krzykiem uciekła do alkowy. Anglik, zarumieniony i zakłopotany, stał w miejscu. Wraz ze zrozumieniem, jak bezcelowe byłyby próby tłumaczenia się, przyszło zdanie sobie sprawy z groźnej postawy człowieka, zwłaszcza że teraz poznał w nim urzędnika, który w pokoju na dole przyjmował jego i Bertę Kirchner. Twarz człowieka, blada z wściekłości a może z zazdrości, drgała gwałtownie, potęgując jeszcze zwykły mu wygląd obłąkańca.

Przez chwilę wydawał się znieruchomiały od gniewu, po czym z głośnym krzykiem, który przeszedł w niesamowity lament, wyciągnął zakrzywioną szablę i rzucił się na Anglika. Smith-Oldwick stracił nadzieję uniknięcia ostrego oręża w rękach oszalałego człowieka i chociaż wiedział, że pociągnie to za sobą również nagłą, a może jeszcze straszniejszą śmierć, zrobił to, co mu jedynie do zrobienia pozostało - wyjął pistolet i wypalił mu wprost w piersi. Bez jęku runął napastnik do stóp Smith-Oldwicka, trafiony w samo serce. Przez kilka sekund w pokoju panowało grobowe milczenie.

Anglik, stojąc nad nieruchomą postacią zabitego, śledził drzwi z wyciągniętą bronią, oczekiwał bowiem, że za chwilę zjawią się ludzie, by zbadać przyczynę wystrzału. Żaden jednak dźwięk nie zdradzał, że ktokolwiek usłyszał hałas. Zza kotary alkowy wyjrzała twarz kobiety. Z oczyma utkwionymi w postać leżącego na podłodze, zaczęła skradać się poprzez pokój i na palcach zbliżyła się do trupa. Wyglądała, jak gdyby wciąż była gotowa do ucieczki. Na jakie dwa lub trzy kroki od trupa zatrzymała się i spojrzawszy na Smith-Oldwicka, zadała mu jakieś pytanie, którego, oczywiście, nie rozumiał. Podeszła z bliska do zmarłego i ostrożnie dotknęła ciała, po czym potrząsnęła jego ramię. Z siłą, jakiej trudno by się było domyśleć w jej dziewczęcej postaci,

obróciła trupa na plecy. Jeśli pozostawały jej dotąd jakieś wątpliwości, rozproszył je widok ohydnej twarzy. Uwierzywszy nareszcie, że człowiek nie żyje, wybuchnęła obłąkanym śmiechem, małymi rączkami bijąc trupa po twarzy i piersiach. Był to ponury widok, przed którym Anglik mimo woli cofnął się wstecz - ponury, odrażający widok, jakiego niepodobna było spotkać poza domem wariatów lub tym okropnym grodem.

Wśród wariackiej radości z powodu śmierci tego człowieka - Smith-Oldwick nie mógł niczemu innemu przypisać jej postępowanie - zaprzestała próżnych ataków na bezduszne zwłoki. Zerwała się na nogi, pobiegła ku drzwiom i zasunęła drewnianą zasuwę, zabezpieczając w ten sposób wejście. Wróciła na środek pokoju i szybko zaczęła mówić do Anglika, wskazując na ciało zabitego. Ponieważ nie mógł jej zrozumieć, wpadła w rozdrażnienie i w nagłym napadzie szału rzuciła się na niego, jakby chciała go bić. Smith-Oldwick cofnął się o kilka kroków i wymierzył do niej z pistoletu. Musiała wprawdzie być obłąkaną, nie tak jednak, by nie umiała zestawić głośnego wystrzału z drobnej broni i nagłej śmierci człowieka, w domu którego mieszkała, gdyż nagle uspokoiła się i równie szybko, jak je powzięła, porzuciła swe mordercze zamysły.

Znowu na twarzy jej zjawił się pusty, idiotyczny uśmiech, głos stał się znowu miły i melodyjny. Teraz za pomocą znaków usiłowała wytłumaczyć swoje życzenia. Zachęcając Smith-Oldwicka, by szedł za nią, podeszła do kotary i unosząc ją, ukazała mu alkowę.

Było to więcej niż alkowa, raczej obszerny pokój, usłany matami, zasłonami i miękkimi łóżami, pełnymi poduszek. Przy wejściu wskazała na trupa, po czym - przeszedłszy alkowę - podniosła draperie, pokrywające łóża ze wszystkich stron do samej ziemi, i pokazała otwór w meblu. Na ten otwór i znów na zwłoki wskazywała, wyraźnie pouczając Anglika, że życzy sobie, by schował tam trupa. Jeśli miał jakie co do tego wątpliwości, spróbowała rozproszyc je, chwytając go za rękaw i ciągnąc w kierunku ciała. Podnieśli je we dwoje i pół zanieśli, pół zaciągnęli do alkowy. Mieli trochę trudności z wepchnięciem trupa do ciasnego miejsca, przez nią wybranego, lecz wreszcie udało im się tego dokonać. Wroga brutalność kobiety zastanawiała Smith-Oldwicka. Na środku pokoju leżała zakrwawiona mata, którą spiesznie zabrała i ułożyła za jakimś meblem w ten sposób, że ukryła krwawą plamę. Ułożyła porządnie pozostałe maty i przyniósłszy jedną z alkowy, doprowadziła pokój do takiego stanu, że nie pozostało śladu świeżo rozegranej tragedii.

Załatwiwszy to wszystko i udrapowawszy raz jeszcze zasłony na łóżu, aby ukryć ponurą zawartość, znowu otoczyła ramionami szyję Anglika i pociągnęła go ku miękkim i zbytowym poduszkom ponad zmarłym. Świadom okropności swego położenia, pełen odrazy, obrzydzenia i obrażonego poczucia przyzwoitości, Smith-Oldwick jednocześnie żywy odczuwał potrzebę samoobrony. Czuł, że za wszelką cenę chce uratować życie, był jednak kres, którego lepsze jego popędy nie pozwalały mu przekroczyć.

Nagle głośne pukanie rozległo się w zewnętrznym pokoju. Zeskoczywszy z łóża, kobieta chwyciła oficera za ramię i pociągnęła do ściany tuż przy głowach łóża. Odsunęła firankę, ukazując małą niszę, w którą wepchnęła Anglika i spuściła zasłonę, ukrywając go za nią.

Usłyszał, jak przeszła z alkowy do zewnętrznego pokoju, usłyszał odsunięcie zasuw drzwi i męski głos, zmieszany z głosem kobiety. Oba głosy brzmiały normalnie. Wydawało mu się, że słucha zwyczajnej rozmowy prowadzonej w obcym języku. Jednak, po ponurych doświadczeniach minionego dnia, oczekiwał co chwila jakiegoś obłąkanego wybuchu.

Zdał sobie sprawę, że ci dwoje weszli do alkowy i party ciekawością, z jakim człowiekiem może niezadługo będzie miał utarczkę, rozsunął ostrożnie ciężkie fałdy. Wyjrząwszy zobaczył ich

siedzących na łożu obejmujących się ramionami - kobietę z tym samym uśmiechem, z jakim do niego się zwracała. Przekonał się, że może tak ułożyć fałdy, żeby wąska szpara między nimi pozwalała mu śledzić tych dwoje, nie zdradzając im obecności.

Widział, jak kobieta zasypywała pocałunkami człowieka znacznie młodszego od zabitego. Nagle wyzwoliła się z objęć kochanka, jak gdyby tknięta jakimś wspomnieniem. Zmarszczyła brwi, jakby pod wpływem wyteżonej myśli, z wyrazem trwogi rzuciła ukradkowe spojrzenie na zasłoniętą niszę. Nagle zaczęła spieszenie mówić do swego towarzysza, poruszając od czasu do czasu głową w kierunku niszy i często robiąc ruch ręką i palcem wskazującym, z czego wyraźnie Smith-Oldwick zrozumiał, że usiłowała opisać pistolet i sposób posługiwania się nim.

Jasne było, że zdradziła go; nie tracąc więc czasu, spieszenie zaczął badać swą kryjówkę. W alkowie mężczyzna i kobieta szeptali. Naraz po cichutku, z wielką ostrożnością, mężczyzna podniósł się i wyciągnął swą zakrzywioną szablę. Na palcach zbliżył się do zasłony. Kobieta skradała się obok niego. Żadne nic nie mówiło. Nie rozległ się żaden dźwięk w pokoju, gdy kobieta skoczyła naprzód i wyciągniętym palcem wskazała na miejsce w zasłonie na wysokości piersi męskiej. Usunęła się na bok, towarzysz zaś jej, podniósłszy szablę do poziomej pozycji, rzucił się naprzód. Całym ciężarem ciała i prawicy pchnął ostrą klingę w zasłonę i zatopił ją w niszy aż po gardę.

* * *

Berta Kirchner, widząc, że próżne są jej wysiłki i rozumiejąc, że trzeba zachować siły na jakiś zbieg okoliczności, który by umożliwił jej ucieczkę, zaprzestała usiłowań wyrwania się z uścisków księcia Metaka, gdy ten uciekał z nią przez słabo oświetlone korytarze pałacu. Dużo komnat przebiegł, niosąc swą zdobycz. Widoczne było, że jakkolwiek syn królewski, nie był zabezpieczony przed pochwyceniem i karą. Inaczej nie zdradzałby tak namiętnej chęci ucieczki.

Z tego, że wciąż rzucał poza siebie wystraszone spojrzenia i podejrzliwie zaglądał we wszystkie kąty, które mijał, wywnioskowała, że kara, jakiej by podległ w razie pochwycenia, byłaby rychła i straszliwa zarazem.

Podług drogi, jaką przebywali, aczkolwiek utraciła już poczucie kierunku, poznała, że kręcili się wkoło. Nie wiedziała, że księżę był równie jak ona zabłąkany i że biegał bezcelowo, kołując w nadziei, że natknie się na jakieś schronienie.

Nic w tym zresztą nie było dziwnego, że ten potomek wariatów z trudnością orientował się w zawilum labiryncie pałacu, zbudowanego przez wariatów dla szalonego króla. Tu korytarz stopniowo i prawie niepostrzeżenie zawracał w innym kierunku, tam podłoga nieznacznie wznosiła się do poziomu wyższego piętra, to znów w oszołomieniu pędził księżę w dół ze swym ciężarem po jakichś spiralnych schodach. Na którym piętrze, w jakiej części pałacu byli - sam Metak nie miał pojęcia, aż zatrzymawszy się nagle przed zamkniętymi drzwiami, pchnął je i wkroczył do wspaniale oświetlonej komnaty, pełnej wojowników. Pod ścianą, na tronie, siedział król; obok niego zdumiona dziewczyna ujrzała drugi tron, na którym siedziała wielka lwica. I przypomniały się jej słowa Xanily, które w swoim czasie nie zrobiły na niej żadnego wrażenia:

- Ale miał on dużo innych królowych i nie wszystkie były ludzkiego rodzaju.

Na widok Metaka i dziewczyny, król powstał z tronu i pobiegł przez pokój, w niepoahamowanej złości szaleńca, tracąc wszelkie pozory królewskości i donośnym krzykiem wydając rozkazy. Zaledwie Metak niebaczenie otworzył drzwi do tego gniazda os, cofnął się natychmiast i w nowym kierunku zaczął uciekać. Ale teraz miał stu ludzi, ścigających go po piętach ze śmiechem, wrzaskami i klątwami. Kręcił się tam i sam, wyprzedzając ich o kilka minut, wreszcie, na końcu długiego

korytarza, stromo pochyłającego się na dół, z wyższego poziomu, wpadł do podziemnej komnaty, oświetlonej licznymi płomieniami.

Pośrodku była obszerna sadzawka. Poziom wody znajdował się tylko o kilka cali poniżej podłogi. Goniący uciekającego z branką księcia, wypadli za nimi i ujrzeni, jak Metak trzymając dziewczynę, rzucił się do wody i znikł pod powierzchnią. Podnieceni, oczekiwali wokół sadzawki, żadne jednak z dwojga nie wypłynęło.

* * *

Gdy Smith-Oldwick odwrócił się, by zbadać swa kryjówkę, ręce jego omackiem trafiły na drewniane podwoje z zasuwą, taką samą, jaka zabezpieczała wejście do zewnętrznej komnaty. Pomaleńku, cichutko i bez szelestu otworzywszy drzwi, ujrzał głębokie ciemności. Ostrożnie stawiając kroki, wysunął się z niszy i zamknął drzwi za sobą.

Macając, przekonał się, że znalazł się w ciasnym korytarzu. Posuwał się nim ostrożnie jakiś czas, gdy nagle natknął się na coś, jak gdyby drabinę. Starannie obmacał rękami zawadę i przekonał się, że istotnie była to drabina i że poza nią znajdowała się gruba ściana, zamykająca korytarz. Nie mógł iść dalej, nie miał bynajmniej chęci zawrócić. Nie pozostawało więc nic innego, jak wstąpić na drabinę, co też uczynił, z pistoletem w bocznej kieszeni bluzy.

Zaledwie przeszedł dwa czy trzy szczeble, uderzył boleśnie głową o coś twardego. Wyciągnął rękę ponad głowę i wymacał przeszkodę, która wydała mu się pokrywą spustnych drzwi w stropie. Bez trudu odchylił je trochę i przez szparę ujrzał gwiazdy jasnego nieba afrykańskiego.

Z westchnieniem ulgi odsunął ostrożnie spust na tyle, by móc dojrzeć powierzchnię dachu. Jak okiem sięgnąć, nikogo nie było widać.

Szybko wydostawszy się przez otwór, starannie go nakrył i rozejrzał się w położeniu. Wprost przed nim, na południe, płaski dach, na którym się znajdował, przylegał do znacznie wynioślejszej części budynku, wznoszącej się o kilka pięter ponad nim. Od strony zachodniej widać było migotliwe światło płomieni krętej ulicy - tam skierował swe kroki.

Na krawędzi dachu spojrzął na dół, badając nocne życie obłąkanego miasta. Ujrzał mężczyzn, kobiety, dzieci i lwy. Z tego wszystkiego tylko lwy wydały mu się zdrowe na umyśle. Przy pomocy gwiazd zorientował się z łatwością, gdzie północ i południe. Starannie odtworzywszy w pamięci drogę, jaką przebył do miasta i na dach, na którym stał obecnie, doszedł do przekonania, że ulica, którą widział w tej chwili, była tą samą, którą rano prowadzono go wraz z Bertą Kirchner.

Gdyby mógł dostać się do niej, zdołałby, kryjąc się w cieniu arkad, dotrzeć niepostrzeżenie do bram miasta. Porzucił, jako beznadziejną, wszelką myśl szukania dziewczyny, wiedział bowiem, że sam jeden, z niewielką ilością pozostałej mu amunicji, nic nie wskóra przeciwko miastu, pełnemu zbrojnych ludzi. Wątpliwe było, czy przebrnie żywy przez las, rojący się od lwów, a jeśli mu się to cudem jakim uda, wiedział, że czeka go niechybnie śmierć w pustyni. Lecz pożerało go jedyne pragnienie - jak najdalej za sobą zostawić to straszne, obłąkane miasto.

Ku północy aż do najbliższej przecznicy, sąsiednie dachy były na jednym poziomie z tym, na którym się znajdował. Wprost pod nim migotał płomień uliczny. Dostać się na bruk uliczny można było tylko w najciemniejszym miejscu ulicy. Zaczął więc szukać na krawędzi dachu miejsca, skąd mógłby zejść możliwie niedostrzeżony.

Przeszedł kawałek drogi ku miejscu, gdzie ulica raptownie skręcała na wschód. Ale i tu musiał długo czekać na chwilę odpowiednią. Zamierzał spuścić się po słupie, podtrzymującym arkadę, lecz ilekroć zabierał się do opuszczenia dachu, powstrzymywał go odgłos zbliżających się kroków.

Wreszcie doszedł do przekonania, że będzie musiał czekać, dopóki całe miasto nie zaśnie.

Nadeszła jednak chwila oczekiwana. Pełen w duchu niepewności, ale z pozornym spokojem, zaczął opuszczać się na ulicę.

Gdy znalazłszy się po arkadą, wieszował sobie powodzenia, jakie mu dotychczas dopisywało, lekki odgłos skłonił go do odwrócenia się: przed nim stała wysoka postać w żółtej tunice wojownika.

ROZDZIAŁ XXII

WYDOSTANIE SIĘ Z NISZY

Numa-lew, warczał w próżnym gniewie, gdy osunął się z muru po bezowocnych próbach ścigania człowieka-mały. Rozwahał nad ponowną próbą złowienia wymykającej się zwierzyny, gdy nozdrza jego wciągnęły niezauważoną dotychczas woń niedoszłej zdobyczy. Węsząc ziemię, której zaledwie tknęła stopa Tarzana, Numa przestał warczeć, natomiast cicho zaszlochał, poznał bowiem człowieka, który go wyratował z pułapki w kraju Wamabo.

Kto zdoła odgadnąć, jakie myśli przewinęły się przez tę potężną głowę? Nie było śladu zwiedzionej złości, gdy wielki lew zawrócił i majestatycznie ruszył wzdłuż muru na wschód. Doszedłszy do wschodniego krańca miasta, zawrócił ku południowej stronie muru, gdzie były zagrody, w których tuczono trawożerne stada dla domowych lwów. Wielkie, czarne lwy leśne żywiły się równie chętnie mięsem ludzkim i zwierzęcym. Jak Numa z pułapki od czasu do czasu robiły poprzez pustynię wycieczki do żyznej doliny Wamabo, najchętniej jednak szukały żeru wśród stada otoczonego murem miasta Heroga lub porywały jego nieszczęsnych; poddanych.

Numa z pułapki stanowił poniekąd wyjątek od tego prawidła, a to z tego powodu, że jako małe szczenię pochwycono go i zabrano do miasta, gdzie go trzymano, póki w drugim roku życia nie uciekł. W mieście wariatów próbowano uczyć go, by nie jadł mięsa ludzkiego, ale plonem tej nauki było, że gdy wpadł w gniew lub poczuł głód - niechybnie rzucił się na człowieka.

Zagrody bydłece, zabezpieczone zewnętrznym murem lub palisadą z wielkich kłód, wkopanych w ziemię, bardzo szczelnie zestawionych i oplecionych łożiną, opatrzone były w szereg wrót, przez które stada wracały z pastwisk. W tej właśnie porze powrotu stad czarne lwy leśne najchętniej pobierały swe myto. Rzadko też zdarzało się, by jaki lew próbował nocą wejść do zagrody.

Ale Numa z pułapki, odnalazłszy trop swego dobroczyńcy, zapragnął wejść do miasta. Z tą myślą w chytrym mózgu zaczął skradać się wzdłuż palisady, łapą próbując każde wrota, póki nie natrafił na niezbyt szczelnie zaparte. Opuściwszy łeb, pchnął wrota, napierając całym ciężarem swego ciała, i za chwilę znalazł się w zagrodzie.

Kozy natychmiast rzuciły się w popłoch w przeciwny koniec zagrody, bezpośrednio graniczący z południowym murem miasta. Numa bywał już w takich zagrodach. Wiedział, że w ścianie musiała się znajdować nieduża furtka, przez którą pastuch przechodził z miasta do swej trzody. Ku tej furtce skierował swe kroki - umyślnie, czy przypadkiem - trudno powiedzieć, aczkolwiek dalsze wypadki kazałyby przypuszczać raczej planowość postępowania.

By dosięgnąć furtki, musiał przejść wśród stada, które przerażone stłoczyło się przy drzwiach. Gdy więc Numa ruszył do wyjścia, rozpoczął się nowy tupot kopyt. Jeśli Numa obmyślał, to obmyślił dobrze, gdyż zaledwie dotarł do upatrzonego celu, drzwi otworzyły się i pasterz wsunął głowę -

widocznie chciał sprawdzić, co zaniepokoiło stado. Może dostrzegł przyczynę niepokoju, choć to wątpliwe, gdyż bardzo było ciemno. Przy tym wielka łapa, która wymierzyła mu potężny cios, oddzielając jego głowę od tułowia, poruszyła się tak szybko i bezszelestnie, że nie minął ułamek sekundy, a człowiek leżał bez życia. Numa przeszedł przez mur i wkroczył na słabo oświetlone ulice miasta.

* * *

Gdy postać żołnierza w żółtej tunice przystąpiła do niego, pierwszą myślą Smith-Oldwicka było zastrzelić go, a potem szybkości swych nóg i słabemu oświetleniu krętych ulic powierzyć ratunek; zbyt dobrze wiedział, że to przystąpienie rokuje uwięzienie, gdyż żaden z mieszkańców tego miasta nie mógł uważać go za co innego, jak tylko za wroga. Łatwo będzie zastrzelić człowieka, mając w kieszeni pistolet. Z tym zamiarem wsunął rękę do bocznej kieszeni bluzy, lecz jednocześnie potężny uścisk pochwyił jego dłoń i cichy głos przemówił po angielsku:

- Poruczniku, to Małpi Tarzan.

Nerwowe napięcie, które tak długo podtrzymywało Smith-Oldwicka, nagle opadło. Poczul się słabym jak dziecko i musiał chwycić ramię człowieka-małpy, by nie upaść; gdy zaś nareszcie mógł dobyć z piersi głosu, zdołał tylko wyjąkać:

- Pan? Pan? Myślałem, że pan umarł.

- Nie, nie umarłem i widzę, że pan również nie umarł. Ale co z dziewczyną?

- Nie widziałem jej - odparł Anglik - odkąd nas tu przywiedziono. Wprowadzono nas do budynku na placu, niedaleko stąd, i tam nas rozdzielono. Ją zabrała straż, a mnie zaś wrzucono do jaskini lwów. Odtąd nie widziałem Berty.

- W jaki sposób wydostał się pan? - zapytał człowiek-małpa.

- Lwy nie bardzo zwracały na mnie uwagę. Wdrapałem się na drzewo i przez okno dostałem się do pokoju na drugim piętrze. Miałem małą utarczkę z pewnym drabem i kobieta ukryła mnie w zagłębieniu ściany. Nikczemnie zdradziła mnie przed drugim drabem, kory tam przyszedł, ale ja znalazłem drogę na dach, na którym tkwiłem dosyć długo, wyczekując odpowiedniej chwili do zejścia na ulicę. Oto wszystko, co wiem i nie mam najlżejszego pojęcia, gdzie szukać panny Kirchner.

- Dokąd się pan teraz wybierał? - zapytał Tarzan. Smith-Oldwick zawahał się.

- Ja - no, sam nic tu zrobić nie mogłem. Chciałem spróbować wyjść stąd, dostać się do obozu angielskiego na wschodzie i sprowadzić pomoc.

- To by się panu nie udało - rzekł Tarzan - nawet, gdyby pan żywy przebrnął przez las, nigdy by pan nie zdołał przebyć pustyni bez jadła i wody.

- Cóż więc będziemy robili? - zapytał Anglik.

- Spróbujemy odnaleźć dziewczynę - odparł człowiek-małpa, po czym, jak gdyby zapominając o Angliku i usiłując przekonać samego siebie, dodał: - Niechaj sobie będzie Niemką i szpiegiem ale jest kobietą, białą kobietą. Nie mogę jej tu pozostawić.

- Ale w jaki sposób będziemy jej szukali? - zapytał Anglik.

- Tropiłem ją aż dotąd i chyba nie myślę się sądząc, że zdoła tropić ją nadal.

- Ale ja nie mogę towarzyszyć panu w tym ubraniu, nie narażając obu nas na zaarrestowanie - zauważył Smith-Oldwick.

- To znajdziemy inną odzież dla pana.

- W jaki sposób?

- Wróć pan na dach obok muru miejskiego, którędy wszedłem - odparł człowiek-małpa z szyderczym uśmiechem - i zapytaj nagiego trupa, w jaki sposób zdobyłem swe przebranie.

Smith-Oldwick spojrział z ukosa na towarzysza.

- Już mam! - wykrzyknął. - Wiem, gdzie jest chłop, który już nie potrzebuje ubrania; jeśli możemy dostać się z powrotem na dach, sądzę, że go znajdziemy i bez oporu z jego strony zabierzemy jego strój. Jest tam tylko kobieta i młody człowiek, których możemy z łatwością zaskoczyć i unieszkodliwić.

- Co pan chce powiedzieć? - zapytał Tarzan. - Skąd pan wie, że ten człowiek już nie potrzebuje odzieży?

- Wiem, że jej nie potrzebuje, bo go zabiłem.

- Och! - zawołał człowiek-małpa - rozumiem. Przypuszczam, że będzie to łatwiejsze, niż zaczepienie jakiego draba na ulicy, gdzie więcej jest szans, by nam przeszkodzono.

- Ale w jaki sposób dostaniemy się na dach? - zapytał Smith-Oldwick.

- W taki sam, w jaki pan z niego zszedł. Ten dach jest niski i kapitel każdej kolumny tworzy mały stopień; zauważyłem to, gdy pan schodził. Nie na wszystkie budynki tak łatwo się wdrapać.

Smith-Oldwick spojrział na okap dachu.

- To niezbyt wysoko, - rzekł, - ale boję się, że nie potrafię. Spróbuję. Bardzo osłabłem, odkąd mnie lew poszarpał i straż mocno pobiła, a oprócz tego od wieczora nic nie jadłem.

Tarzan chwilę pomyślał.

- Musi pan pójść ze mną - rzekł wreszcie. - Nie mogę pana tu zostawić. Uciec pan może tylko z moją pomocą, a ja nie pójdę z panem, póki nie odnajdę dziewczyny.

- Ja chcę pójść z panem - odparł Smith-Oldwick. - Niewielka teraz ze mnie pociecha, ale zawsze dwu zrobi więcej niż jeden.

- Dobrze - rzekł Tarzan - idźmy! - Zanim Anglik zrozumiał, co tamten zamierzał, Tarzan chwycił go i zarzucił go sobie na ramię. - Trzymaj się pan! - szepnął i nagłym skokiem uczepił się po małpiemu niskiej arkady. Stało się to tak szybko i gładko; że zanim Anglik zdołał się połapać, już leżał zdrowy i cały na dachu.

- Tak! Teraz prowadź mnie pan do miejsca, o którym mówiłeś - rzekł Tarzan.

Bez trudności znalazł Smith-Oldwick otwór w dachu, przez który był się wydostał. Otworzywszy pokrywę, człowiek-małpa nachylił się, nasłuchując i węsząc.

- Chodźmy - rzekł po chwili badania i spuścił się na dolne piętro. Smith-Oldwick poszedł za nim i razem zaczęli się skradać poprzez mroki do drzwi w tylnej ścianie niszy, w której kobieta ukryła Anglika. Drzwi znalazli przyknięte tylko; otworzywszy je, Tarzan zobaczył smugę światła przez szparę w zasłonie, oddzielającej niszę od alkowy.

Przyłożywszy oko do otworu zobaczył kobietę i młodzieńca, o którym mówił Anglik, siedzących naprzeciwko siebie przy niskim stole zastawionym jadłem. Posługiwał im olbrzymi Murzyn i jemu to najuważniej przypatrywał się człowiek-małpa. Oswojony ze szczepowymi odrębnościami wielu plemion na znacznej przestrzeni Czarnej Łądy. Tarmangani poczuł znaczne uspokojenie widząc, że wie, z jakiej części Afryki pochodził niewolnik, i że zna jego narzecze. Mogło co prawda zdarzyć się, że człowiek został w dzieciństwie porwany i że przez długie lata nieużywania swej mowy, zapomniał jej. Ale ponieważ przypadek odgrywał tak wielką rolę w życiu Tarzana, czekał cierpliwie, póki czarny nie zbliżył się do małego stolika, stojącego w pobliżu niszy, w której się ukryli.

Czarny, nachylony nad jakimś naczyniem, stojącym na stoliku, zbliżył ucho do otworu, przez który Tarzan spoglądał. Z grubego muru - Murzyn nie wiedział o istnieniu niszy - wyszły w języku jego ludu szeptem wypowiedziane słowa: - Jeśli pragniesz wrócić do krainy Wamabo, nic nie mów, tylko rób, co ci każe.

Czarny z przerażeniem spojrzął na zasłonę, Tarzan widział jak zadrżał. Przez chwilę obawiał się, że Murzyn zdradzi ich w napadzie trwogi. „Nie lękaj się - szepnął - jesteśmy twoimi przyjaciółmi”.

Wreszcie Murzyn szepnął tak cicho, że nawet bystre ucho człowieka-małpy ledwie dosłyszało jego słowa:

- Co biedny Otobu może uczynić dla boga, przemawiającego z grubej ściany?

- Słuchaj! - odparł Tarzan. - We dwóch wejdziemy do tej komnaty. Pomóż nam, by ten człowiek i kobieta nie uciekli i nie wydali okrzyku, który by innych przywołał na pomoc.

- Pomogę zatrzymać ich w komnacie - odrzekł Murzyn - ale nie lękaj się, by ich krzyki sprowadziły pomoc. Te ściany są tak zbudowane, że żaden głos nie przenika przez nie, a gdyby nawet, jakież wrażenie ich krzyk miałby zrobić w tej wiosce, która wiecznie pełna jest wrzasków swej zwariowanej ludności. Nie lękaj się ich krzyków. Nikt ich nie zauważy. Zrobię coś kazał.

Tarzan zobaczył, jak Murzyn podszedł do stołu, na którym umieścił półmisek przed uczującymi. Potem stanął za plecami mężczyzny, wznosząc oczy ku miejscu ściany, skąd wyszedł głos człowieka-małpy, jak gdyby mówiąc: „Panie jestem gotów”.

Nie zwłóczęc dłużej, Tarzan odsunął zasłony i wszedł do pokoju. Młody człowiek zerwał się od stołu, ale od tyłu pochwycił go czarny niewolnik. Kobieta plecami obrócona do Tarzana i jego towarzysza, nie wiedziała nic o ich zjawieniu się, widziała tylko napad niewolnika na jej kochankę i z głośnym krzykiem rzuciła się na pomoc temu ostatniemu. Jednym skokiem Tarzan znalazł się przy niej i położywszy ciężką dłoń na jej ramieniu, zatrzymał ją na miejscu. W pierwszej chwili, gdy zwróciła się do człowieka-małpy, twarz jej wyrażała tylko szaloną wściekłość, lecz prawie bezzwłocznie przybrała idiotyczny uśmiech, znany Smith-Oldwickowi, a smukłe jej palce zaczęły dotykać przybysza.

Jednocześnie prawie spostrzegła Smith-Oldwicka, twarz jej jednak nie zdradziła ani gniewu, ani zdziwienia. Widocznie biedne stworzenie znało tylko dwa rodzaje uczuć, z błyskawiczną szybkością przechodząc od jednego do drugiego.

- Pilnuj jej! - rzekł Tarzan do Anglika. - Podczas gdy ja będę rozbierał tego draba. - Podszedłszy do młodego człowieka, którego z trudnością trzymał Otobu, odebrał mu szablę. - Powiedz im - rzekł do Murzyna - jeśli mówisz ich językiem, że nic im nie zrobimy, o ile dadzą nam spokój i pozwolą odejść.

Czarny patrzył na Tarzana szeroko rozwartymi oczami, nie rozumiejąc zapewne, jak bożek mógł ukazać się w tak materialnej postaci, z głosem białego bwanu i w mundurze wojowników tego miasta, do którego niechybnie nie należał. Nie zmalało jednak widocznie jego zaufanie do głosu, który obiecał mu wolność i wykonał rozkaz Tarzana.

- Oni chcą wiedzieć, czego chcecie - rzekł Otobu, rozmówiwszy się z kobietą i mężczyzną.

- Powiedz im, że po pierwsze chcemy jada i napoju, a po drugie czegoś, co wiemy sami, gdzie znaleźć w tej komnacie. Weź włócznie, Otobu, widzę ją opartą o ścianę w rogu komnaty.

Poruczniku, weź jego szablę - po czym, zwracając się znowu do Otobu: - Będę pilnował człowieka, ty zaś idź i przynieś to, co jest pod łóżem koło tej ściany - i wskazał na mebel.

Otobu, nawykły do posłuszeństwa, wykonał rozkaz. Śledziły go oczy kobiety i mężczyzny. Gdy

odsunął draperię i wyciągnął trupa, kochanek kobiety wydał głośny okrzyk i spróbował skoczyć ku zwłokom. Zatrzymany przez Tarzana, rzucił się na niego, z zębami i pazurami. Z niemałą trudnością poskromił go Tarzan. Podczas gdy Otobu zdejmował wierzchnie szaty z trupa, człowiek-małpa kazał mu zapytać młodego człowieka o przyczynę jego wzruszenia na widok zwłok.

- Mogę ci powiedzieć bwano - rzekł Otobu - ten człowiek był jego ojcem.

- Co on mówi do kobiety? - zapytał Tarzan.

- Pytają, czy wiedziała, że trup jego ojca był ukryty pod łóżem. A ona mówi, że nie wiedziała.

Tarzan powtórzył rozmowę Smith-Oldwickowi, który uśmiechnął się.

- Gdyby ten drab wiedział, jak zacierała wszystkie ślady zbrodni, jak układała draperię łóża, aby ukryć trupa, potem gdy pomogła mi przy ciągnięciu go przez pokój, nie pozostałoby mu wiele wątpliwości co do tego, czy wiedziała o tej sprawie. Mata, którą pan widzi na ławie tam, w rogu, została tak położona, aby zakryć krwawą plamę. Pod pewnym względem nie są oni tak głupi, jakby się zdawało.

Niewolnik ściągnął tymczasem ze zmarłego wierzchnią szatę i Smith-Oldwick szybko ją nakładał na swe ubranie.

- A teraz - rzekł Tarzan - siądziemy i posilimy się. Mało można zdziałać o pustym żołądku.

Podczas jedzenia człowiek-małpa nawiązał rozmowę z tamtymi za pośrednictwem Otobu. Dowiedział się, że znajdowali się w pałacu, który należał do zmarłego, leżącego na podłodze. Dzierżył on jakiś urząd, on i jego rodzina należeli do klasy rządzącej, ale nie byli członkami dworu.

Gdy Tarzan zapytał o Bertę Kirchner, młody człowiek powiedział, że zabrano ją do pałacu królewskiego, a na pytanie po co, odparł: - Dla króla, naturalnie.

Podczas tej rozmowy oboje, mężczyzna i kobieta, wydawali się zupełnie rozsądni, sami nawet zadawali pytania co do kraju, z którego przybyli ich nieproszeni goście i okazywali wielkie zdziwienie na wiadomość, że istniało coś więcej, prócz bezwodnej pustyni, poza ich doliną.

Gdy na zlecenie Tarzana Otobu zapytał, czy znane mu było wewnątrz pałacu królewskiego, odpowiedział, że znał je, że był przyjacielem księcia Metaka, jednego z synów królewskich, że często odwiedzał pałac i że Metak często przychodził tutaj, do pałacu jego ojca. Tarzan jedząc wysilał swój mózg, w jaki sposób dałyby się spożytkować wiadomości młodego człowieka, w celu dostania się do pałacu, nie wymyślił jednak jeszcze nic wykonalnego, gdy rozległo się głośne pukanie do drzwi zewnętrznej komnaty.

Przez chwilę panowało milczenie. Po chwili młody człowiek donośnym głosem zakrzyczał coś do tych za drzwiami. Otobu skoczył natychmiast i zatknął mu usta dłonią.

Co on mówi? - zapytał Tarzan.

- Mówi im, aby wylamali drzwi i oswobodzili jego i kobietę z rąk dwu cudzoziemców, którzy weszli i uwięzili ich. Jeśli wejdą, wszystkich nas pozabijają.

- Powiedz mu - rzekł Tarzan - aby siedział spokojnie, bo inaczej zabiję go.

Otobu spełnił polecenie i młody wariat zapadł w ponure milczenie. Tarzan opuścił alkowę i wszedł do zewnętrznej komnaty, aby się przekonać, czy drzwi wytrzymały napór. Smith-Oldwick zrobił kilka kroków za nim, pozostawiając Otobu na straży więźniów. Człowiek-małpa przekonał się, że drzwi nie wytrzymają długo ciężkich uderzeń, gdyż wysadzono z zewnątrz podwoje.

- Chciałem zużytkować tego człowieka z alkowy - rzekł do Smith-Oldwicka. - Obawiam się jednak, że będziemy musieli wyjść stąd tą samą drogą, którą przyszedliśmy. Niczego nie dokażemy, czekając na tamtych ludzi. Sądząc po wrzawie, musi ich być ze dwunastu. Chodźmy. Pan niech idzie

naprzód, ja za panem.

Gdy wrócili do alkowy, zastali zupełnie inną scenę, niż przed chwilą zostawili. Rozciągnięty na podłodze, leżał czarny niewolnik, nie dający znaków życia. Więźniowie znikli bez śladu.

ROZDZIAŁ XXIII

UCIECZKA Z XUJI

Gdy Metak niósł Bertę Kirchner nad brzeg sadzawki, nie miała z początku pojęcia, do czego zmierzał; gdy jednak zbliżał się do brzegu i nie zwolnił biegu, odgadła straszną prawdę. Gdy rzucił się głową na dół do wody, zamknęła oczy i poleciała duszę Bogu, pewna była bowiem, że wariat chce się wraz z nią utopić. A jednak prawo natury jest tak silne, że nawet w obliczu pewnej śmierci, kurczowo chwyciła się życia i wyrывая się z potężnych objęć szaleńca, powstrzymywała oddech, by woda nie zalała jej płuc.

Podczas tej strasznej próby zachowała pełne panowanie nad swymi zmysłami, toteż po pierwszym zanurzeniu zdała sobie sprawę, że książę pływał z nią pod powierzchnią wody. Paru rzutami dostawszy się do przeciwnej ściany sadzawki, stanął. Wiedziała, że głowa jej jest na powierzchni. Otworzyła oczy i zobaczyła, że znajdują się na korytarzu, mdło oświetlonym za pomocą krat w dachu umieszczonych, w korytarzu napełnionym wodą.

Wzdłuż tego korytarza pływał Metak, trzymając jednocześnie jej podbródek nad wodą. Przez dziesięć minut posuwał się naprzód w milczeniu. Naraz coś do niej przemówił, chociaż nie mogła go zrozumieć, co widocznie natychmiast przypomniał sobie, gdyż unosząc się na wodzie, zmienił sposób trzymania jej w ten sposób, by móc palcami jednej ręki dotknąć jej nosa i ust. Zrozumiała natychmiast i głęboko wciągnęła oddech. Metak szybko dał nurka, zanurzając ją razem ze sobą i znów pływał jakiś czas pod powierzchnią wody.

Gdy wypłynęli na powierzchnię, Berta Kirchner zobaczyła, że znajdują się w obszernym jeziorze, że wysoko nad nimi błyszczą gwiazdy i że kopuły i wieże budynków ostro rysują się na tle ugwieżdżonego nieba. Metak pływał spieszenie ku północnej stronie jeziora, gdzie przy pomocy drabiny oboje wydostali się na wybrzeże. Na placu byli ludzie, lecz nikt nie zwracał uwagi na dwie ociekające wodą postacie. Metak szybko szedł po bruku z Bertą u boku. Dziewczyna, nie widząc możliwości ucieczki, szła potulnie, łudząc się wbrew nadziei, że może natrafić się jakaś pomyslna sposobność uratowania wolności i życia.

Metak wiódł ją do budynku, który poznała jako ten sam, dokąd przyprowadzono ją rano wraz ze Smith-Oldwickiem. Nikt nie siedział za rzeźbionym stołem, ale było tam kilkunastu wojowników w tunikach domu, do którego należeli - w tym wypadku białych, z wyhaftowanym lwem na plecach i piersiach.

Gdy Metak wszedł, ludzie go poznali, podnieśli się i, w odpowiedzi na zadane przez niego pytanie, wskazali sklepienie podwoje w końcu komnaty. Ku nim poprowadził Metak dziewczynę. Ale nagle, jak gdyby zdjęty podejrzeniem, zmrużył chytrze oczy i obróciwszy się ku żołnierzom, wydał rozkaz, na który wszyscy ruszyli, poprzedzając go przez drzwi po schodach, niedaleko położonych.

Schody i korytarz nad nimi były oświetlone nikłymi płomykami, które ukazywały liczne drzwi w ścianach. Ludzie powiedli księcia do jednych z takich drzwi.

Berta Kirchner widziała, jak pukali do drzwi i słyszała głos, głucho odpowiadający spoza grubych podwoi. Wrażenie tej odpowiedzi było piorunujące. Natychmiast opanowało wszystkich podniecenie. Na rozkaz syna królewskiego żołnierze zaczęli walić mocno we drzwi, rzucać się na nie całym ciężarem i rąbać je szablami. Dziewczynę zaciekawiała przyczyna tego podniecenia.

Widziała, że drzwi zaczynają się poddawać. Ale czego nie dojrzała, zanim się rozwarły, to dwu mężczyzn, jedynych na całym świecie, którzy mogliby ją ocalić, skrywających się za ciężką kotarą przyległej alkowy i znikających w ciemnym korytarzu.

Gdy drzwi ustąpiły i wojownicy wpadli do komnaty, a księżę za nimi, ostatni uniósł się gniewem, gdyż pokoje były puste, prócz trupa właściciela pałacu i nieruchomej postaci niewolnika Otobu, leżących na podłodze alkowy.

Księżę rzucił się ku oknom i wyjrzał przez nie, lecz gdy zajrzał do okratowanej jaskini lwów, z której, jak sądził, nie było sposobu wydostania się, wzrosło jego zdumienie. Mimo że szukał po komnatach, chcąc zbadać, gdzie podzieli się ich mieszkańcy, nie spostrzegł niszy za zasłonami. Z niestałością, cechującą obłąkanych, rychło znużył się poszukiwaniami i zwróciwszy się do towarzyszących mu żołnierzy, kazał im odejść.

Wstawivszy połamane drzwi jak mogli najlepiej, żołnierze opuścili apartament. Pozostawszy bez świadków, Metak zwrócił się do dziewczyny. Oczy jego wykrzywił ohydny zez, spazmatyczne drgawki wstrząsały twarzą. Dziewczyna, stojąca na progu alkowy, cofnęła się wstecz, pełna przerażenia i grozy. Krok za krokiem cofała się, gdy tymczasem skurczony wariat po cichu skradał się za nią, wyciągając zakrzywione palce, które miały ją za chwilę pochwycić.

Gdy mijala ciało Murzyna, noga jej dotknęła jakiejś przeszkody; spojrzawszy w dół, spostrzegła włócznię, którą Otobu miał trzymać w karbach więźniów. Schyliła się po nią i podniosła, ostry jej koniec kierując w obłąkanego. Wrażenie było piorunujące. Tajemnicze milczenie przeszło w chrapliwe wybuchy śmiechu; z wyciągniętą szablą Metak zaczął tańczyć przed dziewczyną, ale ilekroć się zbliżał, odstraszało go ostrze włóczni.

Stopniowo dostrzegła zmianę w tonie wrzasków szaleńca, jak również w wyrazie jego odrażającego oblicza. Histeryczny śmiech z wolna przechodził w krzyki wściekłości, zalotny zez ustąpił miejsca ponuremu wejrzeniu, wargi odchyliły się, ukazując kły.

To rzucił się wprost na ostrze włóczni, to odskakiwał wstecz, podbiegał z boku, usiłując znaleźć przystęp, rąbiąc i uderzając po włóczni z taką gwałtownością, że dziewczyna zaledwie mogła utrzymać ją w ręku, zmuszona jednocześnie ustępować krok za krokiem. Dosięgła wreszcie miejsca tuż przed łóżem, opartym o ścianę, gdy z nieprawdopodobną zwinnością nachylił się i schwycivszy stołek, cisnął nim w jej głowę.

Podniosła włócznię, by odparować cios, lecz na próżno - ciężki pocisk powalił ją na łóże. Metak rzucił się na nią.

* * *

Jedynym pragnieniem Tarzana było wydostać się na ulicę, gdy teraz, obaj przebrani, mogli względnie bezpiecznie dotrzeć do pałacu i szukać dziewczyny.

Smith-Oldwick ruszył przodem i gdy doszli do drabiny, wdrapał się na nią, by otworzyć spustne drzwi. Szarpał nimi przez chwilę, po czym zwrócił się do Tarzana.

- Czy schodząc na dół, zamknęliśmy pokrywę? Nie przypominam sobie.

- Nie - odparł Tarzan - zostawiliśmy ją otwartą.

- Tak mi się zdawało - rzekł Smith-Oldwick - ale teraz jest spuszczone i na głucho zamknięta. Nie mogę jej poruszyć, może pan potrafi - i zszedł z drabiny.

Na nic się zdała potężna moc Tarzana. Złamał tylko szczebel drabiny i o mało co nie runął na podłogę. Stojąc jeszcze chwilę z głową pod samym otworem, usłyszał wyraźnie głosy na dachu.

Zeskoczył i podzielił się ze Smith-Oldwickiem swym odkryciem.

- Szukajmy raczej innej drogi - rzekł i zawrócili ku alkowie. Tarzan szedł pierwszy. Gdy otworzył tylne drzwi niszy, uderzył go przerażony głos kobiety, dochodzący spoza zasłon:

- O Boże, zmiłuj się nade mną!

Nie było czasu na zastanowienie się. Nie szukając nawet przejścia wśród zasłon, zerwał je jedną ręką i skoczył do alkowy.

Na odgłos jego wejścia, obłąkany podniósł głowę i widząc tylko jednego człowieka w stroju żołnierzy swego ojca, rzucił gniewny rozkaz. Natychmiast jednak spostrzegł twarz przybyłego - odskoczył od bezwładnej postaci swej ofiary i zapomniawszy widocznie o szabli, leżącej na podłodze obok łoża, rzucił się z gołymi rękami na przeciwnika, ostrymi zębami szukając jego gardła.

Metak, syn Heroga, nie był cherlakiem. Silny z przyrodzenia, stawał się jeszcze mocniejszym w atakach furii, nie był więc pogardy godnym przeciwnikiem nawet dla Tarzana, zwłaszcza że ten, na samym początku walki, potknął się o trupa człowieka, zabitego przez Smith-Oldwicka i padł na wznak, pociągając za sobą Metaka.

Z kocią zwinnością obłąkany spróbował zapaść zęby w gardło Tarzana, lecz szybki ruch ostatniego pozwolił mu chwycić tylko jego ramię. Trzymał je w zębach, palcami szukając gardła przeciwnika. Wówczas Tarmangani, przewidując porażkę, zawołał na Smith-Oldwicka, by zabrał dziewczynę i uciekał.

Anglik pytająco spojrział na Bertę Kirchner, która drżąc i trzęsąc się, powstała z łoża. Zobaczyła pytanie w jego oczach i wyprostowała się.

- Nie! - zawołała - jeśli on tu umrze, umrę wraz z nim. Pan, jeśli chce, może odejść, ale ja zostanę.

Tarzan zdołał już zerwać się na nogi, ale furia nie puszczał go. Dziewczyna zwróciła się nagle do Smith-Oldwicka:

- Pistolet! Dlaczego pan nie strzela?

Anglik wyjął broń z kieszeni i zbliżył się do walczących, lecz ci tak błyskawicznie się poruszali, że nie było możliwości strzelić do jednego, bez obawy trafienia w drugiego. Berta Kirchner zaczęła krążyć wokół nich z szablą w ręku, nie mogła jednak również trafić. Zapaśnicy znów padli na podłogę. Teraz Tarzan chwycił tamtego za gardło. Metak wyrwał mu się, ale z wolna, w miarę jak zwierzały się stalowe palce, oczy wariata zaczęły wychodzić z orbit, szczęki otworzyły się i wypuściły ramię Tarzana. W nagłym napadzie wstrętu i gniewu, człowiek-małpa uniósł księcia wysoko ponad głowę i całą siłą swych mocarnych ramion cisnął nim poprzez pokój za okno, Metak padł z odgłosem na dno jaskini lwów.

Gdy Tarzan zwrócił się do swych towarzyszy, ujrzał dziewczynę, stojącą wciąż z szablą w dłoni i z takim wyrazem twarzy, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widział. Oczy miała szeroko rozwarte i wilgotne od nieprzelanych łez, wargi jej drżały, jak gdyby zerwać się z nich miały wyrazy uczucia, które jej szybko wznoszące się i opadające piersi usiłowały opanować.

- Jeśli chcemy stąd wyjść - rzekł człowiek-małpa - nie mamy chwili do stracenia. Jesteśmy

nareszcie wszyscy razem i nic nie zyskamy na ociąganiu się. Chodzi teraz o znalezienie najbezpieczniejszej drogi. Parka, która nam uciekła, wymknęła się widocznie przez dach i przymocowała pokrywę, z tej strony więc jesteśmy odcięci. Co nam grozi, jeśli wyjdziemy tymi drzwiami? Pani tędy tu się dostała? - zwrócił się do dziewczyny.

- U stóp schodów - odrzekła - jest pokój pełen zbrojnych. Wątpię, byśmy mogli przejść tą drogą. Otobu nagle usiadł.

- A więc nie umarłeś? - zawołał Tarzan. - Czy jesteś ciężko ranny?

Murzyn zerwał się, poruszył rękami i nogami i pomacał się po głowie.

- Otobu wcale nie jest ranny, bwana, czuje tylko wielki ból w głowie.

- Dobrze! - Chciałbyś wrócić do krainy Wamabo?

- Tak, bwana!

- A więc wyprowadź nas z miasta najpewniejszą drogą.

- Nie ma bezpiecznej drogi - odrzekł Murzyn. - Jeśli nawet dotrzemy do bram, będziemy musieli walczyć. Mogę wyprowadzić was z tego gmachu na boczną uliczkę, gdzie mała jest obawa napotkania ludzi. Poza nią musimy ryzykować, że nas odkryją. Wszyscy jesteście w strojach tego ludu, może więc uda się nam przejść niepostrzeżenie, ale z bramą to inna sprawa, bo nikomu nie wolno opuszczać miasta w nocy.

Otobu poprowadził ich przez połamane podwoje zewnętrznej komnaty i wzdłuż korytarza zawrócił do innego apartamentu, na prawo. Minawszy go, weszli do innego korytarza i tak, poprzez różne komnaty i sienie, doprowadził ich po schodach do drzwi, otwierających się wprost na boczną uliczkę, na tyłach pałacu.

Dwaj mężczyźni, kobieta i czarny niewolnik, nie był to widok tak niezwykły na ulicach miasta, by mógł zwrócić uwagę. Przechodząc pod płomykami, Europejczycy starannie wybierali chwilę, by jaki przechodzień nie zauważył ich twarzy, w cieniu jednakże arkad szli bez obawy. Przebyli już znaczną część drogi, dzielącej ich od bram grodu, gdy usłyszeli, z centrum miasta dochodzące, odgłosy wielkiej wrzawy.

- Co to znaczy? - zapytał Tarzan drżącego Otobu.

- Panie, oni odkryli, co zaszło w pałacu Vezy, burmistrza, jego syn i ta kobieta uciekli i wezwali żołnierzy, którzy niechybnie znaleźli ciało Vezy.

- Ciekaw jestem - rzekł Tarzan - czy znaleźli tego, którego wyrzuciłem przez okno.

Berta Kirchner, która dostatecznie rozumiała narzeczę, by śledzić ich rozmowę, zapytała Tarzana, czy wiadomo mu było, że człowiek, którego wyrzucił przez okno, był synem królewskim.

- Nie! - odparł - nie wiedziałem. To może skomplikować sprawę - o ile go znaleźli.

Poprzez wrzawę rozległ się donośny dźwięk rogu. Otobu przyśpieszył kroku.

- Śpieszę się panie! - zawołał. - Gorzej jest, niż sądziłem.

- Co masz na myśli? - zapytał Tarzan.

Zwołują straż królewską i królewskie lwy. Lękam się, o bwana, że nie umkniemy przed nimi. Ale dlaczego wzywają ich na nas, nie wiem.

Jeśli Otobu nie wiedział, Tarzan odgadł, że musieli znaleźć ciało syna królewskiego. Znowu zabrzmiał dźwięk rogu, czysty donośny, w nocnym powietrzu.

- Wzywają więcej lwów? - zapytał Tarzan.

- Nie, panie - rzekł Otobu - wzywają papugi. Spiesznie szli w milczeniu kilka minut, gdy naraz uwagę ich zwróciło łomotanie skrzydeł ptaków. Podnieśli głowy i ujrzeli papugę, krążącą nad nimi.

- Otóż i papugi, Otobu - rzekł Tarzan z uśmiechem - zamierzają zamordować nas papugami?

Murzyn jęknął, gdy ptak odleciał od nich ku murom miasta.

- Teraz zaprawdę jesteśmy zgubieni, panie! - zawołał. - Ptak, który nas znalazł, poleciał ostrzec straże u bram.

- Co pleciesz, Otobu? - rozgniewał się Tarzan. - Mieszkając wśród szaleńców, sam zwariowałaś.

- Nie, panie, nie jestem obłąkany. Nie znasz ich. Te straszni ptaki, to jakby ludzie bez serca i bez duszy. Mówią językiem mieszkańców miasta Xuja. To złe duchy, panie. Jeśli zbiorą siły w wielkiej liczbie, mogą napaść nas i pozabijać.

- Jak daleko jeszcze do bram? - zapytał Tarzan.

- Nie bardzo daleko - odrzekł Murzyn. - Za najbliższym zakrętem zobaczymy je wprost przed sobą. Ale ptak doleciał tam przed nami i teraz wzywają strażę.

Prawdę przypuszczenia tego potwierdziła bezzwłocznie wrzawa przed nimi, gdy tymczasem poza ich plecami rozległy się od głośy pogoni - krzyki ludzi i ryki lwów.

O kilka kroków przed nimi, w wąskiej alei, przecinającej ulicę, przez którą dążyli, ukazał się potężny lew. Otobu zatrzymał się i cofnął wstecz. - Spójrz, panie - jęknął - wielki lew z lasu!...

Tarzan wyciągnął szablę, która wciąż wisiała u jego boku. Nie możemy zawrócić - rzekł. - Lwy, papugi czy ludzie, wszystko jedno - i ruszył śmiało ku wrotom. Wiatr, przelatujący przez ulicę, powiał od Tarzana do lwa i gdy człowiek-małpa zbliżył się na kilka kroków do zwierzęcia, zamiast oczekiwanego ryku, usłyszał szlochanie. Tarzan doznał uczucia prawdziwej ulgi. - To Numa z pułapki! - zawołał. - Nie bójcie się, nie robi nam krzywdy.

Numa ruszył do człowieka-małpy i zaczął kroczyć u jego boku wąską uliczką. Za najbliższym zakrętem zobaczyli bramę. Pod licznymi pochodniami stało tam ze dwudziestu wojowników. Od tyłu zbliżały się ryki goniących lwów, mieszając się z wrzaskami niezliczonych papug, krążących nad ich głowami. Tarzan zatrzymał się i zapytał lotnika: - Ile naboju pozostało panu?

- W pistolecie mam siedem, w kieszeni będzie ze dwanaście - odparł oficer.

- Rzucę się na nich - rzekł Tarzan. - Otobu, stań przy boku kobiety, Oldwick, pan i ja pójdziemy naprzód, pan po mojej lwicy. Sądzę, że nie mamy potrzeby objaśniać Numie, co ma robić.

Istotnie wielki lew już wyszczerzył zęby i gniewnie warczał na strażników. Ci mieli miny niepewne wobec stworzenia, które ze wszystkich istot największą w nich zwykło budzić trwogę.

- Gdy się zbliżymy - rzekł Tarzan - daj pan jeden wystrzał. Może ich to odstraszy; później strzelaj pan tylko w miarę potrzeby. Wszystko gotowe? Idźmy - i ruszył przodem ku bramie. Jednocześnie Smith-Oldwick dał ognia i jeden z żółtych wojowników padł z krzykiem na ziemię. Przez chwilę pozostali zdradzali chęć do ucieczki, ale jeden z nich, widocznie oficer, zatrzymał ich. - Teraz - rzekł Tarzan - wszyscy razem! - i pobiegł ku bramie. Lew, zrozumiałwszy zapewne zamiary Tarmanganiego, natarł na straż.

Wstrząśnięte niezwykle odgłosem strzału, szeregi strażników załamały się pod wściekłym naporem wielkiego zwierzęcia. Oficer, w ataku furii, wyrzucał szereg rozkazów, ale strażnicy, posłuszni prawu natury i podnieceni strachem przed czarnym mieszkańcem lasu, rozstąpili się na prawo i na lewo, chcąc uniknąć jego szponów. Z okrutnym pomrukiem Numa walił potężnymi łapami po garstce najbliższych mu strażników, Tarzan zaś i Smith-Oldwick zwarli się z pozostałymi.

Na razie najzawziętym przeciwnikiem był komenderujący oficer. Po mistrzowsku władał szablą, gdy tymczasem Tarzan, potykając się z nim, nie był wprawiony w używanie podobnego oręża. Smith-Oldwick, nie chcąc ugodzić niebacznie człowieka-małpę, nie śmiał dopomóc mu wystrzałem,

gdy naraz ku swemu przerażeniu, zobaczył broń, wylatującą z dłoni Tarzana, zręcznie wytraconą przez xujańskiego wojownika. Z okrzykiem zapaśnik wznosił do góry szablę, chcąc zadać ostatnie, decydujące cięcie, gdy nagle obaj, Tarzan i Smith-Oldwick, ze zdumieniem ujrzeni, że człowiek zeszywniał, wypuścił oręż z bezwładnych palców wyciągniętej ręki, dziko zawrócił oczami, piana wystąpiła mu na usta. Dysząc ciężko, jak gdyby się dusił, runął do stóp Tarzana.

Tarzan pochylił się i podjął oręż zmarłego, z uśmiechem spoglądając na Anglika.

- To epileptyk - rzekł Smith-Oldwick. - Przypuszczam, że wielu jest takich między nimi. Ich stan nerwowy ma swoje dobre strony - gdyby to był człowiek normalny, już byłoby po panu.

Strata dowódcy zdemoralizowała pozostałych wojowników. Stłoczyli się po drugiej stronie ulicy na lewo od bramy, krzycząc z całej siły i spoglądając w stronę nadchodzących posiłków, jak gdyby przynaglając do pośpiechu ludzi i lwy, i tak już zbyt bliskich, jak na pragnienia uciekających. Sześciu strażników jeszcze stało, plecami opartych o bramę, z bronią migającą w blasku pochodni, z twarzami okropnie powykrzywianymi gniewem i strachem.

Numa ścigał dwu wzdłuż ulicy, równoległej do muru. Człowiek-małpa zwrócił się do Smith-Oldwicka: - Teraz użyj pan swego pistoletu; musimy bezzwłocznie przebić się przez tych drabów. - Gdy Anglik dał ognia, Tarzan ruszył na zwarty szereg, jak gdyby wcale nie wiedział, że we władaniu szablą nie mógł dorównać tym mistrzowskim rębaczom. Dwaj ludzie padli od j pierwszych dwu strzałów Smith-Oldwicka, po czym Anglik chybił i czterej pozostali rozdzielili się, po dwu napadając na lotnika i na Tarzana.

Człowiek-małpa zwarł się z jednym ze swych przeciwników. Smith-Oldwick zważył jednego ze swoich napastników, przebijając mu kręgosłup kulą, a gdy pociągnął cyngiel, celując do drugiego, głuchy trzask oznajmił mu, że magazyn był pusty. Wyczerpały się naboje w jego broni. Wojownik ze swym ostrym orężem już był przy nim.

Tarzan podniósł szablę, ale raz tylko, by odparować cios, zagrażający jego głowie. Rzucił się na jednego z napastników i, zanim ten zdołał odzyskać równowagę i odchylić się w tył, chwycił go za kark. Drugi napastnik stanął z boku i dźwignął szablę, chcąc dźgnąć w kark Tarzana, ale ten obrócił jego towarzysza w ten sposób, że cała siła ciosu spadła na tamtego. Klinga głęboko utkwiała w ciele ofiary, która wydała jeden tylko przeraźliwy okrzyk. Umierającego cisnął Tarzan w twarz pozostałemu przeciwnikowi.

Smith-Oldwick stracił wszelką nadzieję przekonawszy się, że broń jego była pusta, gdy z lewego jego boku żywa czarnogrzywa strzała padła na pierś przeciwnika. Padł Xujańczyk z twarzą odgryzioną jednym zaciśnięciem potężnych szczęk Numy z pułapki.

W ciągu kilku sekund, „które wystarczyły na rozegranie tych wypadków, Otobu popchnął Bertę Kirchner ku bramie, którą odryglował i rozwarł i oddziałek wyszedł z obłąkanego grodu Xuja, pogrążając się w nieprzeniknione mroki. W tej samej chwili sześć lwów otoczyło ostatni zakręt, wiodący do bramy. Na ten widok Nunia z pułapki zawrócił i natarł.

Przez chwilę lwy dotrzymywały placu, ale przez chwilę tylko: zanim czarny zwierz na nie skoczył, zawróciły i uciekły, gdy tymczasem Tarzan ze swym towarzystwem szybko zdążył ku lasowi, czerniejącemu za ogrodami.

- Czy będą nas gonili? - zapytał Tarzan Otobu.

- Nie w nocy - odparł Murzyn. - Pięć lat byłem tam w niewoli i nigdy nie słyszałem, by ludzie nocą opuszczali miasto. Jeśli za dnia udadzą się poza las, czekają zwykle brzasku następnego dnia, by powrócić, gdyż boją się w nocy przechodzić przez krainę czarnych lwów. Nie, panie, dzisiejszej

nocy nie będą nas ścigali, ale, o bwana, puszcza się w pogoń jutro rano i z pewnością nas pochwycą, tych przynajmniej, co pozostaną przy życiu, bo co najmniej jeden z nas będzie musiał być złożony w ofierze czarnym lwom, gdy będziemy szli przez las.

Gdy minęli ogrody, Smith-Oldwick naładował magazyn pistoletu i założył kulę w lufę. Dziewczyna milcząca szła między Tarzanem i lotnikiem. Nagle człowiek-małpa zatrzymał się i obrócił twarz ku miastu. Potężna jego postać w tunice Herogowych żołnierzy jasno odrzynała się w świetle gwiazd. Podniósł głowę i z ust jego wyszła żałobna nuta lwa, nawołującego towarzyszy. Smith-Oldwick poczuł, jak dreszcz przeszedł mu po plecach, Otobu zaś, wywracając białkami oczu, drżący padł na kolana. Dziewczyna drgnęła. Serce jej zabiło dziwną radością. Przynęła się tak blisko dzikiego człowieka, że ramieniem dotknęła jego ramienia. Był to ruch nieświadomy i przez chwilę nie spostrzegła się nawet, co uczyniła, po czym, milcząco, odsunęła się wdzięczna gwiazdom, że blask ich nie był dość silny, by zdradzić przed towarzyszami rumieniec, jaki oblał jej lica. Nie wstydziła się impulsu, który ją popchnął, lecz samego ruchu, wiedziała bowiem, że Tarzan go zauważył i że pewnie wzbudził w nim wstręt.

Z otwartych wrót obłąkanego grodu odezwał się okrzyk odpowiedzi. Grupa ludzi czekała, aż zjawił się majestatyczny, czarny lew, kroczący ich szlakiem. Gdy się do nich zbliżył, Tarzan zanurzył palce w czarnej grzywie i ruszył w kierunku lasu. Poza nimi, w mieście, rozległy się przerażające wrzaski wariatów, ryki lwów i chrapliwy pisk papug. Gdy wkroczyli w styksowe mroki lasu, dziewczyna znów drgnęła i mimo woli przytuliła się do człowieka-małpy. Teraz Tarzan zdał sobie sprawę z jej stanu.

Sam nie znający trwogi, zrozumiał instynktownie, jak musiała być przerażona. Poddając się niespodziewanemu uczuciu tkliwości, poszukał jej ręki i ująwszy w swą dłoń, szedł dalej, omackiem szukając drogi w ciemnościach. Dwukrotnie zbliżały się do nich lwy leśne, ale odstraszyło ich warczenie Numpy z pułapki. Często musieli się zatrzymywać, gdyż Smith-Oldwick był wyczerpany do najwyższego stopnia i nad ranem Tarzan musiał zanieść go na strome wzniesienie podnóża doliny.

ROZDZIAŁ XXIV

TOMKI*

Dzień ich zaskoczył, gdy zeszli w wąwóz. Jakkolwiek byli zmęczeni, prócz Tarzana oczywista, rozumieli, że za wszelką cenę muszą się trzymać na nogach, dopóki nie znajdą miejsca, po którym mogliby się wdrapać po stromej ścianie wąwozu i wydostać się na płaskowzgórze. Tarzan i Otobu pewni byli, że Xujańczycy nie będą ich ścigali poza wąwóz, ale na próżno poszukiwali miejsca na niedostępnych skałach po obu stronach wąwozu, które pozwoliłyby na wdrapanie się po ścianie. Tarzan znalazłby możliwość dla siebie, nikt jednak z pozostałych nie dokazałby tego, ani też Tarzan, jakkolwiek silny i zręczny, nie zdołałby wnieść ich na górę.

Pół dnia dźwigał i podtrzymywał Smith-Oldwicka, a teraz ze zmartwieniem zauważył, że dziewczyna słabnie. Zdawał sobie sprawę z tego, co przeszła i jak ciężkie niebezpieczeństwa, trudy i zmęczenie musiały się odbić na jej siłach. Widział, jak dzielnie starała się trzymać, często jednak potykała się i chwiała, brnąc przez piasek i żwir wąwozu. Nie mógł powstrzymać podziwu dla hartu i odwagi, z jakimi bez słowa skargi posuwała się naprzód.

Anglik musiał również zauważyć jej wyczerpanie, gdy minęło południe, zatrzymał się nagle i usiadł na psiaku.

- Na nic się to nie zda - zwrócił się do Tarzana - nie mogę iść dalej. Panna Kirchner traci siły z minuty na minutę. Tu musimy się rozstać.

- Nie - rzekła dziewczyna - nie uczynimy tego. Tyleśmy razem przeszli, pewność naszego ocalenia tak jest jeszcze odległa, że cokolwiek ma się stać, zostaniemy razem, chyba że - tu spojrzała na Tarzana - pan, który tyle dla nas zrobił i który nie ma żadnych dla nas obowiązków, zechce odejść bez nas. Co do mnie, pragnę, aby pan tak uczynił. Musi być dla pana oczywiste, jak jest dla mnie, że nie może pan ocalić nas. Bo chociaż wyrwał nas pan z rak prześladowców, nawet pańska olbrzymia siła i wytrzymałość nie przeprowadzi żadnego z nas poprzez pustynię, która odgradza nas od najbliższej żyznej krainy.

Na jej poważne spojrzenie odpowiedział człowiek-małpa uśmiechem.

- Pani jeszcze nie umarła, ani nie umarł porucznik, ani Otobu, ani ja sam. Jest się albo żywym, albo umarłym, dopóki zaś nie umarliśmy, musimy myśleć o dalszym życiu. Że tu siedzimy i odpoczywamy, to nie żadna wskazówka, że tu mamy umrzeć. Nie mogę was obojga zanieść do kraju Wamabo, który jest najbliższym miejscem, gdzie moglibyśmy znaleźć żywność i wodę, nie trzeba jednak tracić nadziei. Dotychczas dawaliśmy sobie radę. Pozostawiamy rzeczy ich biegowi. Teraz wypocznijmy, bo pani i porucznik potrzebujecie odpoczynku, a gdy poczujecie się silniejsi, pójdziemy dalej.

- A Xujańczycy? - zapytała. - Czy nie przyjdą tu za nami?

- Tak - odrzekł - prawdopodobnie przyjdą. Ale po co mamy się troszczyć o nich, zanim nadejdą?

- Chciałabym posiadać pański spokój filozoficzny, obawiam się jednak, że przechodzi to moje siły.

- Nie jest pani urodzona i wychowana w puszczy przez dzikie zwierzęta i pośród dzikich zwierząt, inaczej posiadałaby pani, tak jak ja, wiarę w przyszłość.

Posunęli się w cień ściany wąwozu pod wystającą skałę i legli w gorącym piasku. Numa chodził niespokojnie tam i na powrót, rozciągnął się na chwilę u boku Tarzana, powstał, ruszył w dół wąwozu i znikł za najbliższym zakrętem.

Mały oddziałek wypoczywał już godzinę, gdy naraz Tarzan zerwał się i nakazawszy pozostałym zachowanie ciszy, zaczął nasłuchiwać. Stał chwilę bez ruchu, wyteżając słuch, wreszcie wrócił na poprzednie miejsce.

- Co to? - zapytała dziewczyna.

- Idą - odrzekł. - Są jeszcze w pewnej odległości, ale nie bardzo daleko, gdyż stopy w sandałach i miękkie łapy lwów sprawiają lekki szmer na piasku.

- Co mamy robić - spróbować iść dalej? - zapytał Smith-Oldwick. - Czuję, że mogę już ruszyć w drogę. Bardzo dobrze wypocząłem. A pani, panno Kirchner?

- O tak! - odparła - czuję się znacznie silniejsza. Tak, z pewnością mogę iść.

Tarzan wiedział, że żadne z nich nie mówi prawdy, że ludzie nie przychodzą do siebie tak szybko po ostatecznym wyczerpaniu, nie widział jednak innego wyjścia. Przy tym wciąż przyświecała mu nadzieja, że może za najbliższym załosem znajdą sposób wydostania się z wąwozu.

- Pomóż porucznikowi, Otobu - rzekł do Murzyna, a ja poniosę pannę Kirchner - i mimo że dziewczyna opierała się, twierdząc, że nie powinien marnować sił, lekko ujął ją w ramiona i ruszył wąwozem, a za nim Otobu i Anglik. Nie ruszyli daleko, gdy wyraźnie usłyszeli pogoń, gdyż teraz lwy ryczały, jak gdyby poczuły świeży trop zwierzyny.

- Chciałabym, żeby wrócił pański Numa - rzekła dziewczyna.

- Tak - odrzekł Tarzan - musimy jednak radzić sobie bez niego. Radbym znaleźć jakie miejsce, gdzie moglibyśmy się zabarykadować przeciwko atakom ze wszystkich stron. Wówczas może zdołalibyśmy ich zatrzymać. Smith-Oldwick jest dobrym strzelcem, a jeśli tam idzie niewielu ludzi, może załatwiłby się z nimi, naturalnie, o ile podchodziliby po jednemu. O lwy nie dbam tak bardzo. Czasami bywają te zwierzęta bardzo głupie i pewien jestem, że z tymi, które nas gonią i które tak są zależne od swych wychowawców, nietrudno będzie dać sobie radę, gdy nie stanie ich panów.

- Pan więc sądzi, że jest jakaś nadzieja? - zapytała.

- Wciąż jeszcze żyjemy - brzmiała odpowiedź.

- Oto jest - rzekł po chwili - jak gdybym przywołał to miejsce.

Wskazał na duży odłam, który musiał oberwać się od wierzchołka skały i leżał zakopany w piasku o parę stóp od ściany. Był to wielki złom, wznoszący się na jakie dziesięć stóp ponad piasek. Pomiędzy nim a ścianą pozostawało wąskie przejście. Tam skierowali swe kroki i gdy dosięgli celu, znaleźli szparę o dwu stopach szerokości i dziesięciu długości. Co prawda, otwarta była po obu końcach, ale przynajmniej nie będą atakowani ze wszystkich stron naraz.

Zaledwie zdążyli się ukryć, gdy Tarzan postyszał jakiś szelest na skale ponad nimi i spojrzawszy w górę, dojrzał maleńką małpkę na niewielkim występie - brzydką, małą małpeczkę, która chwilę na nich spoglądała, po czym drapnęła w kierunku, skąd zbliżyła się pogoń. Otobu także zobaczył małpkę.

- Ona powie papugom, a papugi powtórzą wariatom - rzekł Murzyn.

- Wszystko jedno - odparł Tarzan - i tak lwy znalazłyby nas tutaj. Nie mogliśmy oczekiwać, że ukryjemy się przed nimi.

Smith-Oldwicka umieścił w północnym końcu przystani, Otobu kazał stanąć ze swą włócznią obok Anglika, sam zaś przygotował się do strzeżenia południowego wylotu. Dziewczynie kazał położyć się na piasku pomiędzy obrońcami. - Będzie tu pani bezpieczna - rzekł - gdyby mieli używać włóczni.

Upływające minuty wydawały się Bercie Kirchner wiecznością. Wreszcie, z ulgą nieomal, poznała, że prześladowcy są tuż obok. Usłyszała gniewne ryki lwów i krzyki obłąkanych. Przez kilka minut ludzie zdawali się badać twierdzę, w której ukryli się ścigani. Słyszała ich z obu stron, od południa i od północy i naraz ujrzała lwa, nacierającego na człowieka-małpę. Zobaczyła olbrzymie ramię, unoszące krzywą szablę, widziała, jak z przerażającą szybkością opuściło się na lwa, który podniósł się, by chwycić człowieka, i rozłupało mu czaszkę tak głęboko, jak rzeźnik rozpruwa owcę.

Potem usłyszała kroki, szybko biegnące w stronę Smith-Oldwicka, a gdy przemówił jego pistolet - krzyk i odgłos padającego ciała. Zniechęceni widocznie niepowodzeniem pierwszego ataku, napastnicy oddalili się na długo. Wrócili, tym razem człowieka przeciwstawiając Tarzanowi, lwa zaś - Smith-Oldwickowi. Tarzan ostrzegł Anglika, by nie marnował naboju na zwierzęta, przeciwko lwu wystąpił więc Otobu z xujańską włócznią w rękę. Pokonali go jednak, nie uniknąwszy obaj, Otobu i Smith-Oldwick pokasania, dopiero gdy ten ostatni wepchnął podaną przez dziewczynę szablę w serce zwierzęcia. Człowiek, który przeciwstawił się Tarzanowi, niebaczenie podszedł zbyt blisko w zamiarze zadania cięcia w głowę człowieka-małpy. Skutek był taki, że w chwilę później jego trup ze skrzyconym karkiem leżał na cielsku martwego lwa.

Znowu cofnął się nieprzyjaciół, jednak nie na długo; teraz wrócili zwartym szeregiem, ludzie i lwy; pewnie po pół tuzina jednych i drugich; ludzie, rzucając włóczniami, lwy poza nimi, czekając widocznie na hasło do natarcia.

- Czy to koniec? - zapytała dziewczyna.

- Nie! - zawołał człowiek-małpa - jeszcze żyjemy! Zaledwie wyrzekł te słowa, wojownicy ruszyli, ciskając swe włócznie jednocześnie z obu stron. Chcąc zasłonić za sobą dziewczynę, Tarzan otrzymał uderzenie jednego dziurytu w ramię, a tak ciężki był rzucony oręż, że powalił go w tył na ziemię. Smith-Oldwick, dwukrotnie wypaliwszy z pistoletu, został również obalony; gdyż włócznia weszła mu w udo. Pozostał jeden Otobu do walki z nieprzyjacielem, bowiem Anglik, już i tak osłabiony ranami i świeżym pokasaniem przez lwa, zemdlął, padając wskutek nowej rany.

Gdy padł, pistolet wysunął się z jego palców, co widząc dziewczyna pochwyciła go. Podczas gdy Tarzan usiłował się podnieść, jeden z wojowników skoczył mu na piersi i przewrócił go z powrotem, po czym z wrogim okrzykiem skierował szablę ku jego sercu. Dziewczyna wycelowała z pistoletu i wypaliła wprost w twarz napastnika.

Do uszu zdumionych napastowanych i napastników zniecka doszedł odgłos strzałów z wąwozu. Niby głos anioła z nieba usłyszeli Europejczycy chrapliwą komendę angielskiego podoficera. Ukochane dźwięki doszły do uszu Tarzana i dziewczyny poprzez ryk lwów i wrzaski wariatów w chwili, gdy nawet człowiek-małpa stracił ostatnią iskrę nadziei.

Odtrąciwszy na bok trupa wojownika, powstał Tarzan z trudem na nogi, z włócznią wciąż sterczącą w ramieniu. Dziewczyna podniosła się również, a gdy Tarzan wyszarpnął broń ze swego ciała i wystąpił spoza ukrycia, stanęła u jego boku. Utarczka, jaka się wywiązała między wybawcami a napastnikami, zakończyła się rychło. Większość lwów uciekła, ale wszyscy Xujańczycy leżeli

zabici. Gdy Tarzan i dziewczyna stanęli na wprost żołnierzy, jeden z „tomków” wymierzył z karabinu do człowieka-małpy. Widząc, co chłopak zamierza i domyślając się, że wprowadziła go w błąd żółta tunika Tarzana, dziewczyna skoczyła między niego i żołnierza.

- Nie strzelać! - zawołała. - Oboje jesteśmy waszymi przyjaciółmi.

- Ręce do góry, ty, tam! - rozkazał Tarzanowi podoficer. - Nie dowierzam straszylu w żółtej koszuli.

Zbliżył się sierżant angielski, dowodzący przednią strażą, i gdy Tarzan i dziewczyna przemówili po angielsku, wyjaśniając przyczynę przebrania, uwierzył im, gdyż znać było, że innej byli rasy, niż istoty, których trupy leżały naokół. W dziesięć minut później nadszedł główny oddział wyprawy. Opatrzono rany Smith-Oldwicka, jak również i człowieka-małpy, a w pół godziny później cała czwórka znalazła się w obozie swych wybawców.

Ułożono tej nocy, że nazajutrz Smith-Oldwick i Berta będą odstawieni aeroplanem do kwatery głównej w pobliżu wybrzeża. Tarzan i Otobu odrzucili propozycję kapitana angielskiego, by towarzyszyli mu w powrotnym marszu. Tarzan wyjaśnił, że jego ojczyzna leży na zachodzie, to samo powiedział Otobu, i że zamierzają wędrować razem aż do krainy Wamabo.

- Więc pan nie wróci z nami? - zapytała dziewczyna.

- Nie - odrzekł człowiek-małpa - mój domek leży nad zachodnim wybrzeżem. W tym kierunku pójdę.

Rzuciła na niego błagalne spojrzenie.

- Wróci pan do tej strasznej dżungli? Nigdy już pana nie zobaczymy?

Popatrzył na nią przez chwilę w milczeniu.

- Nigdy! - odrzekł i bez jednego słowa więcej oddalił się.

Rankiem pułkownik Capell przyleciał z obozu bazowego jednym z aeroplanów, które miały zabrać porucznika i dziewczynę na wschód. Tarzan stał trochę na uboczu, gdy aparat wylądował i oficer zszedł na ziemię. Widział pułkownika witającego się z oficerem dowodzącym przednim oddziałem i zobaczył, jak zwrócił się do Berty Kirchner, która stała o kilka kroków za kapitanem. Ciekaw był, jak szpieg niemiecki czuje się w tym położeniu, zwłaszcza że musi wiedzieć, iż jest tu ktoś, znający dobrze jej rzeczywiste stanowisko. Zobaczył, że pułkownik Capell zbliża się do niej z wyciągniętymi rękami i uśmiechniętym obliczem i chociaż nie mógł dosłyszeć słów powitania, widział, że było w wysokim stopniu przyjazne i serdeczne.

Tarzan odwrócił się zachmurzony i gdyby ktoś był w pobliżu, usłyszałby cichy pomruk, dobywający się z jego piersi. Wiedział, że jego ojczyzna prowadzi wojnę z Niemcami i że nie tylko obowiązek względem ziemi jego ojca, ale i osobiste urazy do wroga narodu i jego do niego nienawiść wymagały, aby zdemaskował dziewczynę. A jednak wahał się. I że się wahał, dlatego warczał - nie na szpiega niemieckiego, jeno na samego siebie za swą słabość.

Zobaczył ją dopiero, gdy weszła do aeroplanu i została poniesiona na wschód. Pożegnał się ze Smith-Oldwickiem, który powtórzył mu jeszcze raz swe podziękowania. I jego zobaczył, unoszącego się wysoko kołującym aeroplanem. Śledził za aparatem, dopóki nie stał się drobną plamką na horyzoncie i nie znikł wreszcie wysoko w przestworzach.

Tomki, poskładawszy swe rzeczy, oczekiwali rozkazu do powtórnego marszu. Pułkownik Capell postanowił iść razem z wojskiem. Gdy wszystko już było gotowe do odmarszu, zwrócił się do Tarzana.

- Chciałbym, żeby pan wrócił z nami, Greystoke - rzekł - a jeśli moja prośba nie ma dla ciebie

znaczenia, to może zmiękniesz wobec pragnienia Smith-Oldwicka i młodej damy, która nas przed chwilą opuściła. Prosił mnie, bym skłonił pana do powrotu między ludzi cywilizowanych.

- Nie! - odrzekł Tarzan - pójdę swoją drogą. - Panną Bertą Kirchner i porucznikiem Smith-Oldwickiem kierowało tylko uczucie wdzięczności, gdy wyrażali to życzenie.

- Panną Kirchner? - powtórzył Capell i roześmiał się. Pan ją zna zatem jako Bertę Kirchner, szpiega niemieckiego.

Tarzan popatrzył na niego w milczeniu. Pojąć nie mógł, by oficer angielski tak lakonicznie mógł się wyrażać o szpiegu nieprzyjacielskim, którego miał w swej mocy i któremu pozwolił uciec.

- Tak - odparł - wiem, że to Berta Kirchner i szpieg niemiecki.

- Czy to wszystko, co pan wie? - zapytał Capell.

- To wszystko - odparł Tarzan.

- Jest to panna Patrycja Canby - rzekł Capell - jeden z najbardziej cenionych członków angielskiej służby wywiadowczej, przydzielona do armii wschodnio-afrykańskiej. Jej ojciec i ja służyliśmy razem w Indiach, znam ją, odkąd się urodziła. Oto paczka, którą zabrała oficerowi niemieckiemu i doniosła poprzez te wszystkie nadzwyczajne przygody. Spójrz pan! Nie miałem jeszcze czasu zbadać tego, ale jak pan widzi, jest tu szkic mapy wojskowej, zwitek raportów i dziennik kapitana Fritza Schneidera.

- Dziennik kapitana Fritza Schneidera! - powtórzył Tarzan zmieszany. - Czy mogę go obejrzeć? To człowiek, który zamordował lady Greystoke.

Anglik bez słowa podał mu mały zeszyt. Tarzan spiesznie przebiegł stronicę, szukając pewnej daty - daty spełnienia ohydnej zbrodni - i gdy ją znalazł, szybko przeczytał. Nagle z ust jego wyrwał się okrzyk niedowierzania. Capell spojrzał na niego pytająco.

- Boże! - zawołał człowiek-małpa. - Czy to może być prawda? Słuchaj pan! - i przeczytał ustęp gęsto zapisanej stronicy:

- Splataliśmy małego figła angielskiemu wieprzowi. Gdy wróci do domu, znajdzie spalonego trupa swojej żony w buduarze - ale on tylko będzie „myślał”, że to jego żona, Von Goss podstawił trupa Murzynki i ucharakteryzował go, nakładając na palce pierścienie lady Greystoke. Lady Greystoke więcej wartości przedstawia dla Głównego Dowództwa żywa niż umarła.

- Ona żyje! - krzyknął Tarzan.

- Chwała Bogu! - zawołał Capell. - A co dalej?

- Wrócę z wami, rozumie się. Jak okropnie skrzywdziłem pannę Canby, lecz skąd mogłem wiedzieć? Powiedziałem nawet Smith-Oldwickowi, który ją kocha, że to szpieg niemiecki. Muszę wrócić nie tylko, by odnaleźć swą żonę, ale także, by naprawić tę krzywdę.

- O to niech się pan nie martwi - rzekł Capell - musiała go przekonać, że nie jest szpiegiem nieprzyjacielskim, bo przed odlotem powiedziała mi, że przyrzekła zostać jego żoną.

* Mila angielska - 1.609 metrów.

* Małp.

* Murzyni.

* Prostych żołnierzy nazywają w Anglii „tommy”, co pochodzi od imienia Tommy.

* Koledzy!

* Bolgani - goryl.

* Cierniste ogrodzenie ochronne.

* Murzynom.

* Wywrócenie koziółka.